

Czy rozgrzeszać **wyborców PiS** | **Konfa** ledwo dyszy | **Śmierć u dentysty**
Męki **męskości** | **Kościół** traci moc | **Gaza** wstrząsa Zachodem

ILUSTRACJA EWA AGNIESZKA LIPIŃSKA

POLITYKA.P.L

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 47 (3440), 15.11–21.11.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Sejm ruszył:
nowa większość
kontra
stary PiS

Z opozycji do koalicji

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



9 770032 350305

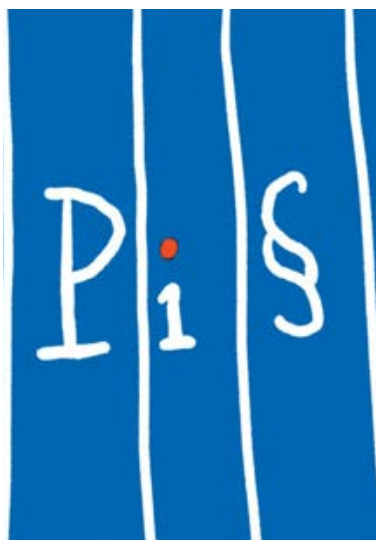
Polityczne skrytobójstwa



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podcasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektulsar>



12-29

WYBORY 2023:
o pojednaniu
i rozliczaniu


32

Męki
męskości


46

Mieszkania
widmo

Wybory 2023

- 12 Malwina Dziedzic
Jaki będzie nowy rząd?



- 15 Anna Dąbrowska
Sejm: reaktywacja
- 16 Mariusz Janicki **O sensownym pojednaniu elektoratów**
- 20 Rafał Kalukin **Poturbowana Konfederacja**
- 24 Prof. **Michał Romanowski** o tym, jak rozliczać miliardową niegospodarność PiS
- 28 Gen. **Adam Rapacki**, były wiceszef policji i były wiceminister spraw wewnętrznych, o koniecznej reformie służb

Społeczeństwo

- 32 Marta Mazuś **Zagubieni mężczyźni**
- 36 **Marta Abramowicz**, autorka książki „Irlandia wstaje z kolan”, o tym, czy polski Kościół spotka to, co irlandzki
- 40 Zbigniew Borek **Jarosław Dudzicz – sędzia „dobrej zmiany”**
- 43 Juliusz Ćwieluch **Śmierć u dentysty**

Rynek

- 46 Joanna Solska **Bezruch w Krajowym Zasobie Nieruchomości**

- 49 Marcin Piątek
Polska Fundacja Narodowa – państwo PiS w pigułce

Świat

- 52 Paweł Reszka, Zoriana Varenia
UKRAINA Rustem Umierow – minister wojny z korupcją

IZRAEL PALESTYNA

- 55 Patrycja Sasnal **Czy konflikt w Gazie rozleje się szerzej**
- 58 Mateusz Mazzini
Wstrząśnięty Zachód
- 60 Konstanty Gebert **Dramat Ormian**

Nauka/projektpulsar.pl

- 62 Ryszarda Socha
Czy plagiator może zostać profesorem



- 65 Andrzej Hołdys **Pomysł na przyjazny transport morski**
- 70 Dr hab. n. med. **Paweł Rajwa**, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki o Życiu

Historia

- 72 Tomasz Zalewski **A gdyby nie było zamachu na Kennedy'ego?**
- 75 Michał Siedziako
Jak głosowano w PRL

Kultura

- 82 Aktor i wokalista **Arkadiusz Jakubik** o odzyskanej Polsce
- 86 Justyna Sobolewska
Sztuczna inteligencja pochłania literaturę
- 89 Dziennikarz i pisarz **Wojciech Jagielski** o jego „Wojnie. Antologii reportażu wojennego”
- 92 Łukasz Wojcik **Walter Isaacson – biograf sukcesu**
- 94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**



Ludzie i style

- 100-105 • **Toksyczne relacje**
• **Betonowy wiral** • **Styl opium**
• **Pliki randkowe** • **Malarze mody** • **Misterium spalania drewna** • **Czas kapusty**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Przypisy • 7 Ludzie i wydarzenia
• 78 Afisz • 95 Sulej • 96 Wicha
• 97 Chutnik i Plebanek • 98 Tym
• 98 Do i od redakcji
• 106 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Rezygnacja przed anihilacją

Rzecznik PiS przypomniał, że w wyborach Polacy przyznali jego partii palmę pierwszeństwa, dlatego uważam, że teraz ważne jest, żeby ta palma Mateuszowi Morawieckiemu nie odbiła podczas rozmów mających wyłonić jego nowy koalicyjny rząd. Jarosław Kaczyński powiedział jasno: „To zadanie, które jest realizowane w ciszy”, i faktycznie cisza w tych rozmowach jest głucha, co nie najgorzej rokuje.

Kaczyński ostrzega, że sukces Morawieckiego nie jest pewny, bo przeciwnicy PiS „zdołali medialnie zafałszować rzeczywistość”, w dodatku niechętna nam UE planuje anihilację polskiego państwa. W jaki sposób – nie wiadomo, może Duda, Morawiecki i Kaczyński zostaną podstępnie zwabieni do Brukseli i nigdy z niej nie wrócą, a może wrócą dopiero po podpisaniu aktu bezwarunkowej kapitulacji, w wyniku czego Polska stanie się „zarządzanym z zewnątrz terenem zamieszkiwania Polaków”, którzy zostaną poddani okrutnym prześladowaniom, takim jak masowe aborcje, związki partnerskie, seksualizacja dzieci, a także konieczność jedzenia robaków i jeżdżenia elektrycznymi samochodami.



Planowana anihilacja pod znakiem zapytania stawia, niestety, sens dalszego reformowania Polski. Szkoda, bo przez osiem lat rządowi PiS wiele rzeczy udało się zbudować i zreformować. Oczywiście zdarzały się niedoróbki – z wybudowanego w Radomiu lotniska na razie nie odlatują samoloty, przez wykonany za ponad 2 mld zł przekop Mierzei Wiślanej nie przepływają statki, na skutek mającego pomóc małym sklepom zakazu handlu w niedziele zniknęły co dziesiąty mały sklep spożywczy, a dzięki programowi 500 plus liczba urodzeń, która miała dynamicznie wzrosnąć, spadła do poziomu nienotowanego od drugiej wojny światowej.

Rząd PiS zakładał, że w tym roku dzięki 500 plus urodzi się 366 tys. dzieci, ale z danych GUS wynika, że po trzech kwartałach urodziło się zaledwie 210 tys., czyli mniej, niż mówiły prognozy nawet bez wprowadzania programu 500 plus. Uważam, że w tej sytuacji pierwszym krokiem rządu, który zamierza utworzyć Morawiecki, musi być rezygnacja z tego programu, co z miejsca zwiększy liczbę urodzeń. Zdaniem ekspertów konieczna jest także rezygnacja z innych programów PiS w celu poprawienia sytuacji w handlu, służbie zdrowia, sądownictwie, kolejnictwie, kulturze, dyplomacji, edukacji i innych dziedzinach. Miejmy nadzieję, że nowy rząd Morawieckiego weźmie się ostro do roboty i zdąży wprowadzić konieczne zmiany jeszcze przed zapowiadaną przez prezesa PiS anihilacją Polski.

Śladami Aleksandra Wielkiego

Niezwykła podróż do miejsc związanych z Aleksandrem Wielkim od Macedonii Północnej poprzez Grecję aż do Turcji.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Skopje, Macedonia Północna. Przyjazd i zakwaterowanie. **Dz. 2** Skopje. Wycieczka po stolicy Macedonii Północnej, w tym Krzyż Milenijny. **Dz. 3** Skopje – Bitola – Ochryda. Zwiedzanie ruin w Stobi oraz Heraklei. **Dz. 4** Ochryda – zwiedzanie miasta i rejs po Jeziorze Ochrydzkim. **Dz. 5** Ochryda – Naousa – Pella – Saloniki, Grecja. Degustacja wina i wizyta w miejscu narodzin Aleksandra Wielkiego. **Dz. 6** Saloniki – Wergina – Saloniki. Grobowce w Werginie, zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 7** Saloniki – Edirne, Turcja. Spacer wybrzeżem Morza Egejskiego i zwiedzanie Edirne. **Dz. 8** Edirne – Stambuł. Przyjazd do Stambułu i rejs po Bosforze. **Dz. 9** Stambuł. Zwiedzanie miasta, w tym Błękitny Meczet, Sultanahmet i lokalny bazar. **Dz. 10** Stambuł – Warszawa. Czas do własnej dyspozycji i powrót do Polski.

10 dni | Wyloty z Warszawy
29/04, 15/09 2024

od **7.998,-**



Tajemnicza Azja Centralna

Wybierz się w niezapomnianą podróż Jedwabnym Szlakiem przez 5 fascynujących krajów: Turkmenistan, Uzbekistan, Tadżykistan, Kirgistan, i Kazachstan.

Azja Środkowa przyciąga od lat podróżników swoją tysiącletnią historią i obietnicą niezwyklej przygody. To tutaj pośród starożytnych miast i wspaniałych krajobrazów znajdziemy się najbliżej historii i architektury Jedwabnego Szlaku. Odwiedzimy wpisane na listę UNESCO słynne miasta Bucharą i Samarkandą, w których dawniej zatrzymywały się karawany oraz miasto – oazę Merw. Przejedziemy po pustyni Karakum, zobaczymy fantastyczne meczety, fortece i mauzolea jak np. forteca w Nissa z listy UNESCO czy grób Timura oraz zwiedzimy Aszchabad, Taszkent, Biszkek i Ałmaty.

14 dni | Wyloty z Warszawy
08/05, 04/09 2024

18.998,-



Afryka Mandeli

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przyjazd do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 3-4** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Manyeleti - Trasa Panoramiczna – Zebra Country Lodge w Pretorii. **Dz. 6** Relaks w Rezerwacie Przyrody i Ochrony Gadów – Zebra Repile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. **Dz. 9** Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. **Dz. 10** Zatoka Plettenberg – wapienne grotty Cango - Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. **Dz. 11** Montagu - Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosh z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 14** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 15** Przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy
12/01, 12/03 2024

od **16.998,-**



Większość i mniejszość



Jerzy Baczyński

Sejm się otworzył. Symbolicznie – bo w dniu pierwszego posiedzenia izby zdemontowano bariery od 7 lat odgradzające gmachy sejmowe od publiczności – i formalnie: posłowie i senatorowie zostali zaprzysiężeni, wybrano prezydium obu izb. Po raz pierwszy pokazała się nowa większość. Już 10 listopada cztery ugrupowania dotychczasowej demokratycznej opozycji zawarły umowę o stworzeniu koalicji rządowej i potwierdziły, że szefem gabinetu będzie Donald Tusk; 13 listopada nowa większość zgodnie wybrała na marszałka Sejmu X kadencji Szymona Hołownię. Normalnie już za dwa tygodnie mógłby być powołany rząd Tuska, ale prezydent Andrzej Duda, ignorując wyborczą i sejmową arytmetykę, podtrzymał fikcyjną „misję premiera Mateusza Morawieckiego”. Więc jest już nowa koalicja i wciąż stary rząd.

Jest jasne, że PiS zrobi wszystko, aby proces oddawania władzy przeciągnąć jak najdłużej. Chodzi nie tylko o ostatnie przelewy, kontrakty, operacje na dokumentach, ale o pospieszne budowanie nowego przekazu, z którym PiS miały przejść do opozycji. Mieliśmy tego próbki, gdy Mateusz Morawiecki składał obowiązkową dymisję swojego rządu, a jednocześnie wygłosił coś w rodzaju pierwszego exposé, bo drugie usłyszymy zapewne „na koniec misji”, tuż przed prawdziwym exposé Donalda Tuska. Morawiecki w swoim stylu snuł, wyjątkowo zresztą nieskładnie, opowieść o złotej erze rządów PiS i jednocześnie o „planowanym przez Unię Europejską” niszczeniu polskiej państwowości. To będą dwa polityczne filary nowej mniejszości: przesłanie o „zabranym dobrobycie” i zabieranej właśnie niepodległości.

Jeszcze przed pierwszym posiedzeniem Sejmu Jarosław Kaczyński, przemawiając z okazji Dnia Niepodległości, nie pozostawił cienia wątpliwości, jaką opozycją ma być PiS. Upiorną. Ton ostatnich przemówień wywołał widoczną konsternację nawet w gronie najwierniejszych druhów prezesa. Tylko parę wyimków: „Koalicja Obywatelska to partia niemiecka”. Została w Polsce „zamontowana”, aby zrealizować plan, w którym „państwo takie jak Polska ma się zmienić w teren zamieszany przez Polaków, a rządzony z zewnątrz. Z Berlina”. Mają temu służyć „forsowane przez Francję i Niemcy” zmiany w traktatach unijnych, „Jeśli przejdą, nastąpi anihilacja państwa polskiego”. Polska pod rządami Tuska „to będzie kraj zatruty, terroryzowany przez mafie śmieciowe i inne (...). Nie będzie krajem niezależnym i suwerennym. Musimy z tym podjąć zdecydowaną walkę. W styczniu w Warszawie zwołamy konferencję wszystkich sił patriotycznych. To będzie początek wielkiej akcji społecznej (...) Jeśli się walczy o niepodległość ojczyzny, każda cena jest do zapłacenia. Cierpieć i umierać za ojczyznę to rzecz piękna”.

Dla porządku przypomnę tylko, że ów szatański plan Scholza-Tuska, do którego odwoływał się prezes, a w Sejmie rozwijał grzę Mateusz Morawiecki, to czysta manipulacja PiS. Chodzi o rezolucję jednej z komisji Parlamentu Europejskiego, przyjętej 20 głosami (w PE jest 705 posłów), która wzywa kraje członkowskie do przygotowania Unii na jej rozszerzenie o Ukrainę i Bałkany. Gdyby miało

to oznaczać zmianę reguł traktatowych, w tym ograniczenie prawa weta, taka procedura musiałaby trwać kilka lat i na końcu uzyskać jednogłosną (!) akceptację wszystkich państw unijnych. Ale fakty nie mają tu nic do rzeczy.

Słowa Kaczyńskiego trzeba interpretować jako ostrzeżenie i prognostę: do nowego Sejmu, wbrew nadziejom marszałka Hołowni, wróci stara wojna – PiS kontra reszta świata. Kaczyński komunikuje, że porażki wyborczej nie uznał; 11,5 mln wyborców opozycji postrzeżga jako wrogów Polski, ludzi, którzy oddali głosy na „partię niemiecką” i jej knechtów, aprobowali rozbiór i „anihilację państwa”. O ile zrozumiałem, prezes nakazuje też, aby PiS już w pierwszych dniach nowego rządu zaczął organizować ruch oporu, nie wykluczając, iż będzie on wymagał „cierpień i śmierci”. Jakaś wojenka domowa, szturm na Kapił? Oczywiście, można to wszystko bagatelizować, zadawać pytanie – i wielu komentatorów tak czyni – czy to jest jeszcze polityka, czy już obłęd? Ale Kaczyński wciąż panuje nad swoją formacją i właśnie zdefiniował jej rolę w nowym parlamencie: podzielił Sejm na część polską i niemiecką; Tusk jest zarządcą Generalnej Guberni, Kaczyński przywódcą państwa podziemnego, Morawiecki żołnierzem wyklętym. Takie mamy mieć teraz historyczne jasełka.

Zastanawiamy się w tym numerze (Mariusz Janicki „Przebacza-cze” na s.16), czy już nie czas, aby wyborcom PiS nieco twardej uświadomić, że Kaczyński robił i robi z nich idiotów, i że jako dorośli ludzie są współodpowiedzialni za absurdy i nadużycia władzy, język i narrację, której dawali przyzwolenie i echo. Koalicja czterech marcy, poświęcając jedną z trzech części Umowy rozliczeniu Zjednoczonej Prawicy (patrz także rozmowa z prof. Romanowskim na s. 24). Nie będzie szansy na „narodowe pojednanie” ani powrót spokoju i normalności – co w kampanii obiecywali liderzy opozycji – bez pokazania skali manipulacji PiS, bez odkłamania i napiętnowania 8 lat tamtych rządów. I nie można z tym zwlekać.

Od pierwszego dnia widać, że nie ma szans na żadne pokojowe przekazywanie władzy czy merytoryczną kohabitację w Sejmie. Jeśli jednak koalicja będzie równie sprawna jak dotychczas, to, mimo wszelkich obstrukcji, w połowie grudnia rząd Tuska powinien być już gotowy do przejmowania urzędów. Oczywiście to nie jest dogodny termin, bo święta, Nowy Rok, Trzech Króli, ale nie ma zmiłuj, święta nie święta, rząd musi się spieszyć, aby przerwać władzę PiS, jak najszybciej przejąć kontrolę nad państwowymi dokumentami, publicznymi pieniędzmi, policją, służbami specjalnymi, wyłączyć coraz bardziej groteskową w swej propagandzie i zdesperowaną TVP, rozebrać się w stanie finansów publicznych, przygotować nową wersję budżetu.

Na razie – odpukać! – ogólny zarys konstrukcji i programu rządu wygląda zaskakująco dobrze, jak na to, że koalicjanci zaczęli ze sobą rozmawiać późno, dopiero po wyborach. Zwłaszcza ważne jest zobowiązanie w umowie koalicyjnej do dyscypliny w głosowaniach nad wszystkimi uzgodnionymi projektami rządowymi i poselskimi. W umowie (szczegóły, także personalia rządowe na s. 12) znalazły się dawno już znane priorytety – praworządność, pieniądze z KPO, podwyżki dla sfery budżetowej, dofinansowanie służby zdrowia, nauki, kultury, mieszkalnictwa itd. – nazwane drogowskazami, bo sformułowane zostały dość ogólnie. To zresztą jedna z najczęściej powtarzanych krytycznych uwag wobec Umowy – zwłaszcza ze strony głośnego w mediach środowiska partii Razem – że brak w niej np. jednoznacznych zobowiązań dotyczących liberalizacji aborcji, skali podwyżek płac, wprowadzenia związków partnerskich czy zmiany podejścia do kryzysu na granicy białoruskiej. Odpowiedzi padają rzeczowe: to rząd koalicji, a więc kompromisu i konsensu, w którym udziału programowe zostały określone przez samych wyborców.

Musimy się tego pomału nauczyć. Ale wielobarwna koalicja, rozciągnięta od prawa do lewa, od PSL do Razem, z mocnym premiewskim centrum, to po 8 latach rządów jednego człowieka wielka dla Polski ulga, nadzieja i szansa. Tyle można i trzeba powiedzieć w pierwszych dniach Sejmu X kadencji, na powitanie nowej większości i starej, w każdym sensie, mniejszości.



© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Marsz podziałów

Tegoroczny przemarsz środowisk narodowych przez Warszawę z okazji 11 listopada zorganizowano pod hasłem „Jeszcze Polska nie zginęła”. Formalnym motywem przewodnim była obrona suwerenności kraju przed zewnętrznymi i wewnętrznymi zagrożeniami – Unią Europejską, Rosją, liberalizacją światopoglądową – ale z punktu widzenia ulicy dało się odczuć przede wszystkim napięcia związane z wewnętrznymi konfliktami wśród narodowców. Według danych stołecznego ratusza w marszu udział wzięło ok. 40 tys. osób – jednak prawicowe media, powołując się na źródła w policji, szacują tę liczbę na nawet dwa razy większą. To i tak sporo mniej niż w poprzednich latach, kiedy marsz potrafił zgromadzić sześciocyfrowe liczby uczestników, a poprzedni organizatorzy definiowali go jako „największą narodową manifestację w Europie”.

Tym razem jednak skala wydarzenia była znacznie mniejsza, głównie w wyniku ostatnich przetasowań we władzach Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, instytucji odpowiedzialnej za przygotowanie demonstracji. Pod koniec lutego usunięty z jej władz został Robert Bąkiewicz, dawniej nieformalny lider polskiej prawicy pozaparlamentarnej, później kandydat do Sejmu z radomskiej listy PiS, gdzie jednak przepadł, zdobywając tylko 4354 głosy. Dało mu to dopiero dziewiąty wynik spośród kandydatów partii Jarosława Kaczyńskiego, której przypadło sześć mandatów.

Bąkiewicz w ławach poselskich zatem nie zasiadzie. Formalnie pozostaje prezesem Rot Marszu Niepodległości, innej

organizacji z ekosystemu narodowców, którą stworzył i która była beneficjentem grantów od rządów Zjednoczonej Prawicy. Zapytany przez POLITYKĘ nie chciał jeszcze zdradzać planów na przyszłość, cieszył się natomiast, że pierwszy raz od lat pójdzie w marszu jako patriota, a nie współorganizator. Były szef SMN stracił jednak rząd dusz na radykalnej prawicy, która jest teraz mocno podzielona. Bąkiewicza ze stowarzyszenia usunęli politycy związani z Ruchem Narodowym, Konfederacją i Młodzieżą Wschodopolską – w tym Krzysztof Bosak, Robert Winnicki i Witold Tumanowicz. Zarzucali mu właściwie wszystko, od bratania się z PiS (czego dowodem miał być chociażby należący do Bąkiewicza kubek do kawy z logo PiS, trzymany w siedzibie Mediów Narodowych), po nierozliczanie grantów z Narodowego Instytutu Wolności i chaos w finansach stowarzyszenia. Bąkiewicz zarzuty odpiął, groził zawiadomieniem do prokuratury, ale ostatecznie złożył broń – wewnątrz SMN trwa sprzątanie po nim i łatanie dziury budżetowej wynoszącej już ponad 200 tys. zł.

Kłopoty finansowe odziedziczone po poprzednim prezesie (a kwota może jeszcze wzrosnąć z powodu kosztów obsługi zadłużenia) zmusiły nowe władze, na czele z szefującym obecnie SMN Bartoszem Malewskim, do szukania pieniędzy również wśród uczestników marszu. Stąd pierwsza tegoroczna nowość: kwesta do puszek na organizację tej i kolejnych edycji.

Drugą nowością był otwarty sprzeciw niektórych uczestników wobec obecności i działalności niektórych polityków. Kiedy na scenie przy rondzie Dmowskiego pojawił się Krzysztof Bosak, przypuszczając słowną szarżę na „Gazetę Wyborczą”, Unię Europejską i Roberta Biedronia, z tłumy posypały się gwizdy i skandowane przez ONR hasło: „Konfa, wy śmiecie, Polaków oszukujecie”. W zasłyszanych na Alejach Jerozolimskich rozmowach dało się słyszeć krytykę Bąkiewicza, ale też rozczarowanie wynikiem wyborczym skrajnej prawicy z 15 października, a przede wszystkim – obawy o przyszłość związane z powrotem do władzy Donalda Tuska. Ponieważ sporo zamieszania robili kibole, ignorując apele o nieodpalanie środków pirotechnicznych i rzucający petardy z mostu Poniatowskiego na samochody i ścieżki na Powiślu, na marsz wróciło pamiętające jeszcze czasy poprzedniego rządu Platformy hasło: „Donald, matole, Twój rząd obalą kibole”. Repertuar sloganów był w tym roku eklektyczny, stanowiąc mieszankę starego i nowego: do tradycyjnych „Bóg, Honor i Ojczyzna” czy „Tej jesieni zamiast liści będą wisieć komuniści” doszło nawiązanie do bieżących wydarzeń w postaci „stop patocelebrycji”, ale też inny skrajnie prawicowy hit z przeszłości: „Kłamstwa Michnika wyrzuc do śmietnika”. Leitmotiv stanowiły jednak hasła tożsamościowe, a więc apele o nieprzyjmowanie migrantów, zachowanie czystości etnicznej oraz walkę z federalizacją Unii Europejskiej.

W marszu szło sporo zwolenników Konfederacji, partii ultraliberalnej pod względem postulatów ekonomicznych, ale kiedy pochód doszedł na most Poniatowskiego, z samochodu organizatorów padło gromkie „liberalizm to choroba”.

Marsz Niepodległości na powrót stał się imprezą kontestującą rzeczywistość, organizowaną raczej przeciw, a nie w imię konkretnych idei. Pomimo kłopotów finansowych i utraty politycznego parasola ze strony PiS narodowcom udało się zgromadzić w Warszawie całkiem liczny tłum – co pokazuje tylko, że na ulicznym sprzeciwie wobec demokratycznego rządu i progresywnych postulatów światopoglądowych da się zbić całkiem spory kapitał. Nowej władzy musi dać to do myślenia, bo odbicie państwa z rąk populistów powinno być pierwszym krokiem do zbudowania nowej, pozytywnej narracji o polskim patriotyzmie. Na razie pozostaje on zawłaszczony przez nacjonalistów, którzy, jak widać, przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy wiele nauczyli się pod względem organizacyjnym i którzy swojego kawałka przestrzeni publicznej na pewno nie zamierzają oddać.

MATEUSZ MAZZINI

Konflikt w NBP: w tle kariery i pieniądze

Po wyborach atmosfera w NBP zaczęła gęstnieć. Według naszych informatorów na początku zeszłego tygodnia **Adam Glapiński** rozmawiał z Andrzejem Dudą w Pałacu Prezydenckim, a po banku zaczęli krążyć nowi ludzie. – *Po godzinie 17 do centrali do dyrektora departamentu kadr, a także do prezesa Glapińskiego ciągle przychodzą jacyś ludzie. Słychać, że to nowi do pracy, stąd ta nerwowość* – opowiada nasz informator z banku. Dowodem nerwowości w obozie władzy jest konflikt w zarządzie NBP.

Zaczął się od tekstu anonimowego blogera „Bizancjum **Pawła Muchy**” (Salon24.pl). Przypomnijmy, że jesienią 2022 r. Mucha trafił do zarządu NBP. Wcześniej, na początku 2021 r., z ulgą pożegnał się z fotelem wiceszefa Kancelarii Prezydenta i zatrudnił się jako doradca Glapińskiego, z roczną pensją około pół miliona złotych. Bloger napisał, że Mucha w praktyce nic nie robi w NBP i jest skonfliktowany z członkami zarządu. Nasi rozmówcy twierdzą, że tekst był inspirowany przez NBP.

Mucha w odpowiedzi zamieścił w sieci kilka stron pism w sprawie „niewykonywania obowiązków przez prezesa NBP” i dowodów na to, że Glapiński nie współpracuje np. z RPP. Twierdzi, że: „Kopie protokołów posiedzeń Rady nie są w ogóle udostępniane co najmniej części członków zarządu NBP”. Aktywność Muchy skomentował Glapiński na pierwszej zeszłotygodniowej konferencji prasowej. Zapewnił, że nie ma żadnego konfliktu w zarządzie NBP, a on jest w stałym kontakcie z Andrzejem Dudą. Wytykał Musze, że „żąda niebotycznych kwot za swoją pracę. Spór jest tylko o nagrody i premie, reszta to mgiełka, didaskalia”.

W piątek po południu Glapiński niespodziewanie znów wystąpił przed kamerami. Z Nowogrodzkiej dostał sygnał, że trzeba wyciszyć sprawę. „Nadyma się jakąś sprawę nieporozumień” – oświadczył i dodał, że „z panem Muchą jestem w kontakcie, szukamy porozumienia”. Godzinę po tym wystąpieniu Mucha opublikował w serwisie X zaskakujące oświadczenie, w którym dziękował członkom zarządu „za stworzenie warunków do naszej dzisiejszej



rozmowy z Prezesem NBP prof. Adamem Glapińskim. Jak powiedział Prezes NBP dobro banku centralnego jest najważniejsze”.

– *Panowie dostali nakaz od Kaczyńskiego, aby przestali pracować publicznie brudny. Pisma, które publikował Mucha, mogą pomóc opozycji postawić Głapę przed Trybunałem Stanu. Piątkowa konferencja miała przekierować uwagę na wroga, który atakuje, bo chce wykorzystać Polskę i wprowadzić tu euro* – opisuje strategię polityk PiS. Faktycznie, Glapiński mówił o tym, że celem ataków jest „chęć wprowadzenia na siłę, gwałtem, przedwcześnie Polski do strefy euro”. On na to teraz nie pozwolił i nie złożył pod wnioskiem premiera o euro podpisu. Podobną narrację przedstawił latem 2022 r. Twierdził, że Bruksela wyznaczyła Tusko wi zadanie obalenie rządu PiS i właśnie wprowadzenie eurowaluty.

Oco tak naprawdę chodzi w tym konflikcie? Nasi rozmówcy z PiS, a także z Pałacu są zgodni – o stanowiska, bo w NBP zarabia się dobrze. Kadencja Glapińskiego kończy się w 2028 r., więc może dać bezpieczną przystań na długo dla wielu. – *Mucha ma pomóc prezydentowi ulokować w NBP znajomych, którzy wylecą ze spółek, i tych, którzy chcą przyłączyć się do obozu, który montuje szef jego gabinetu Mastalerek. Ale Głapa czuje się zobowiązany wobec Nowogrodzkiej i nie widzi powodu, aby pomagać ludziom Dudy* – opisuje nasz rozmówca. Rok temu dyrektorem departamentu kadr w NBP został Roman Kroner, lojalny wobec środowiska prezesa Kaczyńskiego. To znajomy Jacka Sasina, były członek komisji ds. weryfikacji WSi, na której czele stał Maciejewicz. – *Wiadomo, że Adam Glapiński nie bardzo radzi sobie z umocnieniem złotego, ale stabilność zatrudnienia przez najbliższe lata może zagwarantować. Pytanie: komu? I o to cała ta aferka* – podsumowuje nasz rozmówca z PiS. (DĄB.)

Zaniechanie to też znęcanie

Zatluczenie młotkiem, wyrzucenie przez okno, wleczenie za samochodem – kiedy ludzie robią bezbronnym zwierzętom takie rzeczy, organa ścigania i sądy na ogół nie mają wątpliwości i uznają to za znęcanie. Ale zostawienie zwierzęcia bez pożywienia i wody czy bez koniecznego leczenia już nie jest dla wymiaru sprawiedliwości tak oczywiste.

Tymczasem sąd w Oławie skazał na rok bezwzględnej więzienia opiekunkę kundelka o imieniu **Aksel**, która nie leczyła go, mimo że był poważnie chory, nie karmiła ani nie poiła. Psa odebrano jej w stanie agonizującym. Lekarka weterynarii, która mogła tylko skrócić jego cierpienia, poddając go eutanazji, stwierdziła, że zwierzę gniło za życia. – *To bardzo ważne rozstrzygnięcie i na pewno jedno z pierwszych tego typu, w których za szczególnie okrucieństwo potraktowano zaniechanie* – mówi mec. Karoli Kuszlewicz.



Sąd uznał, że „skrajne zaniedbanie, nieudzielenie pomocy medycznej ciężko choremu zwierzęciu, zaniechanie podawania pokarmu i wody, które w konsekwencji doprowadziło do wyniszczenia organizmu ze skrajnego niedożywienia, (...) co doprowadziło do częściowego wyłysienia oraz odparzeń w ranach odleżynowych, gdzie rozwinęły się larwy much” jest znęcaniem ze szczególnym okrucieństwem.

„Bardzo nas cieszy ten wyrok, bo prokuratorzy i sędziowie często nie traktują zaniechania leczenia jako znęcania” – powiedziała serwisowi Wrocław.pl Izabela Kadłucka, prezes fundacji Lex Nova, która razem z policją odebrała psa. „Umarzano sprawy, gdzie pies miał np. guza większego od głowy albo guza 10 na 10 cm na zewnątrz ciała z przerzutami do organów wewnętrznych, opiekunowie nie robili nic, a prokuratorzy nie dopatrzyli się znęcania”.

Zagłodzenie też często nie robi wrażenia na przedstawicielach wymiaru sprawiedliwości. Opiekun labradorki, który na cztery miesiące pozostawił ją w kocy bez jedzenia i doprowadził zdrowe zwierzę do takiego wycieńczenia, że nie miała siły wyjść z boksu, została właśnie przez sąd w Kaliszu skazany na 2 tys. zł grzywny. – *Wnieśliśmy sprzeciw, bo kara jest niewspółmierna do cierpienia, jakie zadano zwierzęciu* – poinformowała Anna Małecka z Kaliskiego Stowarzyszenia Pomocy dla Zwierząt Help Animals. (AS)

Andrzej Duda: wierny sługa Nowogrodzkiej

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.



Niewiele oczekując, nigdy się nie zawiodłem” – napisał Szymon Hołownia po ośrędziu, w którym prezydent zapowiedział powierzenie misji tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu. Taka powinna być postawa względem głowy państwa – brak nadziei związanych z osobą pełniącą aktualnie ten urząd. Andrzej Duda miał osiem lat, by politycznie dojrzeć oraz się usamodzielnąć. Założywszy nawet, że do lata 2020 r. wiszenie u klamki Nowogrodzkiej było koniecznością, to od trzech już lat prezydent nie potrzebuje partyjnej nominacji, pieniędzy i ludzi – reelekcja została wywalczona, kolejnej nie będzie. A mimo to wciąż pozostaje zakładnikiem macierzystej formacji. „To taka osobowość, (...) człowiek, który musi być komuś podporządkowany” – oceniał przed laty promotor pracy doktorskiej Dudy prof. Jan Zimmermann. Dlatego kluczem do zrozumienia prezydenta nie jest polityczny pragmatyzm lub bieżący interes, ale psychologia.

W dotychczasowej działalności politycznej Andrzej Duda wykazywał niezwykłą podatność na czynniki zewnętrzne: presję własnego obozu, rozkazy mentalnego zwierzchnika, wskazówki czy sugestie osób tworzących jego środowisko. Amerykański socjolog Walter Reckless nazwał tego typu natury zewnątrzsterownymi. Są one zależne nie tylko od wpływu czy decyzji innych osób, ale też łase na pochwały i mało odporne na krytykę. Jeden z polityków PiS tłumaczył w „GW”, że Duda nie mógł postąpić inaczej, jak tylko wskazał Morawieckiego, bo „nie zniósłby tych oskarżeń od Karnowskich, (...) telefonów od posłów, pretensji słanych esemesami”. Andrzej Duda obawiał się też z pewnością gniewu wyborców PiS, którzy są przeciw

i jego elektoratem. Skoncentrowany na celebrowaniu siebie jako głowy państwa potrzebuje do tego fetującej go publiczności. Sprzeniewierzenie się jej oczekiwaniom oznacza towarzystwo wyłącznie tych, którzy go wygwizdują, jak choćby miesiąc temu w Nowym Jorku podczas Parady Pułaskiego.

Cechą charakterystyczną osób zewnątrzsterownych jest lojalność i Duda nadal będzie wierny Nowogrodzkiej. Stąd małe są szanse powodzenia planu, jaki zarysował Waldemar Pawlak. Były premier zasugerował, że szansy na porozumienie nowego gabinetu z prezydentem upatruje w potraktowaniu Dudy lepiej, niż traktował go dotychczas Jarosław Kaczyński. Nic bardziej mylnego – prezydent szybciej przełknie kolejne upokorzenie ze strony prezesa, niż wyciągnie rękę do tych, którzy gotowi byłiby honorować jego podmiotowość. Będzie też stał na straży tego, co sam nazywa „dorobkiem” ostatnich ośmiu lat, mając na myśli przede wszystkim zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Niedawny ruch z próbą pospiesznej zmiany regulaminu Sądu Najwyższego tylko to potwierdza i oznacza, że prezydent postępuje dotychczasowo proces przejmowania sądów na partyjną (i też swoją) własność jako pozytywny. A to wyklucza jakiegokolwiek porozumienie z przywiązanym do zasady trójpodziału władz rządem.

„Dziś nie wiemy tak do końca, kto naprawdę ma rację w naszych politycznych sporach” – mówił prezydent podczas Święta Niepodległości. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że „niezłomnie” stanie po stronie tego, który uważa, że Polska istnieje tylko wtedy, kiedy rządzi nią PiS. Kaczyński znów straszy utratą niepodległości, zaś Duda osobiście nigdy nie potrafił się na nią wybić, mimo zaklęć przychylnych mu publicystów, upatrujących oznak tegoż procesu w nic nieznaczących gestach. Prezydent był, jest i będzie – przez następne półtora roku najwyżej zresztą umocowaną – emanacją PiS. Tak jak skorpion w znanej afrykańskiej bajce nie jest w stanie zmienić swojej natury, bo gdyby był – to już dawno by to zrobił. Okazji nie brakowało.

Papierowe wojsko Błaszczaka

Ochodzący minister obrony nie mógł się powstrzymać i na kilka tygodni przed oddaniem władzy ogłosił kolejny gigantyczny projekt budowy szóstej dywizji wojsk lądowych. Jej trzon stacjonować ma na południe od Warszawy, z dowództwem w Nowym Mieście nad Pilicą, a więc na lewym brzegu Wisły. Ma się w niej znaleźć siedem bojowych brygad i pułków, jednostki wsparcia, dowodzenia i zabezpieczenia. Każda brygada liczyć ma cztery bataliony, wedle nowego, silniejszego ukompletowania. Plan „na bogato”, tyle że jak zwykle bez harmonogramu, szacunku kosztów, wyliczenia potrzebnego sprzętu czy skali niezbędnych inwestycji – ogromnych, bo to budowa od zera. Na podobnej zasadzie niecały rok temu minister „stworzył” piątą dywizję, na północny wschód od Warszawy, której też w rzeczywistości nie ma.

Na odchodne **Mariusz Błaszczak** położył więc ostatni fundament swojej wielkiej, trzystutysięcznej armii, którą Polakom obiecał, a której oni nie dali mu sformować.



Błaszczak dobrze wie, jak ciężko stworzyć nową dywizję, nawet gdy ma się składać z dwóch istniejących brygad i dołożenia dwóch nowych. Proces ten zaczął w 2018 r. z 18. Dywizją Zmechanizowaną (czwartą) i do końca kadencji nie dał rady dokończyć. Ale w wyborczym roku nagle przyspieszył i rzucił hasło „utworzenia”

dwóch kolejnych, tym razem z niczego. Priorytet polityczny wzięł górę nad preferowanym przez wojskowych „pączkowaniem” istniejących batalionów i brygad.

Jako minister Błaszczak musiał wiedzieć, z jakimi problemami borykają się dowódcy istniejących trzech i pół dywizji, którym brakuje ludzi, sprzętu, zasobów szkoleniowych i zaplecza bytowego. Jako polityk wolał promować papierowe wojsko. Gdziekolwiek się pojawiał w ostatnich miesiącach, tam „zostawiał” batalion, pułk, brygadę, dywizję. Również przez takie potraktowanie rozwoju armii z mundurem rzstali się doświadczeni generałowie: szef sztabu Rajmund Andrzejczak i dowódca operacyjny Tomasz Piotrowski. Ci oficerowie już się nie muszą przejmować, ale na ludzi Donalda Tuska w MON czyha pułapka. Choć stworzenie prawdziwych dywizji z tych wizji jest prawie nierealne, ich zanegowanie narazi następców PiS na zarzut „likwidowania wojska”, już powtarzany przez upolitycznione media. Plany piątej i szóstej dywizji trzeba będzie jednak urealnić, by dało się w ogóle myśleć o ich wykonaniu. Polska potrzebuje wojska silnego, a nie papierowego. (MŚ)

Europa bez limitu zbrojeń

W przeddzień 105. rocznicy zakończenia Wielkiej Wojny Rosja wypowiedziała, a w ślad za nią członkowie NATO zawiesili traktat o wojskach konwencjonalnych w Europie (CFE). Przeszło działać ostatnie duże porozumienie rozbrojenowe pozimnowojennej ery. Traktat CFE pomógł w demontażu żelaznej kurtyny – po jego wprowadzeniu tysiące sztuk cennej broni w znacznej części poszło na złom, bo Europa miała żyć w wolności, dobrobycie i pokoju. Jego koniec, po tym jak kolejno upadały inne traktaty, zwiększa niepewność tej wizji, choć od unieważnienia zapisów ważniejsze były faktyczne decyzje Rosji o odbudowie potęgi wojskowej jako narzędzia polityki. Dekonstrukcja tego ładu ciągnie się praktycznie od momentu poszerzenia NATO na wschód, a przyspieszyła z chwilą podjęcia rozmów o budowie tarczy antyrakietowej USA w Polsce i Czechach. Moskwa zawiesiła traktat CFE w pamiętnym 2007 r., po tym jak Putin w Monachium ogłosił zwrot przeciwko Zachodowi. Upłynęły cztery lata, zanim NATO odpowiedziało tym samym wobec Rosji. Zachód niechętnie demontuje traktaty i długo przysmykał oko na ich łamanie. Ale teraz nie miał czego ratować.

To, że Sojusz już nie chce samoograniczenia, to istotny sygnał zmiany podejścia do Rosji, nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu. To, czy zawieszenie CFE przełoży się na skokowe dozbrojenie Europy, jest kwestią bardziej skomplikowaną. „Chcicie wyścigu zbrojeń, to będziecie go mieli” – zdaje się mówić Kwatera Główna. Ale wszelkie decyzje należą do rządów państw członkowskich. Limity uzbrojenia uzgodnione między NATO a Układem Warszawskim na początku lat 90. dotyczyły olbrzymich armii, których dziś nie ma. Trudno sobie wyobrazić, by nawet intensywne zbrojenia doprowadziły do posiadania przez NATO 20 tys. czołgów. Ale zdjęcie limitów może mieć znaczenie w przypadku konkretnych krajów i konkretnego sprzętu. Polska może nigdy nie miała przekroczyć limitu 1577 czołgów, ale jeśli chodzi o 1370 systemów artyleryjskich, mogła się znaleźć blisko, gdyby wielkie plany MON brać za aktualne. W codziennej praktyce dezaktywacja CFE niewiele zmienia, ale pozbawia Zachód kolejnego formatu przynajmniej teoretycznej współpracy z blokiem Rosji i Białorusi. Nie działa to już w przypadku rakiet średniego zasięgu, instalacji antyrakietowych i kontroli baz wojskowych z powietrza. Ostateczny koniec może być wybuchowy, bo Rosja grozi odejściem od zakazu testów jądrowych.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Trump nieprzemakalny

Donald Trump znowu przypomniał o sobie. Na procesie cywilnym w Nowym Jorku, gdzie oskarża się go o oszustwa w korporacji, którą kierował, a następnie objął najwyższy urząd w USA, wygłaszał tyrady przeciw prowadzącym sprawę prokurator i sędziemu, zarzucając im polityczne uprzedzenia. Przekształcenie sądu w polityczny cyrk nie pomoże byłemu prezydentowi, proces prawdopodobnie przegra, a czekają go później cztery rozprawy karne, w tym dwie z oskarżenia o próbę niedopuszczenia do pokojowego przekazania władzy Joe Bidenowi po przegranych w 2020 r. wyborach.

Tymczasem Trump nie przestaje przemawiać na wiecach, komplementując światowych autokratów, jak Xi Jinping, Kim Dzong Un i Viktor Orbán. Tego ostatniego nazwał niedawno „przywódcą Turcji”, a jako aktualnego prezydenta USA wymienił... Baracka Obamę. Kiedy podobne gafy robi Biden, amerykańska prawica portretuje go jako stetryczalego dziadka z demencją. Trumpowi wszystkie potknięcia uchodzą na sucho – i nie widać, aby kłopoty z prawem wpływały na jego pozycję polityczną.

Gdyby wybory odbyły się dziś, Trump wygrałby z Bidenem w pięciu dużych stanach „swingujących”: Georgii, Nevadzie, Arizonie, Pensylwanii i Michigan, gdzie trzy lata temu obecny prezydent go pokonał. A w całym kraju, według sondażu CBS News, Trump prowadzi z Bidenem z przewagą 52 do 48 proc. Te wyniki wywołały panikę w Partii Demokratycznej i głosy, że prezydent powinien zrezygnować z walki o reelekcję i oddać pałeczkę młodszemu kandydatowi. Trump niemal na pewno wygra batalię o nominację prezydencką w Partii Republikańskiej. Marsz do prezydentury mogłoby zahamować jedynie skazanie prawomocnym wyrokiem w którymś z procesów, o co lepiej się nie zakładają.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Uchodźcy na wynos

Imigranci zmierzający do Włoch, wyłowieni z morza przez straż graniczną, będą trafiali do Albanii, gdzie w zamkniętych ośrodkach przejdą procedury azylowe. I jeśli nie uzyskają azylu, mają być odesłani do krajów, z których przybyli. Taką umowę o swoistym outsourcingu i przekierowaniu 36 tys. imigrantów rocznie bezpośrednio do albańskich portów Shengjin i Gjader podpisali premierzy **Georgia Meloni** i **Edi Rama**. Albania ma tu pewne doświadczenie: w 2021 r., po zajęciu Kabulu przez talibów, do Shengjin na prośbę Amerykanów trafiło 3 tys.

afgańskich uchodźców, i tu przeprowadzono wstępne procedury. Dla Meloni to sprawa priorytetowa: doszła do władzy obietnicą, że ograniczy falę uchodźców, ale to się nie udaje. W tym roku Włochy zarejestrowały już 145 tys. imigrantów, rok temu o tej porze było 88 tys. Umowa rodziła się w sekrecie, nieznane są istotne szczegóły i rozwiązania prawne, to o nie od razu poprosiła Komisja Europejska. Albania tym chętniej przystała na taką przysługę, że Włochy są jej najważniejszym ambasadorem w drodze do Unii.

Pionierem imigranckiego outsourcingu była Australia, wysyłająca kandydatów na azylantów do obozów na Nauru i w Papii-Nowej Gwinei. W Europie szlaki przecierała Dania, mając na myśli Rwandę, ale prace zablokowała Bruksela, Wielka Brytania miała stosowną umowę z Rwandą, przewidującą, że przegarnie tych, którym odmówiono azylu, ale czeka na decyzję Sądu Najwyższego. Rwanda opiekowała się już starającymi się o przesiedlenie do Izraela, prowadzi też centra tranzytu dla Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Brytyjskie rozwiązanie śledzi Austria, a ostatnio „wstępnie zainteresowanie” takim modelem zapowiedział kanclerz Olaf Scholz – codziennie nielegalnie trafia do Niemiec tysiąc osób. Scholz ogłosił cięcie zasiłków i przyspieszenie procedur. Opcja „na wynos” mogłaby w tym pomóc.





Gaza: tydzień szósty

Gazę trzeba zdemilitaryzować i „zderadykalizować” – to przepis premiera Izraela Beniamina Netanjahu na przyszłość regionu, dotąd rządzonego przez Hamas. Wojna z nim, która zaczęła się 7 października od masakry ponad 1,2 tys. izraelskich obywateli i uprowadzenia 240 osób, weszła w szósty tydzień. 1,5 mln mieszkańców maleńkiej, bardzo gęsto zaludnionej Gazy uciekło z domów. Gazańskie władze twierdzą, że liczba ofiar cywilnych przekroczyła 11 tys. Netanjahu w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji NBC przedstawił swoją wersję wydarzeń, zainicjowanych „największym okrucieństwem, jakie spotkało naród izraelski od czasów Holocaustu”. Bzdurami nazywa uwagi wysokiego komisarza ONZ ds. praw człowieka o izraelskich zbrodniach. Krytycy Izraela niech wezmą pod uwagę, że to wojna – toczona także dla ich dobra – cywilizacji z barbarzyństwem. Ofiar jest znacznie mniej niż w wersji Hamasu, można by ich w dużym stopniu uniknąć, gdyby słuchano przestróg atakujących. Wprowadzono kilkugodzinne paury w walkach, uruchomiono korytarze humanitarne, ale to Hamas je ostrzeliwuje, nie pozwalając przeprowadzać ewakuacji. Finałem operacji musi być zniszczenie Hamasu i izraelska kontrola nad Gaza, bo administracja palestyńska nie potrafi nad nią zapanować – mówił Netanjahu. Premier sugeruje, że jego rząd jest bliski porozumienia o uwolnieniu zakładników, co nie byłoby możliwe bez szybkich postępów ofensywy lądowej.

Izraelskie wojsko podało, że domyka okrążenie miasta Gaza, i oskarża Hamas o chronienie się pod osłoną budynków cywilnych. Centrum dowodzenia ma znajdować się pod szpitalem Al-Szifa. Światowa Organizacja Zdrowia uznała, że Al-Szifa nie jest w stanie funkcjonować, choć przebywa tam 2,3 tys. osób, w tym ponad 30 noworodków wymagających intensywnej terapii. Pracownicy szpitala mieli wykopać już cztery masowe groby dla niezidentyfikowanych pacjentów. Prezydent Izraela Izaak Herzog utrzymuje, że szpital działa zwykłym trybem, a Netanjahu, że zaproponowano przekazanie kilkuset litrów paliwa, jednak Hamas nie pozwolił go odebrać. Okolice szpitala jest celem nalotów i ostrzału, prowadzone są tam także walki z udziałem czołgów i piechoty, a to uniemożliwia bezpieczne opuszczenie placówki.

Czytaj także na s. 55 i 58

Amnestia za rząd

Ponad 80 tys. Hiszpanów przeszło w niedzielę ulicami Madrytu w proteście przeciwko amnestii dla radykalnych zwolenników niepodległej Katalonii. Amnestia to cena, którą socjalistyczny premier Pedro Sanchez chce zapłacić za utrzymanie władzy. Bo choć prawicowa Partia Ludowa wygrała lipcowe wybory, to nie była w stanie stworzyć większościowej koalicji. Teraz większość próbuje zmontować premier Sanchez, ale do tego niezbędne jest mu poparcie m.in. ludzi, którzy w 2017 r., wbrew Madrytowi, zorganizowali w Katalonii referendum niepodległościowe, a potem – nieskutecznie – ogłosili oderwanie tego północno-wschodniego regionu od Hiszpanii.

Najważniejszym z nich jest Carles Puigdemont, lider radykalnie niepodległościowej partii Junts, Razem dla Katalonii, która ma w nowym parlamencie zaledwie siedem mandatów. Jako główny organizator referendum z 2017 r. musiał uciekać z Hiszpanii do Brukseli w obawie przed aresztowaniem. Teraz Sanchez zaproponował amnestię jemu i ponad 1,4 tys. katalońskim działaczom ściganym przez hiszpańskie sądy – w zamian za poparcie jego rządu. Lider prawicy Alberto Núñez Feijóo nazwał tę propozycję zdradą stanu i ostrzegł, że to pierwszy krok w stronę dezintegracji kraju. Sanchez i Katalończycy rzeczywiście nie wykluczają ponownego referendum, które miałyby dziś szanse powodzenia – według sondaży niewielka większość z 8 mln Katalończyków jest za niepodległością.



Protest w Madrycie.

Najpierw ewentualną amnestię musi w formie ustawy poprzeć parlament – prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu. Na przyszły tydzień zaplanowane jest głosowanie w sprawie nowego rządu. Partia Socjalistyczna Sanchez'a ma w 350-osobowych Kortezach 120 głosów i może liczyć na kolejne 31 od swojego koalicjanta, lewicowego ugrupowania Sumar. Resztę Sanchez musi zebrać wśród ugrupowań regionalnych. W pierwszym głosowaniu potrzebna będzie większość bezwzględna, w kolejnym – już tylko zwykła. Ale nawet przy tej drugiej opcji i poparciu wszystkich Katalończyków Sanchezowi brakuje jeszcze kilku głosów posłów bałkańskich. Jeśli nowy rząd nie powstanie do 27 listopada, konieczne będą nowe wybory.

Powrót do przyszłości

To już ostatnia prosta przed zmianą władzy w Polsce. Znamy już nazwiska przyszłych marszałków, wicepremierów i części ministrów w gabinecie Tuska. A także „drogowskazy” programowe, zapisane w umowie koalicyjnej **KO, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy**.
Jaki będzie ten nowy rząd?

MALWINA DZIEDZIC

Gabinet Donalda Tuska jeszcze nie został zaprzysiężony, a już musi mierzyć się z pierwszym poważnym kryzysem wizerunkowym. Kwestia aborcji wpisana do umowy koalicyjnej w bardzo zachowawczej formie – bo tylko taka była do przełknięcia dla konserwatywnej części prodemokratycznej koalicji, czyli Trzeciej Drogi – wywołała falę krytyki. Ruszyły środowiska lewicowe i feministyczne, nie zostawiając suchej nitki na przyszłym rządzie. Wśród komentarzy pojawiały się nawet nawołania do... dymisji (dla formalności: wciąż rządzi Morawiecki i PiS), a kuriozalność sytuacji oddaje fakt, że instagramowy wpis jednej z organizacji walczących o legalną aborcję „zalaikowała” Kaja Godek. Najwyraźniej spodobał jej się atak feministek, które cytowały fragment umowy koalicyjnej dotyczący kobiet (w tym także zapisy związane m.in. z opieką okołoporodową i in vitro) i komentowały: „Co nam tym mówią? Macie rodzić! (...) Mamy co mamy: beton... Ch*j, dupa i kamieni kupa. Idziemy szukać młotów do betonu. Znajdziemy”. Według aktywistek *prochoice*: „Tusk wpisał do umowy koalicyjnej zakaz aborcji z 1993!”. Ich oburzenie szybko podchwycili internauci. I się zaczęło.

Dostało się przede wszystkim KO (bo „oszukała”, „podkrađa wyborców lewicy”), ale i PSL (bo konserwatywny i „kościółkowy”), a nawet Włodzimierzowi Czarzastemu (bo się nie postawił). Mimo że zarówno KO, jak i Lewica opowiadają się za legalną aborcją do 12. tygodnia ciąży, a hamulcowymi są tu Polska 2050 i ludowcy. Trzecia Droga chce powrotu do sytuacji sprzed wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej oraz referendum. Nigdy zresztą tego nie ukrywała, a mimo to zdobyła ponad 3 mln głosów i 65 sejmowych mandatów. Zapis w umowie koalicyjnej ograniczający się do zapowiedzi unieważnienia wyroku TK z 2020 r. i „wzmocnienia praw kobiet” rzeczywiście nie jest satysfakcjonujący nawet dla samych polityków KO i Lewicy, ale też pole manewru było ograniczone, bo nowa rządowa koalicja musi połączyć kilkanaście partii i partyjek od prawa do lewa w jeden mechanizm sprawnie funkcjonujący przez najbliższe cztery lata.



Przedstawiony w ostatni piątek 13-stronicowy dokument to zresztą nie program, ale „zbiór drogowskazów i rekomendacji” – co wyraźnie podkreślał Donald Tusk. Dlatego – jak słyszymy w KO – nie unieważnia to obietnic, które formacja Tuska składała w kampanii. – *W umowie znalazło się to, co jest budulcem, czyli częścią wspólną między nami i naszymi koalicjantami. Ale to nie zwalnia nas jako KO z tego, aby zrealizować w 100 proc. to, co obiecaliśmy* – zapewnia Marcin Kierwiński, sekretarz PO i jeden z negocjatorów umowy koalicyjnej. A Monika Wielichowska, nowa wicemarszałkini Sejmu, dodaje: – *My, kobiety KO, przez ostatnie lata wspólnie walczyliśmy o sprawy kobiet. Protestowałyśmy, kiedy nasze prawa władza PiS ograniczała i deptała. Jesteśmy zdeterminowane do dalszej pracy nad zwiększeniem bezpieczeństwa kobiet. Na początek ważna jest dekryminalizacja aborcji. To ważny krok szczególnie dla lekarzy, którzy przestaliby się bać ratowania kobiet. I podkreśla: – Powrót do tzw. kompromisu, który nie był żadnym kompromisem dla kobiet, to zdecydowanie za mało. Kobieta musi mieć wybór i dostęp do legalnej, bezpiecznej i dostępnej aborcji do 12. tygodnia. W Polsce ciężę powinien prowadzić lekarz, a nie prokurator i polityk. W tej kwestii moje zdanie i zdanie KO się nie zmieniło.*

To oficjalne zapewnienia, wyważone, bo politycy KO bardzo pilnują się w rozmowach z dziennikarzami – sami zresztą się śmieją, że najwięcej opowiadają mediom ci, którzy najmniej wiedzą. Tuskowi bardzo bowiem zależy na szczelności i kontroli nad przekazem, zwłaszcza w okresie koalicyjnych negocjacji, obsady stanowisk i ustalania działań na pierwsze tygodnie po objęciu władzy (czyli najpewniej po 15 grudnia). Wiadomo jednak, że sprawa aborcji wciąż jest dla niego kluczowa – także z osobistych względów, bo jego córka angażowała się w czarne protesty. Poza tym – jak opowiadają współpracownicy przewodniczącego – Donald Tusk też się zmienił: widzi, że społeczeństwo jest inne niż jeszcze kilka lat temu, dlatego odrzucił „konserwatywną kotwicę”, która przez lata trzymała Platformę w politycznym centrum.

Choć prawda jest taka, że w kwestii ułatwienia dostępu do aborcji w Polsce przez najbliższe półtora roku to będzie bardziej akrobatyka symboliczno-prawna niż realna zmiana. Bo takową zaprowadzić można jedynie ustawą, a ta nie przejdzie nie tyle z powodu oporu Hołowni czy Kosiniaka, ale przede wszystkim weta Andrzeja Dudy (do jego odrzucenia potrzeba 276 głosów; koalicja ma 248). Żeby bowiem wydać



© PIOTR MOLEK/EAST NEWS

nawet wytyczne dyrektorom szpitali, które mają kontrakty z NFZ, minister zdrowia musi mieć oparcie w ustawie. Dlatego jeśli kobiety znów się obrażą – podobnie jak po publikacji wyroku TK zaczną deklarować, że nie pójdą na wybory, i faktycznie zostaną w domu latem 2025 r., kiedy wybierać będziemy nową głowę państwa – same sobie strzelą w stopę.

To oczywiście nie oznacza, że nic przez te półtora roku w kwestii ochrony praw kobiet się nie zmieni. Na początek unieważniony ma zostać wyrok Trybunału Julii Przyłębskiej – najpewniej poprzez uchwałę Sejmu, opierając się na argumente, że został wydany przez skład, w którym zasiadały osoby niebędące sędziami. Ale to nie koniec. – *Złożymy projekt ustawy legalizującej i dekryminalizującej aborcję, a jednocześnie będziemy robić rozporządzenia, zmieniać atmosferę wokół tematu i pokazywać, że nie odstawiamy nogi* – przekonuje jedna z zaangażowanych w walkę o prawa kobiet polityczek KO. – *Musimy też sprawdzić, jak się zachowa Trzecia Droga: nie tyle policzyć te szable, co przede wszystkim je poznać, bo w tej grupie jest sporo nowych osób, które dopiero wchodzi do polityki, tak naprawdę nie wiemy, jakie mają poglądy. To wyjdzie w pierwszym głosowaniu. Także kobiety głoszące i protestujące muszą wiedzieć, na czym stoją, gdzie są sojusznicy, a gdzie wrogowie ich sprawy.*

Klubowy kolega naszej rozmówczyni dodaje: – *Być może ta ustawa znajdzie większość, ponieważ w TD są osoby popierające liberalizację prawa, musimy po prostu nad każdym popracować, tłumaczyć, przekonywać. Oczywiście większości pozwalającej odrzucić weto Dudy nie mamy, ale ważne, żeby taka ustawa przeszła przez Sejm i Senat, bo wówczas będziemy mogli powiedzieć, że wrócimy do niej za półtora roku, kiedy odejdzie Duda. Próbę trzeba jednak podjąć, to symboliczna sprawa.*

Podobnie zresztą podchodzi do tego Lewica – jeszcze podczas uroczystego popisania umowy Robert Biedroń zapowiedział, że jako jeden z pierwszych projektów złożą ten dotyczący przerywania ciąży. Wybrzmiało to także w niedzielę po radzie krajowej Nowej Lewicy, która jednogłośnie opowiedziała się za przyjęciem umowy koalicyjnej i wejściem do rządu. Ale także przyjęła drugą uchwałę, eksponującą sześć filarów programu lewicy (prawa kobiet, świeckie państwo, mieszkalnictwo, praca, usługi publiczne i polityka senioralna), w tym ten najistotniejszy, dotyczący prawa do aborcji. „Nie zamierzamy milczeć w sprawie tego, co jeszcze się w umowie koalicyjnej nie znalazło. To, że się nie znalazło, nie znaczy, że o tym zapominamy” – podkreślała Agnieszka Dziemia-

nowicz-Bąk, zapowiadając złożenie już w poniedziałek do łaski marszałkowskiej dwóch projektów ustaw: jednego gwarantującego prawo do bezpiecznej aborcji do 12. tygodnia ciąży, drugiego dekryminalizującego pomoc w przerywaniu ciąży. To efekt presji ze strony lewicowych wyborców – podzielonych także tym, że Razem tradycyjnie już pójdzie osobno: nie wejdzie do rządu, choć go poprze (w skrócie poszło o to, że ich oczekiwania były zbyt wygórowane, a potencjał – raptem 7 posłów – niewielki).

To jednak wciąż tylko symbolika, bo polityczne realia są, jakie są. Nic też nie wskazuje na to, aby Andrzej Duda zamierzał wyjść z roli pisowskiego pomagiera. Co więcej, wśród polityków dotychczasowej opozycji panuje przekonanie, że dopingowany przez Marcina Mastalerka prezydent będzie robił wszystko, aby „przejąć schedę po Kaczyńskim”. A co za tym idzie, na każdym kroku będzie utrudniał działanie nowemu rządowi.

A takich odcinków, na których trzeba będzie się boksować z pisowskimi namiestnikami, będzie przecież więcej.

Dlatego – jak słyszymy w PO – obsadzając najważniejsze ministerstwa, Tusk kieruje się jedną zasadą: skuteczności. – *To nie jest czas dla miłych chłopców, miłych dziewczynek, tylko dla politycznych kilerów* – tłumaczy dosadnie jeden z działaczy Platformy. Chodzi o sprawdzonych i nieustępliwych polityków, którzy nie będą bali się trudnych decyzji i ogromu pracy. Stąd w rządzie ma się pojawić m.in. Bartłomiej Sienkiewicz (albo jako szef resortu aktywów państwowych, albo jako minister kultury), Radosław Sikorski (MSZ – wówczas euromandat po nim obejmie Krzysztof Brejza), Borys Budka (Ministerstwo Sprawiedliwości – być może tylko do czasu eurowyborów) czy Marcin Kierwiński (MSWiA). Nie bez znaczenia jest też fakt, że pod ręką, w randze wicepremierów, Tusk będzie miał Władysława Kosiniaka-Kamysza, który był członkiem jego poprzedniego rządu, oraz Krzysztofa Gawkowskiego, chwalonego przez wszystkich za rozwagę i umiejętność współpracy. Pierwszy stanie na czele MON, drugi – Ministerstwa Cyfryzacji.

– *Nasi wyborcy oczekują, że rozliczymy PiS ze wszystkich afer, złodziejstwa i łamania prawa* – podkreślają członkowie władz PO. – *Powtarzali to w kampanii, mówią to teraz.* Co więcej, niektórzy politycy Platformy na spotkaniach w terenie słyszą już nawet narzekania, że nic się nie dzieje i wciąż nikogo nie rozliczono. Ale że tym razem Tusk nie zaniedba tej sprawy, widać po wspomnianej umowie koalicyjnej, gdzie cały drugi rozdział poświęcony jest „Rozliczeniu rządów Zjednoczonej Prawicy”. Mowa tam ►

UMOWA KOALICYJNA – najważniejsze założenia

Premier: Donald Tusk

Wicepremierzy: Władysław

Kosiniak-Kamysz, Krzysztof Gawkowski

Marszałek Sejmu: Szymon Hołownia

(do 13 listopada 2025 r., potem

Włodzimierz Czarzasty)

Marszałek Senatu: Małgorzata

Kidawa-Błońska (do połowy kadencji,

potem inny senator KO)

CZEŚĆ PROGRAMOWA

Bezpieczeństwo – wzmocnienie armii i pozycji Polski w UE oraz NATO

Prawo – wolne sądy, apolityczna prokuratura, KRS, SN

Podwyżki – dla nauczycieli, pracowników służby publicznej, w tym administracji, sądów i prokuratury

Ochrona zdrowia – zwiększenie nakładów, zniesienie limitów NFZ, zwiększenie roli POZ, dostęp do pomocy psychologicznej i psychiatrycznej

Edukacja – „odchudzenie” podstawy programowej, ograniczenie zadań domowych, opieka psychologiczna w każdej szkole

Prawa kobiet – unieważnienie wyroku

TK z 2020 r., finansowanie in vitro, bezpłatne badania prenatalne i znieczulenie przy porodzie, rozbudowa sieci żłobków

Równość – ściganie z urzędu mowy nienawiści z powodu orientacji seksualnej i płci

Klimat – przyspieszenie zielonej transformacji energetycznej, monitoring rzek, walka ze smogiem

Przedsiębiorczość – korzystne zasady naliczania składki zdrowotnej, chorobowe pracownika od pierwszego dnia płacone przez ZUS, kasowa metoda rozliczania PIT przez przedsiębiorców

Rolnictwo – port zbożowy, nowe powierzchnie magazynowe, obowiązek flagowania produktów, rozwój eksportu, poprawa dobrostanu zwierząt, maks. 30-dniowy termin płatności przez markety i przedsiębiorstwa skupowe dla wytwórców żywności

Kultura i media – odpolitycznienie, unormowanie statusu zawodowego artystów

Rozdział Kościoła od państwa

Likwidacja CBA

Zwiększenie dostępności mieszkań i transportu publicznego

Autonomia samorządów

Rozwój Trzeciego Sektora

Reforma prawa wyborczego – tak, aby głosy Polaków za granicą nie mogły przepaść

CZEŚĆ ROZLICZENIOWA

Pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej odpowiedzialnych za usiłowanie bezprawnej zmiany ustroju państwa, za naruszanie konstytucji i ustaw oraz łamanie praworządności, za upartyjnienie instytucji publicznych, za sprzeniewieranie środków publicznych i za ich bezprawne, niecelowe i niegospodarne wydatkowanie

Powołanie komisji śledczych

Rozliczenie przez prokuraturę i sądy urzędników i funkcjonariuszy publicznych, m.in. za nepotyzm, przekroczenie uprawnień, fałszerstwa, a także sianie nienawiści.

► m.in. o powołaniu komisji śledczych. Jak się dowiadujemy, będzie ich kilka, a koordynatorem ich prac ma zostać Roman Giertych. – *Komisje śledcze to ma być tylko publiczny aspekt prezentowania pracy zespołów prokuratorów badających afery PiS* – tłumaczy jeden z ważnych polityków Platformy.

I tu dochodzimy do drugiego problemu, z którym musi mierzyć się nowa koalicja. Tyle że ten jest bardziej widoczny od wewnątrz – nie ogniskuje może tak uwagi opinii publicznej jak aborcja, ale także dzieli nową sejmową większość. Chodzi o wciąż obowiązującą w Trzeciej Drodze „doktrynę odróżniania się” i wynikającą z niej politykę grubej kreski. Uwidocznili się to przed inauguracyjnym posiedzeniem Sejmu X kadencji, kiedy koalicjanci podzielili się w ocenach, czy Elżbieta Witek zasługuje na to, aby pełnić funkcję wicemarszałkini. – *Witkowa łamała prawo i wszelkie standardy. I co, teraz mamy jej to darować?!* – oburza się jeden z polityków KO. – *Donald też się wkurzył, że Polska 2050 zaczęła nagle powtarzać, że będą głosować za kandydaturą Witek. A przecież nasi wyborcy wyraźnie powiedzieli, że chcą zmiany, chcą, żeby parlament był godnie reprezentowany. Oczywiście to jest problem, bo nie chcemy pokazywać, że jest jakiś podział między nami, ale z drugiej strony trudno to przełknąć. Niech PiS ma wicemarszałka, ale nie kogoś, kto łamał prawo!*

Ostatecznie w poniedziałek liderom nowej koalicji udało się uzgodnić wspólnie stanowisko – 252 posłów odrzuciło kandydaturę Elżbiety Witek. Wicemarszałkami Sejmu zostali: Krzysztof Bosak (Konfederacja), Włodzimierz Czarzasty (NL), Dorota Niedziela (KO), Monika Wielichowska (KO) i Piotr Zgorzelski (PSL).

To także symboliczne – nie tylko dla wyborców, ale i ludzi, którzy przez ostatnie lata pod ochroną władzy łamali prawo, rozkradali państwo, szczuli na innych. A symbole są w polityce ważne, szczególnie gdy ma się zamiar nie tylko posprzątać po PiS, ale również kontynuować „wielką moralną rewolucję”,

którą zapoczątkowały wybory 15 października, i odzyskać za właszone przez prawicę znaczenia słów oraz wartości. O tym właśnie mówił Donald Tusk podczas ubiegłotygodniowego spotkania z mieszkańcami wrocławskiego Jagodna, którzy do późnych godzin nocnych czekali w kolejce, aby móc wziąć udział w głosowaniu. Lider KO używał wielkich pojęć, jak godność, solidarność, służba publiczna, naród... Bo nie może być już dłużej tak, że tylko PiS ma na nie monopol. To odzyskiwanie narracji i znaczeń ma pomóc trwale odsunąć populistów od władzy.

Ale jest i sfera bardziej przyziemna, jak zweryfikowanie stanu finansów państwa (to będzie rola Andrzeja Domańskiego, który ma stanąć na czele MF), uruchomienie środków z KPO czy odnowa mediów publicznych. To wszystko istotne także dlatego, że za kilka miesięcy rusza kampania samorządowa, a niedługo potem – europarlamentarna. Bliscy współpracownicy Tuska są jednak przekonani, że na pieniądze z KPO nie będziemy długo czekać. – *W Brukseli wszyscy są wniebowzięci zmianą w Polsce. Donald w tej chwili chodzi po wodzie, przez najbliższy rok prawie wszystko będzie w stanie załatwić* – relacjonuje jeden z europosłów EPP.

– *Rząd Tuska będzie miał dwa-trzy okrążenia, znaczy: będą zmiany w jego składzie, może nawet już za pół roku, bo ludzie zwyczajnie się wyczerpią, taki jest bajzel w państwie* – przewiduje jeden z członków zarządu PO. Ale też sam powróć do normalności nie wystarczy. Słynna „ciepła woda w kranie” nikogo nie zadowoli – czasy się zmieniły, polityka też. Tusk ma zresztą tego świadomość. Po prezentacji umowy koalicyjnej, zagadnięty przez reportera TVN o to, czy czuje się, jakby się cofnął w czasie, bo wraca na fotel premiera, odpowiedział: „Najbardziej z filmów, wdo których pan nawiązuje, lubię »Powrót do przyszłości«. Więc na pewno nie jest to powrót do przeszłości”.

MALWINA DZIEDZIC

Dzień pierwszy

ANNA DĄBROWSKA

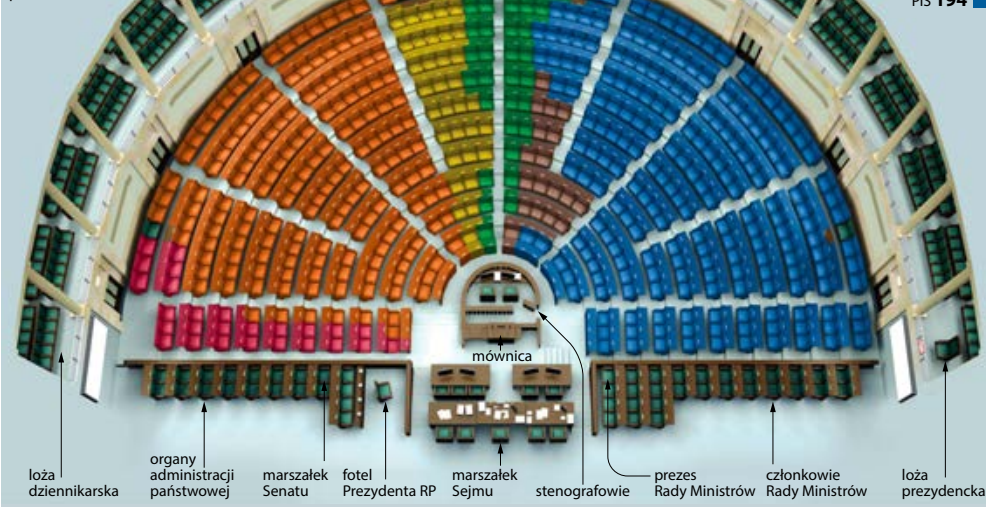
W dniu inauguracji Sejmu X kadencji widać było, że do polityków PiS dociera, że przegrali wybory. – Już chyba tylko Mateusz ma ochotę zgrywać głupa i ogłosił dziś w Sejmie swoje plany na kolejne lata rządów, które właśnie straciliśmy – mówi poseł PiS od wielu kadencji. W poniedziałek do południa, jeszcze przed rozpoczęciem obrad, w ponurych nastrojach opuszczali salę kolumnową, gdzie odbywało się posiedzenie klubu. – Nie będą mieli z nami łatwo, wykorzystamy wszystkie możliwe narzędzia, będziemy głośną i skuteczną opozycją – wrócił się do dziennikarzy jeden z posłów PiS. To dlatego PiS zgłosił Elżbietę Witek na marszałka Sejmu, choć wiadomo było, jak skończy się dla niej to głosowanie.

„Ta sala to nie oktagon z gali MMA. To dom spotkań i rozmowy. Polacy ogromną wyborczą frekwencją powiedzieli nam bardzo wyraźnie: dość już tego, co było. Ma się zmienić nie tylko partia, ale i polityka” – powiedział nowo wybrany marszałek Szymon Hołownia. Zagłosowało na niego 265 posłów (w tym Konfederacja, podobno za fotel wicemarszałka dla Krzysztofa Bosaka), a Elżbieta Witek zdobyła 193 głosy. Nie została również wybrana na wicemarszałka, jako jedyna ze zgłoszonych osób. To pierwsze porażki PiS w nowym Sejmie, które dobitnie pokazują, że misja utworzenia nowego rządu przez Morawieckiego to gra pozorów.

Symboliczne jest to, że w dniu inauguracji X kadencji Sejmu obywatele zaczęli rozmontowywać barierki stojące przed parlamentem. Skandowali „Sejm jest nasz!”, a straż marszałkowska i policja nie reagowały. Dopiero gdy działaczkę KOD weszły na teren parlamentu z rozwiniętym transparentem „Szczęśliwej Polski”, zostały poproszone o opuszczenie budynku. Przypomnijmy, że barierki stanęły przy Wiejskiej w grudniu 2016 r. To wtedy PiS po wykluczeniu z obrad posła KO przeniósł „posiedzenie Sejmu” do Sali Kolumnowej, a obywatele tłumnie protestowali przeciwko temu bezprawiu.

Rozkład miejsc w Sejmie X kadencji
Pierwsze posiedzenie Sejmu, 13 listopada 2023 r.

galeria dla publiczności



Liczba mandatów

Lewica 26
KO 157
Polska 2050 33
PSL 32
Konfederacja 18
PiS 194

Nowym marszałkiem Szymon Hołownia zapewniał, że otworzy Sejm dla dziennikarzy, a reszta barier zniknie w ciągu doby. Rafał Bochenek, rzecznik PiS, uznał, że rozpoczynająca się właśnie nowa kadencja to rzeczywiście dobry czas na ich demontaż: – Były symbolem agresji i przesładowań, które uprawiała totalna opozycja. Liczę na opamiętanie i mam nadzieję, że barierki nie będą już potrzebne.

Kluby parlamentarne wybrały już swoich szefów, choć po sformowaniu rządu może jeszcze dojść do przetasowań. Szefowie klubów wchodzi w skład Konwentu Seniorów (marszałek, wicemarszałkowie) i powinni mieć znaczący wpływ na planowanie prac Sejmu. W klubie PiS Ryszarda Terleckiego zastąpił Mariusz Błaszczak. – O stanowisko walczył Morawiecki, ale Jarosław go nie pobłogosławił, on nie byłby w stanie utrzymać dyscypliny w klubie, co nie będzie łatwe – mówi polityk PiS. Szefem klubu Polski 2050 został Mirosław Suchoń (były poseł KO), który ma doświadczenie parlamentarne, jest posłem trzecią kadencją. Ludowcy zdecydowali, że pracami klubu będzie kierował Krzysztof Paszyk (po raz trzeci został posłem). Ponownie szefem klubu Lewicy został Krzysztof Gawkowski, który ma wejść do rządu jako wicepremier, więc klub czekał wybory nowego szefa. Tak samo w Koalicji Obywatelskiej, która wybrała Borysa Budkę, ale po jego prawdopodobnej nominacji do rządu i tu szykuje się zmiana.

Niektóre z mniej chlubnych zwyczajów sejmowych przeniosły się do nowego Sejmu. Tak jak opozycja nie wstała na powitanie w sali obrad prezydenta

Andrzeja Dudy, tak i PiS nie wstał, aby uszanować wybór nowego marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Już tradycyjnie Dudzie nie towarzyszyła w Sejmie małżonka Agata Duda. A jego wystąpienie kilkakrotnie było przerywane głośnymi westchnieniami zażenowania po stronie koalicji. Trudno jednak o inne reakcje, kiedy prezydent z groźną miną grzmiał, że „porządek konstytucyjny musi zostać zachowany. Nie zgodzę się na żadne obchodzenie czy naginanie prawa”. „My też nie!” – wtórowali mu posłowie koalicji. I jednocześnie w kulisach rozmowach docenili gest Dudy, kiedy podał rękę wszystkim posłom siedzącym w pierwszych rzędach, w tym Tuszkowi i Kaczyńskiemu, który odwzajemnił uścisk nieco zde gustowany.

Zanikł obyczaj, kiedy czeka się z rozpoczęciem obrad na prezesa PiS. Kaczyński przekonał się o tym już pierwszego dnia. Choć posiedzenie rozpoczęło się z sześciominutowym opóźnieniem, to jego miejsce w pierwszym rzędzie wciąż było puste. – Skończyły się czasy, kiedy cały Sejm musiał dostosować się do trybu życia prezesa Kaczyńskiego – mówi Tomasz Siemoniak (KO). Kaczyński wszedł na salę w chwili, gdy marszałek senior stuknął laską marszałkowską, a hymn Polski odśpiewał między ławami poselskimi. Stał na baczność między byłym marszałkiem Markiem Kuchcińskim, który zrobił z Sejmu atrapę władzy ustawodawczej, a Joanną Lichocką, która w minionej kadencji w pamiętnym głosowaniu pokazała ówczesnej opozycji środkowy palec... ■



Przebaczacze

Jak traktować wyborców, którzy – i to nie jeden raz – poparli partię jawnie naruszając zasady konstytucji, praworządności i liberalnej demokracji?

Trwa gorący spór o elektorat PiS; o to, czy można go krytykować i czy jest możliwe jakieś sensowne pojednanie.

MARIUSZ JANICKI

Po wyborach rozgorzała dyskusja, co zrobić, aby zwolennicy PiS nie poczuli się zbyt przegrani i sfrustrowani. Marek Migalski napisał, że nie wolno im zadawać symbolicznego bólu, bo to robiła właśnie władza Kaczyńskiego wobec sympatyków opozycji, np. za pomocą ministra Czarnka czy sędzi Pawłowicz. Nie powinno się odpowiadać tym samym, bo ta walka nigdy się nie skończy, a wyborcy PiS nie znikną i w końcu się

zemszczą. Prof. Marcin Matczak poruszył podobny wątek: nie należy teraz wpadać w pychę, uderzać w nuty rewanżyzmu, drażnić zwolenników prawicy, którzy muszą na spokojnie uporać się z porażką. Trzeba wczuć się w nastroje tamtej strony, ułagodzić ją, np. wreszcie uczcić Lecha Kaczyńskiego ulicą w Warszawie. Na platformie X Matczak napisał o swojej rozmowie w „Kulturze Liberalnej” na temat rozliczeń PiS i streścił jeden ze swoich postulatów: „Donald Tusk

i inni liderzy stają się małymi, takimi choć pięcioprocentowymi Nelsonkami Mandelami i dbają, żeby obniżyć poziom agresji i ataków na wartości ważne dla elektoratu PiS”.

Były dyplomata Jarosław Bratkiewicz na łamach „Gazety Wyborczej” opublikował krytyczny tekst o wyborcach partii Kaczyńskiego, w którym mimo dość trafnego zarysowania historycznych kontekstów polskiego konfliktu przeholował z epitetami („małpoludzia czereda”)

– nawet jeśli z podparciem się literackimi cytatami – czym w dużej mierze osłabił odbiór swoich wywodów; pisano, że to artykuł „rasistowski”, „dehumanizujący”. Rafał Matyja z kolei w wywiadzie dla „KP” wskazał na wymiar pragmatyczny: „Rządy PiS nauczyły nas czegoś, co bym nazwał maksymalizmem moralnym. On był często przydatny jako motyw oporu, natomiast tak się nie da konstruować demokratycznej polityki, bo się wszyscy nawzajem pozabijają”. Ewa Woydyło-Osiałyńska powiedziała w TVN24, że „sieroty po PiS-ie będą żyły wśród nas i nie możemy być macochą, w tym sensie trzeba pozwolić im dać głos”.

Z maksymalizmu za to nie zrezygnował Tomasz Lis, pisząc: „Nie wybaczymy i nie prosimy o wybaczenie”, i dalej: „Nasi przebaczacze chcą zakończyć polsko-polską wojnę, zarządzając wywieszenie białej flagi przez obrońców demokracji i domagając się swoistego aktu kapitulacji od ludzi przez osiem lat opluwanych przez patologiczną władzę, jej socjopatycznego lidera i nihilistycznych funkcjonariuszy. Nie wróżę temu projektowi powodzenia”. Leszek Balcerowicz napisał zaś na platformie X: „trzeba odróżniać wyborców PiS od PiS” – i to chyba jest kwintesencja sporu.

Odpowiedzialność wyborców za działania wybranej przez nich partii to w Polsce niemal temat tabu.

Ocenie – moralnej i każdej innej – podlega niezliczona liczba aktywności człowieka, ale sympatii politycznych ma to nie dotyczyć, te – jak słyhać – nie mogą być przedmiotem krytyki. Przypomina to trochę ochronę uczuć religijnych, podpartą wręcz sankcją karną. Uczucia polityczne jeszcze nie doszły do takiego statusu, ale też już prawie nie można ich tknąć. A decyzje wyborcze dotyczą spraw całej wspólnoty, wpływają na indywidualne losy ludzi, ich ekonomiczny poziom egzystencji, a nawet na kwestię zdrowia i życia, jak w przypadku przepisów aborcyjnych. To zdecydowanie nie jest umowna gra, gdzie wrzuca się żeton do skrzynki – bez żadnych konsekwencji. Same ugrupowania polityczne przedstawiają głosowanie jako obywatelski obowiązek, a zarazem podniosły patriotyczny akt. Trudno zatem abstrahować od zawartości owego aktu, czyli od tego, jaką opcję się wybiera i co to oznacza dla państwa, zbiorowości, rodziny i sąsiadów. Głosowanie to także odpowiedzialność – polityczna, moralna i publiczna. Choć brzmi to niepoprawnie – takim, a nie innym głosowaniem można kogoś wyrządzić realną krzywdę.

To prawda, że partie w kampaniach nie mówią do końca, co zamierzają później zrobić, ale akurat nie dotyczy to PiS. Jarosław Kaczyński zarówno w 2005 r., jak w 2015 r. nie ukrywał, jakiego chce państwa, prawa, ustroju, sądownictwa, mediów, samorządów, służb specjalnych, NGO-sów, prokuratury, co sądzi o Unii Europejskiej itd. Potem, kiedy wiadomo już było, co się stało z Trybunałem Konstytucyjnym, Sądem Najwyższym, TVP i wieloma innymi instytucjami, wyborcy ponownie, i to jeszcze wyraźniej, poparli PiS w 2019 r. Wtedy już nie mogli nie wiedzieć, za czym się opowiadają, to była świadoma decyzja. Ich obrońcy, także z demokratycznej strony, uważają, że mieli oni prawo wybrać PiS, bo dbali o swój byt, a partia Kaczyńskiego zapewniała świadczenia, które „przywróciły godność”.

Można długo dyskutować nad tym „przywracaniem godności” za pomocą konkretnej kwoty, bo godność to jednak szersze (i wyższe) pojęcie. W każdym razie hierarchia wartości, jaką kierowali się zwolennicy PiS, także podlega ocenie. Zwłaszcza że najtwardszy elektorat formacji Kaczyńskiego i tak nie był budowany na tym „godnościowym” socjalu. Wiele sondaży przeprowadzanych przez ostatnie lata (także przez POLITYKĘ) pokazywało stałą liczbę ok. 20 proc. tych, którzy opowiadali się za najbardziej radykalnymi decyzjami i propozycjami PiS: za ostateczną rozprawą z sędziami, w istocie za penalizacją opozycji, za likwidacją TVN i innych niezależnych mediów, za lex Tusk w najcięższej wersji, za pacyfikacją niepokornej kultury, edukacji czy za całkowitym zakazem aborcji itp.

Tych rdzeniowych wyborców można, a nawet należy de facto traktować jako nieformalnych członków PiS,

zmotywowaną armię rezerwową tej partii, jeśli nie udziałowców, to popleczników. Ci zwolennicy PiS często są bardziej ideologicznie pryncypialni od samego Kaczyńskiego, który czasami musi uwzględniać jakieś zewnętrzne realia, a oni nie. Zresztą prezes PiS bywał często surowo upominany przez swoich sympatyków za „piątkę dla zwierząt”, za szczepionki na covid, za zbyt prokraiński kurs, za uległość wobec opozycji, Brukseli, Izraela, nawet wobec Waszyngtonu, za chwilowe zadrażnienia z Węgrami Orbána i inne przewiny. Pytanie, czy takich zdeklarowanych zwolenników autokratycznego porządku, żądających od swojej formacji konsekwentnej brutalności, należy traktować jako z natury „niewinnych”, którzy „mają

prawo wybrać, kogo chcą” i wara wszystkim od tego demokratycznego wyboru?

Za tęzą o „niewinności” elektoratu PiS kryje się duża doza protekcjonalizmu ze strony części środowisk niepisowskich, zwłaszcza lewicowych.

Ujawnia się tu nieodwzajemniony afekt do „ludu”, mającego być nośnikiem wartości niedostępnych dla „elit”. Ten lud w gruncie rzeczy jawi się jako nieomylny, to reszta musi się do niego dostosować. Nawet jeśli dokonuje najbardziej ryzykownych wyborów politycznych, to widocznie ma do tego powody, bo się rozczarował, zawiódł, został oszukany i porzucony. Wyborcy PiS w takiej optyce to w gruncie rzeczy zawsze ofiary i jako takim należy się im tylko zrozumienie i współczucie. Na takich narzucanych przekazach PiS jechał przez osiem lat, a właściwie od 2010 r., czyli od założycielskiej superkrzywdy w postaci katastrofy smoleńskiej.

Elektorat PiS został uznany przez znaczną część lewicowo-liberalnych komentatorów za bardziej patriotyczny, uduchowiony, a wyborcy opozycji, zwłaszcza Platformy Obywatelskiej, jawili się jako trywialni, pozbawieni empatii i moralnego kompasu materialści. Ogólnie w setkach publikacji można było odczytać, że wyborcy wiejscy i z małych miast są lepsi od tych wielkomiejskich, starsi są wartościowisi od młodszych, biedniejsi od zamożniejszych, gorzej wykształceni od tych z wykształceniem wyższym. To PiS ma wyborców skromniejszych, tradycyjnych, religijnych, ideowych, kochających Polskę. Z drugiej strony jest kosmopolityczna, niewierząca, indyferentna w kwestii wartości masa „Europejczyków”, której wszystkim jedno, czy są Polakami czy Holendrami.

To niesamowite, jak ten przekaz mocno się przyjął. Po ostatnich wyborach natychmiast wróciły podobne wątki. Prawica używała sobie na „przypadkowych ludziach”, którzy wzięli udział w „happeningu”, nie wiedząc kompletnie, o co w wyborach chodzi; potraktowali je jak „imprezę”, jak stwierdził Ryszard Terlecki. Jeden z hejterów popierających dotychczasową władzę napisał, że ludzie z wrocławskiego Jagodna, gdzie głosowanie trwało niemal do rana, dali się kupić za pizzę i wódkę. Inni stwierdzali, że na Tuska głosowali ludzie „o pustych sercach”, „lubiący robić machloje”. Słyhać było, że „młodzi nie pojmują, na czym polega dobro kraju”, ulegli antypolskiej propagandzie, dali się zwieść opłaconym przez zewnętrzne siły macherom opozycji, zostali zmanipulowani i zagłosowali wbrew swoim interesom. ►

► Za to nie widać było specjalnie protestów, polemik, obrony tych młodych ludzi – którzy podjęli często pierwszą polityczną decyzję w życiu – przed takimi insynuacjami. Ale gdyby coś analogicznego napisać o wyborcach PiS, podniósłby się od razu krzyk oburzenia: że klasizm, „wyżsizm”, gardzenie ludem itd. Trening, jaki wdrożyła partia Kaczyńskiego, okazuje się trwalszy niż jej rządy.

Pojednanie nie jest wykluczone, ale nie powinno się odbywać na fałszywych warunkach. Wypada wreszcie przyjąć, że wyborcy głosują świadomie, nie są „przypadkowymi ludźmi”. Frekwencja 15 października pokazała determinację świadcząca o dostrzeganiu rangi polskiego konfliktu. Bagatelizowanie różnic, ich banalizacja tylko oddalają od istoty sprawy, unieważniają sens ośmioletniej batalii ustrojowej. Nie da się zasypać podziąka, jeśli neguje się jego istnienie.

Bo ważne jest, o co w tym konflikcie – nie tylko partii, ale także milionów wyborców – chodzi. Otóż część Polaków wyraźnie opowiada się za większościovym autorytaryzmem, gdzie wygrani mogą z państwem i jego instytucjami zrobić wszystko, co chcą, i mają na to ich przyzwolenie. Druga część uważa, że zwycięstwo w wyborach upoważnia do wprowadzania swojego programu, ale tylko z zachowaniem zasad konstytucji, trójpodziału władz, praw mniejszości, niezależności instytucji kontrolnych, i to wszystko w zgodzie z regulacjami Unii Europejskiej, do której Polska dobrowolnie przystąpiła.

I tu następuje kulminacyjne pytanie: czy te dwie opcje, które także w ostatnich wyborach leżały wyraźnie na stole, są równoważne, a ich zwolennikom należy się dokładnie taki sam respekt i zrozumienie? Jeśli przyjąć, że tak, to znaczy, że wchodzimy na pole relatywizmu, nawet nihilizmu, gdzie nie istnieje wyróżniona racja, a wybór spośród nich nie ma żadnej etycznej i społecznej wagi. Taki sam skutek miałyby „gruba kreska” wobec przewin władzy PiS.

Częste są opinie, że to zadaniem partii jest przekonać wyborców do swoich racji, a każdy wybór jest równie uprawniony. Czyli – jak można rozumieć – wygrywa po prostu lepsza kampania, bardziej sugestywna, sprytniejsza, z większym budżetem. Właśnie na tym polega zdejmowanie odpowiedzialności z wyborców; w takiej wizji oni siedzą, jedzą popcorn i mówią: „no przekonaj mnie, jakoś słabo ci idzie, bardziej się postaraj, może lepiej mnie zmanipulujesz”. Ostatnie wybory pokazały, że to tak nie działa, że wyborcy mają własne intelektualne zasoby,

niezależne od sztabowych przekazów. Masowy udział Polaków w wyborach zaskoczył chyba wszystkich, kompletnie nie sprawdziły się kalkulacje speców od piaru i sondaże, obliczone na zwyczajową frekwencję ok. 60 proc. Wyborcy wykręcili numer ekspertom. Dali sygnał, żeby ich traktować poważnie, a nie jako statystyczną, przewidywalną masę z Excela prof. Maliszewskiego z Rządowego Centrum Analiz, który wprost nazywał część wyborców PiS „portfelowymi”, co niewiele odbiegało od terminu, jaki wprowadzili Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, czyli „elektorat cyniczny”. Ci „portfelowcy” nie wygrali, maszynka się zacięła. Nawet sam Jarosław Kaczyński przyznał, że coś się w społeczeństwie zmieniło, że stare matryce już nie działają. To był zdrowy szok.

Broniący wyborców PiS komentatorzy twierdzą, że nie wolno ich krytykować, bo się obrażą i zostaną na zawsze przy Kaczyńskim. A PiS ma wciąż dużą siłę i może wrócić do władzy. Rozsądnie jest raczej ich przyciągać, aby przynajmniej przestali popierać partię Kaczyńskiego. Zapewne chodzi o przejęcie tych 15 proc. ponad żelazne 20 proc. z wyniku 35 proc. w ostatnich wyborach. Na pozór brzmi to rozsądnie. Jednak te 15 proc. też wydaje się dość trwałą zdobyczą PiS, ci wyborcy zostali przy tej formacji przez ostatnie kilka lat. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Przyłębskiej w sprawie aborcji trwale ubyło PiS ok. 8 proc. (nawet Karczewski i Morawiecki przyznali ostatnio, że zaostrenie prawa aborcyjnego było politycznym błędem), ale ok. 35 proc. trwałoby niezmiennie od grudnia 2020 r. aż do wyborów. Być może udałoby się odzyskać tę nadwyżkę na rzecz liberalnej demokracji, ale pytanie, jakimi metodami: zacierając istotę ustrojowego konfliktu, gwarantując status neosędziom, zostawiając w spokoju CBA, usuwając z TVP Holecką, a zostawiając Kłeczka, żeby się wyborcy za bardzo nie zdenerwowali? Taka inżynieria społeczna wydaje się wątpliwa, jakby już z innych czasów.

Istnieje sporo przesłanek, aby traktować ostatnie wybory, z ich emocją i wielką frekwencją, jako polityczny i mentalny przełom. Także dla wyborców PiS. To okazja do zakończenia infantylnego etapu polskiej polityki, gdzie nie wolno naruszać uczuć politycznych. Okazało się, że można wygrać z Kaczyńskim, ale także z jego wyborcami, bo do tego sprowadza się polityczna rywalizacja, sami politycy bez zwolenników nie znaczą nic.

Wyborcy także uczestniczą w politycznym konflikcie, ta widownia wchodzi na boisko. Tak jak politycy wyciągają wnioski ze swoich porażek, wyborcy także powinni.

Jeden z prawicowych publicystów napisał, że miasta wygrały z prowincją. W domyśle: elity pokonały lud, zemściły się za upokorzenia z kilku wcześniejszych wyborów. Ale to właśnie wydaje się fałszywą perspektywą, bo to nie jest już prosta walka klas i regionów. Mapy wyborcze z 15 października są niejednoznaczne. Te z wyróżnieniem gmin wciąż pokazują (z wyjątkiem dużych miast) dość dokładnie zarys zaborów: w dawnym rosyjskim i w Galicji przewagę ma PiS, ale nie jest to tak dominujące jak wcześniej.

A już rzut okęgów wyborczych czy województw pokazuje, że geografia wyborcza znacząco się zmienia. Antypisowska koalicja – łącznie – mocno spycha PiS na wschód i południe. Sprzyjający Kaczyńskiemu eksperci tworzą jeszcze wyborcze mapki typu Platforma kontra PiS, gdzie rządząca prawica wciąż wygląda dobrze, widać, jak wgrzyła się w Wielkopolskę, Kaszuby, Mazury, jakie ma enklawy w Dolnośląskiem. Ale także opozycja zyskuje przyczółki na „odwiecznych” terenach Kaczyńskiego, odbija mandaty, zmniejsza straty. Po prostu antyPiS stał się pluralistyczny i właśnie jako liberalno-demokratyczna całość wygrywa. To, co było przewagą PiS przez lata, czyli jedność partii i elektoratu, teraz może stać się słabością, bo brak tej formacji partnerów, nie ma rezerw; ktoś to trafnie nazwał „samotnym zwycięstwem”.

Trwałe przejęcie dotychczasowych zwolenników PiS przez demokratyczne partie nie nastąpi na skutek zamazywania podziałów, zmyłek, socjotechnicznych chwytów. Nowa władza musi przeprowadzić ambitniejszy projekt: pokazać w pełni zalety wolnościowego systemu, otwartego społeczeństwa, w którym ideologia jednej grupy nie podpira się prawną, instytucjonalną czy policyjną przemocą. Do takiego ustroju mogą zapisać się wszyscy, ten wątek poruszył Donald Tusk podczas podpisywania umowy koalicyjnej. Pojednanie elektoratów mogłoby polegać na wyrównaniu szans, zdjęciu ideologicznych „banów”, likwidacji nieuprawnionych przewag i zakazów. Bo historia demokracji w największym skrócie to nieustanny proces poszerzania pola wyboru, a nie jego ograniczania. Dotyczy to również wyborców PiS, którzy może w końcu uwierzą, że oni również uczestniczą w tej wolności i nikt im nie zabrania żyć, jak chcą. Z tym że oni też nie mogą zabraniać.

MARIUSZ JANICKI

Jak sprostać potrzebom chorych i pogodzić interesy systemu zdrowia?

CZYM JEST TROSKA O ZDROWIE PACJENTA W KONTEKŚCIE BEZPIECZEŃSTWA LEKOWEGO I JAK JE BUDOWAĆ – WYJAŚNIA ANETA GRZEGORZEWSKA, DYREKTOR DS. KORPORACYJNYCH I RELACJI ZEWNĘTRZNYCH GEDEON RICHTER POLSKA SP. Z O.O., CZŁONKINI ZARZĄDU IZBY GOSPODARCZEJ FARMACJA POLSKA.

Wszyscy jesteśmy bądź będziemy pacjentami potrzebującymi pomocy i wsparcia medycznego. Każdy z nas chce zostać dobrze zdiagnozowany, zaopiekowany i wyleczony. W czasie XIX Forum Rynku Zdrowia 16–17 października 2023 r., podczas panelu o opiece i zdrowiu pacjenta, padło słowo klucz: „pacjentocentryzm”. Tymczasem niewiele osób potrafi wytłumaczyć jego znaczenie. Czym jest „pacjentocentryzm”?

ANETA GRZEGORZEWSKA: – Z perspektywy firmy farmaceutycznej wspierającej usługi medyczne uważam, że jest to dogłębnie rozumiana troska o zdrowie pacjenta. Jest to dużo więcej niż produkcja wartościowych terapii – to wsparcie pacjenta w jego potrzebach związanych ze zdrowiem, to również holistyczna opieka, która nie ogranicza się jedynie do momentu zakupu leku w aptece. Nasz kierunek, jako firmy farmaceutycznej, to być bliżej pacjenta.

Trzeba więc rozmawiać, gdyż wspólne mikrodziałania mają wpływ na kształtowanie całego systemu ochrony zdrowia. Ważne, aby w nim brać pod uwagę perspektywę pacjenta. Wówczas mocodawcy będą podejmować inne decyzje, dobre dla potrzebujących.

Mikrodziałania są ważnym elementem współpracy; razem można więcej.

Na czym polega rola producenta leków w kontekście „pacjentocentryzmu”?

To nieco inny kierunek w opiece nad pacjentem.

Model opieki nad pacjentami mocno się reorganizuje. Dzisiaj firma farmaceutyczna myśli o pacjencie jako interesariuszu swojej pracy. Pacjent jest głównym beneficjentem. Gedeon Richter monitoruje rynek pod kątem potrzeb pacjenta, nie tylko w kontekście bezpieczeństwa i skuteczności leków. Dwie, trzy dekady temu pacjent był tylko odbiorcą naszego produktu. Dzisiaj wiemy, że nasza relacja z nim powinna się zacząć dużo wcześniej. Żeby terapia lekowa była skuteczna, pacjent musi być świadomy, jak przyjmować leki, co oznacza nieprzyjęcie terapii, czym skutkuje łączenie leków, np. z niewłaściwym odżywianiem, jakie konsekwencje może mieć zmiana godzin przyjmowania leków, czy i jakie są



interakcje różnych leków przyjmowanych w tym samym czasie.

Czy Gedeon Richter jako firma farmaceutyczna odpowiada na oczekiwania holistycznego prowadzenia chorego, również we współpracy z systemem?

Wiemy, że człowiek w chorobie nie jest w stanie sam zdecydować o kierunku czy wyborze leczenia. Pacjent nie posiada takiej wiedzy, jednak chciałby mieć wpływ i być poinformowany. Jako firma farmaceutyczna takiej wiedzy dostarczamy, choćby poprzez monitorowanie przebiegu tego, co dzieje się z pacjentem w momencie zaistnienia w systemie leczenia. Pacjent niestety jest częścią systemu i sam nie pokieruje swoim leczeniem, to zbyt skomplikowany proces.

Nie rozmawialibyśmy o idei „pacjentocentryzmu” bez perspektywy bezpieczeństwa lekowego. Podczas Forum obecny był Łukasz Szmulski, dyrektor Departamentu Polityki Lekowej i Farmacji z Ministerstwa Zdrowia. Pani jako pierwsza zadała trudne, ale bardzo ważne pytania schodzącemu ze sceny politykowi, dotyczące bezpieczeństwa lekowego kraju, współpracy pomiędzy MZ a firmami farmaceutycznymi, czy obciążeń finansowych firm farmaceutycznych z tytułu nakładanych kar, choćby za braki w magazynach lekowych czy incydentalne działania ze strony MZ.

Przyjęta narracja ze strony decydentów do tej pory była bardzo trudna, dociskająca przemysł farmaceutyczny.

MZ argumentowało to tym, że przeciw przemysł jest zamożny. Zdarza się słyszeć krytykujące opinie decydentów na temat wysokich zarobków w firmach farmaceutycznych, o których świadczą dane z raportów finansowych firm. Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że są to dwie różne sprawy.

Rynek farmaceutyczny jest regulowany przez ceny urzędowe, słyszymy, że koszty produkcji leków idą w górę, co najbardziej odczuwa pacjent. Czym jest bezpieczeństwo lekowe z perspektywy firmy produkującej leki i co to oznacza dla pacjenta?

Cechą wspólną wszystkich uczestników dyskusji i graczy na rynku jest to, że bezpieczeństwo lekowe to dostępność skutecznego leczenia. Pacjent, wchodząc do apteki, otrzymuje zaordynowany lek. A będąc w systemie leczniczym, powinien także otrzymać dostęp do różnych, bezpiecznych terapii leczniczych. Interesariuszem bezpieczeństwa lekowego jest nie tylko branża farmaceutyczna, która dostarcza terapii. Jest nim także płatnik, czyli MZ, czyli budżet państwa. Interesariuszy jest wielu, ale mianownik jest jeden – dostarczyć terapię pacjentowi. Podczas forum mówiliśmy o brakach, które występują dlatego, że produkowanie niektórych leków przestaje w naszym kraju być opłacalne.

Jaką ma pani rekomendację dla nowego MZ, związaną ze wzmocnieniem bezpieczeństwa lekowego w Polsce, mając na uwadze dobrostan pacjentów?

Apelowałabym o zrównoważenie interesów wszystkich grup partycypujących w ochronie zdrowia, o dostrzeżenie, że jest to ekosystem ściśle powiązanych ze sobą interesariuszy. Zarówno my (firmy farmaceutyczne), jak i pacjenci oraz resort zdrowia, nie możemy funkcjonować bez siebie. Brak firm farmaceutycznych na rynku to brak leków, brak leków to brak terapii, brak terapii to brak ochrony zdrowia dla pacjenta, a to jest obowiązkiem państwa wynikającym z konstytucji. Nie istniejemy bez siebie, nie możemy siebie zwalczać, polityk nie może patrzeć na nas z pozycji siły. Wniosek nasuwa się jeden – i to mój apel na przyszłość – liczy się nasz wspólny interes dla dobra pacjenta. ■

Po co komu Konfa

RAFAŁ KALUKIN

Poharatana po wyborach, w ogniu rozliczeń i na krawędzi rozpadu.

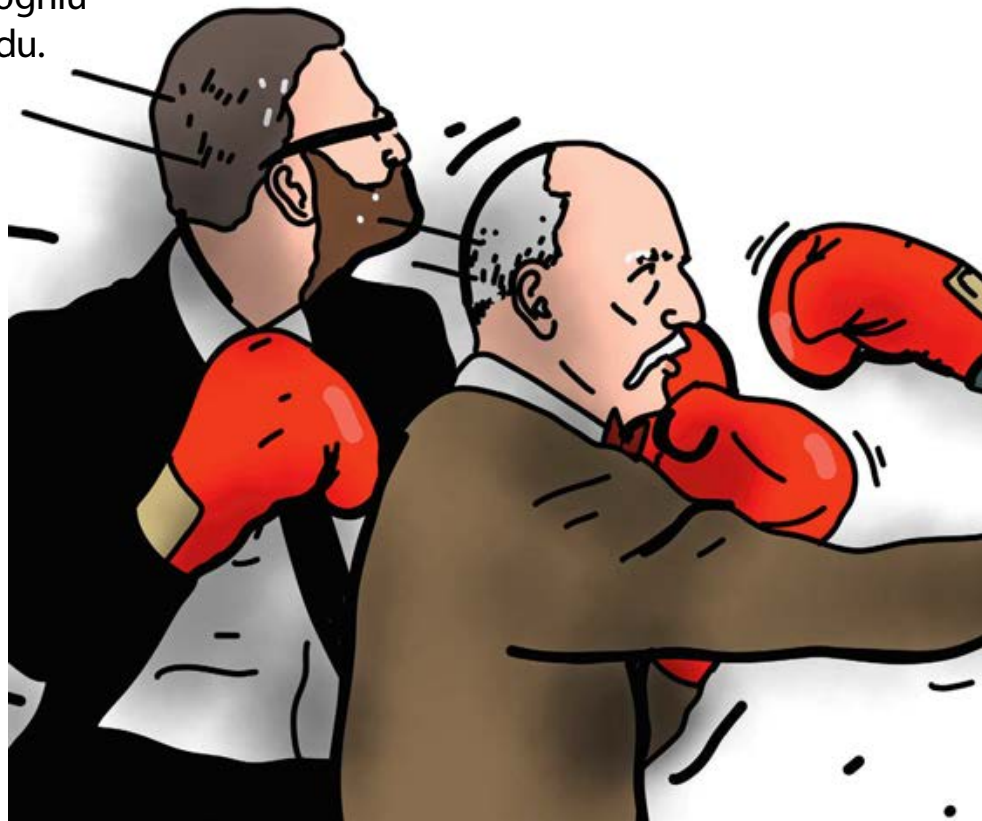
Czy PiS straci konkurenta na prawicy?

Jeżeli odzyskany przez konfederackich narodowców Marsz Niepodległości miał choć trochę odbudować zrujnowane morale niepisowskiej prawicy, to nie spełnił nadziei. Nawet niezależnie od przeciętnej w tym roku frekwencji; w maszerującym tłumie wyraźnie brakowało energii, szczerzej emocji, czegoś wykraczającego poza kibolski rytuał. Dawało się zresztą wyczuć spory dystans wobec przemaszujących liderów, i to nie tylko ugrzecznionego Krzysztofa Bosaka, ale nawet dyżurnego radykała Grzegorza Brauna, który ze sceny pod Stadionem Narodowym zanudzał abstrakcjami, podczas gdy topniejący już tłum „patriotów” zajmował się głównie sobą.

W jakiejś mierze to pewnie skutek politycznego *interregnum*. Marsz Niepodległości zawsze był imprezą rebeliancką, a w tym roku trochę nie bardzo było wiadomo, przeciwko komu się mobilizować. Oddającemu władzę PiS czy dopiero szykującej się jej przejęcia demokratycznej opozycji, która może i jest ideologicznym wrogiem twardej prawicy, ale większości młodocianych jej sympatyków nie zdążyła jeszcze niczym podpaść? A może przeciwko „duopolowi”, który zamknął system polityczny i nie dopuszcza alternatywy? Konfederacja oczywiście nie miałaby nic przeciwko takiej interpretacji rzeczywistości, tylko że sama akurat przeżywa kryzys wiarygodności, bo po prostu się nie sprawdziła w roli alternatywy.

Za dużo pokemonów?

Chyba żadna inna partia nie wyszła z październikowych wyborów aż tak poturbowana. Ostatnio co prawda słysząc racjonalizację, że nie jest aż tak źle, skoro udało się nieco poprawić wynik w porównaniu z wyborczym debiutem, a mając 18 miejsc w Sejmie, można powołać pełnoprawny klub. Tyle że to robienie dobrej miny do złej gry, bo tak naprawdę punktem odniesienia nie są poprzednie wybory, tylko rosnące notowania Konfy u progu lata, które wyostrzyły jej liderom apetyty w sposób wręcz niebываły. A teraz



muszą ponownie wymyślać się na nowo, żeby na dłuższą metę przetrwać.

Ale na razie to nie jest czas refleksji, tylko rozliczeń. Bo trudno ukryć, że konfiarze w dużej mierze sami sobie zapracowali na wyborcze fiasko. Obciąża to architektów kampanii, którzy przesadzili z luzakością, nawet nie próbując dotrzeć do wyborców starszej daty. Ale tak już bywa z formacjami pokoleniowymi: konfederatów zgubiła pycha, młodzieńcze zadufanie. Było to już wyraźne na początku lata, kiedy zaczęli snuć coraz bardziej mocarstwowe plany. Streszczał je powtarzany do samego końca slogan o „wywracaniu stolika”. Już nie wystarczała perspektywa kilkunastoprocentowego średniaka, który może przesądzić o nowej parlamentarnej większości. Konfie zamarzyła się rozgrywka o najwyższą stawkę i pod tym kątem skrojono drugą fazę kampanii. Wywołanie politycznego kryzysu po wyborach poprzez odmowę zasilenia jakiegokolwiek większości miało ostatecznie unieważnić konflikt Tuska z Kaczyńskim i przesunąć oś podziału. Tak żeby w przyspieszonych wyborach na początku przyszłego roku

bić się o dominujący już udział we władzy. A w tle zamajaczyła nawet fantazja o prezydenturze Mentzena za dwa lata... Stąd jednak anemiczność kampanii w decydującej fazie, gdyż trzeba było przesunąć część środków na spodziewaną dogrywkę. Na ostatniej prostej wysoka fala zaczęła jednak wytracać impet, do czego zresztą przyczynił się jej główny wodzirej, który zaliczył kilka wywrotek.

Inna sprawa, że skupienie kampanii na wizerunkowej atrakcyjności Mentzena trochę wynikało z konieczności. Bo jeżeli Konfederacja chciała się wybić na kilkanaście procent, musiała opuścić prawicowe katakumby i poszukać trochę innego wyborcy niż do tej pory. Zarazem podjęto próbę schowania konfederackich radykałów, na czele z Braunem i Januszem Korwin-Mikkem. Co skądinąd wyszło średnio, gdyż ten ostatni na finiszu i tak odpalił słynny „protokół 1 proc.”. Czyli wygłosił jedną ze swoich ekscentrycznych refleksji – tym razem o pedofilii – po której każdy co przytomniejszy wyborca pewnie zadał sobie pytanie, czy aby na pewno wszyscy w tej Konfederacji są zdrowi.

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER



Ale jaki jest Korwin, każdy przecież widzi. To jednak część szerszego problemu, jakim jest jakość kadr rodzimej altpracy. Były już poseł Dobromir Sośnierz skwitował po wyborach, że za dużo było na listach „pokemonów”, chociaż akurat sam też ma w politycznym CV niejedną cudaczną sentencję. W efekcie budowany wizerunek poważnej siły nagle się rozsypał, a wolnorynkową lukę na rynku politycznym równolegle coraz sprawniej zagospodarowywała Trzecia Droga.

Najwyższy czas się rozejść?

Ale to właśnie na etapie konstruowania kampanii zrodziły się napięcia, które teraz eksplodowały i w skrajnym scenariuszu mogą doprowadzić do rozpadu Konfederacji. Bo oto radykałowie właśnie dostali argument do podważenia całej strategii politycznej Mentzena i Bosaka. Teoretycznie partie obydwu liderów wciąż dominują w nowym klubie: siedem mandatów dostała Nowa Nadzieja (dawniej KORWiN), a sześć przypadło Ruchowi Narodowemu. Tyle że czteroosobowa frakcja Korony Grzegorza Brauna – do tej pory

sejmowego singla – wcale nie jest dużo słabsza, a pułk uzupełnią jeszcze niezależny Grzegorz Płaczek, znany w szurniętych niszach antyszczepionkowiec.

Przy takim rozkładzie szabel krytycy Mentzena zarzucają mu, że rugowanie radykałów było strategicznym błędem. Bo skoro ukryty Braun mimo wszystko zdołał wprowadzić gromadkę swoich ludzi, to widać był popyt na twarde prawicowe treści. To jednak logika pozorna, gdyż nadreprezentacja Korony w nowym klubie wynika właśnie z tego, iż nie udało się tego środowiska skutecznie ukryć. Z jednej strony Braun i jemu podobni mobilizowali radykalne nisze, ale z drugiej odstraszało dużo liczniejsze grupy potencjalnych wyborców, którzy szukali realnej alternatywy politycznej, w miarę przewidywalnej i wiarygodnej w realizowaniu obietnic. Szczególnie od kiedy zaczęło im mijać zauroczenie Mentzenem i spostrzegli, że Konfederacja nie jest do końca tym, za kogo się podaje. Gdyby jednak jakimś cudem udało się utrzymać poparcie „normalsów”, udział „szurów” w całej puli byłby już tylko symboliczny. Do tego

stopnia, że można by się było zastanawiać nad docelowym jego wygaszeniem.

Za kursem na ugrzecznienie Konfederacji przemawiała cała specyfika polskiej polityki. Bo chociaż budowała się jako krewniaczka takich ruchów, jak niemiecka AfD, hiszpański Vox, francuskie Zjednoczenie Narodowe albo Bracia Włosi, przyszło jej funkcjonować w zupełnie innych realiach. W tamtych krajach populistyczna altprawa zorientowana jest na przechwytywanie wyborców prawicy tradycyjnej, zakorzenionej w systemie i demokratycznych regułach. Tymczasem Konfa zderzyła się z prawicowym populizmem u władzy, który nic sobie nie robi z systemowych ograniczeń. Krytyka rządów PiS w jej wykonaniu od początku była więc ekwilibrystyką, bo nie mogła wprost atakować antyeuropejskiej polityki rządu Morawieckiego, nacjonalistycznej frazeologii, podobnie zresztą jak zakazu aborcji i sojuszu ołtarza z tronem. Szukała więc mniej oczywistych sposobów na odróżnienie się, uciekając się nieraz do pokrętnej dialektyki, a najczęściej atakując pisowski socjal oraz grając doraźnymi pretekstami, których dostarczała pandemia bądź wojna w Ukrainie. Tyle że przepływy wyborców z PiS do Konfy zawsze były symboliczne, a realny rezerwuar głosów znajdował się w zupełnie innym miejscu, bliższym opozycji.

Kiedy Mentzen czuł się jeszcze mocny, myślał o kompleksowej przebudowie Konfederacji po wyborach. Miała ona polegać na odejściu od kolektywnego przywództwa, które dzisiaj sprawuje zbudowana na środowiskowych parytetach Rada Liderów. Chciał, żeby Konfa stała się wreszcie zwyczajną partią, z czytelną strukturą i kierownictwem, oczywiście własnym. Miał świadomość, że być może trzeba będzie niektóre środowiska odciąć, bo nie zmieszczą się w logice nowego projektu. W pierwszej kolejności oczywiście Brauna, który sam już czuł, że przestaje pasować do wizji Mentzena. No i przydałoby się wreszcie wysłać na emeryturę Korwina, najlepiej w sposób aksamitny, bo to mimo wszystko środowiskowa legenda.

Ten ostatni problem ostatecznie sam się rozwiązał, bo Korwin nieoczekiwanie przegrał w swoim okręgu z Kariną Bosak i stracił sejmowy mandat. Tylko że zmieniły się ogólne okoliczności, gdyż Mentzen nie dowiódł do mety dwucyfrowego wyniku. I teraz już dużo trudniej projektować imperialną reformę, trzeba się za to zmierzyć z krytyką. W tej sytuacji Korwin stał się kozłem ofiarnym, którego bajania o pedofilii rzekomo miały osłabić poparcie. W efekcie kontrolowana przez Mentzena i Bosaka Rada Liderów usunęła go ►

► ze swojego grona i zawiesiła w prawach członka partii. Ten zaś – jak to Korwin – od razu zaczął szykować grunt pod założenie nowej partii. A jednocześnie z drugiej strony napiera jeszcze na osłabiony duumwirat środowisko Brauna.

Paliwo antyeuropejskie

Trybuną radykałów stał się dwutygodnik „Najwyższy Czas!”. Jego naczelny Tomasz Sommer podobno sam też żywi wobec Mentzena głęboką urazę z powodu pominięcia go na listach. Nie szczędi więc na łamach krytyki, sugerując potrzebę rewizji linii politycznej i powrotu do radykalnych korzeni. Dostaje się również Mentzenowi za obsadę list, a już najgorętsze emocje wywołuje jego najbliższy współpracownik i zarazem mentor Przemysław Wipler, który kuchennymi drzwiami – bo z pominięciem prawyborów – dostał się do Sejmu z pierwszego miejsca w Toruniu. Konfederacki internet pełen jest teraz memów z Wiplerem jako „koniem trojańskim”, który omotał Mentzena i ponosi główną odpowiedzialność za spartaczoną kampanię. Zausznik lidera miał zresztą stanąć na czele klubu parlamentarnego, ale w obecnej sytuacji lud konfederacki odebrałby to jako prowokację. Osłabiony Mentzen awaryjnie powierzył to stanowisko niedawnemu kuzynowcowi Stanisławowi Tyszcze, skądinąd wciągniętemu na listy przez Wiplera.

Z kolei Braun zastosował obronę przez atak. W udzielonym Sommerowi wywiadzie postawił Mentzenowi ultimatum, że jeśli jego środowisko nie dostanie dodatkowych miejsc w Radzie Liderów, to jest gotów odejść na swoje. Zjadliwie podkreślając, że „umawiał się na Konfederację” nie z Mentzenem i Bosakiem, ale z Korwinem i Robertem Winnickim, który kilka miesięcy temu nieoczekiwanie porzucił politykę. Co miało oznaczać tyle, że reformatorskie ambicje następców są w jego oczach uzurpacją. Gdyby Konfa miała kilkudziesięcioosobowy klub, po Braunie pewnie mało kto by płakał. Ale w obecnej sytuacji rozwód oznaczałby degradację do statusu koła poselskiego. A jeśli jeszcze Korwin połączy siły z Braunem i powołają wspólną partię, cała polityczna energia spalać się będzie w bratobójczej wojnie umiarkowanych z radykałami.

Tymczasem trzeba już myśleć o kolejnych kampaniach, które mogą przesądzić o tym, czy Konfederacja w ogóle ma jeszcze jakąś rację bytu. Szczególnie ciężkim testem będą wybory samorządowe, które wymagają rozwiniętych struktur w terenie i rozpoznawalnych kandydatów w miastach, a z tym jest problem. Kiedy jeszcze

Konfa rosła, w otoczeniu Mentzena nastawiano się na wchodzenie w sojusze z niepartyjnymi prezydentami, którzy będą szukać wsparcia w rywalizacji z kandydatami wystawianymi przez KO i PiS. Dzisiaj to już raczej mrzonka, bo konfederacki szyld nie dodaje powagi. Znosi się na kolejne pospolite ruszenie, które w polityce uprawianej na serio się nie sprawdza.

Ale już nieco późniejsze wybory europejskie postrzegane są jako szansa – być może ostatnia – na ocalenie projektu. Głównie dlatego, że są „płytkie”: nie budzą masowego zainteresowania, mobilizując wyłącznie zaangażowane grupy wyborców. A to premiuje ugrupowania radykalne, z wiernymi fanami, wyspecjalizowane w konkretnych tematach. Takie jak Konfederacja, której ideowa poprzedniczka LPR zdołała nawet wyprzedzić PiS i zająć drugie miejsce w eurowyborach w 2004 r. Wokół agendy europejskiej konfederacji pewnie bez trudu stworzą wyrazisty i polaryzujący przekaz, o ile tylko będą w stanie się z nim przebić. Pierwszy akord tej melodii wybrzmiał już na Marszu Niepodległości, kiedy to opowiadano w przemówieniach głównie o zagrożonej suwerenności i wzywano do walki z „dyktatem komisarzy europejskich”. O ile w kampanii parlamentarnej unikano hasła polexitu, o tyle teraz wybrzmiało ono już jednoznacznie: jeśli Unia pójdzie drogą federalizacji, trzeba będzie zorganizować referendum nad jej opuszczeniem. Pod takim hasłem ma się odbyć zapowiadany już dziś na 1 maja przyszłego roku uliczny marsz, akurat na 20. rocznicę akcesji.

I wiele wskazuje na to, że rozhuśtanie antyeuropejskiej emocji jest możliwe. Bo chociaż Polacy w większości deklarują poparcie dla członkostwa, to konkretne unijne polityki nie budzą wielkiego entuzjazmu albo też ich świadomość jest niewielka. Tymczasem szereg forsowanych przez Brukselę rozwiązań, szczególnie tych z programu zielonej transformacji, niesie konkretne dolegliwości, które wydają się wręcz stworzone do populistycznej obróbki. Takie jak przewidziany na 2035 r. zakaz rejestracji samochodów z silnikami spalinowymi bądź też – już w całkiem bliskiej perspektywie – wymagany przez Unię podatek od aut niespełniających ostrych restrykcji emisyjnych. To zresztą jeden z kamieni milowych, na które przystał rząd Morawieckiego w negocjacjach nad KPO. Na tej kanwie opiera się teraz konfederacka opowieść o fasadowym podziale na PO i PiS, które kłócą się na pokaz, ale w gruncie rzeczy realizują wspólną politykę wygaszania suwerenności. Jak obrazowo mówiła Anna Bryłka z Ruchu Narodowego,

„rząd Tuska pójdzie drogą swojego doradcy Mateusza Morawieckiego”.

Tylko czy w wykonaniu konfederatów będzie to coś więcej niż popiskiwanie myszy? Bo wygląda na to, że całkiem już radykalizujące się w opozycji PiS nie będzie miało najmniejszych skrupułów, żeby tak samo sięgnąć po kartę polexitu. Co już zresztą zapowiadał sam Kaczyński. A przy tak ogromnej dysproporcji sił, środków, politycznego doświadczenia oraz dostępu do mediów trudno sobie wyobrazić równorzędną rywalizację obu prawicowych formacji na tym samym poletku. Prezesa PiS nie przestało przecież uwierać trwanie konkurencji po tej samej stronie ideowego frontu, choćby osłabionej, i nie przegapi okazji, żeby ostatecznie ją zniszczyć. Dopóki Konfederacja miała widoki na wzmocnienie się, wydawała się odporna na presję prawicowego hegemonu. Ale liżąca rany i wewnętrznie skonfliktowana będzie podatna na kruszenie.

Słabszy ma się dostosować

Bo też nic od niej dzisiaj nie zależy i nie wydaje się do niczego potrzebna. Jej głosy w Sejmie ważą tyle co nic, więc nie ma sensu o nie zabiegać. Gdyby jeszcze miała ich na tyle, żeby zbliżyły nową większość do odrzucenia prezydenckiego weta, otwierałoby to możliwość podjęcia politycznej gry. Ale takimi kartami przetargowymi Konfederacja w tej kadencji nie dysponuje. I z tego powodu niewiele brakowało, żeby została pominięta w podziale miejsc w Prezydium Sejmu. Zgłoszony na wicemarszałka Bosak do ostatniej chwili nie miał pewności, czy znajdzie się większość za jego kandydaturą. Początkowy opór Tuska ostatecznie przełamał nowy marszałek Szymon Hołownia, któremu zależało na pokazaniu, że po latach pisowskiego zamordyzmu Sejm wraca do pluralistycznej formuły. Inna sprawa, że taktyczne względne wzmocnienie prawicowej konkurencji dla PiS może się kiedyś opłacić demokratycznej koalicji. Warto przecież zabezpieczyć się przed powtórką z drugiej tury wyborów prezydenckich w 2020 r., kiedy to zabiegającemu o poparcie wyborców Konfy Rafałowi Trzaskowskiemu wypomniano, że próbował wcześniej blokować Marsz Niepodległości.

Co nie zmienia faktu, że na razie konfederaci muszą się rozstać z ambicjami odgrywania podmiotowych ról w polskiej polityce. I jako zwolennicy społecznego darwinizmu pewnie to zaakceptują. Z ich ideologii jasno przecież wynika, że to silniejszy dyktuje reguły, a słabszy musi się dostosować.

RAFAŁ KALUKIN

Naturalnie Zielona Energia dla Twojej firmy - Polenergia Sprzedaż

Skorzystaj z najnowszej oferty zielonej energii w doskonałej cenie od największej polskiej prywatnej grupy energetycznej - Polenergii.

Polenergia to stabilny producent czystej i zielonej energii odnawialnej. Grupa uruchomiła już 12 lądowych farm wiatrowych i 5 fotowoltaicznych, których łączna moc sięga 0,5 GW. Nieustannie rozwijamy nowe projekty OZE. Strategiczną inwestycją Polenergii jest budowa trzech farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim we współpracy z norweskim Equinor. Ich łączna moc to aż 3000 MW.

Polenergia w liczbach:

- 🕒 **485 MW** – moc projektów OZE w eksploatacji
 - ◆ **1066 GWh** – produkcja netto zielonej energii w 2022 roku
 - ◆ **533 000** – liczba gospodarstw domowych, które możemy zasilić energią z projektów OZE w eksploatacji

- 🕒 **3 000 MW** – moc farm wiatrowych rozwijanych na Bałtyku
 - ◆ **12 000 GWh** – szacowana roczna produkcja, energii z farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim
 - ◆ **4 000 000** – liczba gospodarstw domowych potencjalnie zasilanych energią z farm wiatrowych na Bałtyku

Komercjalizacją zielonej energii, którą wytwarzamy zajmuje się Polenergia Sprzedaż. Grupą docelową Polenergii Sprzedaż są przedsiębiorstwa o różnej wielkości (duże, sektor MŚP, mikro-firmy) oraz gospodarstwa domowe. Oferowane przez nas produkty stworzone zostały w oparciu o nasz autorski standard **Energia 2051** gwarantujący 100% zielonej energii w atrakcyjnych cenach.

Posiadanie certyfikatu **Energia 2051** to jasna informacja dla klientów, inwestorów i partnerów biznesowych, że przedsiębiorstwo angażuje się w działania na rzecz ochrony klimatu i zrównoważonego rozwoju oraz duże ułatwienie w raportowaniu minimalizacji śladu węglowego (ESG). Uznaniem dla naszego Standardu **Energia 2051** jest otrzymany certyfikat **TÜV Rheinland Polska**, który potwierdza zielone pochodzenie naszej energii oraz jej zgodność z krajowymi i międzynarodowymi normami.

Szczegóły naszej oferty oraz więcej informacji na temat standardu Energia 2051 można znaleźć na stronie:

www.polenergia-sprzedaz.pl



NATURALNIE ZIELONA ENERGIA DLA TWOJEJ FIRMY

W STANDARDZIE ENERGIA 2051

Stabilne ceny z gwarancją nawet do 5 lat 🕒

Gwarancje pochodzenia 🕒

Prosta umowa 🕒

100% on-line 🕒

To jest właśnie ten moment, by dokonać wyboru odpowiedniego produktu. Wybierz rozwiązanie najlepsze dla Twojej FIRMY.



Smart CPPA

Gwarancja ceny do końca 2028 roku



All Inclusive

Umowa nawet na 3 lata

PiS

Kara dla bezkarnych

Rozmowa z prof. Michałem Romanowskim o tym, z jakich paragrafów rozliczać miliardową niegospodarność i marnotrawstwo ludzi PiS i komu można postawić prokuratorskie zarzuty.

MARCIN PIĄTEK: – **Czy Daniel Obajtek wkrótce stanie się Danielem O.?**

MICHAŁ ROMANOWSKI: – Ciężko na to pracować. Oczywiście trzeba przeprowadzić audyt w Orleniu i uzyskać dostęp do dokumentów, bo jak na razie zarówno pan prezes, jak i jego usłudźni prawnicy są niezwykle oszczędni, jeśli chodzi o udostępnianie informacji. Ale zarzuty pojawiające się w przestrzeni publicznej są bardzo poważne.

Pierwszy z brzegu: działanie na szkodę spółki oraz wyrządzenie szkody znacznych rozmiarów przez tzw. cud przy dystrybutorach, czyli celowe zaniżanie cen paliw na użytek przekabacenia wyborców i uratowania władzy dla PiS. Niektórzy eksperci szacują straty Orlenu z tego tytułu na 4 mld zł. Można za to pociągnąć do odpowiedzialności?

Daniel Obajtek powinien się tym martwić, zwłaszcza że niedawno weszła w życie absurdalna nowelizacja Kodeksu karnego, autorstwa ministra Ziobry, która

za wyrządzenie spółce szkody majątkowej powyżej 10 mln zł przewiduje karę więzienia do 25 lat. Dotyczy to niegospodarności menedżerskiej, a przestępstwo może być ścigane na wniosek każdego akcjonariusza, który uzna się za pokrzywdzonego.

Linia obrony zarządu Orlenu, którą można wyczytać między wierszami: tanio kupowaliśmy, więc mogliśmy sobie pozwolić, żeby tanio sprzedawać.

To oczywisty absurd, bo jeśli towar jest sprzedawany poniżej cen rynkowych, spółka ponosi straty. Gdy kilka lat temu pozwoliłem sobie bardzo krytycznie ocenić biznesowy sens nabycia przez Orlen lokalnych gazet od Polska Press, nazwałem Obajtka współczesnym Dyzmą. Zagroził, że mnie pozwie. Oczywiście tego nie zrealizował, czego bardzo żałuję, bo w toku postępowania musiałyby pokazywać dokumenty i opinie, na bazie których podejmuje decyzje, ale również udowodnić kompetencje do zasiadania w fotelu prezesa największej polskiej spółki. Czyli musiałyby udowodnić, że nie jest

Dyzmą. Tymczasem sam potwierdził kiedyś w wywiadzie dla Onetu, że nie jest menedżerem z rynku, ale z politycznego nadania. Innym razem stwierdził, że przestrzega swoją funkcję jako wykonawcy polityki gospodarczej PiS.

Samodonos?

Oczywiście. Jeżeli prezes stwierdza, że interes kierowanej przez niego spółki jest tożsamy z interesem partii rządzącej, to mamy powód, aby zwątpić, czy pasuje do wzorca rozsądnego menedżera, czyli zachowuje się zgodnie z zasadami sztuki i, w konsekwencji, czy jest w stanie podejmować racjonalne decyzje, korzystne z punktu widzenia udziałowców.

Mam wrażenie, że w państwie PiS w ogóle nie szukano menedżerów rozsądnych, ale usłużnych.

Ale to nie znaczy, że nie powinno się od nich wymagać odpowiedniego doświadczenia i profesjonalizmu [Daniel Obajtek, zanim został prezesem z politycznego nadania, był wójtem Pci-mia – red.]. Prof. Aleksander Doliński,

uważany za ojca polskiego prawa spółek, już w 1908 r. napisał, że jeśli ktoś się decyduje na zasiadanie w zarządzie albo w radzie nadzorczej spółki, ale nie ma do tego kompetencji, to nie może na tej podstawie uwolnić się od odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Osobnym zagadnieniem jest to, czy rada nadzorcza Orlenu, wybierając Obajtka na prezesa, w odpowiedni sposób zrealizowała interes właścicieli i dalej – czy odpowiednio realizowała nadzór, dopuszczając do podejmowania decyzji szkodliwych dla spółki. Należy więc zbadać, czy nie mamy do czynienia z tzw. winą w wyborze.

Na czym ta wina polega?

Warren Buffett mawia, że rada nadzorcza powinna być jak szeryf, który w razie czego szybko zaprowadza porządek. Jeśli jej członkowie, pełniąc swoją powierniczą funkcję, nie reagują i tym samym przyczyniają się do szkody w majątku wspólnym i zubożenia akcjonariuszy, to można wobec nich wystąpić z roszczeniem osobistym, majątkowym. Wina w wyborze personalnym również wiąże się z odpowiedzialnością odszkodowawczą. Dodam tylko, że członkowie rad nadzorczych też teoretycznie podpadają pod absurdalnie wywindowaną przez Zbigniewa Ziobrę karę więzienia za niegospodarność menedżerską. Jeśli chodzi o cud cenowy na stacjach benzynowych, ich potencjalne zaniechanie jest działaniem. Powinni się z tego wytłumaczyć.

To byłby czarny humor, gdyby Obajtek próbował uciekać od odpowiedzialności, powołując się na swój brak kompetencji.

Myszę, że przede wszystkim będzie się odwoływał do opinii i analiz tzw. renomowanych doradców.

To może się udać? Przy okazji fuzji Orlenu z Lotosem przepchnięta została nowelizacja Kodeksu spółek handlowych, której istota sprowadza się do tego, że członek władz spółki nie narusza obowiązku dołożenia staranności, jeśli działa w oparciu o przedstawione mu analizy i raporty. Nazwana została lex Obajtek i powstało wrażenie, że stworzono ją specjalnie na potrzeby tej dyskusyjnej fuzji, aby uwolnić władze obu spółek od odpowiedzialności.

Trzeba będzie ocenić wartość tych opinii i analiz, o ile faktycznie istnieją, bo Orlen za prezesury Obajtka działał w sposób nieprzejrzysty, zupełnie nie do pomyślenia w spółkach publicznych. Znow można się odwołać do wzorca starannego menedżera, bo przecież jeśli ktoś nie ma kompetencji do sprawowania funkcji zarządczej,

nie dorósł do swojej roli, to należy wątpić, czy potrafi taką analizę czytać ze zrozumieniem. Odpowiedzialność za kluczowe decyzje ponoszą organy spółki, a nie doradcy, ale na pewno będzie co badać, zachynając choćby od licznych i uzasadnionych zastrzeżeń co do tego, czy wycena udziałów w Rafinerii Gdańskiej, objętych przez Saudi Aramco, nie została zaniżona.

Już widzę tę linię obrony: cena udziałów za rafinerię to fragment większej całości, czyli partnerstwo z gigantem Saudi Aramco, dostęp do pewnego źródła ropy, dywersyfikacja dostaw.

Jak na razie za mało wiemy, żeby ocenić, czy ta fuzja miała ekonomiczny sens i czy strategicznie partnerstwo z firmą wywodzącą się z monarchii absolutnej, która na dodatek pozostaje w bliskich relacjach z Rosją Putina, jest w najlepiej pojętym interesie Polski. Może nie trzeba było sprzedawać rafinerii, a wystarczyłyby zwykłe umowy handlowe na dostawy ropy? Pojawiały się głosy, że to Saudowie lepiej na tym interesie wyszli, a poza tym, że przywożona do rafinerii ropa tak naprawdę pochodzi z Rosji. W końcu mowa tutaj o naszej infrastrukturze krytycznej, a przypomnę tylko, że na potrzeby tej fuzji została zmieniona ustawa o kontroli niektórych inwestycji i wyłączono wzajemną, wielostopniową kontrolę najwyższych organów państwa, w tym urzędów centralnych i służb specjalnych. Stało się to za sprawą pracujących na zlecenie Orlenu prawników. Muszę przyznać, że ta kombinacja bezczelności i poczucia bezkarności nie mieści mi się w głowie.

Gigantyczny Orlen to przejaw uprawianego przez odchodzącą władzę państwowego biznesu godnościowego. Podobnie jak wielkie inwestycje: Centralny Port Komunikacyjny, Elektrownia Ostrołęka, Mierzeja Wiślana. Już same raporty Najwyższej Izby Kontroli odnoszące się do tych kwestii wyglądają jak gotowe akty oskarżenia. Roi się w nich od określeń w rodzaju: zlecenie prac mimo braku źródeł finansowania, olbrzymia niegospodarność, brak ekonomicznego uzasadnienia projektu, naruszenie zasad dysponowania środkami publicznymi, bagatelizowanie czynników ryzyka. W przypadku Ostrołęki w błoto wyrzucono 1,3 mld zł, przekop kosztował 2 mld zamiast 800 mln, CPK to wydatki szacowane już co najmniej na 3 mld, a kupiono tam za ledwie część potrzebnych gruntów i nie ma widoków na decyzję lokalizacyjną.

Rozumiem, że akty oskarżenia w tych przypadkach to kwestia czasu?

Na pewno te ustalenia wystarczą, żeby postawić tezę o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa niegospodarności, marnotrawstwa środków publicznych, nadużycia władzy. Weźmy CPK: nie ma gdzie budować, są istotne przeszkody prawne, torpeduje się pozyskanie środków unijnych, które również miały służyć finansowaniu tej inwestycji, a jednocześnie już wydano miliardy, podpisywane są kolejne umowy obciążone karami. Czy jeśli nie mam działki i nawet nie wiem, czy będę w stanie ją pozyskać, to zlecam projekt domu i kupuję materiały?

Chyba że wydają nie swoje pieniądze.

To się nazywa w prawie hazard moralny, nadużycie władzy, co w przypadku funkcjonariusza publicznego jest zagrożone karą więzienia do lat trzech, a jeśli jest dokonywane w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, to w grę wchodzi nawet 10 lat.

Czy za taką korzyść może być uznane budowanie poczucia nieuchronności inwestycji poprzez zawieranie kolejnych umów, mimo braku uzasadnienia ekonomicznego całego projektu? Aby przetrwać w zarządzie, brać kilkadziesiąt tysięcy pensji?

Oczywiście. Dodam tylko, że ewentualna odpowiedzialność za niegospodarność i trwonienie publicznych pieniędzy dotyczy nie tylko władz spółek i innych podmiotów, ale również tych, których można uznać za faktycznych decydentów.

Marcin Horała, rządowy pełnomocnik ds. budowy megalotniska pod Baranowem?

Mamy nieco zapomniany przepis w Kodeksie karnym, mówiący o faktycznych zarządzających, którzy wprawdzie nie figurują w organach spółki, ale mają wpływ albo wręcz zdolność podejmowania decyzji właścicielskich. I można ich z tego tytułu pociągnąć do odpowiedzialności. Sankcja? Jak za przestępstwo menedżerskie, czyli po noweli Ziobry do 25 lat więzienia.

Podpisów po sobie jednak nie zostawiają.

Ale są świadkowie ich działalności. Plus publiczne wypowiedzi na temat podejmowania strategicznych decyzji. Minister Sasin również formalnie nie zasiada we władzach spółek, nad którymi jako odpowiedzialny za aktywa państwowe sprawuje pieczę, ale nie przeszkadza mu to wypowiadać się publicznie co do tego, jakie decyzje podejmie wkrótce autonomiczny w teorii zarząd spółki, albo ujawnia kluczowe dla akcjonariuszy firm ►

► notowanych na giełdzie papierów wartościowych informacje o charakterze cenotwórczym. Starałem się ulokować jego pozycję w strukturze prawa spółek handlowych oraz prawa rynku kapitałowego, no i w końcu doszedłem do wniosku, że gdzieś w przepisach musi być ukryty jakiś superorgan o superkompetencjach, jakim jest Sasin. Usiłowałem nawet znaleźć dla niego nazwę...

Jacek wszystko może?

Jego działalność to emanacja przekonania, któremu hołduje Kaczyński i które kiedyś padło z mównicy sejmowej z ust Kornela Morawieckiego, że prawo nie jest święte, że ponad prawem jest dobro narodu. A co jest dobrem narodu, to już ustalano na Nowogrodzkiej i tak się dziwnie składało, że najczęściej było to zbieżne z interesem partii rządzącej.

Przełamanie imposybilizmu.

Nie da się ręcznie sterować cenami paliw? No da się. Czy ludzie z tego skorzystali? Na krótką metę płacili mniej, ale w końcu doszło do tego, że nie mogli tankować, bo paliwa brakło, a teraz, mimo obietnic Obajtka, że po wyborach ceny nie pójną w górę, już skoczyły o ponad 10 proc., co zaraz ponownie napędzi inflację. Są publiczne wypowiedzi Kaczyńskiego w sprawie rychłego odwołania prezesa PKO BP Zbigniewa Jagiełły, co się oczywiście stało. Analogiczna sytuacja miała miejsce, gdy Sasin zapowiadał dymisję prezesa Bogdanki Artura Wasila. Już abstrahując od tego, że politycy nie mają kompetencji, by odwoływać prezesów państwowych spółek, bo od tego są rady nadzorcze, to jeszcze wpływają takimi wypowiedziami na kurs akcji, no a Sasin dodatkowo ma tu jeszcze na sumieniu choćby twitterową zapowiedź wprowadzenia tzw. podatku od nadmiarowych zysków dla dużych firm, co spowodowało nerwową wyprzedaż akcji. Niejeden prywatny inwestor pewnie na tym stracił.

Paragraf się znajdzie?

Jeśli chodzi o tę twitterową aktywność Sasina, wchodzi w grę sankcje z ustawy o obrocie instrumentami finansowymi, czyli nawet 2 mln grzywny i kara więzienia do 4 lat. A jeśli chodzi o sterowanie z tylnego siedzenia, również w przypadku decyzji mających wymiar ekonomiczny, należy rozważyć skorzystanie z przepisów Kodeksu karnego dotyczących współsprawstwa, podżegania, sprawstwa kierowniczego, ostatnio owianych zresztą złą sławą, bo pod byle pretekstem sięgała po nie prokuratura Ziobry, np. w sprawie absurdalnych, politycznych zarzutów wobec Jakuba Karnowskiego, byłego prezesa PKP Cargo. Trzeba będzie ustalić,

czy podejrzani faktycznie wydawali polecenia, co wynika z ich wypowiedzi; konieczne będą przesłuchania doradców prawnych i finansowych, członków organów wykonawczych.

PIS się będzie trzymał aż do pierwszego świadka koronnego?

Doświadczenie uczy, że umiejętne zadawanie pytań i ryzyko poniesienia konsekwencji rozwiązują języki.

Gigantyczne marnotrawstwo w funduszu covidowym, według NIK 16 mld zł, ordynarne wyprowadzanie pieniędzy w Funduszu Sprawiedliwości albo w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, kary za niewykonywanie orzeczeń TSUE w sprawie wstrzymania działalności kopalni Turów albo przywrócenia praworządności, hamowanie środków z KPO... W worku z napisem „Afery PiS, które kosztowały dziesiątki miliardów” nie widać dna. Dla niezależnej prokuratury i sądów to robota na lata. A żądza rozliczenia jest silna.

Będą zapewne sprawy proste, w których zastosowanie znajdzie stara zasada *follow the money*, ale też skomplikowane i długotrwałe, gdzie trzeba będzie uzbroid się w cierpliwość, bo pojawią się trudności z odwzorowaniem procesu decyzyjnego albo zgromadzeniem materiału dowodowego. Rozliczyć jednak trzeba, nie tylko po to, aby przywrócić prawo i sprawiedliwość w ich pierwotnym znaczeniu oraz ukroić poczucie bezkarności, ale również uczulić społeczeństwo na punkcie rzeczywistej odpowiedzialności za gospodarowanie publicznym groszem. Politycy odchodzącej ekipy pokazywali kawałek obrazka i mówili: bronimy kopalni, bronimy miejsc pracy. Ale nie dodawali, że jednocześnie płaciliśmy z tego tytułu kary. Że realizacja tych tzw. godnościowych inwestycji, niemających ekonomicznego uzasadnienia, i inne gigantyczne marnotrawstwo to na dobrą sprawę niezbudowana droga, szkoła, szpital, konieczność zadłużania się, podnoszenia podatków, żeby zasypywać coraz większą dziurę.

Już słyhać głosy przestrzegające przed odwetem.



Prof. **Michał Romanowski**
– wykładowca prawa cywilnego i handlowego na Uniwersytecie Warszawskim, założyciel kancelarii Romanowski i Wspólnicy. Adwokat sędziów szukanowanych przez odchodzącą ekipę rządzącą.

Nie rozumiem tego. W interesie społecznym jest realizowanie funkcji prewencyjnej prawa. Jeśli przyzwolimy na bezkarność, wkrótce czeka nas eskalacja. Powiem więcej: to nie jest kwestia wyboru rozliczać/nie rozliczać. Ci, którzy niebawem obejmą władzę, mają obowiązek pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy dopuścili się celowego, bezmyślnego, nieuzasadnionego marnotrawstwa naszych wspólnych pieniędzy. W przeciwnym razie im będzie można postawić zarzut zaniechania.

Jak to często bywa, najwięcej zarobią prawnicy.

Mam nadzieję, że niektórzy stracą. Jakby mnie pan zapytał w 2015 r., czy ten stopień bezczelności, pogardy dla prawa i poczucia bezkarności może się w Polsce wydarzyć, tobym nie uwierzył. Nasuwają się słowa prof. Timothy'ego Snydera, że nie da się zbudować państwa bezprawia bez prawników. Jednym z odpowiedzialnych za przeforsowanie skandalicznej nowelizacji Kodeksu spółek handlowych, mającej w zamyśle pomóc w uniknięciu odpowiedzialności członkom organów decyzyjnych, jest członek rady nadzorczej Orlenu prof. Andrzej Szumański z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przed laty był jednym z twórców kodeksu. Czego innego uczy studentów, a co innego robi.

Dwójmyślenie? Konjunkturalizm?

Wszyscy przedstawiciele zawodów prawniczych składają ślubowanie, w którym jest mowa o staniu na straży praworządności. Stara się nam teraz wmówić, że jest jakiś spór dotyczący praworządności, prymatu polskiej konstytucji nad prawem Unii, mocy wiążącej orzeczeń TSUE. Tymczasem sytuacja jest zero-jedynkowa, na korzyść konstytucji, prawa unijnego oraz europejskiej konwencji praw człowieka, i jest to oczywiste dla wszystkich, którzy traktują to ślubowanie poważnie. Najwyraźniej ten fałszywy relatywizm ma pomóc w dobrym samopoczuciu prawników, którzy zaangażowali się w budowę oligarchicznego biznesu na usługach PiS. Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że odchodząca ekipa rządząca znalazła wielu najemników, dla których faktura stała się ważniejsza niż słowa ślubowania. Tłumaczenie: reprezentowałem interesy klienta, jest sprowadzeniem się do roli najemnika. Czy jest miejsce na postępowania dyscyplinarne? W wielu przypadkach tak. Czy ci, którzy w najbardziej rażący sposób sprzeniewierzyli się zawodowej uczciwości, powinni odejść z zawodu? Moim zdaniem tak.

ROZMAWIAŁ MARCIN PIĄTEK

Twój przewodnik po nowej rzeczywistości

PI **Premium**

PI **Energy**

PI **Finance**

Od 10 lat naszym abonentom i abonentkom dostarczamy **codzienny, profesjonalny serwis analityczny** o polityce, gospodarce, energetyce, finansach, bezpieczeństwie i Europie.

Porządkujemy wydarzenia, wyjaśniamy procesy i ich konsekwencje. W ramach działu Research przygotowujemy na zamówienie **dogłębne raporty i briefingi**.

Analizy zdarzeń posłuchacie też w naszych **podcastach**, w tym w podcaście politycznym Nasłuch.

Rozmowa z gen. **Adamem Rapackim**, byłym wiceszefem policji i byłym wiceministrem spraw wewnętrznych, ekspertem ds. reformy policji i służb specjalnych.

Służby wrócą na służbę

PIOTR PYTLAKOWSKI: – Po ośmiu latach bezeceństw władzy politycznej, notorycznym łamaniu ustawy o zgromadzeniach, inwigilacji polityków opozycji osławionym Pegasusem coś trzeba ze służbami państwa zrobić. Czeka nas rewolucja czy ewolucja?

ADAM RAPACKI: – Na pewno nie rewolucja, bo ta oznacza totalną weryfikację. Nie stać dzisiaj Polski na wielkie czystki, tak jak przy transformacji ustrojowej w latach 1989–90. Ale tam, gdzie naruszano prawo, sprawców trzeba rozliczyć.

Najpierw wielka reforma czy audyt?

To jasne, że trzeba zacząć od audytu. Kto nadużywał prawa, kto je łamał? Kto wydawał złe rozkazy, a kto je wykonywał bez szemrania, chociaż mógł odmówić?

Zatrzymajmy się przy policji.

W policji na początek musi się zmienić podejście do zgromadzeń publicznych. Nie może ochraniać prywatnych miesięcznic smoleńskich, nie może pilnować na okrągło willi na Żoliborzu. Nie może służyć jednemu człowiekowi i jednej partii. Policja ma być przywrócona społeczeństwu. To nie wymaga jakichś wielkich zmian prawnych, tylko narzucenia policji właściwego podejścia. Inna filozofia działania, otwartość na współpracę ze społeczeństwem, ale nie da się uniknąć pewnych zmian kadrowych.

To była wyjątkowa sytuacja od 1990 r. Od tamtego czasu komendant główny policji nigdy nie był tak podporządkowany ministrowi spraw wewnętrznych jak przez ostatnie lata. Gen. Jarosław Szymczyk, doświadczony i świetnie wykształcony policjant, na naszych

oczach zmienił się w pokornego wykonawcę politycznych zleceń.

Dobór na wszystkie stanowiska kierownicze był podporządkowany decyzjom politycznym. Za czasów wiceministra spraw wewnętrznych Jarosława Zielińskiego stworzono w MSWiA komórkę z uprawnieniami do pracy operacyjnej, która opiniowała wszystkich kandydatów na stanowiska kierownicze na wszystkich szczeblach i we wszystkich służbach. Biuro Nadzoru Wewnętrznego działało niezależnie od Biura Spraw Wewnętrznych.

Czegoś takiego nie było nawet w czasach PRL. To Biuro należy zlikwidować, bo służyło politykom do ingerencji w politykę kadrową szefów służb. Łamano wszelkie zasady wynikające z apolityczności organów ścigania.

Kto ma teraz rozliczyć te naruszenia?

Niezależna prokuratura i niezależne sądy, to jasne.

Ale prokuratura nie jest niezależna, podporządkował ją sobie całkowicie Zbigniew Ziobro.

Na szczęście nie całkowiec. Pozostali jeszcze niezależni prokuratorzy, przetrwali mimo ostrych represji. Ufam, że będą w stanie zmienić oblicze prokuratury, uczynić ją organem niepoddającym się politycznym naciskom.

Z marszu się nie da, zmiany w prokuraturze trochę potrważą.

Potrważą, ale nie tak długo. Prokuratorzy niezależni widzą możliwość szybkiego przeprowadzenia niezbędnych zmian, jesteśmy z nimi w kontakcie. Ale nie tylko prokuratura wymaga zmian.

Zreformować trzeba cały system. Postępowania sądowe muszą trwać



krócej, wiele spraw można załatwiać w ramach mediacji między stronami. Podobnie nie ma potrzeby ścigać wszystkiego z urzędu, wiele przestępstw winno być ściganych przez policję na wniosek poszkodowanych. Podam własny przykład. Ukradziono mi tablice rejestracyjne. Policja przyjechała, zebrała materiał dowodowy, jak przy zabójstwie niemalże, chociaż i funkcjonariusze, i ja wiedzieliśmy, że to bez sensu, że śledztwo nie doprowadzi do wykrycia sprawcy.

To co należało zrobić, przeciw kradzież to przestępstwo?

Alle czyny niezgodne z prawem są sobie nierówne. W tym przypadku wystarczyło zarejestrować moje zgłoszenie. Policja jest obciążona tysiącami takich spraw, które nie mają żadnego wpływu na poziom bezpieczeństwa. Trzeba ją odciążyć, wdrożyć zasady ekonomiki procesowej. Zrezygnować z kreatywnej statystyki, która wymusza pozorowanie działań.

Statystyki to od lat policyjna zmora. Co jeszcze?

Jeden z największych problemów dotyczy naboru do pracy; nie ma chętnych. W garnizonie stołecznym brakuje blisko półtora tysiąca ludzi. Żeby ich skusić do podjęcia pracy, należy zapewnić mieszkanie, ale dodatki mieszkaniowe są jak na Warszawę zbyt skromne. Stawki nie mogą być takie same w stolicy i na ścianie wschodniej, należy je zróżnicować, inaczej Warszawa zostanie bez policjantów. Reformy wymaga też system kształcenia policjantów. Nie można wypuszczać do pracy policjantów po trzymiesięcznym szkoleniu, bo będą niedouczeni.

Na dole udawano, że się szkoli, a na górze udawano, że policją rządzą fachowcy.

Dlatego trzeba zmienić system powoływania kadry kierowniczej, poczynając od komendantów miejskich i powiatowych, a na szefach Komendy Głównej kończąc. Szefem służby – i to dotyczy nie tylko policji – powinien zostać człowiek z doświadczeniem, ale i z wizją zmian. Powinien mieć zagwarantowaną kadencyjność przesuniętą w stosunku do kadencji władz politycznych. Na stanowiska kierownicze trzeba organizować konkursy, aby wybierać najlepszych kandydatów. W komisjach konkursowych powinni zasiadać eksperci, ale też przedstawiciele samorządów. Policję można przywrócić społeczeństwu bez wielkich zmian ustawowych.

W czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej w 2012 r. w policji obowiązywała wprowadzona przez pana zasada „trzy razy T”.

Troska, Tolerancja i Tłumienie. W takiej kolejności policja zabezpieczała mecze i zgromadzenia. Należy te zasady przywrócić. Policjanci nie mogą zaczynać od tłumienia manifestacji. Nie mogą nosić w klapach mundurów mieczyków Chrobrego, jak to się teraz zdarza. Jawne pokazywanie własnych poglądów jest w tej służbie nie do przyjęcia. Podobnie jak karygodne jest ukrywanie twarzy pod kominarkami i zdejmowanie identyfikatorów. Policjant traci zapędy do łamania prawa, kiedy nie jest anonimowy.

Anonimowość to zmora nie tylko policji, ale i służb specjalnych. Agenci CBA, tajni przez poufne, używali Pegasusa nie po to, aby tropić przestępców, ale szpiegować posła Krzysztofa Brejzę czy prokurator Ewę Wrzosek.

Nie tylko z tego powodu CBA jest do rozwiązania. To służba zbyt upolityczniona, na wyrost zwana służbą specjalną. CBA miało ścigać korupcję, a tropiło przeciwników politycznych. Od ścigania przestępstw korupcyjnych jest policja, należy wzmacnić w niej pion antykorupcyjny. A Krajowa Administracja Skarbowa, która przecież posiada uprawnienia operacyjne, powinna sprawdzać zgodność oświadczeń majątkowych ze stanem faktycznym i czuwać nad przestrzeganiem prawa podatkowego.

A inne służby specjalne?

Służby specjalne powinny skupiać się na osłonie kontrwywiadowczej oraz dostarczać decydom wiedzy o zagrożeniach istotnych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Moim zdaniem należy utrzymać podział na służby cywilne i wojskowe, bo każda z nich ma swoją specyfikę. Kontrolę nad ich działaniami operacyjnymi powinny sprawować niezależne prokuratury i sądy, tylko trzeba dać im realne możliwości realizacji tej kontroli. Warto również rozważyć powołanie niezależnej instytucji złożonej z doświadczonych sędziów i przedstawicieli zawodów prawniczych, którzy sprawowaliby kontrolę następczą nad działaniami służb głęboko ingerującymi w prawa i wolności obywatelskie, stosujących podsłuchy czy inne operacje specjalne.

Sądy i prokuratura to za mało?

Życie pokazuje, że za mało. Zgodę na tzw. kontrolę korespondencji dla wszystkich służb specjalnych wydaje wyłącznie Sąd Okręgowy w Warszawie. Jeden sędzia na dyżurze nie jest w stanie sprawdzić rzetelnie zasadności kilkudziesięciu wniosków o kontrole, jakie codziennie są składane przez służby. Tam, gdzie to możliwe, należy przenieść kontrolę sądową do innych sądów poza stolicą,

a w Sądzie Okręgowym w Warszawie zdecydowanie wzmocnić zespół rozpatrujący wnioski służb. Można też lepiej wykorzystać ciała już istniejące: nadać większe uprawnienia kolegium do spraw służb i sejmowej komisji ds. służb specjalnych. Istotą jest, aby kontrolę sprawowały niezależne instytucje, zdolne przeciwdziałać ewentualnym nadużyciom służb. W ogóle trzeba zwiększyć zaufanie obywateli do służb. Zgodnie z orzecnictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, jeżeli obywatel jest kontrolowany, to po zakończeniu kontroli powinien być o tym fakcie powiadomiony (choć oczywiście w niektórych przypadkach sądy będą wyrażały zgodę na niepowiadomienie obywatela). Takie prawo powinniśmy wdrożyć. To się służbom na pewno nie spodoba, ale trudno. Materiały z takich kontroli, gdzie nie uzyskano dowodów na działalność przestępczą, muszą być komisyjnie niszczone.

Nad wspólną dla wszystkich służb ustawą o kontroli operacyjnej pracowano od lat 90.

Nie udało się, bo zawsze służby oprotowały kolejne projekty.

Ostatnio zapoznałem się z projektem Kodeksu Pracy Operacyjnej, który wygląda całkiem dobrze, pracowali nad nim ludzie służb, np. były szef ABW Krzysztof Bondaryk. Kodeks precyzuje zakresy uprawnień, definiuje poszczególne metody pracy; a co najważniejsze – ma być jawny.

Dziś dwanaście służb ma uprawnienia operacyjne. Nie za dużo?

Moim zdaniem za dużo. Ma te uprawnienia nie tylko policja, ABW czy CBA, ale też Służba Więzienna i Służba Ochrony Państwa, a także na przykład wspomniane Biuro Nadzoru Wewnętrznego w MSWiA. Ono, podobnie jak CBA, powinno być zlikwidowane. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zamiast zwalczaniem pospolitych przestępstw, na przykład narkotykowych, powinna skupić się na ochronie kontrwywiadowczej, ochronie informacji niejawnych, dostarczaniu informacji chroniących interesy państwa. Zapobieganiem i zwalczaniem przestępstw, w tym narkotykowych, powinna zajmować się policja. Gospodarkę, jako się rzekło, ma chronić Krajowa Administracja Skarbowa. Zadania powinny być precyzyjnie podzielone, aby wiadomo było, kto za co odpowiada. Podstawą państwa demokratycznego jest trójpodział władzy i wzajemna kontrola. Służby muszą zachowywać apolityczność i służyć obywatelom, a nie politykom sprawującym władzę.

ROZMAWIAŁ PIOTR PYTLAKOWSKI

Jak zwiększyć strategiczną autonomię europejskiej gospodarki?

BIEŻĄCA DEKADA MOŻE BYĆ OSTATNIĄ, W KTÓREJ MOŻEMY MÓWIĆ O TYM, ŻE UNIA EUROPEJSKA PEŁNI JEDNĄ Z DECYDUJĄCYCH RÓL W ŚWIATOWEJ GOSPODARCE. PANDEMIA COVID-19 ORAZ WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ JEDYNIEM WZMOCNIŁY OBRAZ UNII BĘDĄCEJ RACZEJ CZĘŚCIĄ, A NIE CENTRUM ŚWIATOWEJ GOSPODARKI.



Od lewej: Marek Belka, były prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, wiceprzewodniczący frakcji Socjalistów i Demokratów w PE Pedro Marques oraz były premier Leszek Miller podczas warszawskiej konferencji Global Progressive Forum: Ku strategicznej niezależności UE.

Zakłócone łańcuchy dostaw, ograniczenia w dostępie do surowców, problemy z produkcją, a także pozostawanie w tyle za USA i Chinami w wyścigu technologicznym są chyba najbardziej widocznymi dowodami erozji roli, jaką UE pełni w światowej gospodarce.

Jeszcze w 2017 r. gospodarki Chin, Unii Europejskiej oraz USA reprezentowały podobną

siłę gospodarczą – każda z nich stanowiła ok. 16 proc. globalnego PKB. Najnowsze projekcje wzrostu pokazują jednak, że do 2050 r. Europa nie będzie w stanie dotrzymać kroku swoim głównym rywalom, a na podium ekonomicznego wyścigu zastąpią ją Indie.

UE poddawana jest obecnie trzem równoczesnym presjom zewnętrznym na swoją gospodarkę, które swoje źródło

wywodzą z rosnących tendencji nacjonalistycznych w gospodarce światowej. Szeroki dostęp do surowców, a zwłaszcza do surowców krytycznych, podlega rosnącym ograniczeniom. Równocześnie produkcja przemysłowa w krajach trzecich jest często intensywnie subsydiowana, a łańcuchy dostaw nie zawsze gwarantują dostęp do dóbr w modelu „just in time”. Wreszcie, wkraczamy

w erę rywalizacji technologicznej pomiędzy USA i Chinami, której Europa staje się mimowolną ofiarą.

Przykłady? Jeszcze w 2012 r. Niemcy były liderem w produkcji paneli fotowoltaicznych. Dekadę później rola ich producentów została zmarginalizowana przez produkcję z Chin, hojnie dotowaną i wspieraną przez państwo.

Podobne wyzwania czekają nas także w przypadku rozwoju technologii wspierających zieloną transformację gospodarki. Produkcja turbin wiatrowych, baterii do samochodów elektrycznych czy właśnie paneli fotowoltaicznych zależy w dużej mierze od dostępu do surowców, takich jak lit, nikiel, kobalt czy metale ziem rzadkich. Ich wydobycie jest często zależne od krajów rozwijających się w Afryce, Azji, a także Chin, które z coraz większą częstotliwością wprowadzają ograniczenia eksportowe.

W nakładach na badania i rozwój Unia Europejska (ok. 2,27 proc. PKB w 2021 r.) dorównuje co prawda Chinom, ale znacząco ustępuje USA (3,4 proc.). Prawdziwym problemem jest jednak rozproszenie tych wydatków pomiędzy państwami członkowskimi, które pomimo istnienia wspólnych programów na poziomie unijnym nie są w stanie wydawać pieniędzy z taką samą efektywnością jak najwięksi rywale UE.

Między innymi takim wyzwaniom rozwojowym Unii poświęcona została konferencja Global Progressive Forum: Ku strategicznej niezależności UE, którą moje biuro współorganizowało w marcu tego roku na Akademii im. Leona Koźmińskiego w Warszawie. W dyskusjach z udziałem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, premierów Leszka Millera i Włodzimierza Cimoszewicza, byłego komisarza UE Laszlo Andora oraz wiceprzewodniczącego frakcji Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim Pedro Marquesa dyskutowaliśmy o działaniach, które Unia może podjąć, aby wzmacniać strategiczną pozycję swojej gospodarki i jej dalszy rozwój.

Już dziś instytucje unijne podejmują szereg działań, które zmierzają do obrony europejskiej gospodarki przed niekorzystnymi trendami. We wrześniu tego roku wszedł w życie europejski akt w sprawie cipów, który ma zmniejszyć europejską zależność



JEDYNIENIA ZINTEGROWANA I ZDOLNA DO SZYBKIEGO PODEJMOWANIA DECYZJI BĘDZIE W STANIE LEPIEJ ZABEZPIECZYĆ SWOJĄ POZYCJĘ STRATEGICZNĄ.



od importu mikroczipów z Chin, a zarazem poprawić nasze zdolności technologiczne w tym obszarze.

Równocześnie Unia wprowadziła szereg instrumentów polityki handlowej, które mają chronić europejskich producentów. Regulacja w sprawie subsydiów zagranicznych, instrument dot. zamówień publicznych czy finalizowana właśnie legislacja dotycząca zwalczania wrogich działań (Anti-Coercion Instrument) mają pomóc przeciwdziałać nieuczciwej zagranicznej konkurencji.

Wiele obiecujemy sobie również po planowanym przyjęciu Aktu w sprawie surowców krytycznych, którego zadaniem jest odtworzenie wydobycia minerałów w Europie oraz ułatwienie dostępu do globalnych zasobów. W poprawkach, które złożyłem, pracując nad tą

propozycją w Komisji Handlu Międzynarodowego Parlamentu Europejskiego, skupiłem się na zwiększeniu finansowania unijnego dla projektów międzynarodowych, gdyż ponad 65 proc. naszych potrzeb surowcowych do 2030 r. będzie opierać się na imporcie z zagranicy.

Zwiększanie strategicznej autonomii jest jednym z głównych celów i wyzwań dla polityki gospodarczej UE. Instytucje unijne nie ustają w staraniach mających chronić naszych rodzimych producentów i ułatwiać im rozwój. Dochodzenie w sprawie subsydiowanych samochodów elektrycznych z Chin, rozpoczęte w październiku 2023 r., czy prace nad przyjęciem europejskiej strategii bezpieczeństwa gospodarczego są tego najświeższymi przykładami.

W dyskusjach nt. przyszłości Unii często podnosi się potrzebę pogłębienia integracji i reformy procesu decyzyjnego jako najlepszej formy zwiększania naszej autonomii. Wiele decyzji o znaczeniu strategicznym, także w obszarze zarządzania gospodarczego, jest blokowanych przez regułę jednomyślności. Wydaje się, że jedynie Unia bardziej zintegrowana i zdolna do szybkiego podejmowania decyzji będzie w stanie lepiej zabezpieczyć swoją pozycję strategiczną.

MAREK BELKA

Biuro Posła do Parlamentu Europejskiego
A: al. Tadeusza Kościuszki 48,
lok. 14EU, 90-427 Łódź
E: biuro@marekbelka.com



Męki męskości

Współczesny polski mężczyzna żyje w sprzeczności – inaczej czuje swoją męskości wewnątrz, a inaczej prezentuje ją na zewnątrz. I wciąż nie potrafi tym wymogom męskości sprostać, zawsze jest jakiś niedosyt.

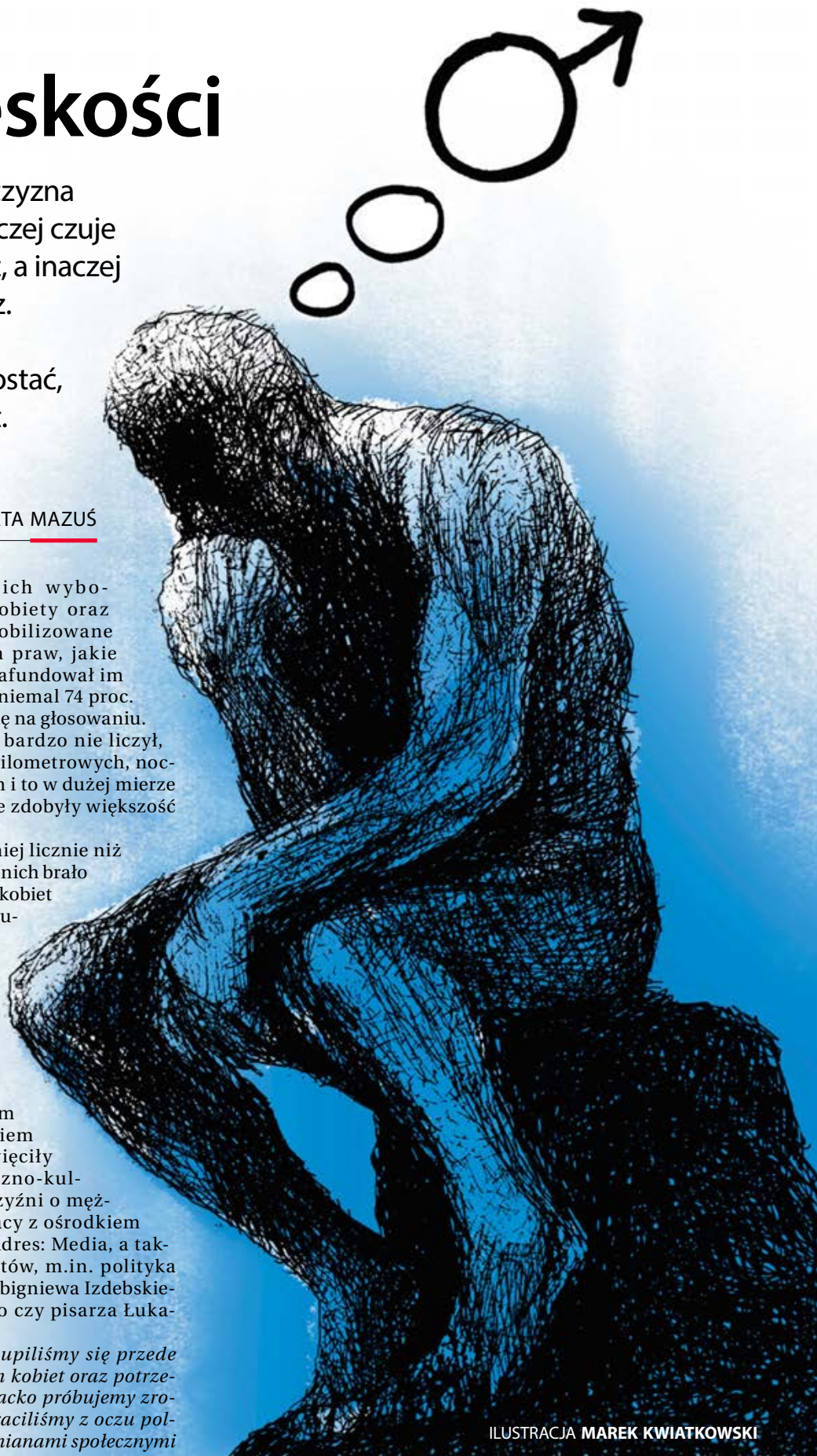
MARTA MAZUŚ

Bohaterami ostatnich wyborów okrzyknięto kobiety oraz młodych ludzi. Zmobilizowane ograniczeniami ich praw, jakie w ostatnich latach zafundował im PiS, kobiety licznie (niemal 74 proc. frekwencji) stawiały się na głosowaniu. Na młodych nikt za bardzo nie liczył, tymczasem to głównie oni stali w kilometrowych, nocnych kolejkach do lokali wyborczych i to w dużej mierze dzięki ich głosom partie opozycyjne zdobyły większość w Sejmie.

A mężczyźni? Głosowali nieco mniej licznie niż kobiety (72 proc. frekwencji), więcej z nich brało udział w referendum (42 proc., wśród kobiet – 38 proc.), chętniej też wybierali ugrupowania prawicowe (starsi mężczyźni – PiS, młodszy – Konfederację).

Socjolożki, Katarzyna Krzywicka-Zdunek oraz Dorota Peretiatkiewicz, założycielki firmy badawczej IRCenter oraz kanału internetowego socjolożki.pl, wynikami ostatnich wyborów w podziale na płci nie są zaskoczone. Polskim mężczyznom przyglądają się bowiem już od dawna i to właśnie im poświęciły swój najnowszy raport socjologiczno-kulturoznawczo-konsumencki „Mężczyźni o mężczyznach”, stworzony we współpracy z ośrodkiem badawczym Kantar Polska, firmą Adres: Media, a także z pomocą zaproszonych ekspertów, m.in. polityka Michała Boniego, seksuologa prof. Zbigniewa Izdebskiego, psychologa Jacka Masłowskiego czy pisarza Łukasza Orbitowskiego.

– Przez ostatnie lata w Polsce skupiliśmy się przede wszystkim na rozmowach o prawach kobiet oraz potrzebach ludzi młodych, których desperacko próbujemy zrozumieć. Gdzieś w tym wszystkim straciliśmy z oczu polskich mężczyzn, którzy – wraz z przemianami społecznymi



ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI

– ostatnio bardzo się zmienili. A właściwie nie tyle zmienili, co stoją w rozkroku między tym, jak sami chcą żyć i co jest dla nich ważne, a tym, czego oczekuje od nich społeczeństwo, a zwłaszcza kobiety – mówią Dorota Peretiatkiewicz i Katarzyna Krzywicka-Zdunek.

W rozproszeniu

Niezależnie, czy to Baby Boomer, czyli urodzony po wojnie 60–78-latek; przedstawiciel pokolenia X w wieku 43–59 lat, który dorastał w PRL; mężczyzna z generacji Y mający obecnie od 28 do 42 lat, czy Młody Dorosły z pokolenia Z, który właśnie zaczyna samodzielne oraz zawodowe życie i ma nie więcej niż 27 lat – jedno jest pewne: „Dawne wzorce już nie wystarczają – mężczyzna przestaje być głównym dostarczycielem siły w rodzinie. Jesteśmy na etapie poszukiwania wzorca i punktu odniesienia, bo mamy świat rozproszonych wzorców kulturowych. (...) Obecnie mamy do czynienia z rozproszoną męskością”. Tak obecną kondycję polskich mężczyzn opisuje cytowany w badaniu polityk Michał Boni.

Aby to rozproszenie jak najlepiej zilustrować, socjolożki zdecydowały, że skupią się przede wszystkim na zbadaniu różnych elementów męskiej tożsamości, pokażą, jak poszczególne cechy są postrzegane przez kolejne męskie pokolenia, a dodatkowo zestawiają ze sobą dwa wyobrażenia – to, jak mężczyźni postrzegają siebie w rzeczywistości, z tym, jakie według nich atrybuty powinien posiadać mężczyzna idealny.

– Z odpowiedzi udzielanych nam przez mężczyzn jasno wynika, że definiują się oni w oparciu o kilka głównych filarów. Pierwszym i najważniejszym jest on sam, następnym punktem odniesienia są kobiety, potem rodzina, praca i w końcu inni mężczyźni – mówi Katarzyna Krzywicka-Zdunek.

Macho też płacze

Troska o bliskich, dbałość o relacje i wychowanie dzieci, szczerłość, autentyczność, brak pozerstwa, uczciwość, godność, czyste sumienie, ambicja, docenienie, samorozwój, wytrwałość – to właśnie te wartości polscy mężczyźni określili w badaniu jako najważniejsze dla siebie. Zatem już nie nieobecny w życiu dzieci ojciec przebywający w pracy lub schowany za gazetą, już nie macho, który nigdy nie płacze.

– Ten zestaw wartości pokazuje jasno, że rycerskie cnoty wciąż są w mężczyznach głęboko zapisane jako wzorzec, jednocześnie jednak priorytety w ich życiu zaczynają się zmieniać. Coraz większą wagę przykładają do roli ojca i partnera – tłumaczy Dorota Peretiatkiewicz.

60 proc. współczesnych mężczyzn deklaruje, że nie wstydzi się okazywania prawdziwych uczuć (dla porównania, w 1998 r. było to tylko 47 proc.), choć najmniej skłonni są do tego ci najstarsi, z pokolenia BB. Z kolei najmłodszy, z pokolenia Z, najczęściej widzą siebie jako ambitnych perfekcjonistów, ale z drugiej strony również najczęściej wycofują się, kiedy coś im się nie udaje. Różnią się tym wyraźnie od mężczyzn z pokolenia BB oraz X. Jednocześnie to właśnie młodszy mężczyźni częściej deklarują (prawie 50 proc.), że obserwują obecnie kryzys męskości. Dla starszych kryzys męskości to raczej wymówka tych, którzy nie radzą sobie w życiu.

– Mężczyźni z młodszych pokoleń są mniej spójni wewnętrznie, nie ujawniają swoich poglądów, nie chcą

brać na siebie odpowiedzialności. Jednocześnie chcą się wyróżniać, narzucać swoje zdanie, ważny jest dla nich podziw i opinia innych ludzi – komentuje Dorota Peretiatkiewicz.

Co ciekawe jednak, mężczyźni jako ogół czują, że w rzeczywistości nie są zdolni sprostać ideałowi faceta zaradnego, konsekwentnego, pewnego siebie, ambitnego i uczciwego – a taki ideał w ich deklaracjach cały czas jest silny. Za to nie wstydzą się przyznawać do empatii czy wrażliwości, a więc cech stereotypowo „mniej męskich”. Jest to z pewnością powiązane z tym, jak mężczyźni chcieliby widzieć współczesne kobiety.

Czuły barbarzyńca

Jak mówi jeden z ekspertów z badania, przedsiębiorca i menedżer Grzegorz Nowak: „Kobiety szukają w mężczyznach wsparcia. Partnerstwo? Jest prawdziwym wyzwaniem, bo w dobrych chwilach facet ma być miękki i wspierający, a w trudnych twardy i zdecydowany – taki czuły barbarzyńca”.

88 proc. polskich mężczyzn deklaruje, że jest za partnerstwem w związkach. Za tą deklaracją kryją się jednak cztery dość odmienne postawy względem kobiet i relacji z nimi, które niekoniecznie zakładają pełną równość płci.

- Pierwsza z nich to postawa równości i docenienia, charakterystyczna dla mężczyzn będących w długotrwałych związkach. Postrzegają oni kobietę jako partnerkę życiową, nie mają nic przeciwko temu, aby kobiety przejmowały „męskie” aktywności (np. remonty, naprawy w domu), a mężczyźni rolę „kobieca” (np. opieka nad dziećmi, pranie). Byliby skłonni przez pewien czas zarabiać mniej niż partnerka, ale nie zgodziliby się żyć całkowicie na utrzymaniu kobiety.

- Druga postawa jest wolnościowa i bliska mężczyznom po rozwodach lub dłuższych związkach. Zakłada niezobowiązującą relację, w której obie strony mają dużo niezależności. Osobne mieszkania, spotykanie się dla przyjemności, seksu. Mężczyźni wyznający tę postawę są skupieni na sobie, oczekują, że partnerka nie będzie bardzo wymagająca i będzie miała podobne podejście do relacji.

- Kolejna jest postawa tradycjonalistycznych wymagań i – co zaskakuje – częściej wykazują ją młodszy niż starsi mężczyźni. Charakteryzuje ją trzymanie się tradycyjnych ról płciowych, oczekiwanie, że kobieta powinna takie role wypełniać i że taki światopogląd jest naturalny i korzystny.

44 proc. mężczyzn z pokolenia Z uważa, że są zawody, w których kobiety nie dałyby sobie rady (tak myśli tylko 27 proc. ogółu mężczyzn), 38 proc. pokolenia Y uważa, że mężczyzna jest od „polowania”, a kobieta od dbania o ognisko domowe (ogół – 33 proc.).

Co ciekawe, zapytani o powiązane z taką postawą konserwatywne przekonania, np. o to, czy idealny mężczyzna powinien mieć poglądy polityczne, znać historię swojego kraju i rodziny, być patriotą i mieć tradycyjne wartości, mężczyźni tylko w ograniczonym stopniu przyznają, że tak. O wiele częściej za to deklarują, że w rzeczywistości sami takie poglądy mają.

– W naszej ocenie świadczy to o jednym – mężczyźni zdają sobie sprawę, że takie konserwatywne podejście jest już mniej niż kiedyś doceniane w społeczeństwie i w coraz mniejszym stopniu jest też akceptowane przez kobiety. Jednak wielu wciąż w takiej postawie widzi wartość. To kolejny ►

► przykład rozkroku pomiędzy tym, jak mężczyźni się czują, a jak chcą być postrzegani – tłumaczka Katarzyna Krzywicka-Zdunek i Dorota Peretiatkiewicz.

- No i w końcu czwarta postawa: niepewności i frustracji, charakterystyczna dla mężczyzn, którzy nie potrafią znaleźć sobie partnerki i „facetów po przejściach”. Często wyraża się tym, że mężczyźni chcieliby, ale nie do końca rozumie, czego oczekują od niego kobiety, czują się ofiarą „kobiecych gier”, ma poczucie niesprawiedliwości i deprecjonowania męskich potrzeb, np. w sądach rodzinnych czy w przypadku urlopów rodzicielskich.

I tu znów pokolenie Z w 67 proc. uważa, że mężczyźni dostają obecnie dużo mniej wsparcia niż kobiety. Wśród pokolenia BB taki pogląd wyraża jedynie 24 proc. mężczyzn. 44 proc. pokolenia Z twierdzi, że głos kobiet jest bardziej słyszany niż głos mężczyzn. W pokoleniu BB zgadza się z tym jedynie 21 proc.

Jak tłumaczka socjolożki, wynika to zapewne z większego poczucia bezpieczeństwa starszych mężczyzn i z braku potrzeby walki o kontrolę i uznanie w oczach kobiet. Zdecydowanie więcej starszych mężczyzn popiera również feministki (61 proc., pokolenie Y – 37 proc.), przy czym jednocześnie niemal 70 proc. z nich uważa, że macierzyństwo jest najważniejsze w życiu każdej kobiety (w pokoleniu Z to tylko 35 proc.).

Tata bez wzoru

Tymczasem prawda jest taka, że to ojcostwo zaczyna być obecnie jedną z najważniejszych potrzeb w życiu polskich mężczyzn. Choć nie jest to dla nich łatwe i zaczynają doświadczać podobnych napięć jak kobiety – frustracji z powodu tego, jak trudno jest pogodzić odpowiedzialność za dom i dzieci przy jednoczesnym realizowaniu się w pracy.

92 proc. mężczyzn uważa, że mężczyźni może być tak samo dobrym rodzicem jak kobieta. Obowiązkiem idealnego mężczyzny jest odpowiedzialność za rodzinę (96 proc.) i opieka nad dziećmi (88 proc.). Jednocześnie jednak wielu mężczyzn ma poczucie, że nie jest w stanie sprostać tym wymogom, i w rzeczywistości tylko 56 proc. opiekuje się dziećmi. Podobnie krytyczni mężczyźni oceniają się, jeśli chodzi o bycie wzorem dla swoich dzieci – 95 proc. uważa, że idealny mężczyźni powinien być takim wzorem, ale tylko 55 proc. się nim rzeczywiście czuje.

– *Mężczyznom trudno określić wzorzec, według którego chcieliby wychowywać swoje dzieci. Z jednej strony pragną odciąć się od tradycyjnego modelu ojcostwa, w którym trudno było o emocje i okazywanie uczuć, z drugiej jednak wierzą, że pewne „męskie” w ich poczuciu wartości mogą pomóc dziecku w dorosłości* – mówi Katarzyna Krzywicka-Zdunek.

Zmiana przekazywanego z pokolenia na pokolenie modelu ojcostwa i rodziny jest więc bardzo trudna i długotrwała. Widać to w deklaracjach mężczyzn dotyczących dzielenia się obowiązkami domowymi – w ich mniemaniu idealny mężczyźni rzadziej niż mężczyźni realny powinien zajmować się zakupami, gotowaniem czy sprzątnięciem.

W bastionie pracy

Nawet jeśli gotowanie czy pranie u niektórych mężczyzn wciąż budzi jeszcze jakieś wątpliwości, to z pewnością nie budzi ich kwestia utrzymywania rodziny.

– *Mężczyźni postrzegają tę sferę głównie jako swój obowiązek. Samodzielność i niezależność jest dla nich ważna – daje*

poczucie siły i sprawstwa. To też się jednak powoli zmienia – w młodszym pokoleniu wizja pozostawania na utrzymaniu partnerki, w zamian za opiekę nad potomstwem, nie jest już tak przerażająca – mówi Peretiatkiewicz.

Z kolei ekspert w badaniu, psycholog Jacek Masłowski, dodaje: „U mężczyzn praca jest silnie skorelowana z etosem męskości. Dla kobiety – kobiecość nie jest skorelowana ze statusem społeczno-ekonomicznym. Kobiety są bardziej otwarte na rozwój. Dla mężczyzny ważniejsze jest to, ile zarabia, a nie to, czy ma tytuł prezesa czy dyrektora”.

A jeśli mężczyźni potrafi zarobić dużo, to poczucie męskości tym bardziej wzrasta. Umiejętność zarabiania dużych pieniędzy to dla 60 proc. badanych wyznacznik mężczyzny idealnego. W rzeczywistości jednak taką zaradność finansową widzi u siebie niecałe 40 proc. panów.

Wielu radzi sobie z tym rozdzwiekiem, przyjmując określony stosunek do wykonywanej pracy. Młodsze pokolenia (Z) częściej pracują, by po pracy móc robić to, co naprawdę lubią. Starsi (X) dla kariery lub z powołania (Y, BB). Najczęściej jednak, jako ogół, mężczyźni deklarują przyjmowanie względem pracy postawy pragmatycznej. Jeśli praca gwarantuje stabilne zarobki pozwalające na utrzymanie rodziny, daje korzyści socjalne i spokój psychiczny, to nie warto ryzykować i jej zmieniać. Lepiej zrezygnować z samorealizacji niż z poczucia bezpieczeństwa.

Ofiara patriarchy

Polityką interesuje się 64 proc. polskich mężczyzn. Najbardziej – najstarsze pokolenie BB. Najmniej – najmłodsze pokolenie Z. Najstarsi są najbardziej spójni i przywiązani do tradycji. Najmłodszy nie są spójni, za to najbardziej nie pewni siebie i konserwatywni, bo – jak tłumaczka socjolożki – tęsknią za zasadami, które się pogubiły, a sztywne role patriarchy to jedyna droga, jaką znają, i do której mogą się odwołać.

W obliczu groźby wojny i inflacji polski mężczyźni czuje, że powinien być w stanie podwyższonej gotowości, powinien bronić kobiet i dzieci – blisko połowa jest zdania, że w przypadku wojny kobiety i dzieci powinny wyjechać, a on pozostać, aby bronić ojczyzny.

U współczesnych mężczyzn brakuje jednak wspólnoty – ciężko pracują, są pod krytyczną obserwacją partnerki, starają się być dobrymi ojcami, lecz brakuje im wzorca, wiara i patriotyzm stały się wstydliwe. Piwo, mecze i koncerty to jedynie namiastka wspólnoty, punktowe wydarzenia, nie ma w nich ciągłości.

Czy politycy potrafią zaproponować coś przekonującego współczesnym mężczyznom? Socjolożki Katarzyna Krzywicka-Zdunek i Dorota Peretiatkiewicz mają na to taką odpowiedź: – *Jedyną płaszczyzną, na jakiej można połączyć tych wszystkich mężczyzn, jest krytyka patriarchy. Pokazanie, że jego ofiarami są nie tylko kobiety, ale również mężczyźni.*

Jak zatem prezentuje się według socjolożek ten nowy wzorzec męskości, jaki powinno się obecnie wspierać? To mężczyźni, który daje sobie przyzwolenie na okazywanie emocji? Troszczy się o rodzinę? Wspiera równouprawnienie? Dbą o zdrowie i wygląd? Tak, ale jak komentuje ekspert w badaniu, radiowiec i twórca podkastów Tomasz Kopka: „Czy ten model musi być jeden? (...) Męskość nie musi się jawić w oparciu o schematy”.

MARTA MAZUŚ

**We wtorek 21 listopada
z „Gazetą Wyborczą”**

**Wyjątkowy
kalendarz przyrodniczy
Adama Wajraka**



**GAZETA
wyborcza**

Wietrzenie kościołów



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Rozmowa z Martą Abramowicz, autorką książki „Irlandia wstaje z kolan”, o tym, co się stało z katolicyzmem w Irlandii i dlaczego jest to ważne dla Polski.

JOANNA PODGÓRSKA: – **Czy katolicka Irlandia może być lustrem dla katolickiej Polski?**

MARTA ABRAMOWICZ: – Według mnie tak. Nawet dziś dostałam wiadomość od znajomej: „Czytam twoją książkę i mam wrażenie, że czytam o Polsce pisowskiej. Ty na pewno byłaś w tej Irlandii?”. Oczywiście, borykałam się z tym, na ile można porównywać dwa kraje. Jednak proces społeczny, który tam nastąpił – od bardzo silnego związku państwa z Kościołem do laicyzacji – zachodził także u nas. Oni przezyciężyli już kościelną opresję i wstali z kolan. My nadal trwamy w uniżonej pozie.

Pierwsze podobieństwo sięga historycznych korzeni. Okupant to innowierca.

Tak. Wroga poznawało się po religii. Była ona opoką walki o niepodległość i ważną częścią narodowej tożsamości. Historycy wprost porównują pruski zabór, w którym okupant był protestantem, z brytyjską dominacją nad Irlandią. W zaborze rosyjskim było to prawosławie. W Galicji panowała wolność religijna, ale trzy wyznania mocno ze sobą konkurowały. W takich warunkach narodził się mit „odwiecznego” Polaka katolika. Historia irlandzkiej religijności jest podobna. Dla mnie to był pierwszy sygnał, że może warto się jej bliżej przyjrzeć; sprawdzić, co się tam wydarzyło. Bo pytanie, dlaczego nie jesteśmy Irlandią, pada często. Zwłaszcza że Irlandia była chyba jeszcze bardziej pobożnym krajem niż Polska. Na niedzielną mszę stawiało się 95 proc. narodu, a absolutnej władzy hierarchów i kleru nikt nie kwestionował.

Jest chyba także historyczna różnica. Władze PRL nie sprzyjały Kościołowi, a często bywały wrogie. Przez ponad cztery dekady nie mieliśmy takiej sytuacji jak w Irlandii, że biskupi wzywają ministrów, żeby oznajmić im swoją wolę, a zasady religijne implementowane są do prawa państwowego. U nas to się zaczęło dopiero po 1989 r. Czy to opóźnia proces laicyzacji Polski?

Na pewno. Chociaż także wcześniej takie kwestie, jak aborcja czy stosunek do osób homoseksualnych, to były sprawy trudne. Jednak po 1989 r. nastąpiło silne katolickie wahnięcie. Nawet osoby do tej pory niewierzące, zaczęły

nagle deklorować wiarę – dokonywały się spektakularne nawrócenia. Do szkół wprowadzono religię i wszyscy się na nią zapisali. Ja, w VI klasie, zostałam posłana na katechezę przez nieszczerólnie wierzącą mamę. Zaczęły się spory o aborcję i księży byli obowiązkowo zapraszani jako eksperci do tej dyskusji. Nie tylko tej zresztą. Siostra zakonna jako wysłanniczka episkopatu chodziła do Ministerstwa Edukacji poprawiać projekty ustaw. Były one także wysyłane do biskupów, by wyrazili swoją aprobatę. Przykłady można mnożyć. Ale i za PRL bywało różnie. I komuniści, i Kościół chcieli cenzurować „Sztukę kochania” Michaliny Wisłockiej. Poziom pruderii był w tych środowiskach podobny i podobnie patriarchalne podejście do wszystkiego, co związane z władzą nad kobietą i kontrolą nad jej seksualnością. Władze komunistyczne wywodziły się z ludu i prezentowały tradycyjne poglądy na miejsce kobiety, wpojone wier-nym przez Kościół.

Jednak w Irlandii aborcja i antykoncepcja były całkowicie zakazane. Polki w PRL miały do niej dostęp. Tam obowiązywał także zakaz rozwodów czy zakaz pracy dla mężatek.

A gdy arcybiskup McQuaid sprzeciwił się stosowaniu przez kobiety, zwłaszcza niezamężne, tamponów, państwo natychmiast zablokowało ich sprzedaż. Kościół miał obsesję seksualną.

Ale polski i irlandzki chyba szczególność?

Bo w innych społeczeństwach europejskich laicyzacja postępowała szybciej; zwłaszcza po II soborze watykańskim. Ale Kościół przez wieki starał się trzymać kobiecą seksualność w ryzach, a szczególną egzemplifikacją tego procesu w XX w. stała się Irlandia. W 1950 r. biskupi oprostowali tam nawet projekt ustawy, by kobiety w ciąży i dzieci objąć bezpłatną opieką lekarską. Uznali, że badanie młodych kobiet może wystawić na szwank ich moralność, a od pouczeń w kwestiach intymnych są księży, a nie lekarze. Poza tym pieniądze zarabiał głowa rodziny, czyli mężczyzna. On płacił za leczenie i decyduje. Bezpłatna opieka pozbawi go kontroli. W Irlandii bardzo długo panował lęk przed księżmi, bo oni decydowali o wszystkim. Gdy ktoś starał się o pracę, musiał się liczyć z tym, że pracodawca spyta o referencje proboszcza – lepiej więc się nie wychylać. Tak jak

w pisowskiej Polsce dyrektorzy szkół boją się wychylać i np. zorganizować Tęczowe Piątki czy zrobić cokolwiek, co mogłoby urazić Kościół. Ministerstwo Edukacji i kuratoria coraz bardziej zacieśniają władzę nad dyrekcjami szkół.

Mam nadzieję, że możemy o tym mówić w czasie przeszłym.

Ja też.

Mam wrażenie, że to irlandzkie lustro jest trochę powiększające. Tam wszystko było bardziej: bardziej pobożny naród, o wiele bardziej restrykcyjne prawo. Oni wychodzili z o wiele głębszego dołka.

Co może dać nadzieję, że my też się ze swojego wygrzebiemy – z prawa aborcyjnego, które jest dziś prawie tak restrykcyjne jak niegdyś irlandzkie, czy stref wolnych od LGBT; z rzeczy, które dziś już nie powinny mieścić się w głowie, a jednak są. A zakaz rozwodów? Przecież pojawiały się takie postulaty wśród polityków Konfederacji.

A czy kult Jana Pawła II w Polsce i Irlandii miał podobny wymiar? U nas miał chyba bardziej polityczny kontekst.

Kult papieża w Polsce był jeszcze bardziej zintegrowany z naszą tożsamością narodową, ale zachwył Irlandczyków tą postacią był ogromny. Na spotkaniu z Janem Pawłem II podczas jego pierwszej pielgrzymki stawilo się pół narodu. Polacy, czytając o tym, na pewno odnajdą swoje emocje. Różnica jest taka, że Irlandczykom łatwiej było zauważyć wady tego pontyfikatu. Dziś irlandzcy katolicy mówią o Janie Pawle II jako największej katastrofie i uważają, że Kościół dogorywa przez jego rygorystyczny i autorytaryzm.

Wcześniej przestali patrzeć na Watykan przez różowe okulary, bo też szybciej doświadczyli barier przez niego stawianych. W latach 90., gdy zaczęto ujawniać skalę kościelnej przemocy w takich instytucjach, jak szkoły przemysłowe, pralnie magdalenek, wychodziły na jaw kolejne pedofilskie skandale, papieski piedestał zaczął kruszeć. Początkowo irlandzki Kościół – tak jak nasz dzisiaj – uchylał się od płacenia odszkodowań, ukrywał dokumenty. Jednak gdy zrozumiał powagę sytuacji, wydał instrukcję, która umożliwiała realne karanie sprawców, a sprawcy pedofilii mieli być zgłaszani policji. W latach 90. to było bardzo progresywne, ale Watykan sprawę ▶

► zablokował. Po powrocie z Irlandii doszłam do wniosku, że dopóki nie skonfrontujemy się z naszym wcześniejszym myśleniem o Janie Pawle i informacjami, które dziś pojawiają się na jego temat, dopóty nie wstaniemy z kolan.

Kiedy to irlandzkie wstawanie z kolan się zaczęło?

Myślę, że była to encyklika „pigułkowa” „Humanae vitae” z 1968 r. Spodziewano się powszechnie, że Rzym dopuści antykoncepcję, a tak się stało. Bunt na Zachodzie był bardzo silny, w Irlandii także, choć częściowo podskórny. Encyklika wywołała gniew Irlandek skazanych na wieczne macierzyństwo. W latach 70. dotarł tam powiew wolności, związany z rewolucją seksualną. Społeczeństwo zaczęło odrzucać dyktat Kościoła. Irlandczycy w badaniach opinii opowiadali się za małżeństwami księży, prawem do edukacji seksualnej, legalną antykoncepcją. Pielgrzymka Jana Pawła II zakończyła te „ekscesy”, wrócił tradycyjny porządek. Irlandia znów była na kolanach. Zakaz aborcji wpisano do konstytucji.

Mam wrażenie, że w latach 90. w Irlandii i Polsce toczyły się dwa przeciwne procesy. Tam kobiety powoli zyskiwały prawa, u nas – traciły. Wspólny mianownik jest taki, że w obu wypadkach hamulcowym był Kościół.

Łatwo powiedzieć, że Kościół, ale to politycy podejmują decyzje. To nie biskupi głosują w parlamencie. Dziś, gdy wygraliśmy wybory i marzymy o innej Polsce, słyszymy, jak Władysław Kosiniak-Kamysz deklaruje, że w umowie koalicyjnej nie będzie kwestii światopoglądowych. A przecież rozmawiamy o życiu ludzi, o prawach człowieka. Obaliliśmy władzę PiS, ale władza Kościoła trwa nadal i dopóki jej nie obalimy jako społeczeństwo, wciąż będziemy na kolanach. Irlandczyków kompletnie dziś nie obchodzi, co księża i biskupi mają im do powiedzenia. Przestali się bać.

Mam wrażenie, że ta zmiana u nas też się dokonała. Społeczeństwo jest bardziej progresywne niż politycy.

Zmiana się dokonuje. Jesteśmy w procesie. Politycy nadal zabiegają o poparcie kleru. Władza religii wciąż jest silna, zwłaszcza w małych miejscowościach, religii specyficznie rozumianej, bo przecież społeczeństwo irlandzkie zmienili katolicy. To katolicy głosowali na „tak” w referendum dotyczących rozwodów, antykoncepcji, małżeństw osób LGBT czy aborcji. Wartości chrześcijańskie zaczęły postrzegać jako miłość bliźniego, jego wsparcie, troskę o niego. Politycy



Marta Abramowicz – reporterka, psycholożka, badaczka społeczna, działaczka na rzecz praw człowieka. Autorka książek „Zakonnice odchodzą po cichu”, „Dzieci księży”. Ostatnio ukazała się jej najnowsza publikacja „Irlandia wstaje z kolan”.

w Irlandii nie byli specjalnie progresywni; wręcz przeciwnie. Wszyscy oczywiście przeszli przez wyznaniowe szkoły, byli katolikami, bo inaczej nie zostaliby wybrani. Przez długi czas jedynym, który się wyłamywał, był Noel Browne, który za to, że poparł antykoncepcję, został wyrzucony z – lewicowej! – Partii Pracy. Poważna zmiana w Irlandii nastąpiła, gdy ludzie zaczęli głośno mówić: ofiary potwornej przemocy kościelnej, matki, którym w instytucjach kościelnych odebrano dzieci, skrzywdzeni przez księży pedofilów, kobiety, które przerwały ciążę.

U nas ofiary kościelnej pedofilii też zaczęły mówić.

Ale jeszcze nie w takim stopniu. Często to ktoś inny mówi w ich imieniu. Film Sekielskich był wyjątkiem, nie regułą. Wiem, że to wymaga ogromnej odwagi. Jadąc do Irlandii, nie byłam świadoma, że tam tę kampanię zapoczątkowało kilka odważnych osób, które regularnie pojawiały się w mediach, gromadziły świadectwa

ocalonych. Ta kampania trwała 10 lat. Tyle trwało przekonanie społeczeństwa, że mówią prawdę, bo na początku nikt im nie wierzył. I tyle było trzeba, by wprowadzono ustawy chroniące dzieci. Takiej kampanii jeszcze w Polsce nie ma.

Ale też skala kościelnej przemocy była tam nieporównanie większa.

Tylko że my nie znamy tej skali. Oczywiście sytuacja w Irlandii była inna, bo tam państwo całkowicie scedowało na Kościół „opiekę” nad kobietami w pozamałżeńskich ciążach i nieślubnymi dziećmi, co doprowadziło do potwornych nadużyć. Ale powstał tam też cały raport poświęcony pedofilii w diecezjach, a nie w katolickich instytucjach. W naszych diecezjach działo się to samo. I ludzie zaczynają o tym mówić, ale jestem przekonana, że ofiar jest o wiele więcej.

W Irlandii dynamika tego procesu była inna. Ujawnienie ogromu kościelnych nadużyć wywołało szok i zgrozę. U nas to się powoli sączy. Następuje zmiana, ale chyba jeszcze nie taka, by ludzie stanęli murem za ofiarami. Mechanizm wybielania księży i Kościoła nadal w wielu środowiskach funkcjonuje, bo jest bardzo mocno zakorzeniony w mentalności. Niedawno mieliśmy sytuację, gdy dyrektorkę wiejskiej szkoły wywieziono na tacze, bo ujawniła, że dzieci zgłaszają jej molestowanie przez księdza katechetę. Żyjemy w kraju, w którym ludzie ciągle się boją. W Irlandii ważnym czynnikiem zmiany było też to, że kobiety miały dość upokorzeń. W Polsce chyba też doszliśmy już w tej kwestii do ściany. Pokazały to ostatnie wybory. Polki, tak jak wcześniej Irlandki, rozumiały, że polityka jest o nich.

Tam także sam Kościół szybciej zrozumiał, że zrujnowany autorytet moralny nie pozwala mu pouczać wiernych i wywierać presji na polityków. Wycofał się z roli hamulcowego. A u nas?

Irlandzki Kościół już przyjął do wiadomości, że umiera; polski chyba jeszcze nie. W 2015 r., gdy przegrał referendum dotyczące małżeństw osób LGBT, ostatecznie zrozumiał, że nie ma już żadnego wpływu. Hierarchowie zaczęli się wycofywać już wcześniej, w latach 90., po tym jak skandale związane z kościelną przemocą wyszły na jaw. Bo gdy zaczynali pouczać wiernych, natychmiast pytani byli o rzeczy, o których niekoniecznie chcieli mówić. Wówczas zastąpili ich w tym przedstawiciele ortodoksyjnych organizacji katolickich. To oni brali bardzo aktywny udział w kampaniach referendalnych. Podobny proces obserwujemy dziś u nas – dość wspomnieć Ordo Iuris czy Kaję Godek.

Ale jeśli chodzi o rolę redemptorystów, to mamy pełną rozbieżność.

U nas – wiadomo – jest Tadeusz Rydzki i jego „dzieła”. A u nich redemptorysta Tony Flannery założył Stowarzyszenie Księża Katolickich, które opowiada się m.in. za zniesieniem celibatu, kapłaństwem kobiet, dopuszczeniem antykoncepcji czy prawem osób homoseksualnych do zawierania małżeństw. Stowarzyszenie zrzesza jedną trzecią irlandzkiego kleru. A Flannery, mimo płynących z Watykanu gróźb ekskomuniki, nie wycofał się ani ze swoich poglądów, ani działalności w Stowarzyszeniu. Księża w Polsce jeszcze nie mają takiej odwagi.

Skąd taka różnica między ich a naszymi redemptorystami?

Redemptoryści byli awangardą zmian – najbardziej konserwatywnym zakonem, który przeszedł olbrzymią przemianę po soborze. Rozgrzeszali kobiety z antykoncepcji czy przerywania ciąży. A nasi, za żelazną kurtyną, zastylgli jak owad w bursztynie. Przechowali przedsoborowy konserwyzm. Po 1989 r. wyładowali z Kościołem zapóźnionym o 50 lat.

Kolejna ogromna rozbieżność to rola zakonów żeńskich w procesie zmian.

Żeńskie zakony na Zachodzie szybko zaabsorbowały myśl soborową, a Irlandia miała bliskie powiązania z zakonami amerykańskimi. Nie było bariery językowej, co ułatwiało kontakty. To także kwestia edukacji. Dla dziewczyn z biednych rodzin zakon często był jedyną szansą na wykształcenie; także studia zagraniczne. I one potem uczyły w szkołach średnich i przekonywały swoje uczennice, że mają szansę na inne życie. Nie muszą iść do zakonu czy od razu wychodzić za mąż jak ich matki.

To paradoks, ale w Irlandii zakonnice wykształciły pokolenie niezależnych kobiet. Od dawna uczą też np. jogi, co w Polsce jest nie do wyobrażenia. W Polsce – przez to, że komuniści zabrali zakonnicom ich dzieła – zostały bez pracy i przymierały głodem. Wtedy prymas Wyszyński stwierdził: to my was weźmiemy na parafie. Niby to był ratunek, ale doprowadził do tego, że zakonnice stały się służącymi księży. Przestały mieć cokolwiek do powiedzenia w polskim Kościele. To się powoli zmienia, ale w procesach rozliczania Kościoła i przemian w nim jesteśmy ok. 20 lat do tyłu w stosunku do Irlandii.

A jeśli chodzi o prawo do aborcji.

Jak to się tam potoczyło?

Jeszcze w 2002 r. była propozycja, aby do konstytucji wpisać zakaz przerywania

cięży nawet w przypadku zagrożenia życia matki, a gdy grozi ona samobójstwem, móc ją przymusowo umieszczać w szpitalu aż do porodu. To referendum przepadło, ale naprawdę o włos. Dopiero w 2018 r. dwie trzecie Irlandczyków opowiedziało się za prawem do aborcji. Przełomem była historia Savity Halappanavar, której los był taki jak Izabeli z Pszczyny. W 2012 r. ciężarna Savita trafiła do szpitala z silnym bólem w podbrzuszu. Lekarze stwierdzili, że zaczęło się poronienie, ciąży nie da się uratować, ale kazali czekać, aż płód umrze. Wdała się sepsa i kobieta zmarła. To wywołało szok i gniew. Ludzie masowo wyszli na ulice. Politycy czuli, że z prawem aborcyjnym trzeba coś zrobić, ale temat budził ich niechęć i lęk.

Sprawa skonsolidowała jednak ruchy feministyczne i doprowadziła do zmiany ich strategii. Słowem kluczowym stała się empatia. Nie prawo czy wybór, bo w ten sposób do porozumienia ze stroną, która mówi „nie”, się nie dojdzie. Zrobiono badania, z których wynikało, że w Irlandii nie używa się w rozmowach słowa „aborcja”; mówi się np. „poleciała Ryanairem” albo „wsiadła na prom”. Niby wiadomo po co, ale to prywatna sprawa. Aktywistki zmieniły język. Mówiły: „ona mieszka na twojej ulicy”, „ona potrzebuje pomocy”. To przekonało społeczeństwo, że nie trzeba przestać być katolikiem i wierzyć w chrześcijańskie wartości, by zagłosować za, bo chodzi o troskę o bliźniego.

Czy można powiedzieć, że Irlandia jest już dziś świeckim państwem?

I tak, i nie. Szkoły są wciąż w rękach Kościoła, ale to jest już zupełnie inny Kościół. Jest katolicki etos, ale wszystko odbywa się w innej atmosferze. Arogancja czy opresyjność księży jest już nie do wyobrażenia. Księża współlistnieją w społeczeństwie, ale nie dyktują ludziom, jak mają żyć, bo nie mogą. Nikt by ich nie słucał. Po dawnej potędze Kościoła nie ma śladu. Seminaria zamknięto. Na niedzielnych mszach widać głównie starych ludzi.

Irlandczycy nadal chrzczą dzieci czy wysyłają je do komunii, bo to dla nich ważne ze względów wspólnotowych. Ale przestają się spowiadać. Konfesjonały często służą jako schowki na szczotki czy świąteczne ozdoby. Księża jednak dopuszczają wiernych do komunii, a absolucji udzielają w inny sposób, podczas mszy, wszystkim obecnym. Spytałam jednego z nich, czy mają na to zgodę biskupa i usłyszałam: a dlaczego mielibyśmy go pytać o pozwolenie? U nas jeszcze tak to nie działa.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

„PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”

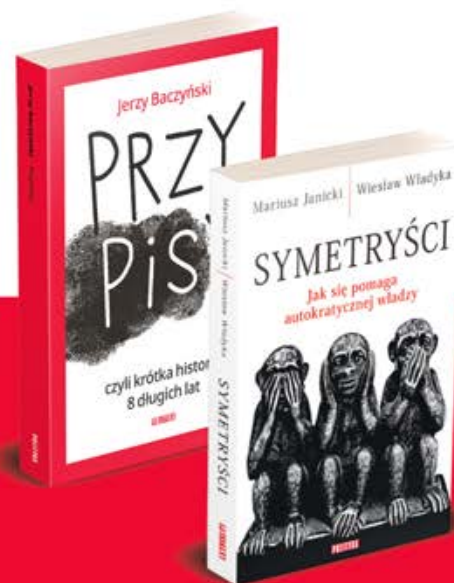
– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego, redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.

Osobisty dziennik podróży przez Polskę pod rządami PiS

Historia 2015–2023 w zbliżeniach

Przenikliwa krytyka populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy



„Nie straszcie PiS-em”
„PiS-PO – jedno zło”
„Opozycja nie ma programu”

Analiza zjawiska symetryzmu dokonana przez autorów tego pojęcia

„SYMETRYŚCI. Jak się pomaga autokratycznej władzy” – nowa książka Mariusza Janickiego i Wiesława Władki, zawierająca niepublikowany wcześniej materiał.

Książki dostępne w księgarniach, na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.



Sędzia na rozkaz

Jeśli istnieje wzorzec sędziego „dobrej zmiany”, to jest nim **Jarosław Dudzicz**. Za czasów PiS zrobił oszałamiającą karierę, ale ostatnio przegrał batalię o nominację do Sądu Najwyższego. Idzie nowe?

ZBIGNIEW BOREK

Podły, parszywy naród – napisał internauta jorry123 pod tekstem o żydowskich roszczeniach. Na forum pisał też: „żydowscy i niemieccy kłamcy przeciw Polsce i Polakom... to dopiero iście szatański tandem” (o przypisywaniu Polakom udziału w Holokauście), „jak się nie podoba, to niech wyjeżdża do Izraela” (o byłej szefowej Zachęty Andzie Rottenberg), „to była prowokacja ubecka, a jak wiadomo w UB przeważali wtedy żydzi”

(o pogromie kieleckim). Prokuratura Rejonowa Wrocław-Stare Miasto ustaliła, że jorry123 to sędzia Jarosław Dudzicz. Według „Gazety Wyborczej” na przesłuchaniu przyznał się do zamieszczenia komentarzy, śledczy nie mogli jednak postawić mu zarzutów, bo sędziego chroni immunitet. Był 2015 r. Potem sprawa trafiła do Prokuratury Krajowej, gdzie utknęła do dziś. Nadal trwa też śledztwo w aferze hejterskiej, która ujrzała światło dzienne cztery lata temu. W nim także występuje

nazwisko Dudzicza, ale nie przeszkodziło mu to awansować do sędziowskiej elity epoki PiS i to – jak mawiają niezależni sędziowie – skokowo.

Zaczynał jako sędzia Sądu Rejonowego w Słubicach. Przed wojną Słubice były przedmieściem Frankfurtu, od 1989 r. stają się przykładem polsko-niemieckiego pojednania i europejskiej integracji. Dudzicz czuje się tu jak ryba w wodzie. Jest absolwentem filologii germańskiej, w kieszeni ma polski dyplom

magistra prawa, ale kończy jeszcze prawną na frankfurckim Uniwersytecie Europejskim Viadrina (może być adwokatem w Niemczech) i tam wykłada. Żona doktoryzuje się na Viadrinie, mieszkają nad Odrą z widokiem na Frankfurt, Dudzicz nie kryje fascynacji niemiecką Temidą. – *Uwielbiał błysnąć cytatami z niemieckich kodeksów wygłaszanymi w oryginalnym języku* – wspomina sędzia Olimpia Barańska-Małaszek. Oboje należeli do stowarzyszenia Iustitia, obecnie są po dwóch stronach barykady dzielącej polskie sądownictwo.

Znajomi z tamtego czasu pamiętają swój szok, gdy Dudzicz zmienia oblicze na bardziej narodowe, prosto-wiańskie i zdecydowanie antyeuropejskie, jak to określają. Według nich ustawia się z wiatrem „dobrej zmiany”: występuje z Iustitii, sugeruje, że Polska odzyskała niepodległość dopiero dzięki PiS i powinna dokonać polexitu, wokół wietrzy spiski lewaków.

Na pierwszy wielki skok w karierze musi czekać zbyt długo, bo w 2017 r., dwa lata po przejęciu władzy, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro hurtowo wymienia kadrę zarządzającą sądami. Przez pół roku obowiązywania tymczasowych przepisów odwoła 149 prezesów i wiceprezesów, czyli niemal nie ma dnia bez dymisji. Operacja zyskuje miano trybu faksowego, bo decyzje przychodzą faksem z pieczętką i podpisem Ziobry, bez uzasadnienia. Protesty przeciwko zawłaszczeniu sądownictwa trwają w całym kraju, także w Gorzowie Wielkopolskim. „Wolne sądy! Wolna Polska!” – w zimnym deszczu skanduje setka ludzi przed gmachem Miejskiego Sądu Okręgowego. Trzy dni później jego prezes Roman Makowski zostaje wezwany do Sądu Apelacyjnego w Szczecinie po odbiór dymisji. Gdy wraca, w jego gabinecie siedzi już Dudzicz. Sędzia Makowski może tylko zabrać swój płaszcz i dokumenty.

Aby Dudzicz mógł zostać prezesem, trzeba go było najpierw delegować do pracy w Sądzie Okręgowym, a „prezes na delegacji” to zjawisko wcześniej niespotykane. Funkcję proponuje mu Łukasz (są na ty), ale Piebiak telefonuje jako wiceminister sprawiedliwości. Jarek prosi o czas do namysłu, zgadza się po kolejnym telefonie z Warszawy. Gorzowscy sędziowie dowiadują się o nominacji na korytarzu i z mediów. Atmosfera jest fatalna. Odwołany prezes szykuje sprawozdanie z działalności sądu, ale Dudzicz nie znajdzie dla niego

czasu, wymieniają tylko „dzień dobry”. Na brak kontaktu z nowym prezesem narzekają szefowie wydziałów i wizytatorzy, kilku sędziów rezygnuje z eksponowanych funkcji. Zgromadzenie sędziów wyraża zdecydowany sprzeciw wobec trybu zmian kadrowych, z czasem zarzuca Dudziczowi tłumienie samorządności, bo w trakcie obrad nie dopuszcza ich do głosu (tłumaczy, że „nie dopuszcza do deklaracji w obronie rzekomo zagrożonych sądów”). Jednocześnie Dudzicz obsadza stanowiska swoimi ludźmi, tak Anna Kuśnierz-Milczarek zostaje prezesem Sądu Rejonowego w Gorzowie. – *Dobrze się znamy, robiliśmy razem aplikację* – mówi mi wtedy Dudzicz.

Pani sędzia ma stwierdzone przypadki przewlekłego postępowania, brakuje jej poparcia sędziów, szczególnych osiągnięć w orzecznictwie i kwalifikacji w zarządzaniu, ale realizuje oczekiwania obozu władzy. Z bazy orzeczeń usuwa precedensowy wyrok sędzi Barańskiej-Małaszek (pominięła wyroki Trybunału Konstytucyjnego z udziałem sędziego dublera). Robi też grunt pod kolejny skok w karierze Dudzicza: gdy PiS urządza wrogie przejęcie KRS, zgłasza jego kandydaturę.

Jak na dłoni widać więc, jak działa system budowany przez „dobrą zmianę” w sądownictwie. I to, że sięga coraz

głębiej: pod listą poparcia kandydatury Dudzicza do KRS podpisuje się Sebastian Petlik, prezes Sądu Rejonowego w powiatowym Sulęciniu (to okręg gorzowski). Wkrótce Petlik zapragnie awansu do sądu okręgowego, Dudzicz poprze jego delegację, a przez to sułeciński wydział cywilny (Petlik w nim orzekał) pięć miesięcy będzie sparaliżowany. Rzecznik praw obywatelskich uzna, że narusza to konstytucyjne prawo obywateli do sądu, mieszkańcy miasta – że tak wygląda reforma wymiaru sprawiedliwości na dole, a niezależni sędziowie – że Dudzicz odplacił Petlikowi za podpis.

KRS jest kluczem do ręcznego sterowania wymiarem sprawiedliwości, bo może utracić albo wesprzeć kandydatury na sędziów wszystkich szczebli. PiS skraca więc kadencję poprzedniej rady, a do nowej głosami swoich posłów wybiera 15 sędziów, choć według konstytucji Sejm może mieć tylko czterech przedstawicieli. Organizacje prawnicze wzywają do bojkotu, ale znajduje się 18 kandydatów do neo-KRS – z łapanek, jak komentują niezależni sędziowie. Forum Obywatelskiego Rozwoju sprawdza kandydatów i na grafice przedstawia sieć powiązań: każdego (!) kandydata łączy

z Ziobrą nitką zależności rodzinnej, osobistej lub służbowej. Dudzicz łączy tryb faksowy. – *Nie wydaje mi się, żeby sędzia powołany na prezesa przez ministra jednoosobowo, bez uzasadnienia, bez kryteriów, był gwarantem niezawisłości sędziów i niezależności sądownictwa* – komentuje wówczas Patryk Wachowicz, analityk prawny Forum.

Jako członek KRS Jarosław Dudzicz uchodzi za jastrzębia: żyruje tzw. reformy Ziobry i postuluje wyjście KRS z Europejskiej Sieci Krajowych Rad Sądownictwa, gdy ta krytykuje naruszenie praworządności w Polsce (polską KRS wkrótce za to wykluczy). Frakcja jastrzębi przegłosuje kontrowersyjne nominacje do NSA m.in. dla Macieja Nawackiego (zasłynął podarciem uchwał olsztyńskich sędziów) i Piebiaka (któremu Dudzicz zawdzięcza prezesurę). Rekomendację do NSA otrzymuje Jacek Milczarek, nieznan szerzej adwokat z Gorzowa. To mąż Anny Kuśnierz-Milczarek, prezeski z rozdania Dudzicza, która jest też przełożoną jego żony (pracuje jako asystentka w gorzowskim Sądzie Rejonowym). – *Takie relacje powinny być podstawą formalnego wyłączenia się sędziego Dudzicza z głosowania nad kandydaturą mec. Milczarka. Nic takiego się jednak nie stało* – zauważa Bartłomiej Starosta, sędzia z Iustitii, który śledzi posiedzenia neo-KRS.

Dudzicz jako sędzia „dobrej zmiany” wydaje się na zarzuty teflonowo odporny. Włos mu z głowy nie spadnie, gdy wreszcie wyjdą na jaw antysemitki wpisy (zawiesi się w funkcji zastępcy rzecznika neo-KRS, ale wkrótce sam się odwiesi) i to, że pobierał z innymi członkami sowite podwójne diety za zdalne posiedzenia komisji poza dniami obrad plenarnych KRS. „Nie odpowiem na pytanie, ile zarobiłem za te konkretne komisje, bo się tych komisji nie mogę doliczyć” – powie obcesowo dziennikarzom. Zostanie zastępcą rzecznika dyscyplinarnego w gorzowskim okręgu sądowym i członkiem komisji do przeprowadzenia egzaminów dla radców i adwokatów, a z tym wiąże się kolejne apanaże.

Media ujawnią, że jako rzekomo niezależny sędzia salutuje (ówczesnej) poślanice PiS Krystynie Pawłowicz: gdy ta pokazuje się na Facebooku w mundurze, Dudzicz rzuca: „Pani Profesor, melduję się na rozkaz!”. Wy tłumaczy potem, że to „oczywisty żart”. Gdy wybuchnie afera hejterska, będzie zachowywał się tak, jakby go nie dotyczyła.

„Wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak stoi za zorganizowanym ►

► hejtem wobec sędziów krytykujących zmiany w wymiarze sprawiedliwości wprowadzane przez Zjednoczoną Prawicę” – pisze Onet w 2019 r. Według portalu Piebiak aranżował i kontrolował akcję społecznościowej grupy Kasta, do której należał Dudzicz. Grupa miała skompromitować szefa Iustitii i innych niezależnych sędziów, a także organizować wysyłanie nienawistnych pocztówek do prof. Małgorzaty Gersdorf, pierwszej prezes Sądu Najwyższego, w czasie ataków na nią ze strony obozu rządzącego.

Publikacja portalu wstrząsnęła sceną polityczną. Choć Piebiak do niczego się nie przyznaje, to składa dymisję „w imię odpowiedzialności za reformy”. Prokuratorские śledztwo w sprawie Kasty wciąż trwa, a przy publikacji Onetu o aferze hejterskiej widnieje dopisek, że „toczy się postępowanie w przedmiocie naruszenia dóbr osobistych pana Łukasza Piebiaka”. Nie wiadomo, czy na drogę procesową wstąpił też Dudzicz (odmawia rozmowy z POLITYKĄ).

Znamienne jest to, w jaki sposób odpowiada na stawiane przez media zarzuty. Nie zaprzecza wprost, kluczy.

„Nie mogę w tej chwili na takie pytanie odpowiadać, dlatego, że być może to będzie przedmiotem postępowania karnego” – mówi pytany o udział w grupie Kasta. „Jestem w tej sprawie świadkiem. Nie wyrażam zgody na to, żeby pańska stacja przetwarzała moje dane w tym zakresie” – odpowiada w programie na żywo o sprawie antysemitów wpisów. Wielokrotnie zapewnia, że nie mógłby być antysemitą (tłumaczy to tym, że „wychował się na Zamostyczynie, gdzie mordowano Żydów”), opowiada, że ma w rodzinie „niemieckich przodków i prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia”, ale unika jasnej deklaracji, że nie jest autorem antysemitów wpisów. Tymczasem (ówczesna) rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik potwierdza, że śledztwo „dotyczy wpisu umieszczonego w internecie przez sędziego Dudzicza”.

– *Kierując się kodeksem etycznym, sędzia Dudzicz powinien powiadomić przełożonych, gdy tylko został zidentyfikowany jako autor antysemitów wpisu. Nie zrobił tego, a co więcej, sprawa nie wyszła na jaw, gdy jako sędzia sądu rejonowego awansował na prezesa sądu okręgowego, ani potem, gdy kandydował do KRS. Absolutnie niebywałe, że to się udało ukrywać tak długo i żeby tak długo trwało śledztwo* – komentuje sędzia Barańska-Małuszek, szefowa Iustitii w Gorzowie.

„Z wielkim smutkiem, niepokojem i oburzeniem przeczytaliśmy w prasie

o antysemitów wpisie pana sędziego Jarosława Dudzicza” – oświadcza Ambasada Izraela w Warszawie. Według ambasady jest „zdumiewające, że autorem tego obrzydliwego wpisu jest nie zwykły obywatel, lecz sędzia, autorytet, członek elitarniej Krajowej Rady Sądownictwa”. Ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar zwraca uwagę, że za czyn z art. 257 Kodeksu karnego („znieważenia grupy ludności z powodu przynależności narodowej”) grożą trzy lata pozbawienia wolności, ma on charakter umyślny, stanowi złamanie sędziowskiego ślubowania (nakazuje kierować się zasadami uczciwości) i uchybia godności urzędu sędziego (wymaga nieskazitelnego charakteru). „Popełnienie umyślnego przewinienia dyscyplinarnego, stanowiącego rażące naruszenie porządku prawnego, bez wątplenia skutkuje utratą kwalifikacji do sprawowania urzędu sędziego” – pisze rzecznik do Prokuratury Krajowej i KRS. Odbija się jednak od ściany.

Mijają lata, a śledztwo stoi w miejscu. Z przecieków wynika, że prokuratura staje na głowie, aby pozyskać opinię prawną o tym, że wpisy Dudzicza nie mają antysemitów charakteru. – *Sięgnęła po pomoc międzynarodową, a to oznacza, że w Polsce żadna instytucja ani ekspert się „nie podłożyli”* – mówi znający kulisy prawnik. Prokuratorzy nie występują o uchylenie immunitetu sędziowskiego, dzięki czemu Dudzicz po ośmiu latach od wpisów Jorriego 123 nadal ma status świadka. To z kolei rodzi podejrzenia o grę na przedawnienie sprawy.

– *Przedawnienie jeszcze nam nie grozi* – mówi dr Witold Zontek z Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeśli zostało wszczęte postępowanie prokuratorskie (tak jest w tym wypadku), przestępstwo z art. 257 przedawniłoby się po 15 latach, czyli w 2030 r., należałoby jeszcze doliczyć ten czas w pandemii, gdy bieg przedawnienia był wstrzymany. Eksperti Katedry Prawa Karnego UJ przypominają też o art. 44 Konstytucji RP, który w stosunku do przestępstw „nie ściganych z przyczyn politycznych” zawieszają bieg przedawnienia „do czasu ustania tych przyczyn”.

– *Prokuratura podległa ministrowi sprawiedliwości, czyli politykowi, z niezrozumiałych pod kątem prawnym powodów nie podejmuje wiążących decyzji procesowych w stosunku do sędziego Dudzicza. Ani na jego korzyść, ani na niekorzyść. W tego typu sprawach, które jawią się jako polityczne, termin przedawnienia zaczyna*

zatem biec od chwili odpolitycznienia prokuratury – uważa dr Zontek.

Z kolei prof. Bodnar, były rzecznik praw obywatelskich (z opozycyjnego paktu wybrany na senatora), uważa, że sędzia Dudzicz należy do układu trzymającego władzę w wymiarze sprawiedliwości, a działania prokuratury jedynie tę grupę zabezpieczają. W podobnych kategoriach postrzega starania Dudzicza o nominację na sędziego Sądu Najwyższego: – *Chodziło o to, żeby w sytuacji zmiany władzy w Polsce ten układ w wymiarze sprawiedliwości jeszcze się umocnił.*

Gdy Zjednoczona Prawica słabnie, zacina się jej maszynka do głosowania w sprawach wymiaru sprawiedliwości. Dudzicz wypada z listy kandydatów do drugiej kadencji neo-KRS. Postanawia kandydować do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN (orzeka o ważności wyborów), choć to powinno być ukoronowanie kariery, a on sędzią i menedżerem jest najwyżej przeciętnym. W sądzie rejonowym stabilność orzeczniczą ma na poziomie ledwie 62 proc. Tamtejszym wydziałem karnym kieruje tylko „bez zastrzeżeń”, są obiektywnie do „planowania i organizacji pracy” oraz „koncentracji materiału dowodowego” – czytamy w opinii Beaty Górskiej, prezes Sądu Apelacyjnego w Szczecinie. Nie odnotowano żadnych orzeczeń Dudzicza, które można by nazwać doniosłymi społecznie albo precedensowymi, co jasno wskazuje, że chodzi o karierę motywowaną politycznie.

Ku swojemu zaskoczeniu Dudzicz jednak rekomendacji do Sądu Najwyższego nie dostaje.

– *Najpierw klub parlamentarny PiS nie dał mu posady w neo-KRS na kolejną kadencję, teraz koledzy z neo-KRS nie zapewni mu „złotego spadochronu” w Sądzie Najwyższym* – komentuje sędzia Barańska-Małuszek. Jej zdaniem to znak, że po wyborach z 15 października PiS „idzie na przeczekanie”. Dudzicz musi zrobić to samo, bo w listopadzie kończy się jego sześciolatnia kadencja jako prezesa sądu okręgowego. Drugiej pełnić nie może, z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że szykuje się do „zamiany miejsc” z prezeską sądu rejonowego Anną Kuśnierz-Milczarek. Po zmianie na stanowisku ministra sprawiedliwości gorzowscy sędziowie planują jednak wnioski o odwołanie Dudzicza z funkcji, bo – jak mówią – za czasów PiS zhańbił tożę i działał na szkodę sądownictwa.



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Szok po szoku

Banalna wizyta u dentysty zakończyła się śmiercią 32-latka. A później ta śmierć zaczęła obnażać banalność innych.

JULIUSZ CWIELUCH

Ogólnie zdrowy i nieskarżący się na żadne dolegliwości Dzianis Harbatsevich przeszedł 13 września zakończyć kanałowe leczenie zęba. Wychodząc z domu, pożegnał się kolejno z siedmiomiesięczną córką Miją, a później z 31-letnią żoną Oksaną. Żartował, że pożyczą jej hulajnogę elektryczną, czyli zostawia ją bez samochodu. Był to lekko uszczypliwy żart podkreślający, że żona ciągle nie zrobiła prawa jazdy. Lubił żartować.

Wizyta umówiona była na godz. 12 w przychodni stomatologicznej Lux Med na ulicy Nowogrodzkiej 45. Tam też znaleziono hulajnogę. Dzianisa, a właściwie jego ciało, odnaleziono po godz. 16 w szpitalu na Lindleya 4. Dziurę pomiędzy godz. 12 a 16 próbuje wypełnić policja i prokuratura, która dopiero po zawiadomieniu rodzi-

ny wszczęła śledztwo. Jak dotychczas bez spektakularnych efektów. Po trzeciej próbie udało się wreszcie skutecznie doręczyć świadkom wezwania na przesłuchanie. Ale ciągle ich jeszcze nie przesłuchano. – *System wymiaru sprawiedliwości jest na granicy wydolności. Śmierć pana Dzianisa nie ma w sobie niczego z medialnej zbrodni, więc nie jest priorytetowa. Takie postępowania ciągną się miesiącami. Na samą opinię biegłego trzeba będzie czekać co najmniej pół roku. Sprawiedliwość w takim wydaniu staje się bardzo gorzka* – mówi adwokat Robert Ofiara, który reprezentuje rodzinę zmarłego.

Ślady

Pozostają więc okruszki, z których rodzina zaczęła sama rekonstruować zdarzenia. Aleksiej, brat zmarłego, ma wszystko poukładane w segregatorze. Wziął pierwszy lepszy, nie zwrócił pewnie uwagi, że taki z angielskim napisem „Enjoy” (cieszyć się).

Wyciąga z niego kolejne kartki, jakieś kserokopie, własne notatki – ale takie z datami, a nawet godzinami. Na jednych pismo jest składne, niemal urzędowe. Na innych są jakieś trudne do rozczytania zapiski, nabazgrane nazwiska, trudne do odszyfrowania numery. To mapa jego poszukiwań. Najpierw brata, a później prawdy o jego śmierci.

Opowieść Aleksieja rządzi się logiką emocji. Pamięć gubi chronologię. Silniejsze bodźce wypierają te, które z perspektywy czasu stały się mniej istotne, jak godziny, w jakich poszukiwał brata, który nie odbierał komórki – co było dla niego niezwykle. – *Ani ze mną, ani z bratową nikt z Lux Medu się nie kontaktował i nie powiedział, co się stało w gabinecie. Kiedy Dzianis nie odbierał ani nie odzwaniał, bratowa sama zadzwoniła na infolinię ogólną. Tam jej powiedzieli, że zabieg skończył się o godz. 13 i brata trzeba szukać gdzie indziej* – mówi Aleksiej. ▶

► Oficjalnie w Lux Medzie też nie można się dowiedzieć, co się wydarzyło w ich gabinecie dentystrycznym. Pytania odbijają się od korporacyjnego muru oficjalnego profesjonalizmu. „Czy to prawda, że w trakcie przedłużającej się nieobecności pana Harbatsevicha z Państwa placówką skontaktowała się żona Oksana Harbatsevich, którą poinformowaliście Państwo, że mąż jest w trakcie rutynowego zabiegu, kiedy tymczasem walczył już o życie?”. Pozornie proste pytania kończą się trudną odpowiedzią: „W Lux Med wszelkie ewentualne zdarzenia są analizowane przez nasze zespoły nadzoru klinicznego zgodnie z przyjętymi procedurami bezpieczeństwa, jednak wyniki mogą być przekazywane wyłącznie osobom i instytucjom upoważnionym do tego zgodnie z przepisami prawa”. Na trudne pytanie: „Jakie czynności podjął personel placówki w celu podtrzymania pacjenta przy życiu?”, odpowiedzi są jeszcze trudniejsze i obwarowane prawniczym żargonem: „Artykuł 14 ust. 3 ustawy o prawach pacjenta i rzeczniku praw pacjenta wskazuje, że »Osoby wykonujące zawód medyczny, z wyjątkiem przypadków, o których mowa w ust. 2 pkt 1–3, są związane tajemnicą również po śmierci pacjenta, chyba że zgodę na ujawnienie tajemnicy wyrazi osoba bliska”. Szkopuł w tym, że osoby bliskie też chciałyby się dowiedzieć, co się wydarzyło w gabinecie. Teraz mają poczucie, że wraz ze stratą bliskiego stracili też prawo do prawdy.

Akurat w tej rodzinie wiedzą, że prawda może mieć wysoką cenę. Matka Oksany to rodzona siostra Alesia Białackiego. O bracie trudno jej mówić. Głównie ze względu na barierę językową. Próbuje, ale co chwila obraca głowę w kierunku córki, żeby może ona jednak coś opowiedziała o wuju. Wstydzi się, że sama po polsku nie potrafi. Do Polski bardziej uciekła, niż przyjechała. W kwietniu 2021 r. była już w Warszawie, a w lipcu znowu aresztowali jej brata. – *No jaki jest? Zuykły* – mówi, o człowieku, który w 2022 r. został wyróżniony Pokojową Nagrodą Nobla za heroiczną walkę o prawa człowieka. Co i tak nie uchroniło go przed kolejnym, tym razem 10-letnim wyrokiem. Za co siedzi? – *No za prawdę. W Białorusi prawda to niebezpieczna rzecz* – tłumaczy. I cieszy się, że wyszło jej takie ładne zdanie, które każdy może zrozumieć.

Między nią a bratem jest duża różnica wieku. Różnic jest więcej. – *My prości ludzie. Rodzice też byli prości ludzie. On uczoney. Ale my się nigdy nie pokłócili* – mówi z powagą. Swobodniej o tym, jak przyjeżdżała do brata na działkę, bo dał jej kawałek ziemi, żeby sobie posadziła

cebulę, kartoszki. – *Mieszkanie zabrali wcześniej, bo konfiskata mienia była. Ale działka została* – opowiada. Po wyborach prezydenckich w sierpniu 2020 r. wiadomo było, że i działką nie pocieszą się za długo. – *Jemu mówili uciekaj, a on: jak uciekaj, kiedy ludzi nie zostawię?* – opowiada mama Oksany. Czy napisała do brata o śmierci Dzianisa? – *Listy nie dochodzą. A zresztą co napisać?* – pyta.

Torba

W przedpokojku mieszkania Harbatsevichów stoi złożona hulajnoga. To ta, na której mąż Oksany pojechał do dentysty. Resztę rzeczy dostała w szpitalu w worku na śmieci. Z tego, co wyciągnęła z worka, próbowała zrekonstruować wydarzenia z gabinetu. Na wierzchu leżał ciemno granatowy T-shirt, w którym wyszedł z domu. Dziwnie było jej trzymać ten kawałek bawełny, który sama mu kupiła, a teraz ledwo poznała. Przez środek szła długa, nierówna linia cięcia. – *Widać było, że ten, który ciął koszulkę, musiał być w nerwach* – mówi Oksana ze spokojem, który dają tylko leki od specjalisty. Pamięta, że koszulka była mokra. Nie wilgotna, ale mokra od potu męża. – *Czytałam, że kiedy jest wstrząs anafilaktyczny, to ludzie się bardzo pocą* – tłumaczy. Jeśli czytała ten sam opis, to pewnie wie również, że niektórzy najpierw mają poczucie suchości w ustach. Szybko robi im się słabo. Są zdziwieni jak dzieci tym, co się wydarza, żeby za chwilę całkiem stracić świadomość. Wstrząs potrafi być bardzo szybki. Organizm reaguje gwałtownie. – *Tego dnia było ciepło. Mąż zalał swoje ulubione szorty. Wyrzuciłam je do kosza, bo całe były w tych no, w wymiotach* – mówi Oksana. Po wymiotach są jeszcze drgawki. Czasem bardzo silne. Organizm się broni. Im szybciej przegrywa, tym bardziej walczy. Zwłaszcza jeśli jest to organizm młodego i silnego mężczyzny.

Z tego, co Oksana dowiedziała się już w szpitalu, zespół reanimacyjny opuścił placówkę Lux Medu kilka minut po godz. 13. Wizyta musiała się więc zacząć o godz. 12 i do pewnego momentu przebiegać w miarę normalnie. Później wydarzyło się coś dramatycznego. Ze szpitalnych dokumentów dowiedziała się, że w trakcie przyjęcia stan jej męża opisany został jako „skrajnie ciężki, kończyny wiotkie, bez reakcji na bodźce”. Do szpitala na Lindleya przyjechała już właściwie cała, a nie pacjent. W tym czasie rodzina ciągle jeszcze prowadziła poszukiwania. Po godz. 15 włączył się w nie brat Aleksiej. To jemu udało się dodzwonić na numer Dzianisa. – *Ja przez pół godziny dzwonił na jego numer non stop. W jakimś momencie odebrała*

kobieta z OIOM-a. Taka, co trzyma rzeczy, i powiedziała, żebym przyjechał i je zabrał, bo brat mój jest w szpitalu – opowiada.

Aleksiej pewnych rzeczy nie pamięta. Na przykład, co mówił do bratowej w trakcie jazdy do szpitala. Albo co spodziewał się zastać na miejscu. Inne rzeczy pamięta z kolei bardzo dokładnie. Potrafi nawet odtworzyć zdania słowo po słowie. Jego trauma jest podwójna. Kiedy miał 15 lat, zmarła ich matka. Jak mówi, najprawdopodobniej w wyniku błędu medycznego. – *Wtedy lekarze wpisali w kartę zgonu, że w ciele odkryto groźną dla zdrowia ludzkiego bakterię. Ciało mamy zostało pochowane w trybie pilnym i bez możliwości kontaktu. Ale to było na Białorusi. Tu, w Polsce, to ja myślał, że to działa inaczej* – mówi z silnym wschodnim akcentem, nad którym przestaje panować, kiedy się denerwuje.

Kropka

– *Brat mój miał 32 lata, a teraz miałby już 33* – mówi Aleksiej miesiąc po śmierci. Przy czym sam moment śmierci jest umowny. Czy 13 września późnym popołudniem brat ciągle żył, czy był już martwy, tylko nikt tego jeszcze nie stwierdził? Kiedy pierwszy raz zobaczył go w szpitalu, leżał nieobecny, podłączony do rurek, opasany jakimiś kabełkami. Jedynym śladem życia była kropka pulsująca na monitorze koło jego ciała. Napełniał się worek podłączony do cewnika. Nerki pracowały. Według wstępnych badań mózg już nie.

Aleksiej skupia się na faktach, poza które stara się nie wychodzić. Tak jakby się bał, że opowieść pociągnięta dalej rozmyje się, będzie mniej precyzyjna. A informacja o tym, że brat na 33. urodziny zaplanował wspólne wejście z 10-letnim synem Maksimem na Giewont, była czymś zbyt odciągającym uwagę. Bez znaczenia w tej urzędowej walce na daty i zdarzenia.

Dalej trzymając się faktów, Aleksiej zapewnia, że brat dużo pracował, że fizycznie był mocny, co pewnie jest jakąś kalką językową. – *Zaczął nawet ćwiczyć KSW, sztuki walki, i był taki na ciężką robotę. Pracował jako kierowca dostawca w firmie dowożącej zakupy do domu. I dlatego uważam, że miał bardzo dobre zdrowie. Domyślałam się, że będą się starać znaleźć u niego jakieś choroby* – mówi Aleksiej, dalej brnąc w kolejne kalki. Język jest tu istotny. Język jest oznaką inności. Inność to słabość, która pozwala na więcej. – *W szpitalu zaczęli mówić, że w Polsce jest takie prawo, że jak umiera człowiek, to jemu muszą wyciąć organy, żeby uratować życie komuś innemu. I jeżeli my mamy jakieś potwierdzenie, że brat był przeciwko tego, to musimy je pokazać. Ale od nas nic*

nie zależy. Zgodziliśmy się, bo myśleliśmy, że prawo jest prawo – mówi.

Jednak kilka godzin później zaczął szukać prawa na własną rękę. 14 września wieczorem Aleksiej poszedł na policję zgłosić śmierć brata, który formalnie ciągle jeszcze żył. – *Zawiadomienia przyjąć nie chcieli. Policjant tłumaczył mi, że ludzie od szoku anafilaktycznego umierają, to jest normalnie* – mówi. Tamtego dnia Aleksiejowi wszystko wydawało się jednak nienormalne. Nawet wypowiedź policjanta, który stwierdził, że jego koleżanka też dostała takiego szoku, kiedy zjadła łososia. – *I że w związku z tym, że to jest normalne, w Polsce nie zakładają takich spraw, że nie ma takiej praktyki. Dopiero jak powiedzialem, że dla niego mój brat to obcy człowiek, a co, jak następnym razem ten policjant albo jego syn pójdzie leczyć zęba i nie wróci?* – wtedy przyjął moją sprawę – opowiada Aleksiej.

15 września zgłosił się również do prokuratury, żeby sprawdzić, czy sprawie nadano bieg i czy aby na pewno powstrzyma to pobranie organów. – *Wraz z organami straciłbym szansę na stwierdzenie, co się tak naprawdę stało z bratem, dlaczego umarł i czy musiał* – tłumaczy Aleksiej. Zapewnia, że szuka prawdy, a nie zemsty. Zemsta brata mu nie zwróci. – *Ale to jest śmierć człowieka. Jak nikogo winnego tam nie ma i stało się, jak stało, taki los, to znaczy nikomu nic nie będzie* – mówi.

Dawca

W piątek 15 września Oksana dostała telefon ze szpitala, żeby przyszła pozebrać się z mężem. Bardzo trudno zadawać jej pytania w tej kwestii. Na jedne

reaguje, jak gdyby opowiadała o wyjściu na zakupy. Przy innych zapada się w sobie, jakby jakiś ogromny ciężar ciągnął ją na dno. To ten moment, kiedy ból przebija się przez zasłonę z leków, które mają chronić ją i jej dzieci.

Tam, w szpitalu, ona mówiła, on leżał. Liczyła, że może chociaż drgnie jakiś mięsień albo nagle cudownie odpowie. Jedynym dźwiękiem pozostawał szum aparatury podtrzymującej ciało, a właściwie organy przy życiu. Według informacji, jakie otrzymała, w wyniku dwukrotnie powtórnego badania stwierdzono trwale, nieodwracalne ustanie czynności mózgu. Tego samego dnia o godz. 15.03 komisyjnie stwierdzono zgon pacjenta. Dalej podtrzymywano opiekę nad zmarłym jako potencjalnym dawcą narządów. Wobec postanowienia prokuratury o braku zgody na pobranie organów odstąpiono od dalszej opieki. Zwłoki pacjenta zabezpieczono zgodnie z procedurą i przekazano do chłodni.

Z perspektywy 10-letniego Maksima śmierć ojca była właściwie zniknięciem. Rano ojciec zrobił mu śniadanie do szkoły. Po południu już go nie zastał w domu. A dwa dni później ojciec przestał istnieć. Zniknął do tego stopnia, że pogrzeb udało się zorganizować dopiero 30 października, bo ciało zawieruszyło się pomiędzy procedurami i instytucjami.

Oksana mówi, że od samego początku zaczęła tak działać, żeby świat syna się nie rozsypał. Poszła z nim kupić nowe buty do szkoły. Robiła wszystko, żeby przy nim nie płakać. Trochę jak w teatrze prowadziła normalne życie. Taka gra, która nie przetrwała żadnej próby

czasu. – *W połowie października Mija miała zapalenia płuc i trafiła do szpitala. Maksim dostał leków, że ona też umrze, a może nawet już nie żyje, i musiałam mu nagrywać i wysyłać filmiki, że siostra ma się dobrze* – opowiada Oksana. Nieważne, jak bardzo staraliby się normalnie funkcjonować, ciągle potykają się o tę śmierć i tajemnicę, która ją spowija.

Krucze ciasteczko

Próbuję się dowiedzieć czegoś więcej u anestezjologów, którzy mierzą się z takimi przypadkami. Dzwonię do takich, którzy mieli do czynienia ze wstrząsami anafilaktycznymi. Potrafią oszacować, ile kto miał szans i czy w ogóle jakieś. Nikt nie decyduje się na rozmowę bez pełnej wiedzy, w co wyposażony był gabinet, jak zareagował personel, jakie i kiedy podano leki. Akurat na pytanie o wyposażenie i ogólne procedury Lux Med odpowiada. Ale nawet w tym wypadku lekarze nie decydują się gdybać. Jeden rzuca tylko filozoficznie: – *Ludziom się wydaje, że życie jest jak kruche ciasteczko, a ono jest tylko kruche*.

Adwokat Robert Ofiara nie filozofuje. Twardo stąpa po ziemi. – *Wziąłem tę sprawę nie dlatego, że jest szczególnie wyjątkowa. Z mojego doświadczenia zawodowego wynika, że jest wręcz jedną z wielu. Śmierć była nagła i zachodzą wątpliwości, czy wszystko odbyło się jak trzeba. Trwające miesiącami śledztwo tych wątpliwości nie pomniejsza. Nie można się dziwić, że ludziom coraz trudniej wierzyć w sprawiedliwość* – mówi Robert Ofiara.

JULIUSZ CŹWIELUCH

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 17.11 – 20.12.2023

☃ Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024 ☃

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek





Mieszkania widmo

Politycy Partii Republikańskiej mieli pokazać, jak budować tanie mieszkania na wynajem, aby zatrzeć złe wrażenie po klapie programu Mieszkanie Plus. Wydali ok. 2,5 mld zł, nie zbudowali żadnego. Wykarmili za to wielu działaczy partii.

JOANNA SOLSKA

Codzi o Krajowy Zasób Nieruchomości, powołany w 2018 r. do przejmowania państwowych gruntów i realizacji na nich programu budowy mieszkań na wynajem. W rzeczywistości rola tej państwowej firmy ograniczyła się do gromadzenia gruntów, samą budową miała się zająć inna państwowa spółka PFR Nieruchomości. Kiedy rząd odwołał Mieszkanie Plus, idea budowy tanich mieszkań wróciła w całości do KZN.

Co ważniejsze – zarządzanie bankiem państwowej ziemi trafiło w ręce Partii Republikańskiej Adama Bielana. Jako łup polityczny, którym nagrodzono go za rozbitcie partii Porozumienie Jarosława Gowina i uratowanie większości sejmowej dla Zjednoczonej Prawicy. Nowy pomysł na budowę tanich mieszkań miał polegać na tworzeniu przez KZN Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych (SIM), czyli spółek z samorządami terytorialnymi zainteresowanymi budową. SIM miały też tanimi lokalami zarządzać. Aport w postaci ziemi mógł wносить KZN albo gminy. Brzmiało dobrze. Przy okazji dawało szansę na pomnożenie liczby świetnie opłacanych stanowisk, w samym KZN było ich zaledwie kilkadziesiąt. W każdej SIM potrzebny jest prezes, pracownicy, rady nadzorcze.

Po ponad dwóch latach od opowania KZN przez Partię Republikańską jego pracownicy anonimowo skierowali list otwarty do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej, któremu podlega KZN. Alarmują, że chociaż SIM powstało już 35, to do tej pory żadna ze spółek nie zrealizowała ani jednej inwestycji mieszkaniowej. Ministerstwo przysłało kontrolę, która nie dopatrzyła się żadnych poważniejszych nieprawidłowości. Zauważyła tylko, że sam KZN wyjątkowo dużo osób zatrudnia w piarze i promocji.

Szefem KZN od września 2021 r. jest Arkadiusz Urban, wiceprzewodniczący partii Bielana, z pensją ponad 30 tys. zł. W poprzedniej kadencji startował na posła z Kukiz'15, ale się do Sejmu nie dostał. Trafił do partii Gowina, potem poszedł za Bielanem. Z jego partią związany jest też wiceprezes Jakub Pyżanowski, drugi zastępca to człowiek Marcina Ociepy, wiceministra MON.

Zasób, zanim zaczęli nim zarządzać republikanie, przejmował grunty państwowe, których dysponentami byli: Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, Agencja Mienia Wojskowego oraz starostowie. Lasy Państwowe się wybroniły, duże spółki kontrolowane przez polityków także. Ale i tak do KZN trafiły perełki, takie jak np. 4,6 ha gruntów na Pradze w Warszawie, warte ponad 100 mln zł, czy podobnej wartości grunty przy

Siennej Grobli w Gdańsku, a także ponad 40 ha w Parzniewie, na granicy z Pruszkowem. Wielu ostrzy sobie na nie zęby.

W namawianiu chętnych do przystąpienia do spółki z KZN prezes Urban był skuteczny. – Budujemy dla rodzin, które nie mają zdolności kredytowej, ale mają czynszową – zachęcał. Stawki czynszu obiecywał nawet o połowę niższe od rynkowych. Finansowy ciężar przedsięwzięcia miało w lwiej części wziąć na siebie państwo. Kosztów nikt nie liczył. Jednym słowem – eldorado. Zwłaszcza że w przyszłości chętni lokatorzy mogliby nawet skorzystać z opcji dojścia do własności.

Przepompownia

W siedzibie państwowego KZN przy Nowym Świecie w Warszawie po wyborach panuje zamieszanie. Liczne faktury za tankowanie służbowych samochodów i rachunki za hotele – czyli wydatki poniesione w kampanii wyborczej przy promowaniu kandydatów na posłów, m.in. Łukasza Mejzy – trzeba teraz opisać w taki sposób, by wyglądały na koszty poniesione w związku z kontrolami w Społecznych Inicjatywach Mieszkaniowych. W ostatnich wyborach partia Bielana wprowadziła do Sejmu czterech posłów. Kampanię – jak zapewniają moi informatorzy związani z KZN – w dużej części sfinansowała państwowa firma.

Nowy rząd o tym, co naprawdę robi KZN, a zwłaszcza jak wielkimi pieniędzmi obraca i skąd je bierze, dowie się dopiero z audytu, jeśli go przeprowadzi. Firma żyje głównie z dotacji, działa non profit, jej finanse nie rzucają się w oczy. Ale dysponuje Rządowym Funduszem Rozwoju Mieszkalnictwa, powołanym z Funduszu Przeciwdziałania Covid, którym zarządza Bank Gospodarstwa Krajowego pod dyktando premiera. KZN właśnie czeka na kolejne 700 mln zł z BGK, które wpłyną na konto RFRM. Wyborami się nie przejmuje. Właśnie dostał 50 mln zł. Jak tylko BGK sprzeda obligacje, kolejna transza zasili konto. Zgodę wydał premier Morawiecki jeszcze przed wyborami, dyspozycję akceptował wiceminister finansów Sebastian Skuza. Obligacje są gwarantowane przez państwo, wykupią je podatnicy. Od 2021 r. KZN na budowę tanich mieszkań rozdysponował już ponad 2,5 mld zł. Zobowiązał się wybudować 30 tys. lokali mieszkalnych.

Mimo przegranych wyborów przedstawiciele KZN i rządu ciągle rozdają tekturowe czeki gminom, które wstąpiły do SIM. W SIM gminy są udziałowcami, podobnie jak KZN. Jednak wszystkie dotacje, jakie gmina otrzymuje od państwa, płyną na konto SIM KZN, do którego gmina wstąpiła. Jak to wygląda w praktyce?

Na przykład z 7,6 mln zł, jakie dostało miasto Świdwin oraz gmina Biały Bór, mieszkańcy zobaczyli tylko tekturowe czeki, pieniądze poszły na konto SIM. To spółka je wydaje.



Na razie głównie na płace dla pracowników. Obie gminy należą do SIM KZN Zachodniopomorskie od 2021 r., żadne mieszkania tam jeszcze nie powstały. Wspomniane 7,6 mln miało być przeznaczone na... wylanie fundamentów pod blok, który dopiero ma być zbudowany w Świdwinie.

Nie wszyscy władarze gmin już się zorientowali, że chociaż pieniędzy z dotacji nawet nie dotknęli, to kiedyś zostaną z nich rozliczeni, to przecież pomoc publiczna dla gmin na budowę mieszkań. Przed wyborami samorządowymi rozliczą ich także mieszkańcy.

Zaczęli z przytutem

Program SIM zainicjował prezydent Stalowej Woli Lucjusz Nadberezny, nazywany złotym dzieckiem PiS. W marcu 2021 r. powstała pierwsza Społeczna Inicjatywa Mieszkania Stalowa Wola. Władze miasta ogłosiły, że to historyczne wydarzenie, drugie po powołaniu Centralnego Okręgu Przemysłowego. Nowoczesne osiedla mieszkaniowe w myśl obietnic miały samorządów prawie nic nie kosztować. Lwią część

ich sfinansowania wzięło na siebie państwo (o czym nowy rząd zapewne jeszcze nie wie).

Po roku mieszkańcy Stalowej Woli ciągle nowych mieszkań nie zobaczyli, ale prezydent dalej roztaczał piękną wizję. Jako pierwsze miało powstać Osiedle Ogrodowe, osiem czterokondygnacyjnych budynków, w sumie 236 mieszkań: od jedno- do nawet pięciopokojowych; do każdego przypisana komórka. Kolejne osiedle – Parkowe – prezydent zapowiedział jako jeszcze większe, powstaną tam 33 bloki wielorodzinne z całą niezbędną infrastrukturą, szkołą, sklepami, parkingami. Żeby ludzie uwierzyli, że coś się jednak dzieje, rozpisano ankietę. 605 osób wypowiedziało się, jak nowe mieszkania powinny wyglądać. (Przed wszystkim – nowoczesnie, czyli z kuchnią otwartą na salon). Ankietę wypełnili nawet ci, którzy już zdążyli ze Stalowej Woli wyemigrować do Irlandii, Wielkiej Brytanii czy Niemiec, ale – mając w perspektywie otrzymanie taniego lokum – nie wykluczają powrotu. Minęło dwa i pół roku, ciągle nie ma do czego wracać. ►

► 7 sierpnia 2023 r. SIM Stalowa Wola znów o sobie przypominała. Oficjalnie otwarto oferty na wyłonienie wykonawcy pierwszego etapu budowy, której przez ponad dwa lata nie zdołano nawet rozpocząć. A teraz niespodzianka – władze miasta, wojewoda, a także KZN od początku wiedziały, że do terenów, na których powstać mają osiedla marzeń, rozszczenia reprivatyzacyjne zgłosili dawni właściciele. Włączanie ich do SIM jest bezprawne.

BGK się przestraszył

Mimo takich doświadczeń gmin chętnych do przystąpienia do SIM jednak przybywa, dają się skusić obietnicami. Akwizycja po wyborach jeszcze się nasiliła. Zarządy SIM i KZN są tym osobiście zainteresowane.

Żeby wstąpić do SIM, samorząd musi wpłacić jako aport 3 mln zł, ale dostaje je od RFRM, gmina nie wydaje więc nawet złotówki. – *W każdej SIM jest co najmniej kilkanaście gmin, a powinno być 20 udziałowców, więc już na starcie SIM ma do wydania ok. 60 mln zł* – zauważa pracownik KZN. W następnym kroku wystarczy wypełnić wniosek, aby z tego samego funduszu otrzymać kolejny prezent, czyli równowartość 10 proc. realizacji inwestycji. – *Nie sformułowano żadnych kryteriów ich przyznawania, więc dostawał niemal każdy, kto wiedział i wypełnił wniosek, nawet ci, którzy nie mieli gruntu pod budowę* – stwierdza nasz informator z KZN. Pieniądze zasilała konto SIM, której prezesa wskazuje KZN. Jego pensja wynosi 15 tys. zł.

Prezesa SIM KZN Toruń namaściła Iwona Machałek, posłanka PiS, pofatygowała się nawet na zebranie założycielskie. W nadziei na mieszkania wstąpiło do spółki kilkanaście gmin, a także miasto Grudziądz. Przedstawiciel jednej z nich już na pierwszym zebraniu zorientował się, że prezes nie tylko z budownictwem nie miał nic wspólnego, lecz nie umiał nawet poprowadzić zgromadzenia wspólników. – *Pieniądze spółki się kończą, ale żadna budowa bloku nawet nie została rozpoczęta. Żadna w miarę sprawna firma budowlana nie pozwoliłaby sobie na takie marnotrawstwo czasu, bo to oznacza, że pieniądze są źle wydawane, a koszty rosną* – stwierdza przedstawiciel jednego z udziałowców.

Władzom SIM KZN Południowe Podlasie przyjrzała się Ewelina Burda, dziennikarka dziennikawschodniego.pl. – *Spółka do budowy mieszkań stała się łakomym kąskiem dla lokalnych działaczy PiS, więc ją zawłaszczili* – stwierdza Burda. I wylicza: prezesem został Dariusz Litwiniuk, miejski radny PiS i kierownik filii Urzędu Marszałkowskiego w Białej Podlaskiej, który zamierza się ubiegać o fotel prezydenta miasta. Łączy oba stanowiska, w SIM dużo do roboty nie ma. W radzie nadzorczej są: Dominik Bierecki, syn senatora oraz szef jego biura w mieście, a także Renata Stefaniuk, żona posła Stefaniuka. Wcześniej zatrudniona w kilku innych radach spółek państwowych. SIM płacą dobrze, a kwalifikacji nie wymagają.

Za ojca chrzestnego SIM KZN Łódzkie uważany jest tamtejszy polityk republikanów Włodzimierz Tomaszewski. KZN wniósł do spółki działkę w Pabianicach, ale tu także nic się nie buduje. Grzegorz Mackiewicz, prezydent miasta, nie chce jednak o SIM rozmawiać, za inicjatywę odpowiada jego zastępczyni. Rzeczniczka miasta zapewnia, że SIM już dostała pozwolenie na budowę. Wkrótce ogłosi przetarg na wykonawcę.

Podsumujmy: każda SIM już na starcie dostała ok. 60 mln. Z przelewów, jakie pokazują pracownicy KZN, wynika, że KZN rozdysponował już 2,5 mld zł, a teraz czeka na kolejne 700 mln z BGK.

Najbardziej łakomego kęsa KZN jeszcze jednak nie dostał, to kolejna obietnica, na którą skusiły się samorządy. Miała nią być następna dotacja – w wysokości aż 35 proc. kosztów inwestycji – tym razem z Funduszu Dopłat BGK. W tym roku już został wyczerpany.

Chyba wreszcie przestraszył się także Bank Gospodarstwa Krajowego, który zgodnie z zapewnieniami szefa KZN miał udzielić taniego kredytu na dokończenie niezaczętych nawet budów. – *Na ten kredyt chyba SIM nie mogą jednak liczyć* – przypuszczają nasi informatorzy z KZN. – *Bank traktuje SIM jak nowo założone firmy, niemające żadnej historii kredytowej, żadnych sukcesów na koncie. Przez ponad dwa i pół roku niczego nie zrobiły, ich wiarygodność kredytowa jest żadna. To nie daje nadziei, żeby nawet tani kredyt został kiedykolwiek zwrócony.*

Arkadiusz Urban najwyraźniej jest tego świadom, więc w Telewizji Republika proponuje rozwiązanie. Ma nim być powstanie kolejnego funduszu zasilanego pieniędzmi publicznymi, czyli Funduszu Gwarancji. Z jego niejasnej wypowiedzi wynika, że to ten fundusz publicznymi pieniędzmi miałby spłacić kredyty niezwrócone przez SIM.

Gdzie te mieszkania

Mieszkania nie powstają, ale problem rośnie. SIM-ów jest już w kraju 35, a KZN zapowiada, że do końca roku będzie ich nawet 50. Czyli z pomocy publicznej, chociażby tylko pierwszej dotacji w wysokości 3 mln zł, skorzystało już ok. 700 samorządów, a kolejne kilkadziesiąt wyciągnie po nią rękę, bo odchodzący rząd im ją obiecał.

Burmistrz miasta na Podlasiu z lękiem myśli o zbliżających się wyborach samorządowych. On także wstąpił do SIM KZN Podlasie. Jak miał nie wstąpić, skoro wyglądało, że miasto może mieć mieszkania bez ponoszenia kosztów? Zwłaszcza że miasto wniosło do SIM swoją działkę jako aport. Burmistrz szybko się zorientował, że władze SIM, do którego wstąpili, raczej żadnych mieszkań nie zbudują. – *Ale ja nie mogę z tej inicjatywy wystąpić* – rozpacza. Miasto musiałoby nie tylko oddać 3 mln dotacji, ale też straciłoby własne grunty pod mieszkania.

Jedyny, którego sytuacja nie niepokoi, to Janusz Wróbel, burmistrz Pruszcza Gdańskiego. On także decyzji o wstąpieniu do SIM KZN Pomorze pożałował już po kilku miesiącach. Patrząc na przerosty zatrudnienia i niekompetencję, przestraszył się, że jeśli nawet te mieszkania kiedykolwiek powstaną, to koszty ich budowy będą ogromne. Więc władze Pruszcza Gdańskiego oficjalnie z SIM KZN Pomorze wystąpiły, a własnej działki pod budowę do spółki przezornie nie przekazały. Miasto umowę z SIM sporządziło z głową, wynika z niej, że to SIM nie dotrzymał warunków. Spółka nie zareagowała.

W innych gminach mieszkańcy coraz częściej pytają, gdzie te obiecane mieszkania. Samorząd Wieliczki, która również tanich mieszkań na wynajem na razie nie zobaczyła, ogłosił więc już nabór chętnych do otrzymania kluczy. Prezes SIM KZN Toruński, żeby pokazać, że coś robi, poszedł jeszcze dalej. W Lipnie (nomen omen?) podpisał pierwsze umowy z mieszkańcami bloków, które dopiero są w planie.

Nowy rząd też ma plany budowy tanich mieszkań na wynajem, ale będzie musiał zaczynać od zera. A nawet od mniej niż zero, bo już wydane miliardy rozeszły się po spółkach i ich kadrach.

JOANNA SOLSKA





Naród funduje

Jedną z pierwszych instytucji zlikwidowanych przez nowy rząd ma być Polska Fundacja Narodowa. W ciągu swej 7-letniej działalności dała się poznać jako państwo PiS w pigułce: wydająca po uważaniu ogromne pieniądze i stojąca ponad prawem.

MARCIN PIĄTEK

Wynik wyborów parlamentarnych zmroził działalność Polskiej Fundacji Narodowej. Odkąd stało się jasne, że niebawem nastąpi nowe polityczne rozdanie, w sekcji aktualności na stronie internetowej PFN umieszczono krótkie wpisy z akcji o lokalnym charakterze: wsparcie konkursu

Dobry Wzór, udział w realizacji oratorium w kościele w podwarszawskim Helenowie. Telefony milczą, wysłane mailowo pytania pozostają bez odpowiedzi.

PFN została powołana w 2016 r. do promocji Polski za granicą. Jak mówiła na konferencji prasowej ówczesna premier Beata Szydło, zadaniem instytucji jest pokazywanie „Polski ambitnej, pięknej i przyjaznej, do której warto przyjechać, gdzie są ogromne możliwości i wspinali ludzie”.

– Zamiast promować pozytywny wizerunek kraju, PFN go rujnowała. Jej działalność to czarna karta w historii polskiego piaru. Przypomnę, że zaczęła od billboardowej kampanii wymierzonej w sędziów i mającej uzasadnić czystki w wymiarze sprawiedliwości. Na partyjny użytek sięgnięto wówczas do perfidnej manipulacji i podważono zaufanie do jednego z filarów państwa. Nawet Kreml nie byłby w stanie tego przeprowadzić, bo nie ma dostępu do takich narzędzi, jak kupowanie powierzchni reklamowej na billboardach – mówi Adam Łaszyn, szef agencji Alert Media Communications.

Akcja kosztowała 8,4 mln zł, a stał za nią m.in. zaangażowany w kampanie wyborcze PiS duet piarowców Anna Plakwicz i Piotr Matczuk. Wydatku na taki cel nie dało się uzasadnić statutowymi powinnościami PFN. Po skargach upolityczniona prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie szkody majątkowej wyrządzonej PFN, jak również przekroczenia uprawnień przez jej władze, jednak umorzyła je pod błahym pretekstem. Do wznowienia postępowania zmusił ją dopiero sąd, przy okazji stwierdzając w uzasadnieniu, że podjęte w tej ►

► kampanii działania „nie ochroniły wizerunku Rzeczypospolitej, ale wręcz przeciwnie, osłabiły go”.

Patrioci w reducie

Statut założycielski PFN jest pobazgrany parafkami. Na każdej stronie jest ich po 17, bo tyle właśnie spółek Skarbu Państwa otrzymało polityczny rozkaz powołania tego podmiotu. A następnie urządzenie na jego działalność zrzutki, na dobry początek, w wysokości 95 mln zł. W latach 2017–21 na działalność PFN państwowe spółki łącznie przekazały 373 mln. Sprawozdanie finansowe za ubiegły rok nie zostało wciąż opublikowane, choć poprzednie ukazywały się zwykle najpóźniej w czerwcu.

Kadrowo w PFN wylądował desant hurrapatriotów podzielających opinię, że Polacy zapisali w historii same piękne i dumne karty, nie mają absolutnie za co przeproszać, a ci, co otwarcie mówią o ciemnych kartach historii Polski, to zdrajcy narodowych interesów. Kuźnią tych kadr było środowisko „Gazety Polskiej”. Prezesem został Cezary Jurkiewicz, który szefował jednemu z lokalnych klubów „GP”, a przy okazji organizował służbę porządkową podczas smoleńskich miesięcznic. Potem zastąpił go były dziennikarz „GP” Filip Rdesiński, swego czasu wyrzucony z funkcji prezesa publicznego Radia Merkury z powodu działania na szkodę spółki. Gdy po wygranych przez PiS wyborach wrócił na stanowisko, przeprowadził czystkę wśród personelu, zakazał cytowania na antenie krytycznych wobec władzy mediów i wydał polecenie, aby codziennie nadawać „Rotę”, trzy minuty przed północą.

Przez władze PFN przewinęli się również Robert Lubański (prywatnie rodzina europośła PiS Zdzisława Krasnodębskiego) oraz Maciej Świrski, który sam siebie nazywa katolickim talibem, a wewnętrzny imperatyw walki o narodową dumę realizował jako szef Reduty Dobrego Imienia, strasząc procesami wszystkich, którzy w jego mniemaniu szkalowali Polskę i Polaków.

Karuzela z fotelami członków zarządu (w 2021 r. trzyosobowy zarząd zainkasował łącznie 835 tys. zł) kręciła się ostro z powodu kolejnych wpadek PFN, ale odchodzącym zapewniano jednak miękkie lądowanie: Rdesiński trafił na wiceprezowskie stanowisko do jednej ze spółek grupy Lotos, a Świrski został przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, gdzie już wstawił się nakładaniem pod byle pretekstem kar na media niezależne i krytyczne wobec

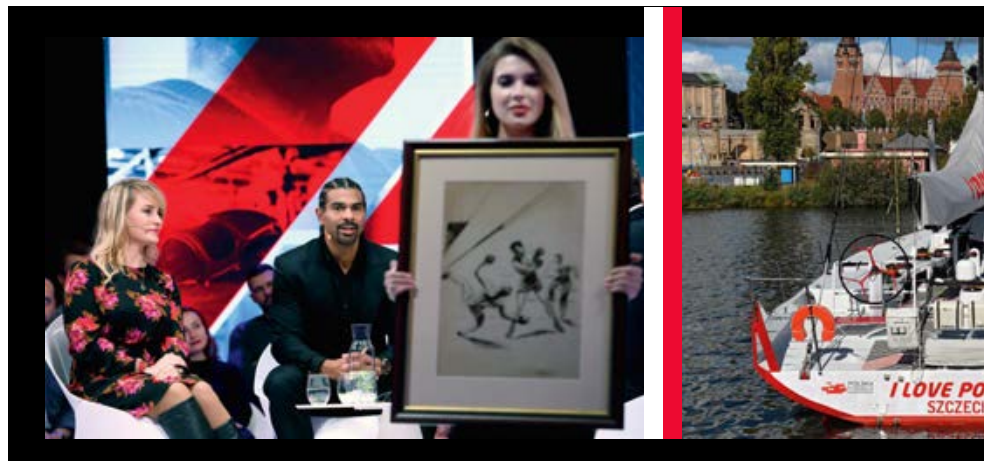
jego politycznych patronów. Ostatnie rozdanie w PFN to ludzie wywodzący się z resortu kultury kierowanego przez wicepremiera Piotra Glińskiego. Cezary Jurkiewicz wciąż znajduje się we władzach.

Akrobacje na lądzie i wodzie

Po billboardowym rozprawieniu się z sędziami PFN przystąpiła do spektakularnej ofensywy międzynarodowej, która miała sprowokować do pozytywnych skojarzeń z Polską. W tym celu kupiła jacht. Zamiast imienia wymalowano mu na burcie slogan „I love Poland” oraz przewidziano misję: udział w najbardziej

lat wcześniej na regatach Volvo Ocean Race, gdy jacht był znany jeszcze jako „Puma”. I że w ogóle tego typu jednostki – mierzące 70 stóp – miały opinię awaryjnych, bo olinowanie nie wytrzymało do granic możliwości żagle. Dlatego upowszechniono w zawodach nieco mniejsze, ale szybsze i bardziej wytrzymałe łódki klasy 65, a potem 60. *Ajlofka* z racji swoich rozmiarów nie mogła więc brać udziału w poważnych regatach, pozostał jej udział w trzeciorzędnych zawodach oraz rejsy szkoleniowe.

Przewidziany dla narodowego jachtu rozmach przyświecał również innym



Z działalności PFN: bokser David Haye w Warszawie w ramach projektu 100 x 100,

prestżowych regatach, włączając Sydney–Hobart oraz Puchar Ameryki.

Motorem pomysłu był żeglarski mistrz olimpijski Mateusz Kusznierewicz, ale okazało się, że na jednostkę, o jakiej marzył i która mogłaby faktycznie odegrać znaczącą rolę w tego typu zawodach, nie stać nawet PFN. Kupiono więc za 900 tys. euro łódkę z odzysku, na obsługę projektu zadeklarowano 3 mln zł rocznie, ale w międzyczasie Kusznierewicza – który zresztą wcześniej był w Komitecie poparcia prezydenckiej kandydatury Bronisława Komorowskiego – wyrzucono za burzę. Tłumaczono to nieuregulowaniem przez niego zobowiązań finansowych wobec załogi oraz wyprowadzaniem pieniędzy na projekt do zaprzyjaźnionych przedsiębiorstw.

Mórz i oceanów *ajlofka* nie podbiła, za to zrobiło się o niej głośno z powodu straty masztu na środku Atlantyku, co zresztą miało miejsce nie podczas zawodów, ale zwykłego kursu międzykontynentalnego. Szybko wyszło na jaw, że identyczna awaria zdarzyła się kilka

projektom PFN, zwłaszcza tym zaplanowanym w związku z przypadającymi na 2018 r. obchodami stulecia odzyskania niepodległości. Kontynuowano więc narodową kampanię promocyjną na morzach, oceanach i w portach, wspierając rejs dookoła świata „Daru Młodzieży”. Poszło na to 6 mln zł. A dokładniej na konto organizującej przedsięwzięcie Pallotyńskiej Fundacji Misyjnej Salvatti.

Na lądzie za to powstał projekt 100 x 100; sprowadzał się do tego, by zaprosić sto osobistości ze świata sportu, biznesu i kultury, znanych na całym świecie, które staną się następnie ambasadorami Polski jako kraju nowoczesnego, pięknego i dynamicznego. W ciągu roku udało się jednak skusić ledwie dziewięciu (najbardziej znani to aktor Jean Reno, współtwórca Apple'a Steve Wozniak oraz pięściarz David Haye i mistrz Formuły 1 Mika Hakkinen), którzy odbyli w Warszawie kurtuazyjną wizytę, pochwalili Polskę i Polaków, zasiadając na zamkniętych

spotkaniach przed wyselekcjonowanym audytorium. I na tym ich rola ambasadorów, z grubsza rzecz biorąc, się skończyła. Na znanych gości fundacja wydała w latach 2018–19 ponad 17 mln zł. Zysków trudno się doszukać

Jako jeden z kluczowych rynków pod względem narodowych interesów promocyjnych PFN wskazała Stany Zjednoczone. W celu podbicia Ameryki wynajęto tamtejszą agencję piarową White House Writers Group. Jej działalność – jak swego czasu ujawnił Onet – kosztowała ponad 20 mln zł, a firma nie wykazała się znajomością przedmiotu promocji: w mających słać Polskę profilach w mediach

działania informacyjne (...) przeciwdziałające stereotypom i dezinformacji. Dotarcie do jak najszerzej grupy odbiorców” – 17,4 mln zł. Albo: „Polska w Ameryce. Poprawa wizerunku Polski w USA” – 2,2 mln. Ewentualnie: „Polskie Dziedzictwo. Wschód. (...) Ochrona polskiego dziedzictwa na Kresach. Rozbudzenie w Polsce pamięci o Kresach” – 4,4 mln zł. „Debaty Dziennikarzy” – 977 tys. zł.

Na idące w setki milionów wydatki składały się enigmatycznie opisywane drobiazgi, jak np. „Śpiewnik” – 3 tys., album „Polska wobec Zagłady” – 7 tys., ale również duże projekty kulturalne

rację z powodu wątpliwości interpretacyjnych, czy NIK może w ogóle kontrolować tego rodzaju podmiot.

Bywało, że niekorzystne dla PFN orzeczenia sądów nie robiły na jej władzach większego wrażenia. Jan Kunert, dziennikarz TVN24: – *Ponad dwa lata temu wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uznał, po złożeniu przeze mnie skargi, że PFN musi ujawnić treść zawartych umów. Do tej pory jednak nie otrzymałem do nich wglądu. Pamiętam, że uzasadnienia tajności, na jakie powoływała się PFN, były tak kuriozalne, że aż zabawne. Np. że nie ma rejestru umów albo że musi dbać o prywatność usługobiorców, wzywano mnie też do wykazania interesu publicznego. Ale szczytem wszyskiego było stwierdzenie, że jest podmiotem prywatnym! Tak prywatnym, że jego powołanie obwieszczała ówczesna premier Szydło, działalność prowadzi za miliony przekazane z państwowych spółek, a nadzór sprawują wskazani w statucie ministrowie.*

W ramach walki o dobre imię Polski władze fundacji wytaczały pozwy o naruszenie dóbr osobistych tym, którzy zadawali niewygodne pytania albo obnażali ich niegospodarność. Było to klasyczne zastraszenie oraz próba powstrzymania kolejnych publikacji. Na pozwach z reguły się to zresztą kończyło; na posiedzeniach sądów nie stawiali się często wskazani przez PFN świadkowie ani pełnomocnicy fundacji. Pozwy były oddalane, PFN nie korzystała z prawa do apelacji (również w sprawie wytoczonej POLITYCE i niżej podpisanemu), a musiała pokrywać koszty zastępstwa procesowego, no i opłacać honoraria wynajętych kancelarii. Na mailowe pytanie, ile konkretnie z tego tytułu fundacja wydała, odpowiedź nie nadeszła.

Co przykrywa sos

Likwidacja PFN jest przesądzona, lecz może potrwać. Najpierw demokratyczna opozycja musi stworzyć rząd i wymienić władze w spółkach Skarbu Państwa, które są fundatorami fundacji. Arogancka nietransparentność PFN wydającej publiczne pieniądze powinna doczekać się rozliczenia pod kątem zgodności z prawem. Choćby z powodu nadużycia władzy i narażenia PFN na szkodę (kampania „Sprawiedliwe sądy”) czy też uchylania się od udostępniania informacji publicznej mimo sądowego wyroku. Wydatek kilkuset milionów złotych może i niespecjalnie przysłużyć się Polsce, ale niektórym Polakom na pewno.

MARCIN PIĄTEK



jacht zwany potocznie ajłofką i haniebna akcja billboardowa wymierzona w sędziów.

społecznościowych opublikowano zdjęcie Pragi jako Warszawy, a czterokrotnego mistrza olimpijskiego w skokach narciarskich Kamila Stocha podpisano jako narciarskiego akrobatę.

Tajne archiwum PFN

Przełożenie działalności WHWG na tworzenie wokół Polski pozytywnego klimatu za oceanem również trudno zmierzyć. Na pewno akcja opłacała się Markowi Chodakiewiczowi, mieszkającemu w USA historykowi, twardo trzymającemu bliską PiS linię eksponowania polskich zasług i zwalczania pedagogiki wstydu. Wraz z żoną i siostrą zainkasował za wykonane dla fundacji usługi niemal ćwierć miliona dolarów. Chodakiewicz jest zresztą znajomym Świrskiego, który jako wiceprezes fundacji podpisał umowę z WHWG.

Kto, ile i za co zarabiał jeszcze na zlecenie PFN, to wciąż strzeżona tajemnica. Publikowane sprawozdania finansowe z wydanych milionów zawierają ogólne. W rodzaju: „Reputacja – kompleksowe

(produkcja filmów) czy sportowe (stypendia dla najbardziej utalentowanych zawodników młodego pokolenia). – *Wygląda to na nachalną próbę PFN uzasadnienia swojego istnienia. Poprzez powielanie kompetencji innych instytucji – przeciwieństwo od finansowego wspierania naszej kinematografii jest Polski Instytut Sztuki Filmowej. A stypendia dla olimpijczyków może wypłacać Ministerstwo Sportu – mówi Adam Łaszyn.*

Próby ujawnienia usługodawców i beneficjentów PFN okazywały się bezskuteczne. Ignorowanie pytań od dziennikarzy było codziennością, ale od drzwi PFN odbijali się też posłowie (słyszac, że należy się najpierw zapowiedzieć i umówić na spotkanie), a nawet inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli. Na osobiste polecenie prezesa Izby Mariana Banasia kontrolerzy usiłowali się dowiedzieć, jak PFN wydatkuje otrzymywane z państwowych spółek pieniądze. Ale odmówiono im okazania dokumentów, prokuratura nie dopatrzyła się w związku z tym przestępstwa, a sąd przyznał jej

Minister wojny z korupcją

Rustem Umierow nie miał nic wspólnego z wojskiem. I to była jego główna zaleta, gdy w Ukrainie szukano szefa resortu obrony.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

Niedawno przekroczył czterdziestkę. Jest ekonomistą, biznesmenem. Doświadczenie w państwowej administracji ma niewielkie. Nie należy nawet do partii władzy ani bliskiego otoczenia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Co więc robi na tak eksponowanym stanowisku? I to w czasie wojny?

Minister obrony nie ma bezpośredniego wpływu na to, co się dzieje na froncie. To domena generałów. Jego odpowiedzialność to zaopatrzenie wojny, organizacja jej zaplecza i – co w przypadku Ukrainy bardzo ważne – negocjacje z sojusznikami w sprawie dostaw broni. Potrzebny jest nie wojownik, ale raczej ktoś z umiejętnościami menedżera, kwatermistrza i dyplomaty. Jeśli spojrzeć od tej strony, wybór Rustema Umierowa zaczyna być zrozumiały.

Mimo dość młodego wieku od ponad 20 lat jest w biznesie. Zaczynał od pracy w dużej sieci komórkowej Lifecell (turecki operator), gdzie awansował na kierownicze stanowiska. Potem był dyrektorem w dwóch międzynarodowych funduszach inwestycyjnych. W 2013 r. założył firmę inwestycyjną Astem, która działa głównie w Ukrainie, Turcji i USA. – *Gdy wszedł do polityki, przekazał wszystkie aktywa bratu* – podkreśla Jarosław Jurczyszyn, deputowany do Rady Najwyższej i były szef ukraińskiego oddziału Transparency International.

Umierow jest żonaty, ma dzieci, rodzina mieszka na Florydzie. Oprócz tego niewiele wiadomo. – *Pilnie strzeże swojej prywatności* – mówi jeden z jego znajomych. – *Jest religijnym muzulmaninem, codziennie odmawia modlitwy. Jednocześnie potrafi wpaść na przyjęcie z butelką wina, choć sam alkoholu nie pije.*

Człowiek z opozycji

Jurczyszyn poznał Umierowa w czasie kampanii wyborczej w 2019 r. Obaj startowali z list nowo powstałej, liberalnej i proeuropejskiej partii Głos. Ugrupowanie nie odniosło wielkiego sukcesu – zdobyło 17 mandatów. Ale dwa z nich przypadły Umierowowi i Jurczyszynowi. Wybory wygrała partia Sługa Narodu, założona przez Zełenskiego, a Głos znalazł się w opozycji. Umierow był aktywnym posłem i dbał, by zachować neutralność. Podkreślał np., że choć wybrano go z list Głosu, to nie należy do żadnej partii.

W lutym 2022 r. – po tym jak zaczęła się rosyjska inwazja – włączono go, jako przedstawiciela opozycji, do delegacji prowadzącej rozmowy z Rosjanami. Chodziło o zademonstrowanie, że ukraińska klasa polityczna wspólnie przeciwstawia się agresji. Umierow był też wygodny, bo nie miał powiązań z poprzednimi ekipami, np. Petra Poroszenki, która była w ostrym sporze z drużyną Zełenskiego.

Pozostał w ekipie negocjatorów na dłużej. Pomagał przy porozumieniu zbożowym i przy wymianie jeńców – jego specjalnością były negocjacje bez rozgłosu. Pomogły mu biznesowe znajomości z Turcji i z USA (biegle mówi po turecku



© UKRAINE PRESIDENT CY/UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS/FORUM

i angielsku). Przy tych rozmowach złapał też dobry kontakt z ludźmi Zełenskigo, którzy wysoko go cenili. Szczególnie ważna była znajomość z Andrijem Jermakiem, szefem prezydenckiej kancelarii, najbardziej wpływowym członkiem z otoczenia głowy państwa.

Człowiek z Krymu

W ukraińskiej elicie politycznej panuje przekonanie, że wyznaczenie Umierowa nie było przypadkiem. – *Jest przedstawicielem narodu krymsko-tatarskiego, który był dwukrotnie przymusowo przesiedlany: za Stalina i za Putina – mówi Jurczyszyn. – Jego nominacja jest więc jasnym sygnałem dla Rosji, że nie ma mowy o tym, byśmy zrezygnowali z półwyspu.*

Umierow urodził się w Uzbekistanie. Tam w 1944 r. na rozkaz Józefa Stalina wysiedlono całą populację Tatarów krymskich pod zarzutem kolaboracji z III Rzeszą. Tatarzy jako naród ZSRR byli najdłużej na wygnaniu. Władza radziecka pilnowała, by nie wracali. Ten stan utrzymał się do przełomu lat 80. i 90. – wtedy zaczęły się pierwsze powroty. Dramatyczne, bo Tatarzy wracali donikąd. W ich domach mieszkali obcy ludzie, a władze nie chciały w ramach rekompensat dawać choćby działek pod budowę domów. Tatarzy koczowali więc w namiotach na trawnikach w Symferopolu. Niektórzy zajmowali wagony stojące na bocznicach kolejowych.

Tak też wróciła rodzina Umierowa. Osiedlili się w rodzinnej Auszcie, gdzie jego dziad miał kiedyś kawiarnię, a pradziad był imamem. Na Krymie kończył średnią szkołę. Odbył staż w USA ►

Nowy minister Rustem Umierow z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, Kijów.



► w ramach sponsorowanego przez Departament Stanu programu Future Leaders Exchange. Po powrocie na półwysep zajmował się działalnością społeczną i charytatywną.

W rodzinnych stronach zdobywał pierwsze szlify polityczne. Jako 25-latek został delegatem Kongresu Narodowego Tatarów Krymskich. Tam też rozpoczął współpracę z Mustafą Dżemilewem – towarzyszył mu w podróżach zagranicznych, był jego asystentem, do tej pory jest jego doradcą. Dżemilew – lider Tatarów, więzień polityczny jeszcze z czasów ZSRR – cieszy się w Ukrainie ogromnym szacunkiem. Znajomość z nim z pewnością pomogła Umierowowi w karierze.

Wyznaczenie go na ministra obrony Tatarzy krymscy przyjęli z entuzjazmem. Bo choć wykazywali oni lojalność wobec Ukrainy, przez lata ich kariery polityczne były zablokowane. Powody były różne, m.in. łafka kolaborantów przypięta jeszcze w czasach stalinowskich. Ale po rewolucji godności i aneksji Krymu przez Rosję sytuacja zaczęła się zmieniać. Tatarzy zdecydowanie sprzeciwiali się okupacji półwyspu. Dostrzeżono ich. – *Można powiedzieć, że w polityce stali się modni. Partie zabiegały, by pojawiali się na ich listach* – mówi Taras Ibrahimow, ukraiński dziennikarz od lat opisujący społeczność tatarską. – *Nominacja Umierowa, została przez społeczność uznana za triumf sprawiedliwości.*

Człowiek z czystą kartą

Sluga Narodu Zełenskiego to polityczne pospolite ruszenie i lata u władzy – w tym afery korupcyjne, klótnie, dymisje i odejścia – bardzo osłabiły to ugrupowanie. Ławka rezerwowych jest coraz krótsza i czasami ekipa prezydenta jest zmuszona szukać wsparcia na zewnątrz. Umierow był idealnym kandydatem.

Sprawdził się jako negocjator. Potem powierzono mu przewodniczenie parlamentarnej komisji śledczej, która badała wykorzystanie pomocy zagranicznej napływającej do Ukrainy. W końcu Umierow złożył mandat i formalnie pożegnał się z partią Głos. A to dlatego, że Zełenski zaproponował mu stanowisko szefa Funduszu Mienia Państwowego.

Był to wyraz sporego zaufania. Fundusz nadzoruje spółki skarbu państwa oraz państwowe nieruchomości i je prywatyzuje. Od lat cieszy się paskudną reputacją. Jego szefowie albo dostają zarzuty korupcyjne, albo giną w niewyjaśnionych okolicznościach. Tym razem jednak chodziło o coś więcej niż pilnowanie zasad. Ukraiński budżet jest wydrenowany przez wojnę i gwałtownie potrzebuje pieniędzy. Umierow musiał więc sprzedawać majątek i to szybko.

Podszedł do zadania jak dobrze wyszkolony menedżer. Utworzył kilka funduszy, poprzez które można kupować składniki państwowego majątku. Wypracował transparentne procedury, np. dziś już można wydzierżawić od państwa ziemię rolną, wygrywając aukcję internetową. Umierow okazał się skuteczny. Wzmogło się zainteresowanie inwestorów przetargami. Przez pierwsze pół roku udało mu się wpłacić do kasy państwowej dziesiątki milionów dolarów.

Co jednak najważniejsze, Umierow bez względu na to, czy zarządzał majątkiem prywatnym czy państwowym, nigdy nie był oskarżany o korupcję lub działania niezgodne z prawem.

Tu tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego posada w ministerstwie obrony przypadła właśnie jemu. Jeszcze na długo przed Zełenskim korupcja w tym resorcie była legendarna. Generałowie i wysocy rangą urzędnicy dorabiali się gigantycznych majątków, nieadekwatnych do pensji. Przekrętów nie zatrzymała aneksja Krymu i rosyjska rebelia na Donbasie. W walkach na wschodzie kraju ginęli ludzie, a na kontraktach zbrojeniowych dorabiali się otoczenie poprzedniego prezydenta Poroszenki. Zdaniem

niektórych politologów ten skandal ostatecznie pogрузzył jego szanse na reelekcję.

Zełenski też początkowo nie radził sobie z problemem. Poprzednik Umierowa, Ołeksij Reznikow, był już trzecim ministrem obrony za kadencji obecnego prezydenta. Uchodził za sprawnego dyplomatę, ale jego resortem co chwila wstrząsały skandale. Pierwszy poważny wybuchł, gdy portal Naszi Groszi ujawnił, że ministerstwo kupuje żywność po zawyżonych cenach. Minister przetrwał, ale musiał zwolnić zastępcę.

Po kolejnej aferze korupcyjnej Zełenski osobiście kazał wymienić szefów wszystkich obwodowych komend uzupełnień. – *Chodziło o małe łapówki: od ludzi, którzy chcieli wymigać się od frontu. I duże, bo szefowie WKU mają prawo konfiskować majątek przedsiębiorstw (samochody, hale fabryczne) na potrzeby wojska* – mówi Sierhij, oficer jednej z brygad walczących w Donbasie.

Człowiek na kłopoty

Ostatnia afera historya dotyczyła zakupów mundurów zimowych dla wojska, dostarczanych przez turecką firmę, która tak naprawdę była własnością krewnych polityków partii władzy.

Kłopot był podwójny. – *Po pierwsze, powstawało przykre wrażenie: żołnierze krwawią, cywile giną pod gruzami bombardowanych bloków, politycy mówią o patriotyzmie, a po cichu co sprytniejsi z nich kradną przeznaczone na walkę z agresorami pieniądze* – mówi Sierhij. Po drugie, problem korupcji coraz częściej pojawiał się w rozmowach z zachodnimi sojusznikami, którzy chcieli mieć pewność, że cała pomoc dociera we właściwe miejsce.

A z tym bywało różnie. – *Holandia dała nam 30 tys. mundurów, Wielka Brytania też. Przysłała je nawet Japonia. Jednak osobiście nigdy nie widziałem naszego żołnierza w japońskim mundurze* – mówi Mykoła, pułkownik, 29 lat służby w Siłach Zbrojnych Ukrainy, uczestnik walk rosyjsko-ukraińskiej wojny od 2014 r.

I gdzie są te mundury? – *Strona internetowa nazywa się REIBERT. Tam można kupić wyposażenie wojskowe. I tam ubierają się, za swoje pieniądze, prawie wszyscy żołnierze. Ostatnim razem, gdy na nią wchodziłem, ktoś oferował 20 par brytyjskich butów. Skąd u sprzedawcy nowe brytyjskie buty w takiej liczbie?* – mówi Mykoła. I odpowiada: – *Zostały ukradzione z pomocy od sojuszników, która nigdy nie dotarła do żołnierzy. Moim zdaniem 40 proc. towaru, który jest oferowany na tym portalu, ma właśnie takie pochodzenie.*

Zełenski najwyraźniej miał tego dość. Dymisję Reznikowa ogłosił sucho na Facebooku jeszcze na początku września. Dlaczego zwlekał tak długo? Podobno szukano następcy wewnątrz obozu władzy. Padły nazwiska Kirila Budanowa, szefa wywiadu wojskowego, ministrów infrastruktury i przemysłu strategicznego. Ostatecznie jednak prezydent postawił na Umierowa.

Czy odniesie sukces? Nie będzie łatwo, bo do znanych kłopotów dochodzą kolejne. Żołnierze walczący na froncie są już potwornie zmęczeni, niektórzy z nich walczą od początku inwazji. Ostatnio w Ukrainie odbyły się demonstracje ich rodzin, które domagały się, by wprowadzić maksymalnie 18-miesięczny okres służby na froncie. Protesty nie były zbyt liczne, jednak od początku inwazji bardzo rzadko dochodziło do podobnych demonstracji.

Czy Umierow poradzi sobie z tym wszystkim? – *Jego fenomen polega na tym, że nikt nie wypowie się o nim źle. Jest ceniony nawet przez zdecydowanych przeciwników ekipy Zełenskiego* – mówi Taras Ibrahimow. I jednocześnie przyznaje, że Umierow, idąc do ministerstwa obrony, podjął wielkie ryzyko. Na szalę rzucił całą karierę. Najczęstszy komentarz brzmi: „Nie zazdroszczę, życzę sukcesu”.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

Pełzająca groźba

Od Izraela zależy, czy wojna w Gazie rozleje się na cały Bliski Wschód i dalej. A na razie nie wydaje się, by rząd Netanjahu miał plan na „dzień po”.

PATRYCJA SASNAL

Po ataku Hamasu na Izrael mnożą się historyczne analogie: że to powrót nazizmu, że Hamas to nowe Państwo Islamskie, że Izrael prowadzi teraz drugą wojnę o niepodległość, jak w 1948 r. Jeśli porównania mają coś rozjaśnić, to zasadnie wydaje się to prezydenta USA Joe Bidena: twierdzi on bowiem, że 7 października strauatyzował Izraelczyków podobnie jak 11 września Amerykanów. A właściwie – jak wyliczył Biden na podstawie proporcjonalnej liczby ofiar – 15 razy bardziej.

Narzuca się więc pytanie, czy Izrael nie zareaguje tak pochopnie i przeciwskutecznie jak USA w 2001 r. „Sprawiedliwości musi się stać zadość. Ale przestrzegam was – czujecie wściekłość, niech ona was nie zje. Po 11 września też byliśmy wściekli. Chcieliśmy sprawiedliwości i ją dostaliśmy.

Ale popełniliśmy błędy” – napominał Biden premiera Beniamina Netanjahu. Jakie błędy może popełnić Izrael i czy wojna w Gazie rozleje się na cały region?

Dopiero po trzech tygodniach od mordów Hamasu armia izraelska weszła do Gazy i okrążyła jej główne miasto. W liczbach ofiar Izrael już się „zrewanżował”: ponad 10 tys. palestyńskich ofiar, co trzecia to dziecko, wobec 1,4 tys. Izraelczyków zabitych z rąk Palestyńczyków (stan na 7 listopada). Nie osiągnął jeszcze zadeklarowanego celu: zniszczenia Hamasu. I trudno powiedzieć, na czym to w ogóle miałyby polegać i co potem. Jeśli miałyby to przypominać odbicie przez Amerykanów Mosulu z rąk tzw. Państwa Islamskiego w 2016 r., to walka miejska w Gazie potrwa 9 miesięcy i pochłonie blisko 10 tys. ofiar.

Połowa mieszkańców Gazy ma mniej niż 18 lat, prawie nikt tam nie widział Izraelczyka na oczy. Ponad 60 proc. nie ma pracy. Jak mówi korespondent BBC: „w kilkanaście minut z pierwszego świata z sojową latkę w ręce wjeżdżasz do trzeciego świata, gdzie się jeździ na osiołkach”. Szefostwo Hamasu potraciło oczy, nogi, żony i dzieci w poprzednich ostrzałach. Albo siedziało po 20 lat w izraelskich więzieniach. Nikt tu nie ma – dosłownie – nic do stracenia. W Iraku ponad połowa populacji jednak sprzyjała Amerykanom. To będzie więc Falludża albo – dla fanów „Helikoptera w ogniu” – Mogadiszu na sterydach.

Biorąc pod uwagę, jakiej traumy doznali jako społeczeństwo i jak nieograniczone zasoby militarne mają do dyspozycji, Izraelczycy nie reagują szybko. Raczej ►

© ASHRAF AMRAN/DOLIGUETTY IMAGES



Zniszczona Gaza.

► stosują taktykę małych kroków i obserwują, jaką odpowiedź wrogów i przyjaciół wywołają. Stawka błędu jest duża, bo może się skończyć regionalną wojną z udziałem Iranu, USA i państw arabskich.

Iran i Hezbollah: z tylnego siedzenia

Najniebezpieczniejszy scenariusz zakłada otwarcie drugiego frontu na północy Izraela – z libańskim Hezbollahem. Wielokrotnie silniejszy od Hamasu, dysponuje 20 tys. wyszkolonych bojowników, drugie tyle ma w rezerwie, oraz 150 tys. lepszych, dokładniejszych rakiet. Ma też symbiotyczny związek z Iranem – Hezbollah to szyicka organizacja, która powstała po irańskiej rewolucji, przywódcy regularnie jeżdżą do Iranu, bez jego pieniędzy i zasobów byłiby cieniem siebie.

Dla porównania, bardziej prowincjonalny Hamas właściwie z konieczności utrzymuje dobre relacje z Iranem – łączy ich tzw. *muqawama*, przynależność do osi oporu przeciw Izraelowi, ale ideologicznie korzenie Hamasu tkwią gdzie indziej – w Egipcie i prawie stuletnim Bractwie Muzułmańskim, sunnickim ruchu przeciw europejskim kolonizatorom.

Wiosną Hamas, Hezbollah i Iran uruchomili coś w rodzaju sztabu koordynacyjnego, żeby połączyć siły, bo sytuacja regionalna nie szła po ich myśli. O krok od nawiązania stosunków z Izraelem była Arabia Saudyjska, której USA miały w zamian obiecać technologię nuklearną. Izrael wydawał się osłabiony wewnętrznymi podziałami, strajkiem rezerwistów, mniejszą troską administracji Bidena. Zdaniem amerykańskiego wywiadu wydarzenia 7 października zaskoczyły jednak zarówno Iran, jak i Hezbollah. Nie znaczy to, że nie cieszą się z izraelskiej traumy – przeciwnie, Hezbollah natychmiast rozpoczął ograniczony ostrzał Izraela. Dr Jonathan Spyer, izraelski ekspert od Libanu i Syrii, dyrektor badań w Middle East Forum, przekonuje: – *Hezbollah ciągle ostrzeliwuje nasze terytorium, ale na dziś wydaje się, że on i inni akolici Iranu prowadzą kontrolowaną eskalację.* To wzmoczenie widać też w atakach na amerykańskie cele z rąk Hutich w Jemenie i szyickich bojów w Iraku.

W szczytce międzynarodowej sympatii dla Izraela odzywały się w tamtejszej wierchuszce głosy, żeby od razu uderzyć też na Hezbollah i za jednym zamachem załatwić dwa problemy. To Waszyngton miał odwieść Netanjahu od tej decyzji. Hezbollah natomiast powstrzymuje pamięć krwawej wojny z Izraelem w 2006 r.

i obecność amerykańskiej marynarki wojennej na Morzu Śródziemnym.

Na razie więc tylko w słowach Hamas ma w Libanie i Iranie bezwarunkowe wsparcie. W praktyce ani jednym, ani drugim nie spieszy się, żeby bronić Palestyńczyków. Wolą oglądać dramat z tylnego siedzenia. Tę kalkulację może zmienić jedynie Izrael, gdy zdecydowanie zaatakuje Hezbollah albo wywoła tak szokującą tragedię w Gazie, że brak reakcji Libańczyków jawiłby się jako tchórzostwo.

USA: studzą i mediują

Na poziomie retorycznym administracja Bidena zmanifestowała „bezwartkowe poparcie” dla Izraela. W praktyce dwoi się i troi, żeby sojusznik nie przeszarżował i nie wciągnął USA do nowej wojny na Bliskim Wschodzie. Amerykanie nie chcą też zaprzepaścić pracy nad pojednaniem Izraela z państwami arabskimi: Zjednoczonymi Emiratach Arabskimi, Bahrajnem, Marokiem i Sudanem.

Po kilku latach nieobecności na Morze Śródziemne wrócił więc amerykański lotniskowiec, a na Morzu Czerwonym stacjonują trzy inne okręty US Navy. Póki tam są, upewniają Izrael i studzą antyizraelski zapal Hezbollahu i Iranu. Amerykanie mediują też z Izraelem, Katar i Egiptem w sprawie otwarcia przejścia Rafah między Gazą a Egiptem, wypuszczenia zakładników i obcokrajowców, dostarczenia pomocy humanitarnej. Wzywają Izrael do tzw. humanitarnej pauzy w wojnie.

Według sondażu połowa Amerykanów stoi murem za Izraelem, a 10 proc. za Palestyńczykami. Obie wielkie partie ścigają się, kto będzie bardziej izraelski niż Izrael. Dla Bidena to tym istotniejsze, że przed 7 października miał chłodne stosunki z Netanjahu. Nawet progresywne skrzydło Demokratów zmieniło ton, a Kongres jednomyślnie chce przyznać Izraelowi dodatkowe miliardy dolarów.

Jordania i Egipt: pozornie oburzone

– *7 października to pobudka nie tylko dla Izraela, też dla stolic arabskich. Amman i Kair natychmiast zawrzały przeciw próbom wygnania Palestyńczyków z Gazy, jakby to była druga Nakba [wysiedlenia z 1948 r.]* – mówi dr Mahdi Abdul Hadi, akademik, prezes palestyńskiego stowarzyszenia politologów PASSIA.

Rzeczywiście, zarówno Jordania, jak i Egipt skrytykowały izraelskie działania w Gazie. Robią to częściowo pod pułk – oba społeczeństwa są wściekle

antyizraelskie. W Kairze władze zorganizowały tzw. dzień gniewu, wielkie demonstracje. To dobry sposób, żeby upuścić napięcie społeczne, które się w Egipcjanach kumulowało, a którego celem mogłyby być autokratyczny prezydent Abdel Fatah al-Sisi. Afera za granicą przyszła więc w samą porę.

Oficjalnie Sisi nie wpuszcza Palestyńczyków przez Rafah, bo nie chce legitymizować ich ponownego wysiedlenia. Chodzi mu jednak o własny interes. Uchodźcy w Jordanii i Libanie – ponad milion – nigdy na ojcowiznę nie wrócili. Zostaliby więc też w Egipcie i tam kontynuowali działalność narodowowyzwoleńczą – pokojowo lub zbrojnie – stwarzając ryzyko dla Egiptu. Tym większe, że Hamas ma dużą siatkę kontaktów z tamtejszym Bractwem Muzułmańskim.

Retorycznie oburzona Jordania anulowała szczyt z Bidenem podczas jego niedawnej wizyty w regionie. Trudno się dziwić, większość jordańskiej populacji to historycznie rodziny palestyńskie. Przez granicę z Syrią z Iranu do Jordanii, a potem na Zachodni Brzeg płyną pieniądze i sprzęt. Jordania ściśle współpracuje z Izraelem politycznie i gospodarczo od lat. – *Oni muszą mówić, co mówią, ale tu się niewiele zmieni. Zarówno Egipcjowie, jak i Jordanii zależą na dobrych stosunkach z Izraelem* – uważa Jonathan Spyer.

Katar: państwo bez wrogów

Szef Mosadu miał niedawno odwiedzić Katar i rozmawiać o warunkach zawieszenia broni, choć Izraelczycy tego nie potwierdzają. Hamas miał zaofiarować wypuszczenie zakładników w zamian za uwolnienie swoich ludzi z izraelskich więzień.

Katar tak się ustawił, że ma dobre stosunki ze wszystkimi gracjami. Słał pieniądze do Gazy, budował odsalarnie wody. Szefa Hamasu w Gazie Jahję Sinwarę uważa się za bliskiego Katarczykom. Z Izraelem Katar utrzymuje stosunki gospodarcze od lat 90. Od przejścia Afganistanu przez talibów, a i długo wcześniej, Amerykanie polegają na pomocy Dohy. Wspólne interesy energetyczne łączą też Katar z Iranem. Nawet z Arabią Saudyjską stosunki się poprawiły po chłodniejszym okresie. Słowem państwo bez wrogów.

Liderzy Hamasu mieszkają w Dosze, w tym szef szefów Ismail Hannija. Czy to z indolencji, czy świadomej decyzji Izrael nie brał ich dotychczas na celownik. Przeciwnicy Netanjahu zarzucają mu, że hodował żmiję za miedzą. Celowo



„W kilkanaście minut z pierwszego świata z sojową latte w ręce wjeżdżasz do trzeciego świata, gdzie się jeździ na osiołkach” – mówił o Gazie korespondent BBC.

i chętnie pozwał Hamasowi działać, bo podział wewnątrzpalestyński – Hamas kontra rządzący na Zachodnim Brzegu Fatah – uniemożliwił wspólny front Palestyny przeciw Izraelowi.

Izraelczycy: „osuszanie bagna”

Nieżyjący już czołowy arabski filozof kantysta, Syryjczyk Sadik Dżalal al-Azm, po 11 września w akcie dużej odwagi pisał, że patrząc na walące się wieże – mimo prób ukrycia uczuć – nie mógł powstrzymać silnej Schadenfreude: „Wieści z Palestyny były wtedy wyjątkowo złe. Być może to była satysfakcja z nagłego upokorzenia aroganckiej władzy, nawet jeśli tymczasowego”. Jeśli satysfakcję z ataku na niewinnych ludzi odczuwał znany zwesternizowany filozof, to co czują zwykli śmiertelnicy w świecie arabskim?

Cofnijmy się o krok, bo historia nie zaczęła się 7 października. Nie bez przyczyny Hamas nazwał swoją akcję „Tajfun Al-Aksa”. Od kilku lat żydowscy ortodoksi pod eskortą służb wchodzili na modły do kompleksu Al-Aksa w Jerozolimie, mużulmańskiego świętego miejsca. Złamali tabu, wcześniej to się nigdy nie zdarzało. Żydzi modlili się tylko przy Ścianie Płaczu, u stóp wzgórza. Policja jerozolimska równoległe zabrała mużulmańskich nocnych modłów w ramadanie.

– *Izraelczycy celowo i bez przerwy bezczęścili nasze święte miejsce. 60 proc. Palestyńczyków to młodzież wyrosła w biedzie i upokorzeniu. Oni są gotowi poświęcić życie dla wolnej Palestyny i Al-Aksy* – mówi Abdul Hadi.

Izraelski minister finansów i osadnik Becalel Smotricz w 2017 r. sformułował tzw. decydujący plan zwycięstwa nad nie-Żydami: „osuszenia bagna” i zwierzchnictwa jednego, żydowskiego narodu na zachód od rzeki Jordan. Smotricz otwarcie nazywa siebie homofobem i faszystą. Od lutego jest administratorem okupowanych terytoriów palestyńskich na Zachodnim Brzegu.

Takich właśnie ludzi wyniósł ze sobą na szczyt Netanjahu. Pogodził się z państwami Zatoki i zakopał sprawę palestyńską. Więc czego mieli się spodziewać Palestyńczycy? Jakie mieli nadzieje, gdy nawet Arabia Saudyjska zaczęła się z Izraelem układać?

Globalne Południe: naprawdę wściekłe

27 października 120 państw ONZ zagłosowało za natychmiastowym zawieszeniem ognia. Pośród 14 głosów przeciw były USA, Izrael, Węgry, Austria, Czechy i pomniejsze. Wynik głosowania obrazuje najdonioślejszy i pogłębiający się podział: na Globalną Północ i Południe. Większość świata uważa Izrael za twór kolonialny, a Palestyńczyków – za ofiary niesprawiedliwej hegemonii Zachodu. Nie podzielają naszych historycznych zaszczości z drugiej wojny światowej ani nie mają europejskiego poczucia winy. Żyjemy w zachodniej bańce informacyjnej, reszta myśli zupełnie inaczej.

– *ONZ należy ignorować. Ta instytucja nie ma żadnego znaczenia ani przełożenia* – mówi Spyer. Trudno jednak podzielać jego zdanie, gdy na ulice Stambułu

wychodzi 1,5 mln Turków w solidarności z Palestyną. Podobne, choć mniejsze protesty przetoczyły się przez Indie, Pakistan, Malezję, a także Londyn, Rzym, Kanadę i USA. W Oslo demonstrację zorganizował Kościół Norwegii, a w nowojorskim Grand Central – organizacja Żydowski Głos za Pokojem. Chiny i Rosja czują temperaturę i jak zwykle pozycjonują się po stronie uciśnionych.

Podobnie jak w Ukrainie, im dłużej potrwa wojna w Gazie, tym bardziej spowszednieje w zachodniej opinii publicznej. Tylko nie na Globalnym Południu. Znajomi Palestyńczycy nie chcieli ze mną rozmawiać. Mają do Europy żal, że bez namysłu stanęliśmy murem za Izraelem, gdy w odwecie zaczęli zabijać.


Nowa odsłona konfliktu izraelsko-palestyńskiego rozgrywa się po dziewięciu latach od ostatniej. Te lata dużo zmieniły – pandemia, polaryzacja, wojna dezinformacyjna i ta w Ukrainie, zmiany klimatyczne. A tu nagle konflikt w Gazie wypada jak z lamusa i nakłada się na istniejące już ostre podziały światopoglądowe, podsycając je. W zależności od tego, z kim się rozmawia, albo trudno krytykować Izrael, żeby nie zostać wyzwany od antysemitów, albo ciężko potępić Hamas, żeby nie dostać łatki rasisty albo kolonialisty.

Wojna w Iraku z 2003 r. też podzieliła świat. Wzmocniła Iran, stworzyła globalny terroryzm, rozbiła postkolonialne państwa, zdestabilizowała region, kosztowała życie setek tysięcy ludzi i tryliony dolarów. Amerykanie nie mieli pomysłu na „dzień po”. Ponoć Izrael też nie ma. Gdy pytam, co usatysfakcjonuje Izraelczyków i ukoi emocje, Jonathan Spyer żacha się: – *To nie ma nic wspólnego z emocjami. Zostaliśmy zaatakowani, więc trzeba zniszczyć wroga.*

Tylko że Hamas myśli o Izraelu to, co reszta Palestyńczyków. Ich wszystkich zniszczyć się nie da, choć wielu zginie. Jak pisał Edward Said: „Nie ma ucieczki od prawdy, że jako idea, pamięć, często zażrebana lub niewidzialna rzeczywistość, Palestyna i jej lud nie zniknęli. Sam fakt, że ciągle istniejemy, udaremnia izraelskie starania, by się nas kompletnie pozbyć”.

W przeciwieństwie do Iraku tym razem znamy dobre rozwiązanie. – *To się może skończyć. Wystarczy zawieszenie broni i światowe wezwania do utworzenia wolnej Palestyny* – sędzi Abdul Hadi. Przed Netanjahu przywódca Izraela zdawali sobie z tego sprawę. Niewykluczone, że 7 października i wojna w Gazie zakończą jego karierę, tak jak Irak zakończył rząd George’a W. Busha w USA. A to otworzy przestrzeń dla lepszych pomysłów.

PATRYCJA SASNAL

Madryt




Londyn

Wściekłość i strach

Konflikt Izraela z Hamasem wywołuje skrajne emocje właściwie wszędzie na świecie. A sąd opinii publicznej nie zamierza czekać z wyrokami do jego zakończenia.

MATEUSZ MAZZINI

Anwar El Ghazi to holenderski piłkarz marokańskiego pochodzenia. Od lat tuła się po średniosilnych klubach jego kariera stanęła pod znakiem zapytania. El Ghazi jest bowiem jedną z pierwszych osób, które poniosły konsekwencje wyrażania opinii na temat bieżącej sytuacji na Bliskim Wschodzie.

6 października El Ghazi zadebiutował w niemieckim klubie SV Mainz. Kilka godzin później Hamas odpalił w kierunku Izraela ponad 5,5 tys. rakiet, terroryści wdarli się na terytorium kraju, dokonując masakry ludności cywilnej. A internet niemal natychmiast zalała dawno niewidziana fala politycznych komentarzy.

Swoje dorzucił również El Ghazi. Na Instagramie umieścił wpis poparcia dla Palestyny: „Od morza do rzeki [Jordan – przyp. red.] istnieć będzie wolna Palestyna”. To slogan od dawna używany nie tylko przez zwolenników powstania państwa palestyńskiego, ale także przez liderów Hamasu, wzywających do anihilacji izraelskiej państwowości. Piłkarz

został natychmiast oskarżony o antysemityzm i wspieranie terroryzmu, a fala krytycznych komentarzy była tak wielka, że jego oficjalne konto wyłączyć musiał sam klub, obrywający rykoszetem za deklaracje swojego zawodnika.

SV Mainz zawiesił Holendra, ale potem przywrócono go do treningów, informując, że ten wyraził skruchę i nigdy nie kwestionował prawa do istnienia Państwa Izrael. El Ghazi odbił piłeczkę, twierdząc, że oświadczenie wydano bez jego zgody, i wrócił do wspierania Palestyny w internecie. Dla klubu to było już za dużo, recydywa spowodowała decyzję o natychmiastowym rozwiązaniu kontraktu. Piłkarz został więc ze swoimi przekonaniem, ale bez pracy.

To tylko jeden z wielu przykładów skrajnych emocji, jakie wywołują deklaracje poparcia dla którejkolwiek ze stron tego konfliktu. List otwarty podpisany przez 34 stowarzyszenia studentki na Harvardzie, w którym zawarto sformułowanie o „całkowitej odpowiedzialności Izraela za wywołanie fali przemocy” na Bliskim Wschodzie, spowodował tak wielką burzę w amerykańskim świecie akademickim, że przeproszać musiała za niego sama rektor uniwersytetu Claudine Gay.

Z kolei Zareena Grewal, antropolożka z Yale zajmująca się islamskim nacjonalizmem, napisała na platformie X (dawniej Twitterze), że „osadnicy to nie cywile”, co uznano za legitymizację zabijania przez Hamas mieszkańców Izraela nienoszących mundurów. W efekcie nad uczelnią zawisła groźba utraty darczyńców. Propalestyńscy aktywiści zerwali też zdjęcia pojmanych przez Hamas izraelskich zakładników z kampusu New York University, tak samo potraktowano izraelską flagę przed rzymską siedzibą FAO, agendy ONZ ds. wyżywienia i rolnictwa.

Opowiadanie się po stronie Izraela generuje nie mniejsze kontrowersje. Zwłaszcza że im dłużej trwa konflikt, tym więcej ofiar cywilnych po stronie palestyńskiej i tym silniejsze podstawy do oskarżania Sił Obronnych Izraela (IDF) o zabijanie bezbronnych osób.

23 października na stronie amerykańskiej organizacji NoHostageLeftBehind (ang. Nie zostawimy za nami żadnego zakładnika) pojawił się list poparcia dla prezydenta Joe Bidena, chwalcący go za bezwarunkowe wsparcie dla Izraela i potępianie Hamasu. Podpisy pod nim złożyli m.in. izraelska aktorka Gal Gadot i mający żydowskie korzenie komiccy



Jerry Seinfeld i Sacha Baron Cohen. Ich akurat łatwo zrozumieć, ale już zaangażowanie w sprawę piosenek Madonny i Lany del Rey, reżysera Jordana Peele'a, aktorów Bradleya Coopera i Zoe Saldany oraz dziesiątek innych amerykańskich celebrytów zaskoczyło nawet znawców tematu.

Podobnie jak skala krytyki, która spadła na niektóre z podpisanych pod listem gwiazd. Oberwało się zwłaszcza Gadot, której zarzucono stawianie znaku równości pomiędzy ofiarami po obu stronach barykady. Zdaniem jej przeciwników nie można zestawiać aktów terroru pojedynczej organizacji z masową, prowadzącą do ludobójstwa ofensywą całego aparatu państwowego. Aktorka stała się nawet ofiarą popularnego w amerykańskim internecie fake newsa sugerującego, że sama dołączyła do IDF, by walczyć z Hamasem. W rzeczywistości wykorzystane w tym kontekście zdjęcie pochodzi z 2005 r., kiedy Gadot faktycznie rozpoczęła służbę wojskową – tyle tylko, że robiła to z obowiązku, powszechnego w Izraelu, i zakończyła ją po dwóch latach.

Palestyńsko-izraelska polaryzacja dotarła również do Polski. Posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, znana ze swojej wyrazistej, a przede wszystkim częstej obecności w mediach społecznościowych, zlikwidowała niedawno swoje konto na X (Twitterze). Oficjalnie tłumaczyła się ogólnikami w typie zmęczenia internetem. Ale nietrudno się domyśleć, że na jej decyzję wpłynęła krytyka jej wypowiedzi o Hamasie.

Posłanka, która przez jakiś czas do swojego nazwiska na Twitterze miała doklejoną izraelską flagę (obok ukraińskiej i tęczowej), zapowiadała wylot do Izraela, by osobiście ocenić sytuację. W rozmowie z RMF24 powiedziała, że jej zdaniem „kwestionowanie prawa Izraela [do istnienia – przyp. red.] spełnia definicję antysemityzmu”. Dodała też, że nie popiera Hamasu i chce „nie tyle wspierać Izrael, co wspierać tych, którzy walczą z terrorystami, z ludźmi, którzy mordują niemowlęta”.

Żukowską na cel natychmiast wzięli progresywni internauci, najpierw na jej profilu, potem na praktycznie wszystkich najbardziej popularnych lewicowych fanpage'ach. Każdy właściwie wpis o sytuacji w Gazie skutkował dziesiątkami komentarzy krytykujących Żukowską jako zdrażnicę lewicowych ideałów. Niektórzy nawet domagali się jej usunięcia nie tylko z partii, ale z lewicy jako takiej.

Ataki słowne w internecie błyskawicznie przenoszą się na realne interakcje między ludźmi. Widać to zwłaszcza we Francji. Mieszka tam trzecia największa – po Izraelu i USA – żydowska populacja na świecie, licząca przeszło pół miliona osób. W ciągu miesiąca od wybuchu konfliktu jej członkowie zgłosili więcej ataków i aktów nienawiści motywowanej religijnie niż w całym ubiegłym roku.

Sama tylko paryska prefektura policji dokonała w tym czasie 90 aresztowań, odbierając 257 wezwań do przypadków antysemickich graffiti, gróźb karalnych, ataków w miejscach publicznych. Francuscy Żydzi mówią o strachu przed manifestowaniem swojej religii, niektórzy decydują się na tymczasowe wyjazdy z dużych miast. W dzielnicach, w których ich obecność była do tej pory bardzo widoczna, jak Sarcelles na północnych przedmieściach Paryża, władze wprowadziły piesze patrole policjantów z długą bronią.

Statystyki aktów antysemityzmu eksplodowały także w Belgii, Hiszpanii i Niemczech. W tym ostatnim kraju również wysłano na ulice uzbrojonych policjantów, ale ci patrolują osiedla zdominowane przez ludność pochodzenia tureckiego i arabskiego, co wywołało z kolei kontrę ze strony niemieckiej lewicy.

Po tym, jak świat obiegły zdjęcia z krwawej berlińskiej manifestacji poparcia dla Palestyny z 10 października, gdzie doszło do starć demonstrantów (174 aresztowanych) z policją (65 rannych), władze federalne zakazały organizacji tego typu wydarzeń, zapowiadając, że jeśli zajdzie taka potrzeba, policja będzie ponownie interweniować. Wspierający sprawę

palestyńską berlińczycy twierdzą, że narusza to ich wolność wypowiedzi, a mundurowi w imigranckich dzielnicach urządzają polowania na palestyńskie flagi w oknach i inne symbole solidarności z mieszkańcami Gazy.

Niemieckie MSW odpowiada, że nowych demonstracji nie będzie, bo na starzych padały hasła antysemickie i wezwania do przemocy – i koło się zamyka. To zresztą problem nie tylko niemiecki, bo płomienną wymianę zdań przy użyciu dokładnie tych samych argumentów urządzili sobie niedawno na platformie X brytyjska minister spraw wewnętrznych Suella Braverman i były wybitny piłkarz, dziś komentator sportowy BBC Gary Lineker.

Temperatura sporu nie obniża się na żadnej płaszczyźnie: dyplomatycznej, komentatorskiej, internetowej. Zmieniają się tylko stanowiska niektórych graczy. Wydaje się, że słabnie pozycja Izraela, który w Gazie dokonuje rzeczy niemożliwych do przełknięcia dla coraz większej liczby sojuszników. Stąd wysiłki amerykańskich dyplomatów, by doprowadzić do zawieszenia broni celem ewakuowania obcokrajowców i wypuszczenia konwojów humanitarnych.

Niezapowiedziana wcześniej wizyta sekretarza stanu Antony'ego Blinkena na Zachodnim Brzegu pokazuje, że Biały Dom sytuacją na Bliskim Wschodzie naprawdę mocno się przejmuje. Również dlatego, że postawa wobec tego konfliktu będzie miała przełożenie na wyniki przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Jak donosi portal POLITICO, silnym wsparciem dla Izraela Biden drastycznie obniżył notowania wśród amerykańskich muzułmanów, którzy w 2020 r. mocno go poparli, ale teraz deklarują, że głosować raczej w ogóle nie pójdą.

Jednocześnie wzbiera kolejna fala krytyki zachodnich ruchów lewicowych, które znów nie są w stanie dogadać się co do wspólnego stanowiska. Problemem jest zwłaszcza stopień, do jakiego można krytykować Izrael, oraz kwestia definiowania Hamasu jako organizacji terrorystycznej. Tego ostatniego zrobić nie chce chociażby hiszpańska formacja Sumar, nowe wcielenie Podemos, która jest kluczowym elementem procesu formowania nowego rządu przez Pedro Sanchez'a i dawania oporu prawicy, również tej skrajnej.

Wygląda więc na to, że konflikt Izraela z Hamasem rozlał się już na cały świat. I rozwiązać go będzie tak samo trudno w Waszyngtonie i Brukseli, co w Strefie Gazy. ■



Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew nad flagą odbitego Karabachu.

Uśmiech Envera Paszy

Ormianie nie mają szczęścia do geografii. A zajęcie Górskiego Karabachu przez Azerbejdżan może się okazać ich największą klęską od czasów ludobójstwa z lat 1915–17.

KONSTANTY GEBERT

Armenia musi poprawnie rozumieć realia regionu – oznajmiło 7 listopada azerbejdżańskie MSZ. Żąda, by Erywań wycofał się z ośmiu azerbejdżańskich wiosek. Żądanie jest skądinąd zasadne. Na sowieckich mapach Armeńskiej i Azerbejdżańskiej SSR figurują trzy niewielkie enklawy: dwie tej pierwszej na terytorium tej drugiej, i jedna, większa, tej drugiej na terytorium tej pierwszej. Podczas rozpadu ZSRR obie republiki związkowe, obecnie niepodległe państwa, pozajmowały enklawy należące do przeciwnika. Teraz Baku

żąda zwrotu swojego, choć o zajętej przez siebie enklawie armeńskiej milczy.

Może sobie na to pozwolić. Trzy miesiące temu odbiło Karabach, terytorium azerbejdżańskich Ormian, którzy 30 lat temu ogłosili jego niepodległość pod nazwą Republiki Arcach oraz jednostronny rozwój z Azerbejdżanem. Najnowszy sukces oznacza jednak, że to Baku będzie decydować o tym, co się w regionie dzieje. I to właśnie tę okoliczność Armenia powinna „poprawnie zrozumieć”.

Nazajutrz po zdobyciu Stepanakertu na jego głównej ulicy słychać było stukanie młotków. To azerscy żołnierze

przybijali tabliczki z nową nazwą: ulica Envera Paszy. Dziwny to patron w stolicy ormiańskiego Górskiego Karabachu. Enver Pasza, dowódca armii otomańskiej podczas pierwszej wojny światowej, był architektem ludobójstwa, w którym z rąk Turków, Kurdów i Azerów zginęło ok. 800 tys. Ormian. Ale Stepanakert też już nie jest Stepanakertem. Nazywa się teraz po azerbejdżańsku Chankendi.

Nikogo to nie oburzyło. W Stepanakercie nie ma mieszkańców, z wyjątkiem garstki inwalidów i starców niezdolnych uczestniczyć w exodusie, w którym we wrześniu do Armenii uciekła ormiańska ludność regionu. Ci, którzy zostali, nerwowo udzielają wywiadów. Zapewniają, że zwycięzcy, z naszywkami z uśmiechniętą twarzą Envera Paszy na ramionach, traktują ich dobrze, a nawet dają czekoladki.

Ci, którzy uciekli, dopiero w Armenii opowiadali, że w pierwszym dniu wrześniowej wojny żołnierze z naszywkami z Enverem Paszą mordowali u nich i gwałcili. W reszcie Karabachu nie mieli okazji, bo wkraczali do pustych już miast i wsi. Teraz niespełna trzymilionowa Armenia usiłuje sobie poradzić ze znalezieniem dachu nad głową, żywności – i przyszłości – dla 120 tys. rodaków z Karabachu. Dostaną obywatelstwo, zachowają prawo do emerytury – ale muszą się wyrzec marzeń o powrocie.

Do budynku, w którym wcześniej urzędował rząd Arcachu, prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew wkroczył triumfalnie w 10 dni po zwycięstwie. Przemaszerował po rzuconej na podłogę fadze pokonanej republiki, otworzył w sali posiedzeń okno, by wywietrzyć smród, jaki miał pozostać po poprzednich użytkownikach. Z satysfakcją stwierdził, że ci, którzy tu urzędowali, siedzą teraz w azerbejdżańskich więzieniach.

10-tysięczne siły zbrojne Arcachu nie stawiły najeźdźcom oporu i rozsypały się po pierwszej dobie inwazji. Azerbejdżan wystawił armię siedmiokrotnie liczniejszą i nieporównanie lepiej uzbrojoną. Nawet ewentualna pomoc Armenii na niewiele by się zdała.

Armenia nigdy nie uznała niepodległości Arcachu, choć wspierała go w pierwszej wojnie o Karabach. Wtedy zdobyto zamieszany przez Ormian Karabach Górski i jego otulinę, Karabach Nizinny. 600 tys. jego azerskich mieszkańców po tamtej wojnie zwycięzcy Ormianie wygnali.

Karta odwróciła się w 2020 r. wraz z wojną drugą, gdy Azerbejdżan odzyskał nizinną część Karabachu, a Armenia

potwierdziła, zresztą zgodnie z prawem międzynarodowym, że cały Karabach należy do Azerbejdżanu. Domagała się odtąd jedynie gwarancji dla samorządu karabachskich Ormian, których Baku nie było skłonne udzielić. Gdy w trzy lata po drugiej wojnie Azerbejdżan uderzył znowu, armeński premier Nikol Paszynian zdołał jedynie stwierdzić, że nie uwikła swego kraju w wojnę toczoną poza jego granicami.

Los Karabachu rozstrzygnęła nie polityka Paszyniana, którego wielu Ormian oskarża o zdradę, lecz chłodna kalkulacja Moskwy. ZSRR podczas pierwszej wojny opowiedział się po stronie ormiańskiej. Jedną z przyczyn były krwawe pogromy w miastach republiki azerbejdżańskiej, Baku i Sumgaicie, w których zginęły setki ludzi. Tak Azerbejdżan powitał rysującą się dopiero niepodległość.

Ormianie i bez sowieckiej pomocy pewnie pokonaliby sąsiada. W efekcie ich zwycięstwa ok. 300 tys. Ormian uciekło z Azerbejdżanu, a ok. 100 tys. Azerów z Armenii. W walkach zginęło ok. 30 tys. osób, często cywili mordowanych w zbrodniach wojennych popełnianych przez obie strony. Doszło do etnicznego oczyszczenia terenów od tysiąclecia mieszanych, Ormianie zamieszkali w Armenii i Arcachu, Azerowie – w Azerbejdżanie.

Armenia – w starożytności przejściowo najpotężniejsze mocarstwo regionu i pierwsze państwo chrześcijańskie na świecie – nie ma szczęścia do geografii. Podbijała ją Bizancjum, Persja, Arabowie i w XI w. Turcy, którzy aż do XIX w. panowali nad dawnymi ziemiami armeńskimi. Przy czym z wyjątkiem nielicznych obszarów, jak Górski Karabach właśnie, Ormianie stanowili na nich, na skutek nieustających wędrówek ludów, co najwyżej najliczniejszą grupę mieszkańców, lecz nie większość.

Imperium osmańskie uznawało nie narody, lecz społeczności religijne – millety. Ormianie, zwani „wiernym milletem”, pozostawali, obok prawosławnych Greków oraz Żydów, jednym z najważniejszych niemuzułmańskich milletów. Rozproszeni po całym państwie odgrywali doniosłą rolę w otomańskiej gospodarce i kulturze, ciesząc się swobodą w ramach religijnego – ale nie terytorialnego – samorządu.

Na początku XIX w. Rosja prowadziła podbój Kaukazu. Zdobyła część Armenii tureckiej, Armenię perską (dzisiejszą Armenię niepodległą) oraz dzisiejszy niepodległy Azerbejdżan. Większość ziem zamieszkałych przez Azerów spokrewnionych z Turkami, ale wyznających, inaczej niż ich osmańscy rodacy, szyicką odmianę



islamu, pozostała jednak przy Persji, tworząc dzisiejszy Azerbejdżan irański. Zaś na większości pozostałych przy imperium otomańskim ziem armeńskich Turcy dokonali podczas pierwszej wojny światowej ludobójstwa, obawiając się, że spowodowane narastającymi prześladowaniami prorosyjskie sympatie Ormian doprowadzą do powstania.

Ormianie z tureckiej Armenii, którzy przeżyli, uciekli na wschód, pod opiekę Rosji. A gdy upadł carat, ogłosili niepodległość. Wnet jednak Kaukaz zajęli bolszewicy i wytyczyli swoje granice. Tak położony między Armenią i Turcją mieszany region Nachiczewan zyskał – mocą swej azerskiej większości – status eksklawy Azerbejdżańskiej SSR. Karabach, który w całości leżał na terytorium tej republiki, został jedynie jej regionem autonomicznym.

Z Nachiczewanu nie tylko wypędzono Ormian, ale usunięto również wszelkie ślady po nich, z cmentarzami włącznie. Azerowie jednak twierdzą, że ormiańska spuścizna kulturalna na kontrolowanych przez nich ziemiach to wcale nie dzieło Ormian, lecz maleńkiej chrześcijańskiej społeczności kaukaskich Albańczyków. Udowadniają Ormianom, że pod władzą Azerów i tak nie zdołają przetrwać. Stąd bezwzględna obrona Karabachu – i paniczna ucieczka, gdy weszli tam żołnierze z naszywkami z uśmiechniętą twarzą Envera Paszy.

Erywaniowi trudno było znaleźć sojuszników gotowych poprzeć, a choćby i zaakceptować, istnienie Arcachu. Może byłoby łatwiej, gdyby Azerbejdżan nie był dostawcą 18 proc. gazu ziemnego importowanego przez Unię Europejską. Małe państwa mają niewielki wybór w doborze sprzymierzeńców i niewielkie szanse, by wybrać bezpiecznie.

Armenia postawiła na Rosję – bo kogo innego wybrać mogła? Poprzez swą obecność wojskową – w bazie w Giumri

– Moskwa ma wpływ na sytuację na granicy tureckiej, wschodniej flanki NATO. Ale – jak zauważył jeden z rosyjskich generałów – o ile Rosja potrzebuje Armenii, o tyle Ormian już niekoniecznie.

Choć Rosja negocjowała pokój po drugiej wojnie karabachskiej i zobowiązała się do pilnowania swobody w korytarzu łączyńskim, łączącym Arcach z Armenią, to nie zareagowała, gdy w styczniu Azerbejdżan zablokował biegnącą przez korytarz drogę i poddał Karabach paraliżującej blokadzie. W rosyjskiej beczynności chodziło o wagę stosunków z Turcją – patronką Azerbejdżanu – która dla Moskwy jest nieporównanie ważniejsza od Armenii.

Armenia miała jeszcze jednego sojusznika – Iran. Teheran ma bowiem za złe Baku zdecydowanie świecką politykę prowadzoną przez dyktaturę Alijewa oraz obawia się groźby irredenty w irańskim Azerbejdżanie. Niepodległy Azerbejdżan uparcie nazywa go Południowym, jak odłączoną prowincję. Co więcej, Baku ma sojusz z Jerozolimą, oparty na wspólnej wrogości wobec Teheranu i obustronnych korzyściach. Azerbejdżan dostarcza Izraelowi 80 proc. potrzebnego mu gazu, a w drugą stronę płynie, a raczej leci, broń. Przebąkuje się też o izraelskich bazach wywiadowczych przy irańskiej granicy.

Wreszcie Iranowi nie podoba się pomysł, by przez Armenię – wbrew jej oczywistym i ostrym sprzeciwom – Baku wytyczyło eksterytorialny korytarz z Azerbejdżanu do Nachiczewanu. Groziłoby to odcięciem Iranu od Armenii, jedyne przyjaznego państwa ościennego. Przerwałoby również korytarz północ-południe, ku zaprzyjaźnionej z Iranem Rosji. Ale dla Baku taki korytarz byłby urzeczywistnieniem marzenia o terytorialnej integralności, z kolei dla Turcji – otwarciem lądowego korytarza do tureckiego świata Azji Środkowej.

Premier Paszynian powtarza, że traktat pokojowy Armenii z Azerbejdżanem jest niemal gotowy. Jego finalizacja stale się jednak odwleka. Baku się nie spieszy. Między pierwszą i drugą wojną karabachską Azerbejdżan proponował Armenii zgodę na daleko posuniętą autonomię Karabachu Górskiego w zamian za zwrot Karabachu Nizinnego. Nieufny wobec azerskich obietnic, lecz wierzący w zapewnienia Moskwy i siłę własnego wojska, Erywań odmówił. Zapłacił za to największą narodową klęską od czasu ludobójstwa.

Jak słusznie zauważył Tukidydes: silni czynią, jak chcą, a słabi, jak muszą.

Autor jest publicystą Kultury Liberalnej.

Profesor niezwykajny

Czy plagiat zasługuje na splendor w postaci tytułu profesora belwederskiego?

RYSZARDA SOCHA

Z

darza się, że błędy przeszłości wracają do człowieka po latach. Wyblakłe, zapomniane, nagle znów nabierają kolorów. To właśnie spotkało dr hab. Magdalenę Sitek.

W 2000 r. ta absolwentka Wydziału Kanonicznego Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie (magisterium na początku 1995 r., doktorat obroniony we wrześniu 1996 r.) pracowała jako adiunkt na Wydziale Prawa Uniwersytetu Szczecińskiego, gdy odkryto, że jej skrypt „Prawo cywilne i gospodarcze dla ekonomistów” jest plagiatem podręczników doc. Wojciecha Siudy i prof. Jana Kufła z Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Obecnie Sitek jest rektorką Wyższej Szkoły Gospodarki Euroregionalnej im. Alcide De Gasperiego w Józefowie k. Warszawy i profesorką tejże uczelni. Ubiega się o tytuł profesora belwederskiego (przyznawany przez Prezydenta RP).

Błąd młodości

„Szanowni Państwo, ponawiam wniosek o dopuszczenie przez RDN [Radę Doskonałości Naukowej – RS] na podstawie przepisów Unii Europejskiej moich zeznań jako niejawnego sygnalisty w sprawie plagiatu, którego dopuściła się dr hab. Magdalena Sitek, wnioskująca o tytuł profesora. Posiadam dokumenty zawierające jej oświadczenie o przyznaniu się do plagiatu książek prof. Kufła i Siudy” – to fragment listu podpisanego Jan Kowalski. Autor tłumaczy, że nie może ujawnić danych personalnych, bo obawia się sztykan ze strony niektórych członków RDN, a konkretnie prof. Bronisława Sitka. Mąż ubiegającej się o profesurę dr hab. Magdaleny Sitek jest bowiem sekretarzem RDN.

Gremium o szumnej nazwie Rada Doskonałości Naukowej jest nowym wcieleniem dawnej Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów, powołanym

ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 20 lipca 2018 r., którą Jarosław Gowin określał mianem „konstytucji dla nauki” albo „Ustawą 2.0”. Ujmując rzecz w skrócie, RDN ma dbać o to, by stopnie naukowe i tytuł profesora otrzymywały osoby, których dorobek na to zasługuje.

Był koniec grudnia 2022 r., kiedy pismo sygnalisty dotarło także do dr. hab. Marka Wrońskiego, emerytowanego profesora Akademii Kaliskiej, postrachu plagiatorów. Wroński od ponad 20 lat na łamach „Forum Akademickiego”, miesięcznika środowisk naukowych, opisuje środowiskowe patologie. Jego cykl „Z archiwum nieuczciwości naukowej” jest swego rodzaju pręgiem, pod który trafiają plagiatorki i osoby popełniające inne naukowe nadużycia. Nierzadko artykuł w „FA” jest jedyną karą, która ich spotyka. Karą nieformalną, bo odpowiedzialności z urzędu z różnych przyczyn udaje się uniknąć.

W przypadku wykrytego w 2000 r. plagiatu Magdaleny Sitek rzecz się miała podobnie. Wroński przedstawił jej casus w artykule „Cud przedawnienia” z października 2006 r. „Sprawa była o tyle nieprzyjemna – pisał Wroński, że mężem 28-letniej plagiatorki był 42-letni dr hab. Bronisław Sitek, profesor uczelniany, wykładowca prawa rzymskiego oraz prodziekan ds. nauki i rozwoju Wydziału prawa. (...) Brak miejsca, aby opisać wszystkie zabiegi, które podejmował prof. Sitek, aby ochronić żonę przed surowymi konsekwencjami plagiatu. W każdym razie zarówno doc. Siuda, jak i prof. Kufel, po otrzymaniu od dr Sitek listu z wyznaniem winy, zgodzili się nie kierować sprawy do sądu, tylko zdali się na uczelnianą sprawiedliwość”.

Rozprawa dyscyplinarna zaczęła się na przełomie 2000/01 r. Państwo Sitkowie nie pracowali już wtedy w Szczecinie, tylko na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Dr Sitek przyznała się do plagiatu. Wzięła udział w kilku posiedzeniach zespołu orzekającego, a potem



przez cztery lata dostarczała zwolnienia i zaświadczenia lekarskie. Jednak zajęcia w Olsztynie i Józefowie prowadziła. Przed Komisją Dyscyplinarną Uniwersytetu Szczecińskiego ponownie zaczęła się stawić w roku 2005. I w maju 2005 r. komisja ta uznała ją za winną popełnienia plagiatu, orzekła karę zwolnienia z uczelni i zakaz pracy w zawodzie nauczycielskim w okresie trzech lat od wydania orzeczenia. Dr Sitek odwołała się od tego orzeczenia, argumentując, że nastąpiło przedawnienie. Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna Rady Głównej w czerwcu 2006 r. uznała tę argumentację i orzekła o przedawnieniu.

To orzeczenie zbulwersowało Wrońskiego: „Komisja – pisał – nie wzięła pod uwagę zasady, że rozpoczęcie postępowania dyscyplinarnego przerywa bieg przedawnienia. Usankcjonowano fakt, iż dr Sitek nie stawiała się na terminy kolejnych rozpraw, aby obejść prawo”. Jednak okazało się, że ówczesne przepisy nie przewidywały przedłużenia terminu przedawnienia w razie wszczęcia postępowania. Co więcej, w wyniku zaniedbań ze strony Uniwersytetu Szczecińskiego



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

sprawa była przedawniona już w momencie, gdy to postępowanie zostało wszczęte. Czyli chorowanie dr Sitek właściwie było bez znaczenia. I bez tego zdołałby uniknąć odpowiedzialności.

Dzieła wybrane

Obecnie jest inaczej – co jak co, ale odpowiedzialność dyscyplinarna za plagiat nie ulega przedawnieniu. Z upływem pięciu lat przedawnia się odpowiedzialność karna (zagrożenie: do trzech lat pozbawienia wolności), a po 10 latach także odpowiedzialność cywilna. Dziś Magdalena Sitek ubiega się o tytuł profesora belwederskiego i gremia opiniujące jej wniosek mają zagwozdkę. Jak potraktować plagiat sprzed ponad 20 lat, za który plagiatorka nie poniosła kary? Wprawdzie tajemniczy sygnalista Jan Kowalski w styczniu 2023 r., na krótko przed posiedzeniem zespołu RDN rozpatrującego wniosek, wycofał swoje wcześniejsze zastrzeżenia. Niektórzy zastanawiają się, czy anulacja aby na pewno pochodzi od tego samego Jana Kowalskiego, bo tych Janów ci u nas dostatek. Ale formalny list do przewodniczącego RDN napisał Marek Wroński, załączając

szczegółowy opis sprawy i zgromadzoną dokumentację. Wskazywał, że plagiaty (w tym jeden liczący 160 stron) w skryptach, które dr Sitek sprzedawała studentom, przedawnione czy nie, są jednak faktem. I że „tak poważne naruszenie etyki akademickiej wyklucza nadanie profesury tytularnej”.

Na jednej szali jest pięć pozytywnych recenzji dorobku naukowego kandydatki, na drugiej szali skaza natury etycznej. A w tle jeszcze prof. Bronisław Sitek, który wyłączył się z obrad, gdy przyszło do dyskusji nad wnioskiem profesorskim żony. Ale przecież na co dzień jest w różnych relacjach z członkami rady i byłoby naiwne mniemać, że ten fakt w żaden sposób nie rzutuje na ich podejście do problemu. Co gorsza, sprawa dr hab. Sitek nie jest wyjątkiem. RDN już wcześniej zdarzyło się „klepnąć” wnioski obarczone analogiczną skazą. Zaopiniowane pozytywnie trafiły do Kancelarii Prezydenta RP, do którego należy decyzja. I może dwaj naukowcy byłiby już profesorami belwederskimi, gdyby nie Wroński. Uprzedził on prezydenckich urzędników o etycznej ułomności kandydatów. Prezydent odesłał obie sprawy

do RDN, by zasięgnęła opinii Komisji ds. Etyki w Nauce (KEN).

Cóż to takiego ta komisja? To gremium wybierane przez Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk spośród kandydatów zgłoszonych przez całe środowisko naukowe i akademickie. Wyraża ona opinie w sprawach dotyczących naruszeń zasad etyki w nauce. I generalnie uznaje plagiat za istotną przeszkodę w nadaniu kandydatowi tytułu profesora. Można odnieść wrażenie, że RDN i KEN inaczej podchodzą do kwestii niezrzetelności w nauce, a zwłaszcza do konsekwencji, jakie z tego powinny wynikać. Ktoś tłumaczy to tym, że RDN kieruje się prawem, a KEN etyką.

Prawo, niestety, jest kiepskiej jakości. – *Nasza komisja jest jedynym ciałem, które zwróciło uwagę na to, że w Polsce, według obowiązującego prawa, kandydat do tytułu profesora belwederskiego wybiera ze swego dorobku prace, które uważa za najważniejsze, i one są przedmiotem analizy, czy należy się mu ten tytuł, czy nie* – mówi prof. dr hab. n. med. Andrzej Górski, przewodniczący KEN. – *Trafiały do nas doniesienia o plagiacie w innych, tych niewybranych publikacjach* ►

► *kandydata czy nawet osoby, która tytuł już otrzymała. Były przypadki, że ktoś kwestionował habilitację osoby, która otrzymała tytuł profesorski. I okazało się, że nie można nic z tym zrobić, ponieważ ta habilitacja nie była ujęta w dorobku do oceny. Bulwersujące. Ręce opadają.*

Prof. Górski przedstawił ten problem na Zgromadzeniu Ogólnym PAN. I było poruszenie, bo nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że może funkcjonować tak oczywisty absurd. – *To prawo musi być jak najszybciej zmodyfikowane* – powtarza prof. Górski. – *Ocenie powinien podlegać cały dorobek, nie tylko wybrany. I to jeszcze wybrany przez kandydata. To jakaś wielka anomalia, która nie ma chyba precedensu.*

Rygorizm kontra relatywizm

Komisja ds. Etyki w Nauce interweniowała w Ministerstwie Edukacji i Nauki. Odpowiedź była zdawkowa. Dlatego w kwietniu postanowili wspólnie z RDN jako głównym weryfikatorem w sprawach dotyczących stopni i tytułów naukowych zwrócić się do ministra z propozycją szeregu zmian w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 20 lipca 2018 r. Proponowane zmiany uzależniają awans naukowy od tego, czy kandydat ma na swoim koncie grzechy typu plagiat albo fałszowanie badań. W przypadku, gdy plama wyjdzie na jaw już po nadaniu tytułu profesora, nowe przepisy miałyby umożliwiać jego odebranie.

Od propozycji do nowelizacji daleka droga. Notabene „Ustawa 2.0” była zmieniana nie dawniej jak w tym roku. Przy akompaniamencie zapowiedzi medialnych: „Za plagiat profesor straci tytuł”. I co? Prof. dr hab. Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący RDN, tłumaczy, że faktycznie ta nowelizacja wprowadziła zapis o utracie tytułu. Ale pat trwa. Bo nie wiadomo, jak to wyegzekwować. – *W ustawie nie napisano, że prezydent odbiera tytuł, tylko że w przypadku stwierdzenia plagiatu osoba traci tytuł profesora* – mówi prof. Węgrzyn. – *Kto ma wydać decyzję o utracie? RDN nie może, bo tylko opiniuje wniosek. A co, jeśli ktoś popełnił plagiat dzień przed wejściem w życie tej nowelizacji? Przepis jest o tyle precyzyjny, że musi to być plagiat stwierdzony sądownie.*

Swoją drogą, to dziwne, że Rady Doskonałości Naukowej nie wierzyła ta ewidentna niedoskonałość pozwalająca kandydatom na selekcję dorobku i chowanie pod sukniem pozycji wątpliwych. Że trzeba było inicjatywy KEN. Przewodniczący RDN prof. dr hab. Grzegorz Węgrzyn tłumaczy, że dopiero w ostatnim okresie pojawiły się owe wybiórcze wnioski.

Podkreśla, że nad sprawą dr hab. Sitek Zespół Nauk Społecznych RDN dyskutował wyjątkowo długo: dać szansę czy potraktować restrykcyjnie? I zdania były podzielone. W tajnym głosowaniu za profesurą opowiedziało się 17 osób, osiem było przeciw, cztery się wstrzymały. W prezydium RDN już nikt nie był przeciw – osiem osób za, jedna się wstrzymała. Wniosek o nadanie tytułu trafił do Kancelarii Prezydenta RP. A stąd, podobnie jak te oprotestowane wcześniej przez Wrońskiego, wrócił do RDN z prośbą, by zasięgnąć opinii KEN. Ta, ujmując rzecz w skrócie, uznała, że plagiat był, plagiatorka się przyznała, ale „nie poniosła konsekwencji dyscyplinarnych swego czynu”.

Prezydium RDN zadecydowało, by wznowić postępowanie profesorskie. To oznacza powołanie nowych recenzentów. Zamówiono też zewnętrzną opinię prawną. Marek Wroński spodziewa się powtórki z rozrywki. Czyli tego, że po nowej turze dyskusji i głosowań zaopiniowany pozytywnie wniosek raz jeszcze trafi na biurko prezydenta. Ma nadzieję, że prezydent go nie podpisze.

W atmosferze tolerancji

Plagiaty zdarzają się dziś osobom pełniącym wysokie funkcje nie tylko w jakichś prowincjonalnych szkołach wyższych tego lub owego, ale także na uczelniach o dobrych notowaniach. Wystarczy wspomnieć plagiat Jerzego Gwizdały, byłego rektora Uniwersytetu Gdańskiego. – *Wpływ ma nie tylko złe prawo, ale też atmosfera tolerancji wobec tych faktów* – stwierdza prof. Górski. – *Trochę czasu spędziłem w świecie naukowej USA. Tam za coś takiego człowiek jest skończony, w ogóle nie ma dyskusji. A u nas zausze bywa: no tak, ale... Albo różne próby manipulacji.*

W sprawie dr Sitek różne warianty tego „ale” można usłyszeć z ust prof. Węgrzyna, przewodniczącego RDN. Że kandydatka była młoda, że ponad 20 lat minęło, że się przyznała, że zapożyczenie dotyczyło podręcznika, a podręcznik to wiedza już znana... – *Dr hab. Marek Wroński* – mówi prof. Węgrzyn – *uważa, że ktoś taki do końca życia powinien mieć zablokowaną karierę naukową. A na przykład ks. prof. Krzysztof Góźdź, szef zespołu teologicznego RDN, jak zapytaliśmy go w podobnej sprawie, powiedział: grzechy się wybaczają i daje jeszcze raz szansę. Mówimy o stronie etycznej, nie o meritum. Bo to jest oceniane przez recenzentów.*

Prof. Górski przypomina, że odpowiedzialność dyscyplinarna za plagiat już nie ulega przedawnieniu, jak to było przed laty. Choć wobec plagiatu sprzed 20 lat

byłyby nie tyle liberalny, ile otwarty na dyskusję. Jednak pod warunkiem że plagiator poniósł rzeczywiste konsekwencje – został ukarany i wyciągnął z tego wnioski. – *Jeśli ktoś nie poniósł żadnych konsekwencji, bo zrećnie się migał, co się zdarza, to uważam, że taka osoba nie powinna otrzymać tytułu profesora. A ostateczna decyzja i tak należy do pana prezydenta, my nie ferujemy wyroku, tylko opiniujemy* – konkluduje przewodniczący KEN.

Z tymi konsekwencjami jest bieda. Właśnie przez atmosferę tolerancji, która owocuje pobłażaniem. I kto wie, czy nie jest bardziej szkodliwa niż luki i niezborności w prawie. Plagiaty rzadko kończą się sprawą karną. Postępowania często są umarzane ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu. Sprawy dyscyplinarne się ślimaczą. Plagiatorzy zrećnie lawirują. Uczelniane ciała dyscyplinarne nierzadko gubią się w procedurach (orzeczenia przepadają z powodów czysto formalnych w postępowaniach odwoławczych). Albo ograniczają się do symbolicznych upomnień i nagan.

W efekcie plagiatorzy wychodzą obroną ręką, a poturbowane emocjonalnie zostają osoby, których praca została przywłaszczona. Ponieważ upomnieli się o swoje, bywają traktowane jako burzyciele spokoju i to ich spotyka niechęć. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, gdy plagiatorem jest osoba zajmująca wyższą pozycję w naukowej hierarchii. Kilka miesięcy temu na łamach „Tygodnika Powszechnego” ukazał się artykuł Anny Golus „Ofiar się nie przeprasza”. Poruszający. Autorka dotarła do kilkorga poszkodowanych, których pracę ukradziono. Opisała ich drogę – traktowanie w sądach, przed komisjami dyscyplinarnymi, na uczelni. Pokazała traumę i wtórną wiktyimizację.

Po takiej lekturze doprawdy trudno się rozczułać nad kwestią: czy popełniony kiedyś plagiat albo inna nieuczciwość naukowa ma być piętnem niezmywalnym, blokującym – jak się to określa – dalszy rozwój, rozumiany jako dostęp do tytułu profesora. Bo przecież prawa do rozwoju nikt nikomu nie odbiera. Prawa do kariery zawodowej również – włącznie ze stanowiskiem profesora uczelnianego. I wszystkimi funkcjami, które można osiągnąć w uczelnianych tudzież pozauczelnianych ciałach. Profesor tytułarny to coś innego – najwyższa godność w świecie nauki. Powinna być zarezerwowana dla tych, których nie tylko dorobek naukowy, ale i postawa etyczna nie budzą wątpliwości. Gdzieś trzeba wyznaczyć granicę.

RYSZARDA SOCHA



Wpływanie na chłód

Dotychczasowe starania, aby uczynić transport morski mniej uciążliwym dla klimatu, doprowadziły do jeszcze szybszego podgrzania mórz i oceanów. Trzeba wykorzystać inne pomysły. Na szczęście jest ich kilka.

ANDRZEJ HOŁDYS

Za ćwierć wieku wszystkie statki pływające po ziemskich morzach i oceanach będą przyjazne dla klimatu: ich emisje netto gazów cieplarnianych wyniosą zero. Taki plan przedstawiła Międzynarodowa Organizacja Morska (IMO), do której należą niemal wszystkie kraje świata. Ta wyspecjalizowana agenda ONZ zajmuje się głównie bezpieczeństwem żeglugi oraz ograniczaniem jej negatywnego wpływu na środowisko. Z tym drugim zadaniem radzi sobie różnie, co po części wynika z tego, że statki często mają właściciela w jednym kraju, a zarejestrowane są w innym. Między innymi dlatego międzynarodowy transport morski nie został uwzględniony w porozumieniu paryskim z 2015 r. zobowiązującym wszystkie kraje świata do szybkiej redukcji emisji gazów cieplarnianych. Kto bowiem miałby to uczynić – państwo, w którym znajduje się siedziba firmy będącej właścicielem statku, czy też państwo, pod którego flagą ów statek pływa?

Tymczasem około stu tysięcy jednostek handlowych pływających po morzach i oceanach odciska swoje piętno na morzach, atmosferze i klimacie. Przewożą one ponad 80 proc. wszystkich towarów i mają kluczowe znaczenie dla światowej gospodarki.

Bilans emisji

Transport morski rozkwitł po drugiej wojnie światowej dzięki globalizacji. Do pewnego stopnia tę globalizację podbudzał. Współczesne czterystumetrowe kontenerowce to – w pewnym sensie – następcy XIX-wiecznych kliprów pędzących z herbatą z Azji Wschodniej do Wielkiej Brytanii. Odpłynęły one w przeszłość wraz z pojawieniem się statków napędzanych silnikami najpierw parowymi, a później – spalinowymi.

Bez kontenerowców trudno sobie wyobrazić współczesny handel światowy. Są niczym globalny pas transmisyjny, którym non stop płynie gigantyczna masa towarów produkowanych w jednym zakątku planety, a konsumowanych na jej drugim końcu. Dzięki tym olbrzymim przewiezieniom T-shirta albo pary butów

sportowych z Wietnamu do Rotterdamu kosztuje dziś parę centów. Niemal na pewno przewiozły twój telewizor, telefon komórkowy czy komputer.

Zarazem jednak transport morski jest uciążliwy dla środowiska. Spalaniu ciężkich olejów napędowych – wciąż korzysta z nich większość statków handlowych – towarzyszy duża emisja dwutlenku węgla oraz rozmaitych zanieczyszczeń gazowych i stałych szkodliwych dla zdrowia i środowiska. W 2020 r. statki wysłały do atmosfery łącznie około miliarda ton CO₂. To mniej więcej 2,5 proc. wszystkich gazów cieplarnianych, które wytwarzamy. Za zbliżoną ilość odpowiada transport lotniczy, a za znacznie mniejszą – ok. 300 mln ton CO₂ – kolejowy. Największym trucicielem jest rzecz jasna drogowy, emitujący rokrocznie 5–6 mld ton CO₂.

Choć niektóre organizacje ekologiczne i państwa chciałyby jeszcze bardziej radykalnych kroków, strategia IMO przyjęta latem 2023 r. mimo wszystko wydaje się dość ambitna. Do 2030 r., czyli w ciągu siedmiu lat, transport morski miałby ograniczyć emisje gazów cieplarnianych o 40 proc. w stosunku ►

► do 2018 r. Do końca kolejnej dekady redukcja powinna wynieść 70 proc., aby ok. 2050 r. osiągnąć 100 proc. Zwróćmy uwagę, że chodzi o wynik netto, co oznacza, że ewentualne emisje dwutlenku węgla można równoważyć jego wychwytywaniem z atmosfery. Ważne, aby bilans wyniósł zero.

Początek wielkiego eksperymentu

Paradoks polega na tym, że starania, aby uczynić transport morski mniej uciążliwym dla środowiska naturalnego, doprowadziły na razie do jeszcze szybszego podgrzania mórz i oceanów. Jakis czas temu IMO zdecydowała, że począwszy od 2020 r., statki mają drastycznie ograniczyć emisje lotnych związków siarki. Uczyniono tak z oczywistych powodów: siarkowe gazy, głównie SO_2 , przechodzą w powietrzu wiele reakcji chemicznych, w wyniku których powstają aerozole drażniące płuca, wywołujące astmy, osłabiające układ oddechowy i serce. Związki siarki powodują też znaczne szkody ekologiczne. Kto nie słyszał o kwaśnych deszczach – masowych zabójcach lasów?

Zarazem jednak siarkowe drobiny unoszące się w powietrzu sprawiają, że część promieniowania słonecznego nie dociera do planety. Albo je same odbijają, albo też przyczyniają się do powstawania niskich chmur, które robią to samo. Innymi słowy, schładzają klimat. Gdy zaczyna się je wychwytywać przy pomocy filtrów, przyspiesza się wzrost temperatur. Tak właśnie stało się, gdy pod presją IMO zaczęto powszechnie instalować na statkach filtry do wyłapywania zanieczyszczeń siarkowych.

„Decyzja IMO dała początek wielkiemu naturalnemu eksperymentowi” – mówił Duncan Watson-Parris, fizyk atmosfery ze Scripps Institution of Oceanography w magazynie „Science”. Wraz z innymi naukowcami obserwuje on uważnie przebieg tego doświadczenia. Badania opublikowane ostatnio w kilku czasopismach naukowych sugerują, że nagłe usunięcie z nadmorskiej atmosfery zanieczyszczeń siarkowych, a także chmur, do których powstania one się przyczyniały, odpowiada w ok. 50 proc. za wzrost temperatury wód powierzchniowych Atlantyku zarejestrowany w ostatnich latach. Autorzy jednego z badań porównują zjawisko do sytuacji, w której z Ziemi znika duży, bardzo aktywny wulkan cały czas posyłający do atmosfery duże ilości związków siarki.

Ze szczególną uwagą przyglądają się temu „eksperymentowi” ci naukowcy,

którzy są zwolennikami geoinżynierii, czyli świadomej ingerencji w system klimatyczny globu, gdyby ten utracił równowagę i zaczął się szybko nagrzewać (POLITYKA 17 i 26). Ponieważ konsekwencje takiej szybko nakręcającej się spirali ocieplenia byłyby katastrofalne dla ludzkości, postulują oni – gdyby to było konieczne – rozpoczęcie rozpraszania w atmosferze aerozoli siarkowych, które miałyby uratować ludzkość przed katastrofą klimatyczną. W tym przypadku siarkowy drobiazg byłby rozpraszany w stratosferze na wysokości kilkunastu kilometrów, gdzie stworzyłby wokół całej planety rodzaj warstwy termoizolacyjnej. Inna geoinżynierska idea to zasiewanie – przy pomocy kryształków soli morskiej – niskich chmur nad oceanami, aby one odprawiły w kosmos część ciepła słonecznego.

Watson-Parris i inni badacze zauważają, że skoro oceany tak gwałtownie zareagowały na usunięcie z atmosfery siarki emitowanej dotychczas przez statki, może to oznaczać, że geoinżynieria również może zadziałać. Tianle Yuan, fizyk atmosfery z NASA, wyliczył ostatnio, że konsekwencją decyzji IMO jest ogrzanie planety o dodatkowe 0,1 wata na metr kwadratowy. Biorąc pod uwagę, że Ziemia ma powierzchnię 510 mln km kw., są to gigantyczne dawki energii powiększające już i tak znaczną jej nadwyżkę w systemie. To właśnie ta nadwyżka generuje globalny wzrost średnich temperatur. „Najsilniejszy efekt wystąpił na głównych morskich szlakach transportowych. Dla północnego Atlantyku to był szok” – powiedział Yuan, cytowany przez „Science”.

O tym, że zanieczyszczenia siarkowe na różne sposoby schładzają glob, wiadomo oczywiście nie od dziś. To one przez kilka dekad po drugiej wojnie światowej w dużym stopniu hamowały wzrost temperatur związany z emisjami dwutlenku węgla. Dopiero gdy na kominach i w samochodach zaczęto masowo instalować filtry siarkowe, wyszło na jaw, jak bardzo nakręciliśmy efekt cieplarniany. Aerozole siarkowe są wciąż emitowane w dużych ilościach do atmosfery, głównie w Azji, osłabiając tempo podnoszenia się temperatury globalnej. Symulacje komputerowe wskazują, że gdyby nie one, ta gorączka byłaby wyższa o 0,5–0,7 st. C.

To bardzo dużo. Gdybyśmy nagle pozbyli się tych zanieczyszczeń, w krótkim czasie przekroczylibyśmy wyznaczony w porozumieniu paryskim próg bezpieczeństwa klimatycznego wynoszący 1,5 st. C, licząc od początku epoki przemysłowej. Do tej pory rozgrzaliśmy



glob o 1,1 st. C, więc od tego progu dzieli nas już tylko 0,4 st. C.

„Aerozole siarkowe są znacznie potężniejszym graczem niż gazy cieplarniane, jeśli chodzi o ekstrema klimatyczne. Ogrzejmy świat, usuwając je z atmosfery, a będziemy mieli więcej gorących dni, więcej ekstremalnych opadów i dłuższe susze na obszarach gęsto zaludnionych, niż gdybyśmy podnieśli temperatury tylko poprzez dodanie do atmosfery takiej samej ilości gazów cieplarnianych” – napisali w ubiegłym roku w „Nature” fizycy atmosfery Bjørn H. Samset i Laura Wilcox. W tym samym czasie grupa badaczy dowodziła w „Communications Earth & Environment”, że zredukowanie do zera emisji związków siarki na świecie spowoduje ogrzanie się Arktyki o dodatkowe 0,8 st. C do 2050 r. Zaproponowali jednak środek zaradczy. Zalecili jeszcze szybszą redukcję emisji dwutlenku węgla, a także pozbycie się innego atmosferycznego aerozolu – sadzy, która tak jak gazy cieplarniane ogrzewa planetę.

Koniec pewnej ery

Wyzwanie, przed którym stoimy jako ludzkość, widać doskonale na przykładzie transportu morskiego. Po wykonaniu pierwszego kroku, czyli odciążeniu planety od wylewów siarkowych ze statków, powinno się błyskawicznie wykonać kolejny – pożegnać się z emisja-



„Pyxis Ocean” został wyposażony w dwa żagle z lekkiego kompozytu, z którego powstają łopaty turbin wiatrowych.

mi gazów cieplarnianych. Jak to zrobić? Dróg jest kilka.

Pierwszą wskazał pewien statek, który pod koniec września tego roku zawinął do portu Paranaguá w południowej Brazylii. Był to dwustumetrowy masowiec „Pyxis Ocean”, zarejestrowany w Singapurze, ale należący do japońskiego koncernu Mitsubishi, który nową jednostkę natychmiast wynajął innemu międzynarodowemu gigantowi – amerykańskiej firmie rolno-spożywczej Cargill. „Pyxis Ocean” ma być forpocztą całej flotyli statków handlowych, które – jak twierdzą jego właściciele i projektanci – najpierw setkami, a potem tysiącami wypłyną na morza w następnych dekadach. Jakież to awangardowe rozwiązanie w nim zastosowano? Wynalazek znany już starożytnym mieszkańcom Mezopotamii i Egiptu, który od ponad stu lat był w transporcie morskim w niełasce.

„Pyxis Ocean” został wyposażony w dwa prostokątne żagle, każdy o wysokości 37,5 m i szerokości 8 m. Nie są to jednak zwykłe płachty tkaniny, ale nowinka na miarę XXI w. Wykonano je bowiem z tego samego materiału, z którego buduje się łopaty turbin wiatrowych, czyli z lekkiego, lecz trwałego kompozytu. Innowacja nazywa się WindWings i jest dziełem naukowców z dwóch firm: brytyjskiej BAR Technologies oraz norweskiej Yara Marine Technologies. Pierwsi zaprojektowali żagle, drudzy je zbudowali. W połowie

sierpnia „Pyxis Ocean” wyruszył w swój dziewiczy, pięciodziesięciodniowy rejs z Chin (tam go zbudowano) przez Singapur do Brazylii. Po drodze spalił o jedną piątą paliwa mniej – i o tyle samo zredukował emisję dwutlenku węgla.

Jeden rejs to oczywiście za mało na rzetelną ocenę. Projektanci żagli dają sobie rok. „Symulacje komputerowe sugerują, że podczas długich rejsów oceanicznych średnich rozmiarów statek handlowy dzięki żaglom będzie mógł zredukować emisję dwutlenku węgla nawet o 30 proc.” – mówił John Cooper, szef BAT Technologies, w wywiadzie dla BBC. Jest on, co raczej nie dziwi, wielkim entuzjastą żagli. Według jego prognoz już pod koniec tej dekady wspomagana nimi będzie nawet połowa nowo budowanych statków handlowych. Kadłuby takich jednostek staną nieco zmienione, by mogły maksymalnie wykorzystać siłę wiatru.

Bilans możliwości

Same żagle jednak nie wystarczą, aby uwolnić transport morski od emisji związków węgla. Szuka się więc kolejnych rozwiązań. Jednym z nich są statki z napędem hybrydowym. Największa jak do tej pory taka jednostka właśnie rozpoczęła służbę na Morzu Bałtyckim. To prom „Finnsirius” kursujący pomiędzy Finlandią a Szwecją. Ma kadłub o długości 235 m, w którym może pomieścić 1100 pasażerów oraz

ponad 700 pojazdów. Wyposażono go w zestaw baterii litowo-jonowych o mocy 5 MWh. Ten rekord nie utrzyma się jednak długo. W 2024 r. pomiędzy Wielką Brytanią a Francją zacznie pływać pierwszy z dwóch promów z bateriami o mocy 11,5 MWh. Firma, która go zamówiła, od paru lat korzysta także z promów napędzanych skroplonym gazem ziemnym, znacznie mniej uciążliwym dla klimatu, atmosfery i zdrowia ludzi niż tradycyjne paliwo okrętowe. Wizjonerzy już myślą o zbudowaniu hybrydy, która będzie miała żagle, silnik na LNG oraz baterie litowo-jonowe. Z obliczeń wynika, że taki statek emitowałby o dwie trzecie mniej gazów cieplarnianych.

Można też – to kolejna alternatywa – wyposażać statek w silnik mogący spalać alkohol metylowy. Pionierami byli Szwedzi ze Stena Line. W 2015 r. wzbogacili swoją flotę o napędzany metanolem prom „Stena Germanica”, który kursuje pomiędzy Göteborgiem a Kilonią. Doświadczenia okazały się na tyle pozytywne, że ostatnio zamówili dwie kolejne takie jednostki. Od 2025 r. zaczną pływać pomiędzy Irlandią i Wielką Brytanią.

Jeszcze śmielsze plany ma Maersk, duński gigant w przewozach kontenerowych, który zamówił od razu 12 takich statków. Każdy będzie przewoził 16 tys. standardowych kontenerów. Maersk chciałby do 2040 r. całą swoją flotę – a liczy ona ok. 700 jednostek, wśród których są czterystumetrowe olbrzymy – uczynić zero-emisyjną. Sposobem na to ma być metanol, a w bardziej odległej perspektywie – wodór. Oczywiście założenie jest takie, że będą to paliwa „zielone”, czyli powstałe dzięki energii odnawialnej lub wyprodukowane z biomasy.

W grę wchodzi jeszcze amoniak wytworzony z wodoru, ale łatwiejszy do przechowywania i mający większą gęstość. W ramach unijnego projektu ShipFC w przyszłym roku w norweskim statku „Viking Energy” zostanie umieszczony amoniakowe ogniwo paliwowe o mocy 2 MW, zaprojektowane przez naukowców z ośrodka Fraunhofer IMM w Moguncji. Także Maersk ogłosił we wrześniu, że zlecił prace nad projektem amoniakowego kontenerowca. Żagle, LNG, baterie litowo-jonowe, metanol, wodór, a może amoniak – poszukiwania najlepszej opcji trwają i trudno przewidzieć, która z nich wygra.

Jedno wydaje się pewne: im szybciej na morzach i oceanach skończy się era mazutu i skutków ubocznych jego spalania, tym lepiej. W kolejnych latach Atlantyk będzie nam o tym przypominał.

ANDRZEJ HOŁDYS

Materiały, które zmieniają świat

POSTĘP TECHNOLOGICZNY NAPĘDZAJĄ ODKRYCIA NOWYCH MATERIAŁÓW. PRACUJE NAD NIMI MIĘDZYNARODOWE CENTRUM SPRZĘŻENIA MAGNETYZMU I NADPRZEWODNICTWA Z MATERIAŁEM TOPOLOGICZNYM MAGTOP, DZIAŁAJĄCE W INSTYTUCIE FIZYKI PAN. CENTRUM POWSTAŁO W RAMACH PROGRAMU MIĘDZYNARODOWE AGENDY BADAWCZE FUNDACJI NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ, FINANSOWANEGO ZE ŚRODKÓW POCODZĄCYCH Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH Z PROGRAMU INTELIGENTNY ROZWÓJ (POIR). OŚRODEK WSPÓŁTWORZĄ PROF. DR HAB. TOMASZ WOJTOWICZ I DYREKTOR MAGTOP **PROF. DR HAB. TOMASZ DIETL**.

O niewielu naukowcach można powiedzieć, że stworzyli nową gałąź nauki. Dzięki panu powstała spintronika półprzewodnikowa.

PROF. DR HAB. TOMASZ DIETL: – Odkrycia przypisuje się jednej osobie bądź wąskiemu gronu, bo tak jest prościej. Do powstania spintroniki półprzewodnikowej przyczyniła się jednak bardzo duża grupa ludzi, a nie tylko profesorowie David Awschalom i Hideo Ohno, z którymi otrzymałem nagrodę Europejskiego Towarzystwa Fizycznego. Klasyczna spintronika, która wykorzystuje materiały metaliczne, jest już szeroko wykorzystywana w pamięciach magnetycznych, jak twarde dyski. Jej półprzewodnikowa odmiana ma zastosowania bardziej niszowe, np. w metrologii kwantowej, ale należy pamiętać, że sukces rynkowy pojawia się zwykle około 30 lat po odkryciach fizyków.

Wydaje się, że jest mało dziedzin tak dobrze rozpoznanych jak magnetyzm. Czy jest tu jeszcze coś do odkrycia?

Magnetyzm jest jednym z pierwszych odkrytych przez ludzkość niezwykłych zjawisk, których zrozumienie wymagało rozwoju teorii kwantowej w pierwszych dekadach XX w. Chińczycy wykorzystywali kompas do nawigacji już tysiąc lat temu. Pierwsze silniki elektryczne pojawiły się w latach 30. XIX w., ale możliwość ich zastosowania w samochodach wiąże się z opracowaniem w ostatnich latach silniejszych magnesów. Magnetyczny zapis informacji też jest stosowany od dawna, bo nagrywanie głosu za pomocą nośników magnetycznych opracowano już na początku XX w. Postęp polega tutaj na nowych metodach odczytu i zapisu informacji, lepszych materiałach, co łącznie z postępową miniaturyzacją pozwala zapisać teraz kilkadziesiąt filmów na całowym krążku.

Tylko że wraz z miniaturyzacją rośnie poziom komplikacji.

Który powoduje, że tempo miniaturyzacji spowalnia. Postęp, który mimo to obserwujemy, zawdzięczamy m.in. nowym materiałom (np. zastąpieniu tlenku krzemu tlenkiem hafnu), ale też rozszerzeniu typów nośników informacji. Obok

Prof. **Tomasz Dietl**, fizyki, pracuje w Międzynarodowym Centrum Badawczym MagTop w Instytucie Fizyki PAN, specjalizuje się w fizyce i zastosowaniach półprzewodników topologicznych, magnetycznych i nadprzewodzących. Ostatnio opracował teorię kwantowego zjawiska Halla.



elektronów wykorzystujemy fotony, czyli światło, a obok ładunku elektrycznego – moment magnetyczny, czyli spin elektronu, a także strumień pola magnetycznego. Duże możliwości wiążą się ze zmianami w architekturze komputerowej. Ta, z której korzystamy, została stworzona przez Johna von Neumanna w czasie drugiej wojny światowej. W zasadzie nie zmieniono jej w fundamentalny sposób aż do dziś, choć wiemy, że mogą istnieć inne możliwe architektury oraz zasady wykonywania obliczeń, jak choćby w komputerach kwantowych.

Ala czy rzeczywiście potrzebujemy coraz większych mocy obliczeniowych?

Tak i nie tylko dla rozrywki, tj. lepszych gier i filmów, ale również do projektowania nowych materiałów czy leków lub skuteczniejszego przewidywania pogody. Wielkim wyzwaniem, wymagającym stosowania metod sztucznej inteligencji (uczenia maszynowego), stanowi twórcze wykorzystanie morza danych, jakie zgromadziliśmy i tworzymy, np. do zautomatyzowanej diagnozy w czasie rzeczywistym podczas badania metodami rezonansu magnetycznego czy ultrasonografii.

W tym kontekście istotny problem to rosnący udział szeroko pojętych technologii informacyjno-komunikacyjnych, w tym centrów danych oraz kopalni bit-coinów, w globalnym zużyciu energii, sięgającym obecnie 5 proc. Jednym z kierunków postępu jest stworzenie urządzeń o takich samych mocach obliczeniowych

i pamięciach, jak te wykorzystywane wspólnie w notebookach i telefonach, ale jednocześnie tak efektywnych, że mogłyby być zasilane światłem czy wszechobecny szumami elektromagnetycznymi. Drugi kierunek to rozwój wspomnianych komputerów kwantowych, które nie tylko byłyby wydajniejsze energetycznie, ale mogłyby rozwiązywać problemy, z którymi nie radzą sobie komputery klasyczne.

Co powoduje, że zbudowane dotychczas komputery kwantowe są zbyt małe do praktycznych zastosowań?

Stosunkowo niedawno odkryto, że możliwość opisu wielu zjawisk w urządzeniach elektronicznych pojęciami klasycznymi (np. równoczesny opis położenia elektronu i jego prędkości) wynika z faktu, że ewolucja kwantowa jest zaburzona przez wspomniane szumy elektromagnetyczne, pochodzące także od np. termicznych drgań atomów. Poszukujemy więc materiałów, w których nośniki informacji nie wchodzi w interakcje z otoczeniem i dzięki temu ich zachowanie jest kwantowe. I właśnie materiały topologiczne dają taką szansę.

Czym właściwie są materiały topologiczne?

Geometria mówi nam, jak obliczyć pole kwadratu, a jak trójkąta. Topologia to nauka, która zajmuje się właściwościami, które nie zależą od geometrii, od kształtu – z punktu widzenia topologii kwadrat, trójkąt i bułka są identyczne, ale obwarunek już nie, bo z bułki nie można zrobić

obwarzanka, nie niszcząc jej. Istotne jest to, że obwarzanek ma jedną dziurę, a bułka żadnej. Podobnie można spojrzeć na tzw. wstęgę Möbiusa. Zwykła wstęga to obręcz, a wstęga Möbiusa jest sklejona po przekręceniu i nie można z niej zrobić obręczy, więc – jak mówimy – należy do innej klasy topologicznej. Kiedy myślimy o zapisie informacji przy pomocy momentów magnetycznych, to możemy wyobrazić sobie dwa stany: jeden, w którym te spiny [momenty pędu cząstek – red.] układają się jak na obręczy, i drugi, w którym układają się jak na wstędze Möbiusa. Ten drugi układ jest dużo stabilniejszy, dzięki czemu zapis jest trwały nawet wtedy, gdy sam obiekt jest dużo mniejszy. Takie układy topologiczne mogą być nowym nośnikiem danych, ale mogą też służyć do przetwarzania informacji.

Istnieje także klasa materiałów, w których istnieją dodatkowe stany elektronowe na powierzchni, niezależnie od kształtu próbki, a więc mają charakter topologiczny. Ponieważ odkształcenie, wywołane np. termicznym ruchem atomów, nie wpływa na te stany, oddziałują one słabo z otoczeniem. Oznacza to, że możemy zbudować półprzewodnik, po którego powierzchni elektrony poruszają się niemal bez strat. To bardzo ciekawe z punktu widzenia zarówno zużycia energii, jak i budowy komputerów kwantowych.

Jak w takim razie przełożyć to na faktyczne zastosowanie?

Obiekty, które mają odpowiednie właściwości topologiczne i mogłyby stanowić nowy nośnik informacji w komputerach kwantowych, to tzw. fermiony Majorany. Fermionami są na przykład elektrony i pozytony. Majorana to włoski fizyk, który opracował równanie, z którego wynikało, że mogą istnieć cząstki, które są swoimi własnymi antycząstkami. Chociaż nie znaleziono ich jako cząstek elementarnych, powinny one istnieć w pewnej klasie nadprzewodników jako obiekty topologiczne, a więc odporne na zaburzenia. Cząstek Majorany w nadprzewodnikach poszukuje kilkadziesiąt laboratoriów. Mamy sytuację podobną do wyścigu, jaki toczył się o znalezienie cząstki Higgsa.

Właściwości topologiczne mają już jednak praktyczne zastosowania, na przykład w metrologii. Dziś podstawowe jednostki miar są określane nie za pomocą fizycznych obiektów, ale za pomocą stałych fizycznych. Metr, sekunda czy kilogram są dziś definiowane poprzez odwołanie się do m.in. prędkości światła, wartości ładunku elektronu czy stałej Plancka. Bezstratny ruch elektronów w stanach topologicznych powoduje, że w pewnych warunkach opór elektryczny zależy jedynie od stosunku

stałej Plancka do kwadratu ładunku. W ten sposób, łącznie ze zjawiskiem Josephsona w złączach nadprzewodzących, można zbudować wzorce jednostek elektrycznych (wolt, amper, om) oraz kilograma. Warto dodać, że postęp w metrologii, w tym dokładności pomiaru czasu, pozwala nam na określenie naszego położenia z dokładnością 10 m, wykorzystując zegary atomowe na satelitach GPS.

Gdzie w przyszłości będziemy mogli znaleźć materiały, nad którymi obecnie pracujecie w MagTop?

Chciałbym podać trzy przykłady, a zainteresowanych szerszą informacją odsyłam do naszej strony internetowej, gdzie opisujemy szczegółowo ponad 25 osiągnięć. Po pierwsze, jesteśmy w wyścigu o znalezienie majoran na potrzeby informatyki kwantowej. Poszukujemy ich w tzw. nanodrucie kwantowym. Wydaje nam się, że mamy technologię otrzymywania pewnej klasy nanodrutów, które dają o wiele większe szanse na znalezienie tych cząstek niż w materiałach dotychczas badanych.

Druga nowa rzecz, którą MagTop podejmuje, to wykorzystanie jako topologicznych nośników informacji wirów w nadprzewodnikach. W tej chwili grupa tym zajmująca się jest w stanie kontrolować pojedyncze wiry. To bardzo ciekawe, bo tak skonstruowana elektronika działa w bardzo niskich temperaturach i jest obiecująca ze względu na oszczędności energii.

Współpracujemy z firmą, która specjalizuje się w czujnikach podczerwieni i wykorzystuje materiały, które w pewnych warunkach są topologiczne. Oni sami nie wykorzystują jak dotąd tych właściwości, ale wspólnie przygotowujemy ciekawy patent. Detektory podczerwieni wymagają schładzania. Tymczasem materiały, nad którymi pracujemy, mogą wykorzystywać zjawisko termoelektryczne do obniżania temperatury. Można więc zbudować czujnik, który jednocześnie wykrywa promieniowanie podczerwone i sam się chłodzi. I to może pojawić się najszybciej w produkcji rynkowej.



Czy w takie badania warto inwestować właśnie u nas, w Polsce?

Na całym świecie trwa poszukiwanie talentów. To globalny wyścig o to, kto zgromadzi u siebie więcej mądrych ludzi. Polska często takie talenty traciła. Temu trzeba przeciwdziałać na dwa sposoby. Po pierwsze, przez stworzenie bardzo dobrych warunków do pracy dla polskich uczonych. Druga metoda to ściąganie talentów z zagranicy. Ideą Międzynarodowych Agend Badawczych było otworzyć polskie uczelnie i laboratoria na większą liczbę przybyłych z zagranicy. I to się powiodło, u nas pracują naukowcy z 13 krajów.

Program MAB ma także na celu zmiany metod zarządzania nauką. Decyzje o zatrudnianiu szefów grup podejmuje nie nasza instytucja ani Instytut Fizyki PAN, ale Międzynarodowy Komitet Naukowy, więc wybór dokonywany jest obiektywnie i wyłącznie w oparciu o kwalifikacje kandydatów.

Kolejną istotną kwestią jest przybliżenie nauki do przemysłu nowych technologii. Kluczowym elementem programu była konieczność nawiązania takiej współpracy i to w naszym przypadku się udało.

Istotne jest też, że programy MAB są rozpisane na wiele lat. A to pozwala na stworzenie masy krytycznej naukowców, którzy zajmują się danym zagadnieniem, co na pewno zaowocuje w przyszłości.

Czy jednak mamy szansę skorzystać gospodarczo na takich badaniach, skoro dziś większość przemysłu wysokich technologii to koncerny amerykańskie czy japońskie?

Problem związany z tym, że to firmy z innych krajów zarabiają na wynikach nie swoich badań, dotyczy całej Europy. Oczywiście w mniejszym stopniu np. Niemiec, które mają wiele firm wysokiej technologii konkurujących na świecie. W naszym kraju pojawia się jednak coraz więcej przedsiębiorstw, które są do takiej konkurencji zdolne. Niedawno polska firma Scope Fluidics sprzedała swoją technologię do USA za 170 mln dol. Oczywiście nie mamy polskiego Samsunga, choć Korea Południowa jest podobnej wielkości jak Polska, można by sobie więc wyobrazić, że powinniśmy mieć podobną firmę. Potrzebny jest ogromny wysiłek naukowców i inżynierów, by tę sytuację odwrócić, ale myślę, że Polska już dokonała ogromnego postępu i można patrzeć optymistycznie w przyszłość.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl

Terapia na miarę

Większość pacjentów z rakiem prostaty wcale na niego nie umrze – uspokaja dr hab. n. med. **Paweł Rajwa**, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki o Życiu.

PAWEŁ WALEWSKI: – W swoje 50. urodziny wybierze się pan na badanie gruczołu krokowego per rectum czy odda krew, by sprawdzić poziom białka świadczący o niekorzystnych zmianach w tym gruczole?

PAWEŁ RAJWA: – Gdybym dzisiaj był w tym wieku, zdecydowałbym się na oba. Kiedy za dwie dekady skończę 50 lat, żadne nie będzie mi potrzebne.

Staną się bezużyteczne?

Zastąpią je doskonalsze metody wykrywania nieprawidłowości w prostacie.

Mimo to dziś jednak je pan zaleca?

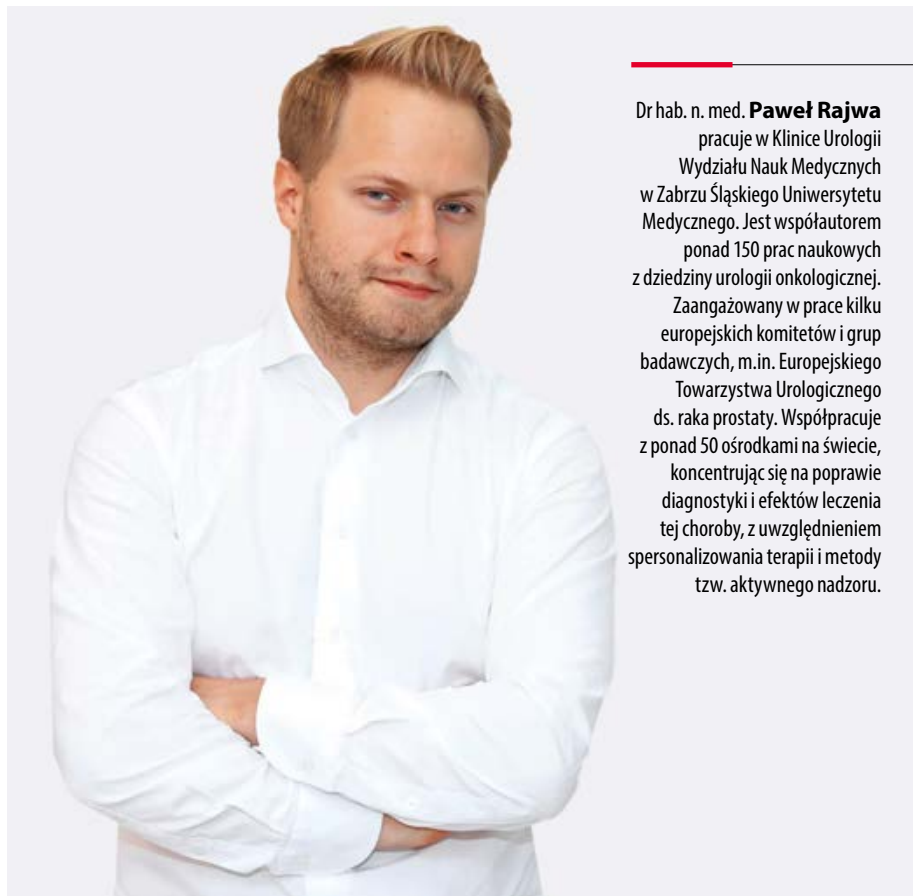
Nie mamy innych ogólnodostępnych testów, by wyselekcjonować pacjentów z podwyższonym ryzykiem nowotworu gruczołu krokowego. Samego testu PSA (skrót od Prostate Specific Antigen, swoistego antygenu sterczowego wykorzystywanego do wykrywania oraz śledzenia przebiegu raka prostaty – przyp. red.) nie poleca się już do badań przesiewowych, ale wciąż jest wygodny, bo wystarczy pobrać krew z żyły. Tyle że jednorazowa analiza o niczym nie przesądza. Jeśli zgłosi się do mnie mężczyzna z wynikiem powyżej normy, nie zaniepokoję się tym, lecz zlecę powtórne badanie oraz ocenę objętości gruczołu. Bo im jest większy, tym wyższy będzie poziom PSA.

Potrafi to ocenić urolog podczas badania palpem?

Tak. Dodatkowo sprawdzi spistość i twardość oraz przekona się, czy struktura jest podejrzana nowotworowo – będzie tak, kiedy wyczuje na jej powierzchni guzki. Jeśli dotyk sprawi pacjentowi ból, można domyślić się stanu zapalnego. Kłopot polega na tym, że polegamy tu na subiektywnych odczuciach lekarza. Dlatego ja już dziś przy niepewnych wynikach PSA zalecam dalsze badania, które pomogą lepiej ocenić ryzyko.

Mała prostata i jednocześnie dwucyfrowy wynik PSA – czy można już postawić rozpoznanie raka?

Na pewno stwierdzić, że ryzyko jest większe, i wtedy wykonać rezonans magnetyczny. Jego wynik będzie



Dr hab. n. med. **Paweł Rajwa** pracuje w Klinice Urologii Wydziału Nauk Medycznych w Zabrze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Jest współautorem ponad 150 prac naukowych z dziedziny urologii onkologicznej. Zaangażowany w prace kilku europejskich komitetów i grup badawczych, m.in. Europejskiego Towarzystwa Urologicznego ds. raka prostaty. Współpracuje z ponad 50 ośrodkami na świecie, koncentrując się na poprawie diagnostyki i efektów leczenia tej choroby, z uwzględnieniem personalizowania terapii i metody tzw. aktywnego nadzoru.

wskazówką, czy pacjent powinien mieć wykonaną biopsję, czyli pobrany igłą z prostaty fragment uwidocznionej zmiany w celu zbadania pod mikroskopem.

Pan wykazał przecież w swoich pracach, że rezonans nie jest w pełni wiarygodny w finalnym rozpoznaniu tego nowotworu.

W diagnostyce pierwotnej, czyli gdy zgłasza się na to badanie pacjent, który jeszcze nie ma go rozpoznanego, rezonans sprawdza się całkiem dobrze. Choć mówiąc precyzyjniej: to jest najlepsze narzędzie do wykluczenia agresywnego raka. Jeśli w uzyskanym obrazie rezonansu nie widać podejrzanego ogniska, to mamy ponad 80 proc. pewności, że go tam nie ma. Przy wyniku dodatnim, kiedy dostrzegamy coś niepokojącego,

ryzyko nowotworu waha się między 15 a 70 proc., bo stuprocentowej pewności też nigdy mieć nie można.

Moje badania z 2021 r. dotyczyły zaś chorych poddawanych tzw. aktywnemu nadzorowi, u których nowotwór już został wykryty, ale w stadium niskiego ryzyka – w tym wypadku zdolność do wytworzenia przerzutów w ciągu 15 lat nie przekracza 10 proc. Wykazałem, że rezonans magnetyczny nie wystarcza u takich pacjentów do monitorowania ewentualnego rozwoju nowotworu: kiedy daje wynik fałszywie negatywny – łatwo przeoczyć, że złośliwiej; gdy jest fałszywie pozytywny – choremu zleca się niepotrzebne biopsje.

Co jest zatem właściwsze u mężczyzn poddawanych aktywnemu nadzorowi?

Na podstawie moich badań zalecono w ostatnich europejskich wytycznych, aby niezależnie od rezonansu, co 2–3 lata wykonywać biopsje kontrolne oraz mieć na uwadze inne czynniki kliniczne, np. wyniki poprzednich biopsji czy choroby współistniejące.

Być tak regularnie kłutym to dla chorych chyba perspektywa stresująca.

Jeśli mężczyzna ma 50 lat i guzek w prostatcie, trzeba być bardziej uważnym, aby nie przespać momentu, kiedy zacznie się stawać agresywny. Dlatego musimy go również agresywniej monitorować. Ale u mężczyzn po 70., u których rozpoznano takiego raka – powiedzmy – dwa lata temu i w tym czasie przebyli zawał serca lub udar, to nawet jeśli nastąpi progresja, nie odniosą korzyści z agresywnego nadzoru i leczenia, ponieważ w ich wypadku ten rak nie jest problemem w porównaniu z ogólnym stanem zdrowia. Im regularnych biopsji nie trzeba więc zalecać.

Naprawdę większość pacjentów żyjących z tym nowotworem wcale nie na niego umrze! Oczywiście 50-latkowie będą mieć to ryzyko większe, ale również u nich metoda aktywnego nadzoru, czyli monitorowanie zamiast leczenia, jest zdecydowanie bezpieczna. Po odpowiedniej edukacji na temat potencjalnego przebiegu ich choroby, nie odczuwają oni większego stresu i cieszą się dobrą jakością życia – w porównaniu z metodą leczenia radykalnego zdecydowanie rzadziej żałują swojej decyzji co do wyboru postępowania.

Próbuje pan mnie przekonać, że wykrytej w gruczole krokowym zmiany nowotworowej nie trzeba usuwać?

Połowa chorych ma tego raka w stadium niskiego ryzyka – to są tysiacyce mężczyzn, których powinniśmy zacząć leczyć dopiero w momencie, gdy komórki guza stają się agresywne i mogą dawać przerzuty do kości, węzłów chłonnych albo płuc. Sporo czasu poświęcam na rozmowy z takimi 50- i 60-latkami, tłumacząc, że nie ma sensu rozpoczynać kuracji lekami, ani decydować się na operację, ponieważ w żaden sposób nie poprawi to ich rokowania. Co najmniej połowa może unikać leczenia, a wraz z nim ryzyka poważnych powikłań.

Przecież rak prostaty jest po raku płuca i jelita grubego trzecim głównym zabójcą mężczyzn! Skoro co najmniej połowa nie musi go leczyć, to dlaczego ok. 8 tys. rocznie umiera?

Bo jest to choroba niejednorodna, z różną dynamiką oraz często wykrywana w stadium agresywnym, bardziej zaawansowanym. Istnieją pewne cechy, które podpowiadają, którzy pacjenci są obciążeni największym ryzykiem zgonu – czyli kogo trzeba leczyć natychmiast w momencie diagnozy – i jest to mniej więcej co drugi chory. Czy część będzie leczona niepotrzebnie? Owszem, ale z drugiej strony u pozostałych poprawi mi rokowanie i jakość życia.

Czy łatwo wykryć we agresywnym stadium raka, który jest wczesny?

Przeważnie można to określić na podstawie specyficznych cech już w momencie diagnozy. Wielu pacjentów ma agresywny guz zlokalizowany tylko w prostatcie, bez przerzutów – więc jeśli go usuniemy, jest duża szansa, że ta pojedyncza interwencja ich wyleczy. Niestety u 10 proc. występują już przerzuty. Dotychczas starano się opóźnić ich rozwój, ale rokowanie nie przekraczało 5 lat życia. Nowe terapie, a przede wszystkim spersonalizowanie kuracji, drastycznie je poprawiają. Moim zdaniem wielu mężczyzn z tej grupy, do niedawna nieuleczalnie chorych, będzie mogło wkrótce też zostać wyleczonych.

Skąd ten optymizm?

Z powodu nowej idei, jaką jest personalizacja leczenia, czyli dopasowanie odpowiedniej kuracji do odpowiedniego pacjenta w odpowiednim czasie. Są guzy, które bezwzględnie trzeba usunąć operacyjnie. Są inne, które zniszczy radioterapia. A są też takie, których leczenie zaczniemy od podawania hormonów i innych leków.

Koncentruje pan teraz swoje prace na wydłużaniu życia chorym z tą najbardziej agresywną postacią raka gruczolu krokowego. Co tu się musi najpierw zmienić?

Trzeba dążyć do tego, by na jak najwcześniejszym etapie diagnozy umieć oszacować, który pacjent na jakim podejściu do leczenia najbardziej skorzysta. Śmiertelność w tym raku, w stosunku do wykrywanych przypadków, jest wciąż tak katastrofalna, ponieważ

ktos odpowiednio nie zinterpretował rezonansu magnetycznego we właściwym czasie albo 50-latek nie zgłosił się do urologa na badanie *per rectum* i test PSA, albo ktoś mu powiedział, że wszystko w porządku i nie powtórzono badania za 2–3 lata aby zobaczyć, czy nie doszło do rozwoju raka. Wciąż nie wyłapujemy tych agresywnych guzów we wczesnym stadium, bez przerzutów – które potencjalnie można wyleczyć.

Wierzę też, że ogromne znaczenie będą miały nowe metody obrazowania. Mamy już nowe narzędzie – PSMA-PET (*prostate-specific membrane antigen*-PET) – które za pomocą podanych dożylnie radioizotopów jest w stanie wykryć komórki rakowe dużo precyzyjniej niż tomografia komputerowa i scyntygrafia. Te standardowe metody nie wykrywają obecnie 20 proc. przerzutów, więc jeśli PSMA-PET jest skuteczniejszy u 20 proc. pacjentów z agresywnym rakiem prostaty, będzie można lepiej dopasować u nich właściwą terapię.

Bo czy możemy wyleczyć raka poprzez usunięcie albo napromienienie gruczołu, jeśli pozostawimy niezauważone przerzuty, które dalej się rozwijają? Wkrótce w najlepszym czasopiśmie urologicznym na świecie – „European Urology” – ukaże się moja najnowsza praca, w której wraz z radioterapeutą dr. Marcinem Miszczykiem udowadnimy, że celowane napromienienie lub chirurgiczne usunięcie tych pojedynczych przerzutów widocznych w badaniu PSMA-PET daje wielu chorym przeżycie wolne od progresji nowotworu.

Czy wybrał pan urologię właśnie dlatego, że wiele w niej jeszcze można zmienić?

Taki pomysł przyszedł mi do głowy już na czwartym roku studiów, ponieważ na zajęciach, jakie odbywaliśmy w klinice, gdzie teraz pracuję, spotkałem nauczycieli, którzy potraktowali mnie bardzo poważnie. Na większości oddziałów studenci zazwyczaj nie mają wielu okazji, by przekonać się, co dobrego daje nauka i praca w relacji mistrz–uczeń. Ja miałem szczęście spotkać w Zabrze prof. Andrzeja Paradysza i zespół, dla którego byłem od razu młodszym kolegą. Otrzymywałem wskazówki i poświęcał mi uwagę. Dano mi po prostu szansę, której nie chciałem zmarnować. ■

Czy świat uniknąłby eskalacji wojny w Wietnamie, gdyby 60 lat temu zamachowiec nie zastrzelił Johna F. Kennedy'ego?

Trzy kule

TOMASZ ZALEWSKI

Samolot Air Force One z prezydentem Johnem F. Kennedym i jego żoną Jacqueline wylądował w piątek 22 listopada 1963 r o godz. 11.40 w Dallas w Teksasie. Pierwsza para Ameryki wsiadła do odkrytej limuzyny Lincoln Continental i w towarzystwie gubernatora stanu Johna Connally'ego, pod eskortą policji i agentów Secret Service, wyruszyła do centrum miasta. Kennedy przyleciał do Teksasu, by pogodzić tamtejszych skłóconych polityków swojej Partii Demokratycznej i zdobyć serca mieszkańców stanu.

Prezydent nie cieszył się popularnością wśród konserwatywnych południowców i wizytę traktował jako początek kampanii przed wyborami w następnym roku, kiedy miał się ubiegać o reelekcję. Zależało mu na tym, by w Dallas powitały go tłumy, więc trasę przejazdu ogłoszono kilka dni wcześniej.

Strzały

O godz. 12.30 prezydencki kabriolet wjechał na Dealey Plaza, teren parku w centrum miasta, minął sześciopiętrowy budynek stanowej składnicy książek i skręcił w Elm Street. Kiedy sunął nią powoli, a prezydent pozdrowiał stojących na chodniku, rozległy się strzały. Pierwszy nie zwrócił uwagi widzów i ochroniarzy, wzięto go za wybuch petardy, chociaż kula przeszła szyję Kennedy'ego. Druga kula trafiła go w tył głowy, roztrzaskując czaszkę – fragmenty mózgu rozpryskały się wokół – i dosięgła gubernatora. Jacqueline, obryzgana krwią męża, zaczęła wdrapywać się na bagażnik kabrioletu. W panice, wśród krzyków przerażenia, samochód z Kennedym pognął do pobliskiego Parkland Memorial Hospital.

Prezydent żył jeszcze, gdy limuzyna dojechała do szpitala, próbowano go ratować, ale o godz. 13.00 stwierdzono zgon. Wiadomość o śmierci podał słynny prezenter telewizji CBS Walter Cronkite. Tego samego dnia ciało przewieziono samolotem Air Force One do Waszyngtonu. Na pokładzie sędzia federalna Sarah Tilghman Hughes

John F. Kennedy,
1960 r.



zaprzyjęła wiceprezydenta Lyndona B. Johnsona jako nowego prezydenta. U jego boku stała Jacqueline w poplamionym krwią męża kostiumie. Odmówiła zmiany stroju.

Podejrzany

Już kilka minut po zabójstwie ktoś zawiadomił policję, że zauważył białego mężczyznę z karabinem w oknie na szóstym piętrze składnicy książek. Przybyli tam funkcjonariusze znaleźli porzucony karabin Carcano M91, a po godzinie aresztowali 24-letniego Lee Harveya Oswalda, zatrudnionego w składnicy byłego żołnierza piechoty morskiej. Zatrzymany zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z zamachem, ale odciski palców i włókna materiału z jego koszuli znalezione na broni potwierdzały, że to on używał karabinu. Aresztowano go pod zarzutem zabójstwa prezydenta i policjanta z Dallas J.D. Tippita, którego zastrzelił w czasie ucieczki z miejsca zbrodni.

Dwa dni później Oswald miał zostać przewieziony z komendy policji do miejscowego więzienia. O godz. 11.20 dwóch funkcjonariuszy prowadziło go przez podziemia posterunku do czekającego samochodu, w szpalerze dziennikarzy i innych osób. Z tłumu wyłonił się nagle niewysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i kapeluszu, z pistoletem w dłoni, i strzelił do Oswalda. Moment zabójstwa dziennikarmanego mordercy Kennedy'ego obejrzał wkrótce cały świat, gdyż jego transport pod eskortą był transmitowany na żywo przez telewizję. Zabójcą Oswalda był właściciel nocnego lokalu w Dallas Jack Ruby. Wytoczono mu proces i skazano na dożywocie. W 1967 r. zmarł w więzieniu na raka.

Charyzmatyczny

Urodzony w 1917 r. John Fitzgerald Kennedy, obejmując urząd w Białym Domu 20 stycznia 1961 r., miał niespełna 44 lata. Jego charyzma i sława bohatera drugiej wojny światowej – jako dowódcy kutra torpedowego z narażeniem życia uratował załogę po zniszczeniu jednostki przez Japończyków – uosabiały zmianę pokoleniową. Był pierwszym prezydentem urodzonym w XX w. i zdawał się zwiastować nową epokę. Ameryka oczekiwała zmian, odzwierciedlających ekonomiczną i kulturową transformację kraju, który stał się globalnym supermocarstwem.

Wraz z Jacqueline tworzyli parę będącą spełnieniem podświadomych tęsknot Amerykanów za monarchią. Pierwsza dama umocniła te skojarzenia, po śmierci męża porównując Białą Dom za jego kadencji do Camelotu, dworu legendarnego



Para prezydencka jedzie przez Dallas, tuż przed zamachem, 22 listopada 1963 r.

króla Artura. Kennedy otoczył się doradcami – profesorami z prestiżowych uczelni, liberałami gotowymi do reform, elitą „najlepszego pokolenia”. W przemówieniach cytował poetów i filozofów, a w Białym Domu za jego rządów bywało tylu intelektualistów i artystów jak nigdy przedtem ani potem.

O wyniku rywalizacji z republikańskim kandydatem, Richardem Nixonem, zdecydowała pierwsza w historii USA prezydencka debata telewizyjna. Kennedy wygrał ją, bo Nixon, choć lepiej zorientowany w polityce zagranicznej, był nieogolony i pocił się na wizji, co zraziło do niego wyborców. JFK pokonał oponenta i został pierwszym w dziejach Ameryki prezydentem katolikiem. W zdominowanym przez protestantów kraju poradził sobie z tym, zapewniając, że w sprawach publicznych nie będzie rzecznikiem swego Kościoła.

Podczas inauguracji wygłosił przemówienie ze słynnymi słowami: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie. Pytaj, co ty możesz zrobić dla kraju”. Nieraz porrywał słuchaczy, dając do zrozumienia, że zamierza być prezydentem stawiającym sobie cele na miarę ambicji Ameryki. Obiecał, że przed końcem dekady lat 60. wyśle w kosmos raketę, którą Amerykanie dolecą do Księżyca i na nim wylądują. Zapowiedział przyznanie Afroamerykanom pełni praw obywatelskich i likwidację ubóstwa.

Wrzenie zimnej wojny

Początki prezydentury nie były najlepsze. W kwietniu 1961 r. 1500 kubańskich emigrantów, wyszkolonych, uzbrojonych i dowodzonych przez CIA, wylądowało na wyspie w Zatoce Świń z zamiarem obalenia Fidela Castro. Liczyli na pomoc amerykańskiego lotnictwa, ale Kennedy, chociaż zaaprobował akcję – zaplanowaną za kadencji poprzednika, prezydenta Dwighta Eisenhowera – odmówił takiego wsparcia. Desant zakończył się klęską.

Otoczeni przez reżimowe wojska emigranci zginęli lub dostali się do niewoli. Rząd amerykański wykupił ich za żywność i lekarstwa dla Kuby o wartości 53 mln dol. JFK przyznał się do porażki. Jego administracja nadal planowała militarne interwencje na Kubie i zamach na Castro, co się nie udało.

W czerwcu 1961 r. doszło w Wiedniu do pierwszego spotkania Kennedy'ego z Nikitą Chruszczowem. Sowiecki gensek zasypał go agresywnymi pretensjami i pogroźkami. Doszedł do wniosku, że ma do czynienia z przywódcą niedoświadczonym i słabym, którego będzie można wodzić za nos. Już w lipcu tego samego roku zbudował w Berlinie mur, dzielący wschodnią i zachodnią część miasta. Dalej posunął się rok później – rozmieścił na Kubie wyrzutnie sowieckich rakiet balistycznych średniego zasięgu, a więc zdolnych do niszczenia celów w USA. Świat stanął na krawędzi wojny atomowej. Kennedy ogłosił morską blokadę Kuby – amerykańska marynarka wojenna miała nie dopuścić do wyspy sowieckich okrętów. Kiedy jedna z sowieckich jednostek została zatrzymana i przeszukana, Chruszczow zrozumiał, że Amerykanie nie blefują. Zaczął negocjować. W wyniku rozmów Kennedy obiecał, że USA nie zaatakują Kuby i w zamian za wycofanie sowieckich rakiet z wyspy zgodził się na ewakuację z Turcji i Włoch amerykańskich rakiet Jupiter. Tego ostatniego ustępstwa nie ogłoszono publicznie, ale w istocie nie miało wielkiego znaczenia, bo Jupitery były przestarzałe i stopniowo wycofywano je z użytku. Rakiety z Kuby wróciły do ZSRR. Kennedy zdał najważniejszy egzamin swojej prezydentury. Poparcie dla niego w sondażach wzrosło do 77 proc.

Kim był zabójca

Aresztowany godzinę po zamachu Lee Harvey Oswald miał życiorys wyjątkowo bogaty. Służył w Japonii i na Filipinach ►

► jako żołnierz piechoty morskiej (został z niej wyrzucony). Zafascynowany pismami Karola Marksa, postanowił szukać szczęścia w ZSRR. W Mińsku, stolicy Białorusi, znalazł pracę w fabryce, poznał Rosjankę Marinę Prusakową, ożenił się z nią i spłodził córkę. Kiedy okazało się, że ojczyzna światowego proletariatu nie spełniła jego oczekiwań, wrócił do Ameryki, zabierając żonę i dziecko. Rodzina zamieszkała w Dallas. Dwa miesiące przed zabójstwem Kennedy'ego Oswald wyjechał do Meksyku, gdzie miał podobno odwiedzić sowiecką ambasadę, chociaż nie jest to pewne.

Komunistyczne sympatie i sowieckie koneksje Oswalda zdawały się wyjaśniać jego motyw – jeśli to rzeczywiście on był mordercą, w co niektórzy wątpią, w tym żyjąca do dziś w USA wdowa po nim, Marina. Film „Salt” z Angeliną Jolie w roli agentki CIA, która jest rzekomo szpiegiem sowieckim, powieła hipotezę, że Oswald był pierwszym z utworzonej przed laty siatki agentów KGB wyszkolonych do destrukcyjnych działań w Ameryce. Jednak na wieść o zamachu w Dallas Moskwa podobno zareagowała szokiem i zapewniła: to nie my. Oswald po aresztowaniu utrzymywał, że został „jeleniem” wrobionym w morderstwo przez bliżej nieokreślone siły.

Komisja Warrena (kierował nią prezes Sądu Najwyższego o tym nazwisku), powołana przez prezydenta Johnsona do zbadania morderstwa JFK, w swoim końcowym raporcie stwierdziła, że zabił Oswald, działając samotnie, ale nie wypowiedziała się definitywnie, dlaczego to zrobił. Raport przyjęto jako obrazę inteligencji Amerykanów. O ile dowody, że Oswald nacisnął spust karabinu, były przekonujące – tym bardziej że wcześniej próbował także zabić jednego z generałów – o tyle w tezę, że działał w pojedynkę, trudno było uwierzyć. Zwłaszcza w świetle późniejszych zagadkowych wydarzeń, przede wszystkim jego zabójstwa dwa dni po zamachu. Ruby, który zastrzelił Oswalda, tłumaczył, że chciał w ten sposób oszczędzić adorowanej przez siebie Jacqueline konieczności zeznawania na procesie mordercy męża.

Teorie spiskowe

Efektom Raportu Warrena była obfitość teorii spiskowych na temat zabójstwa JFK. W zachowaniu władz natychmiast po zamachu szybko zauważono nieprawidłowości, poczynając od faktu, że przesłuchanie Oswalda po aresztowaniu nie zostało nagrane ani nawet – co wydaje się dziś niepojęte – dokładnie zaprotokołowane.

Zdumiewające było to, że sekcję zwłok prezydenta przeprowadzili dwaj mało kompetentni w tym zakresie lekarze, czyniąc to w pośpiechu i niechlujnie. Kilka lat później okazało się, że zniknął gdzieś przechowywany w Archiwach Narodowych uszkodzony mózg JFK, a także zapadły zdjęcia z autopsji.

Krytycy raportu podważyli w związku z tym tezę, że Kennedy'ego zabiła, jak głosił ten dokument, pojedyncza kula, jedna z trzech wystrzelonych ze składnicy książek. Lansowali teorię, że pocisków było więcej – w tym wystrzelone z boku, z trawiastego pagórka, który samochód prezydenta mijał (niektórzy utrzymywali, że widzieli tam strzelca), albo nawet z przodu. Niektórzy świadkowie mieli zobaczyć w pobliżu tajemniczych osobników i podejrzewali, że to oni mogli otworzyć ogień.

W tej sytuacji łatwo było snuć alternatywne wersje morderstwa. Najsłynniejszą znamy z głośnego filmu Olivera Stone'a „JFK”: zamach był owocem szeroko rozgałęzionego spisku, obejmującego CIA, FBI, Pentagon i inne agencje, miał usunąć liberalnego prezydenta niewygodnego dla twardego establishmentu i kompleksu militarno-przemysłowego. Stone sugerował nawet współnictwo ówczesnego wiceprezydenta Johnsona. Fabułę filmu zainspirowała autentyczna historia oskarżenia przez prokuratora okręgowego Nowego Orleanu biznesmena Claya Shawa. Zarzucono mu zaplanowanie razem z CIA morderstwa JFK. Na procesie całkowicie oczyszczono go z zarzutów.

Teorie spiskowe o kuli trafiającej Kennedy'ego z przodu i kilku strzelcach zostały podważone przez dowody przedstawione w wielu książkach o zamachu, których autorzy, m.in. prawnik i profesor Uniwersytetu Chicagowskiego Richard Posner, latami badali sprawę. Odrzucili m.in. tezę, że prezydenta zabił nie Oswald, lecz jego sobowtór, którego Sowietci wysłali w misję specjalną do Ameryki.

Ale nie znaczy to, że spisku nie było. Powołane w latach 70. komisje Kongresu, a głównie tzw. Mieszana Komisja Izby Reprezentantów ds. Zabójstw (HSCA), doszły do wniosku, że Oswald rzeczywiście nie działał sam i Kennedy był prawdopodobnie ofiarą zakonspirowanej grupy. Nie wiadomo tylko jakiej.

Nie wykluczono nawet agentów CIA operujących samodzielnie, bez wiedzy szefów. Tzw. Komisja Churcha (od nazwiska kierującego nią

senatora) napiętnowała ich jako sprawców przestępczych nadużyć i nieautoryzowanych akcji, z zabójstwami włącznie. Prowadzone przez komisję Kongresu śledztwa wykryły współpracę rządowych speców z ultrapravicowymi organizacjami kubańskich imigrantów oraz z mafią na Florydzie i w Nowym Orleanie. Ci pierwsi mieli powody, by nienawidzić JFK za odmowę pomocy w czasie inwazji w Zatoce Świń, drudzy mieli parochunki z jego administracją, ponieważ brat prezydenta, prokurator generalny Robert Kennedy, ostro zabrał się za walkę z syndykatami zbrodni.

Oswald, obeznany z bronią marine, nieudacznik ze skłonnościami do przemocy, mógł zostać wynajęty przez którąś z tych grup jako wykonawca, którego wyeliminuje się w razie wpadki, żeby nie zaczął sypać. Mógł – bo tajemnica, dlaczego i na czyje polecenie zginął JFK, pozostaje niewyjaśniona.

Spekulacje

Pytanie, czy dzieje świata potoczyłyby się inaczej, gdyby nie zabójstwo JFK, dotyczy głównie wojny w Wietnamie. Część historyków jest zdania, że gdyby Kennedy w 1964 r. został ponownie wybrany, nie wysłałby do Wietnamu regularnych wojsk, nie dopuściłby do eskalacji wojny. Przypuszczenia te opierają się m.in. na wypowiedziach Roberta McNamary, ówczesnego szefa Pentagonu, który pod koniec życia powiedział, że Kennedy zamierzał się z Wietnamu wycofać. Potwierdziłoby to rozporządzenie podpisane przez prezydenta na krótko przed wyjazdem do Dallas, by przed końcem roku wróciło z Wietnamu do USA tysiąc doradców wojskowych, a większość do 1965 r.

Inni współpracownicy JFK wątpili w to jednak. Autor prezydenckich przemówień Ted Sorensen powiedział, że Kennedy „w ostatnich tygodniach swego życia nie wiedział, co robi”. Lata 60., okres nasilenia zimnej wojny, a po wojnie koreańskiej Wietnam uważano za kluczowy odcinek frontu zmagania Zachodu z komunistycznym totalitaryzmem. W gruncie rzeczy nie wiemy więc, czy Kennedy rzeczywiście odwróciłby bieg historii.

TOMASZ ZALEWSKI



Więcej o zamachu na JFK i innych znanych przywódców czytaj w Pomocniku Historycznym POLITYKA „Głośne zabójstwa polityczne” do kupienia od 15 listopada w dobrych punktach sprzedaży i na sklep.polityka.pl



Prosiak wypuszczony na ul. Długiej w Gdańsku przed wyborami do rad narodowych w 1984 r. z napisem „Głosuj na nas”.

Głosy i donosy

MICHAŁ SIEDZIAKO

Wysoką frekwencję w wyborach parlamentarnych prezydent Andrzej Duda skomentował: „Wszyscy pamiętamy, że przed 1989 r. tylko świnie chodziły na wybory”. Pamięć jest zawodna, a rzeczywistość PRL bardziej skomplikowana.

To prawda, że wybory w Polsce przed 1989 r. nie miały wiele wspólnego z demokracją. Choć głosowania na kandydatów do Sejmu oraz rad narodowych organizowano regularnie i tak było wiadomo, że rządzić będzie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Nie mogło być inaczej, skoro w każdym okręgu wystawiano tylko jedną listę wyborczą. Zmieniał się jej sztył – w 1952 r. był to Front Narodowy, od 1957 r. Front Jedności Narodu i wreszcie w latach 80. Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, ale zawsze grupowała ona przedstawicieli działających legalnie organizacji oraz bezpartyjnych. Niezmienne pozostawało też to, że ostateczny głos o jej kształcie mieli członkowie kierowniczych gremiów PZPR.

Już konstrukcja listy przesądzała o tym, kto zasiądzie w ławach sejmowych. Obowiązywało bowiem tzw. głosowanie negatywne oraz system miejsc mandatowych. Otóż wyborca, oddając głos, miał wyrażać swoje preferencje wyborcze poprzez wykreślanie z listy tych kandydatów, których nie chciał popierać, a głos otrzymywali wszyscy pozostali. Kuriozalne było to w 1952 r. – o mandaty poselskie ubiegało się 425 osób, czyli dokładnie tyle, ile miejsc liczyła ówczesna izba. Od 1957 r. kandydatów zawsze już było więcej niż mandatów do obsadzenia.

Za ważne głosy uznawano także te oddane bez wykreślania z listy jakiegoś nazwiska. Wówczas głos był traktowany jako oddany na tyłu zamieszczonych na niej kandydatów, licząc od pierwszego, ilu posłów miało zostać „wybranych” w danym okręgu. Przykładowo: jeśli dany okręg obejmował trzy mandaty, „mandatowe” były w nim pierwsze trzy miejsca na liście.

Było to o tyle ważne, że apelowano o nieskreślanie, więc decydowali się na nie nieliczni. Zresztą starano im się to utrudniać – np. poprzez takie rozmieszczenie kotar w lokalu wyborczym, które przeszkadzało wyborcom skorzystać z prawa do tajnego głosowania. Inna metoda to organizowanie akcji grupowego, jawnego i manifestacyjnego głosowania przez mieszkańców wybranych wsi czy pracowników zakładów pracy. Osoba, która wyłamywała się z takiego spektaklu, mogła obawiać się, że zostanie ukarana np. utratą premii, pominięciem przy podwyżce płac czy przydziałem dodatkowych obowiązków służbowych. Tylko raz w całej historii wyborów do Sejmu w latach 1952–85 zdarzyło się, że kandydat zamieszczony na liście na miejscu „mandatowym” nie zdobył mandatu, czyli ►

► nie uzyskał poparcia ponad 50 proc. głosujących (Jan Antoniszczak z okręgu nowosądeckiego w 1957 r.). We wszystkich innych przypadkach – a było ich, licząc łącznie wszystkie sejmowe kadencje PRL (bez Sejmu „kontraktowego”, wybranego w 1989 r.), ponad 4 tys. – miejsca „mandatowe” zadziały – oczywiście z perspektywy ówczesnych władz – skutecznie.

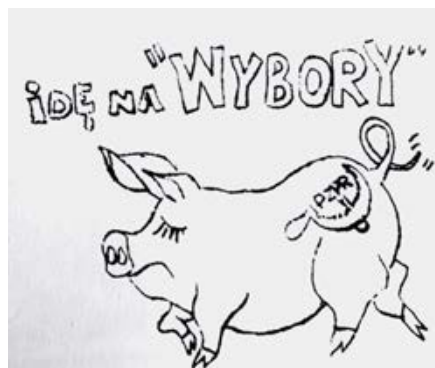
W tej sytuacji kluczowym wskaźnikiem, który miał świadczyć o sukcesie jednej listy, była frekwencja. Wedle oficjalnych danych do 1980 r. zawsze oscylowała ona między 94 a 99 proc. W osiągnięciu takich bajkowych wyników tylko w niewielkim stopniu służyły fałszerstwa. Polegały one m.in. na wykreśleniu przez obwodowe komisje wyborcze ze spisów wyborców tych osób, które nie uczestniczyły w głosowaniu. Przykładowo, jeśli w danym obwodzie w pierwotnym spisie figurowałoby tysiąc osób, a w wyborach wzięłoby udział 850, frekwencja wyniosłaby 85 proc. Po wykreśleniu z tego samego spisu stu osób, przy takiej samej liczbie głosujących, poziom frekwencji wzrastał już do blisko 95 proc.

Zdarzało się też, że członkowie obwodowych komisji sami dokładali do urn dodatkowe głosy, dążąc do tego, aby osiągnąć jak najwyższą frekwencję na swoim terenie. Niekiedy popełniano przy tym osobliwe błędy. Jan Tarnowski – późniejszy działacz szczecińskiej Solidarności, członek jej władz regionalnych – relacjonował mi, że pobierając kartę do głosowania w wyborach 23 marca 1980 r., zauważył, że w spisie wyborców odbiór karty jest potwierdzony podpisem przy nazwisku jego zmarłego kilka tygodni wcześniej teścia Gerarda Dejlitki. Członek komisji, zapytany przez Tarnowskiego, czy Dejlitko na pewno już głosował, potwierdził, a na zwróconą mu uwagę, że to osoba zmarła, oznajmił, że przy wydawaniu kart „musiała zająć jakaś pomyłka, która zostanie naprawiona”.

Wspomniane wyżej działania – w partyjnym slangu nazywane „korektami” lub „kosmetyką” wyborczą – podnosiły frekwencję tylko o kilka, góra kilkanaście procent. Zasadnicze znaczenie w osiągnięciu powszechnego udziału obywateli PRL w wyborach miały stosowane przez władze rozmaite formy propagandy, naciski i szantaż psychologiczny czy działalność aparatu bezpieczeństwa, którego funkcjonariusze zbierali informacje o nastrojach społecznych oraz podejmowali akcje mające na celu eliminację jakichkolwiek zachowań antywyborczych.

Do drzwi „opornych”, którzy do określonej godziny nie stawili się na głosowaniu,

mogli zapukać „agitatorzy”. „Nie chcieliśmy iść – relacjonowały przedstawicielce opozycyjnego „Biuletynu Informacyjnego” po wyborach w 1980 r. anonimowe studentki z Lublina. – Ale o wpół do dziesiątej wieczór przyszło dwóch panów. No, to poszliśmy”. Inny, dużo starszy, anonimowy wyborca tłumaczył: „Poszedłem dla świętego spokoju zaraz z rana, żeby mnie później w domu nie nachodzili”. Anonimowa urzędniczka w średnim wieku relacjonowała, że głosowała, bo mieszkała w wynajętym lokalu, a była zameldowana u brata, który usilnie ją prosił, żeby „to załatwiła przed południem,



Ulotki opozycji wzywające do bojkotu wyborów do rad narodowych w 1984 r. (u góry) i do Sejmu w 1985 r.

na wypadek gdyby po domach łazili naganiać”.

Dużą rolę odgrywało kreowanie w społeczeństwie przekonania, że głosowanie jest z jednej strony „obywatelskim obowiązkiem”, z drugiej – że nie biorąc w nim udziału, można narazić się na nieprzyjemności. Nawet jeśli realne zagrożenie nie zawsze istniało (poza okresem stalinowskim, kiedy za kratki można było trafić choćby za opowiedzenie „nieprawomyślnego” kawału), ważne było, że ludzie się obawiali, co wpływało

na ich zachowanie. Niejako antycypowali oczekiwania rządzących.

Obawy dotyczyły codziennych, niekiedy przyziemnych spraw. „Będę w maju składał o paszport”. „Mąż miał drugi zawal i złożyliśmy prośbę o sanatorium”. „O dom rencisty się staram”. „Komisja wyborcza jest w szkole mojego syna, siedzą w niej jego nauczyciele”. „O pływalnię mi szło. Nigdy nie chodziłem [na wybory], ale zmienilem pracę i komisja teraz była w moim zakładzie. Siedział w niej ten z Rady Zakładowej, co rozdziela karty na basen. Dają nam ich pięć, a chętnych jest 30” – to przykładowe uzasadnienia anonimowych osób, dlaczego w 1980 r. uczestniczyły w wyborach. Ich wypowiedzi opublikował wspomniany „Biuletyn Informacyjny”. Oficjalnie frekwencja wyborcza osiągnęła wówczas rekordowy poziom 98,87 proc. Nigdy wcześniej ani później nie ogłoszono już tak znaczącego „sukcesu”.

Terenowe instancje partyjne zawsze bacznie przyglądały się osobom obniżającym frekwencję, sporządzano nawet ich imienne listy. „Instancja poczyniła też – czytamy w sprawozdaniu lokalnych władz PZPR z przebiegu wyborów w 1972 r. w powiecie myśliborskim w województwie szczecińskim – ustalenia, dokonując pełnego przeglądu osób, które nie wypełniły w dniu wyborów obowiązku obywatelskiego. W oparciu o konkretne rozeznanie ustaliliśmy, że w grupie 783 osób przeważającą część stanowią jehowi [sic! – przyp. M.S.], następnie osoby obłożnie chore i starzy wiekiem, część tzw. bezpaństwowców i nieliczna grupa pozostałych, którzy nie wypełnili obywatelskiego obowiązku z pobudek indywidualnych najczęściej. Materiały te wykorzystane zostaną w zbliżających się następnych wyborach do ogniw administracji terenowej. O postawie naszych członków partii, poza ich aktywnym udziałem w przeprowadzeniu wyborów, niech świadczy fakt, że jedynie jeden członek PZPR w naszym powiecie uchylił się od głosowania – jest to tow. Górnik Józef z Równa, z którym to Egzekutywa KP na swym najbliższym posiedzeniu przeprowadzi rozmowę na tę okoliczność”.

W partyjnych sprawozdaniach z przebiegu wyborów zwracano również uwagę na wyborców, którzy głosowali w sposób sprzeczny z oczekiwaniami władz, tj. korzystali z prawa do tajności czy demonstracyjnie skreślali kandydatów zamieszczonych na listach. Także w takich przypadkach w niektórych obwodach sporządzano zestawienia „niesubordinowanych”, które mogły

służyć do wyciągnięcia w stosunku do nich konsekwencji.

Na biurko ministra obrony narodowej trafiały zbiorcze, imienne wykazy wszystkich wyborców z wojskowych, zamkniętych obwodów głosowania, którzy odmawiali uczestnictwa w wyborach bądź krytycznie wypowiadali się na ich temat. Przypadków takich nie było jednak wiele. Szczególnie intensywna indoktrynacja i dyscyplina (również polityczna) w armii robiły swoje. Przykładowo w 1972 r. w przytłaczającej większości (567 z 575) wojskowych obwodów wyborczych głosowanie zakończono już przed godz. 16.00. „W opóźniających się obwodach – tłumaczono w notatce przygotowanej w Zarządzie Organizacyjnym Głównego Zarządu Politycznego WP – żołnierze głosowali w 100 proc. do godz. 14.00. Nie głosowały pojedyncze osoby cywilne zamieszkałe na terenie zamkniętym i ujęte w spisie w wojskowych obwodach”.

Obawy przed konsekwencjami absencji wyborczej oraz korzystania z prawa do tajnego głosowania artykułowano w listach do organów odpowiedzialnych za organizację głosowań. „Uprzejmie powiadamiam o tym – pisał np. do PKW przed wyborami w 1980 r. Józef Wyczółkowski z Czyżewa – że były wypadki ponoszenia gorzkich konsekwencji przez te osoby, które w czasie głosowania wchodziły do kabiny (...), [choć było to] głosowanie zgodne z Konstytucją. Dlatego też zwracam się do Państwowej Komisji Wyborczej z uprzejmą prośbą o takie zorganizowanie nadchodzących wyborów (...), aby lojalny obywatel dokonujący głosowania zgodnie z naszą Konstytucją nie był następnie dręczony i uznawany za wroga socjalizmu za to głosowanie”. O konsekwencjach niezgodnego z oczekiwaniami władz głosowania mówił anonimowy list do przewodniczącego komisji z tego samego roku: „Górnicy w Zabrze opowiadają i sam też to widziałem w 1976 r., że w lokalach wyborczych w składzie komisji albo obok komisji siedzi taki obserwator, który zapisuje tych wszystkich, co idą za kotarę, i że tacy potem mają kłopoty w pracy z awansem i lepszą pracą. Że tacy obserwatorzy są, to mówili też członkowie komisji w lokalach wyborczych. Podobno wybory są tajne. Takie sprawy uchylają tajność”.

Poziomem oficjalnie ogłoszonej frekwencji znacząco różniły się wybory

sejmowe z października 1985 r., w których miało wziąć udział niespełna 79 proc. uprawnionych. Tak niska jak na peerelowskie realia frekwencja była następstwem kilku czynników. Po pierwsze, w ciągu pięciu lat, które minęły od wyborów do Sejmu PRL VIII kadencji, znacząco zmieniły się klimat polityczny i nastroje społeczne. Represje, które dotknęły trudną do określenia liczbę Polaków w okresie stanu wojennego, i trudności gospodarcze przekładały się na realny spadek poparcia dla reżimu gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a to z kolei na niechęć do uczestnictwa w propagandowych spektaklach urządzanych przez władze. Co więcej, po powstaniu Solidarności i po 16 miesiącach jej legalnej działalności, kiedy Polacy na masową skalę dali wyraz swoim wolnościowym aspiracjom, spadła tolerancja



Rządowy plakat propagandowy przed wyborami w 1985 r.

na sprzeczne z literą obowiązującego prawa praktyki zawyżające frekwencję.

Po drugie, nie bez znaczenia były działania podejmowane przez opozycję. Pewne efekty przyniosła zakrojona na szeroką skalę opozycyjna kampania na rzecz bojkotu głosowania. Notabene wykorzystywano w niej „świńskie” motywy (może stąd wzięło się skojarzenie prezydenta Dudy?). Na kolportowanych plakatach i ulotkach zamieszczano rysunki przedstawiające głosujące zwierzęta. Posługiwano się także prawdziwym zdjęciem prosiaka „przyozdobionego” napisem „głosuj na nas!”, którego przed wyborami do rad narodowych w 1984 r. opozycjoniści w godzinach szczytu wypuścili w tłum przechodniów przy ul. Długiej w Gdańsku. Podobną akcję przeprowadzono wówczas również w Toruniu.

Ważnym elementem aktywności opozycji w związku z wyborami w 1985 r. była też działalność niezależnych obserwatorów,

którzy dokonywali własnych pomiarów frekwencji. Świadomość, że obserwują oni przebieg głosowania, musiała sprawiać, że aktywiści zaangażowani w jego organizację bali się podejmować bezprawne działania (co nie oznacza, że w ogóle tego nie robili), które po raz kolejny umożliwiłyby ogłoszenie wyników zbliżonych do ogłaszanych we wcześniejszych wyborach.

Wedle Solidarności rzeczywista frekwencja w głosowaniu 13 października 1985 r. miała wynieść 66 proc. (± 1 proc). Do szacunków tych trzeba podchodzić jednak równie ostrożnie, jak do danych z komunikatu PKW. W opozycyjnych obliczeniach uwzględniono dane zebrane głównie w dużych miastach, gdzie opozycyjne sympatie były

zdecydowanie bardziej rozpowszechnione niż na prowincji. Co więcej, władze przeszkadzały w niezależnych pomiarach m.in. poprzez podwyższanie tzw. frekwencji wzrokowej – do lokali wyborczych po kilka razy wchodziły te same osoby (niekiedy dowożone samochodami), zaś aktywiści młodzieżowi robili w nich „sztuczny tłok”, utrudniający stwierdzenie, ile osób faktycznie głosuje. Prawda leżała zapewne gdzieś pomiędzy opozycyjnymi 66 proc. a oficjalnymi 79 proc.

Precyzyjne określenie rzeczywistego poziomu frekwencji wyborczej w PRL – zarówno w wyborach z 1985 r., jak i wcześniejszych – z uwagi na manipulacje i fałszerstwa stosowane przez władze, nie jest możliwe. Nie ulega jednak wątpliwości, że udział w peerelowskich głosowaniach brała przytłaczająca większość społeczeństwa. Część popierała panujący reżim, wielu głosujących nie było jednak zwolennikami dyktatury PZPR. Głosowali pod wpływem złudnego poczucia „obowiązku obywatelskiego”, w obawie przed domniemanymi konsekwencjami absencji wyborczej, pod wpływem wszechogarniającej propagandy, czasem przez zwyczajny oportunizm. Proste stwierdzenie, że robili to „tylko świnię”, jest tyleż nieprawdziwe, co zwyczajnie obraźliwe dla większości polskich obywateli, którzy okres PRL znają z autopsji.

MICHAŁ SIEDZIAKO

Autor jest politologiem i historykiem, pracownikiem Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Oddziału IPN w Szczecinie.



na ekranie

Z kogo się śmiejecie? 4/6

Horror Story, reż. Adrian Apanel, prod. Polska, 105 min

Mało ciekawy tytuł zapowiada raczej halloweenowy slasher, ale to żart i nie należy go brać serio. Kapitałny debiut pełnometrażowy Adriana Apanela zdecydowanie krwawym horrorem nie jest. Jeśli stara się budować atmosferę grozy w stylu kina sprzed pół wieku, to tylko po to, by zręcznie ominąć pułapki oczekiwań i popchnąć fabułę w kierunku, którego widz zupełnie się nie spodziewa. Bohaterem tej niebywale prostej, a zarazem bardzo komicznej historii, idealnie odwzorowującej panikę młodego człowieka, rozpaczliwie rozglądającego się za dobrze płatną pierwszą pracą, jest świeżo upieczony absolwent ekonomii marzący o średniej krajowej, bezpiecznym życiu i skromnym biurku, najlepiej w hojnej korporacji (znakomity Jakub Zając). Zdrzutotany rozstaniem z narzeczoną, trafia z wygwizdowa do wielkiego miasta – wprost do wynajmowanej przez seksowną Sonię (**Michalina Olszańska**) okazałej kamienicy, zamieszkałej przez takich samych jak on outsiderów. Dobrze

wychowany chłopak o aparycji lalusia, udający, że świetnie sobie radzi w zawodzie bankiera i, co ważniejsze, próbujący zaimponować nowym współlokatorom długą listą seksualnych podbojów to niezły punkt wyjścia dla stand-upu albo komedii satyrycznej Woody'ego Allena o naiwnie usposobionym żółtodziobie poddawany sprawdzianowi przez typów, którzy wcale nie okazują się aż takimi bezmózgimi osiłkami, na jakich wyglądają. Młody reżyser wie, z czym się mierzy, i z trudności wychodzi obronną ręką. Jego film roi się od zabawnych scen sytuacyjnych, sporo w nim świeżych pomysłów, ma świetnie napisane dialogi, a obok doskonale sobie radzących mało znanych twarzy pojawiają się dawno niewidziane gwiazdy (Anna Seniuk, Marian Opania), które nawet krótkimi występami potrafią zaznaczyć aktorską klasę. Nazwać „Horror Story” wesołym filmem społecznym o palących problemach młodych też nie jest zręcznie, niemniej o to tu mniej więcej chodzi.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Nie wszystko gra 4/6

Niewierni w Paryżu (Coup de Chance)
reż. Woody Allen, prod. Francja, 96 min

Francuskojęzycznej komedii kryminalnej Woody'ego Allena rozgrywającej się w salonym środowisku paryskich milionerów brakuje bon motów, błyskotliwego humoru oraz gwiazdorskiej obsady niemal zawsze stanowiącej najmocniejszą stroną filmów Amerykaina. **Lou de Laâge**, Melvil Poupaud, **Niels Schneider** z pewnością są osobowościami aktorskimi, lecz w ich grze nie czuje się magii, sceny z ich udziałem nie rzucają na kolana, gdy trzeba czymś przykryć niejedną nieracjonalność zachowania bohaterów, gesty, niektóre dialogi, tracą wiarygodność. „Niewierni w Paryżu” nie są wielkim filmem Allena również z tego powodu, że scenariusz stanowi jakby wariację wszystkiego, co już nie raz u tego autora widzieliśmy. Zaborczy mąż zabawiający się w swoim pałacu miniaturowymi pociągami, w weekendy dla odmiany uwielbiony polowania na jelenie. Zamknięta w złotej klatce żona zakochująca się w ubogim poecie, dawnym koleźce z liceum. Romans, któremu przyklaskuje mama niewiernej córeczki. Elementów farsy jest tu wiele. Operetkowy motyw zdrady i zemsty w połowie filmu zmienia jednak tonację na prawie serio, co zaskakuje, lecz nie do końca przekonuje. Broni się natomiast zgrabnie przemycona ogólna myśl, że życiem rządzą ślepy przypadek, a romantyczne uczucie to nic innego jak chwilowe zaćmienie, które szybko się pojawia, a potem znika. Skądinąd też już powtarzana przez reżysera. JW



Certyfikat miłości 4/6

To może boleć (Fingernails), reż. Christos Nikou, prod. USA, 113 min, Apple TV+

Anglojęzyczny debiut greckiego reżysera Christosa Nikou, który kilka lat temu zachwyił krytyków swoją debiutancką „Niepamięcią”, jest bardziej intrygujący, niż może się na pozór wydawać. Bohaterowie filmu pracują w instytucie, w którym można zbadać, czy dowolna para ludzi naprawdę się kocha. Wystarczy oddać paznokieć do porównania. Co prawda test wymaga zerwania go bez znieczulenia, ale co znaczy chwila bólu wobec pewności, że to on lub ona jest właśnie tą osobą, z którą możecie bez stresu spędzić resztę życia. System okazuje się skuteczny, liczba rozwodów spadła niemal do zera. Co jednak, jeśli mimo pozytywnego wyniku zaczynasz zastanawiać się nad sensem swoich wyborów? Sam pomysł mógłby posłużyć jako podstawa niekoniecznie ambitnej komedii romantycznej, lecz w filmie Nikou jest więcej. Wniosek, że prawdziwej miłości nie da się zmierzyć ani przetestować, jest banalny, lecz grecki reżyser zadaje także trudniejsze pytania: o odpowiedzialność za drugą osobę, granice wolności, nadmierne uzależnienie od technologii i marzenia o tym, by ktoś (lub coś) dał jednoznaczna odpowiedź na życiowe wątpliwości i rozterki. „To może boleć” ma przy tym fantastyczną obsadę, z **Jessie Buckley**, **Rizem Ahmedem** i znanym z serialu „The Bear” Jeremym Allenem White’em na czele, a także fascynującą wizję świata, który wygląda jakby lata 80. (w lekko spłóviałym wydaniu) nigdy się nie skończyły.

JAKUB DEMIAŃCZUK



W typie Muska 4/6

Morderstwo na końcu świata (A Murder at the End of the World), autorzy serii: Brit Marling i Zal Batmanglij, 7 odc., Disney+

Tandem stojący za pokręconym serialem SF „The OA” (Netflix) w kolejnej produkcji sięga po znacznie mniej skomplikowaną, za to modną konwencję zagadki kryminalnej osadzonej w odciętej od świata luksusowej posiadłości miliardera w typie Elona Muska (Clive Owen). Tak jak choćby w filmowej serii „Na noże”, zaprasza on na swoje odludzie wyselekcjonowany zestaw gości. Wśród nich znajduje się domorośla detektywka – hakerka (i pisarka) z pokolenia Z, Darby Hart (**Emma Corrin**, czyli m.in. niedawna księżna Diana z „The Crown”). Już pierwszego wieczoru będzie się musiała zmierzyć nie tylko z nieoczekiwanym spotkaniem z człowiekiem ze swojej przeszłości, ale też z pierwszym trupem. Kolejne zaś pojawiają się w tempie, do jakiego swoich czytelników przyzwyczaiła Agatha Christie. Tłem wydarzeń jest przysypany śniegiem hotel na Islandii, tematem rozmów – ekologia, katastrofa klimatyczna i technologiczne patenty na przetrwanie ludzkości, a konkretnie jej najbogatszej części. Oraz Sztuczna Inteligencja, tu pod postacią prototypowego, wszechobecnego wirtualnego asystenta. Twórcy „Morderstwa...” nie odkrywają Ameryki, tempo opowiadania też z początku pozostawia wiele do życzenia. Z czasem jednak bohaterowie, na czele z Darby, stają się ciekawsi i łatwiej z nimi brnąć przez te (niegdysiejsze) śniegi i lody.

ANETA KYZIOŁ



na scenie

Melodramat nie z tej epoki 3/6

Ödön von Horváth, **Opowieści Lasku Wiedeńskiego**, reż. Małgorzata Bogajewska, Teatr Narodowy w Warszawie

Teoretycznie opublikowana w 1931 r. sztuka Ödöna von Horvátha to tekst na nasze czasy. A przynajmniej tak się mogło wydawać do momentu ogłoszenia wyników październikowych wyborów. Rymów z Polską PiS tu nie brakuje: krytyka konserwatywnego społeczeństwa, chowającego się przed wyzwaniem (m.in. kryzysem ekonomicznym) i samodzielnym myśleniem w „swojskość” i faszizm, z patriarchatem, Kościołem i dramatami pozbawionych podmiotowości kobiet. Austriacki autor nie bawi się w subtelnosci, karty są zgrane, konwencja koszmarne melodramatyczna, co na narodowej scenie dodatkowo



podkreśla dosłowna reżyseria Małgorzaty Bogajewskiej, dyrektorki Teatru Ludowego w krakowskiej Nowej Hucie. Do tego ten powyborczy, nowy kontekst – większość Polek i Polaków zagłosowała za zachodnimi wartościami i życiem w XXI w. zamiast dalszego duszenia się w zatęchłym narodowo-katolickim autorytaryzmie PiS. W takim otoczeniu melodramat o pozbawionej perspektywy dziewczynie, która chciała czegoś więcej niż być żoną właściciela rzeźni (czyli

w tym wydaniu: zostać kochanką delikatniejszego w obyciu mężczyzny i natychmiast urodzić mu dziecko) staje się jeszcze bardziej archaiczny i zawieszony w próżni. Po drodze są kolejne sceny upokorzeń, płaczu, snucia się w halce i wieszania na zmęczonym i ciągle gotowym do ucieczki kochanku (Paweł Brzeszcz), a na koniec jeszcze striptiz. **Michalina Łabacz** gra swoją Mariannę z poświęceniem godnym lepszej sprawy. A na pewno reżyserii. AK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Skorumpowany świat 4/6

Marek Krajewski, **Ostra**,
Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 368

Marek Krajewski bardzo rzadko akcję swoich powieści umieszcza w czasach współczesnych, „Ostrą” można więc potraktować niczym próbę pisarskiego wymyślenia siebie od nowa. Nie w pełni udaną, ale interesującą. Podstawowa zmiana jest wręcz sejsmiczna, główne role autor powierza bowiem kobietom. Ewa, ekspolicjantka, prowadzi agencję detektywistyczną, jej przyjaciółka Małgorzata jest ambitną prawniczką. Obie zostają uwikłane w historię, która zaczyna się banalnie, od śledztwa w sprawie pożaru składowiska opon, które skończyło się śmiercią podpalacza, lecz kolejne etapy dochodzenia odsłaniają coraz bardziej zagmatwaną układankę



polityczno-bandyckich spisków. Niby zmieniły się również realia, lecz w gruncie rzeczy ich tłem jest podobne co w powieściach o Moku lub Popielskim przekonanie, że ludźmi rządzi chciwość, chuć oraz żądza władzy. To, co sprawdzało się w realiach retro, teraz chwilami wydaje się przekombinowane i mało wiarygodne, tak jakby Marek Krajewski, opisując współczesną Polskę, czuł się jeszcze niezbyt pewnie. Lecz jednocześnie to autor, któremu nie można odmówić pisarskiej sprawności i talentu do prowadzenia akcji. Komu nie przeszkadza nieco konserwatywna wizja świata i delikatny recykling pomysłów, powinien dać „Ostrej” szansę.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Wyjdź z roli, zrzuć ciuch 4/6

Elliot Page, **Pageboy. Autobiografia**,
przeł. Adam Pluszka, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023, s. 296

Tak, to jeszcze jedna wydana ostatnio celebrycka autobiografia. Ale nieuczciwie byłoby poprzestać na tym opisie, bo to przede wszystkim podróż do zrozumienia własnej queerowości i transpłciowości, w punkcie startu (i długo potem) naznaczona wstydem, samotnością i smutkiem. Osoby LGBT+ w pewnym sensie są jak celebryci: wytykane palcami, przeświecane, nagabywane o intymne sprawy. Elliot Page też tego doświadczał. A prócz tego był maglowany publicznie i oceniany w tabloidach. „Czy Ellen Page jest lesbijką?”, pytały media po premierze świetnie przyjętego filmu „Juno”. Dziś Hollywood byłoby pewnie zachwycone, ale w 2007 r. Page miał nosić sukienki. Nie obnosić się i nie wychodzić z roli (w „Juno” zagrał nastolatkę w ciąży). Sława spłynęła na Elliota, gdy posługiwał się jeszcze imieniem Ellen i próbował pojąć, kim jest. W książce ten złożony proces relacjonuje. Czy dziś jest mu łatwiej? Nie do końca. Jak pisze, „narracja” o transpłciowości jest krzywdząca, „dyskutuje” się o niej, jakby można ją było podważać. Pora, by transpłciowi mówili w swoim imieniu. Page podaje prostą definicję dysforii, czyli dyskomfortu życia w obcym ciele: „Wyobraź sobie najbardziej niekomfortowy, upokarzający ciuch, jaki możesz włożyć”. Nie ma tu wzmianki o „korekcie” płci, są pojemniejsze pojęcia, jak „przeobrażenia”. To nie bryk, ale książka ku pokrzepieniu i dla lepszego zrozumienia. I chociaż Page nie chce uniwersalizować swoich doświadczeń i sam siebie nazywa ledwie „pyłkiem we wszechświecie”, to jego książka jest cennym świadectwem, w którym wiele osób się odnajdzie. A jak dowodzą podobne biografie, znani i sławni nie są bardziej odporni. Gwiazdor to jeszcze nie superbohater.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Zagłada domu von Globigów 5/6

Walter Kempowski, **Wszystko na darmo**,
przeł. Małgorzata Gralińska,
ArtRage, Warszawa 2023, s. 376

Prusy Wschodnie, majątek Georgenhof, między miasteczkiem Mitkau a Elblągiem. Zbliża się Armia Czerwona, ale mieszkańcy, von Globigowie, nie do końca w to wierzą. Trwają więc w marazmie, pojawiają się coraz nowi goście, uciekinierzy, Niemcy ze wschodu. Napięcie rośnie, wybuchy słychać coraz wyraźniej.

To jest powieść o agonii dawnego, niemieckiego świata, która nawiązuje do wielu klasycznych dzieł, choćby do „Effi Briest” Fontanego, zongluje cytatami i fragmentami piosenek, a jednocześnie daje nowoczesny i uniwersalny obraz ludzi wplątanych w historię, którzy nie zdają sobie sprawy, co się dzieje. A właściwie nie chcą nic wiedzieć, bo żyją zamknięci w swoich przekonaniach zgodnych z propagandą. Kempowski obnaża ludzką zdolność do samooszustwa. A jednocześnie pokazuje z archiwistyczną wiernością codzienność uchodźców. Kempowski zresztą był archiwistą – stworzył monumentalny zbiory w formie kolażu „Das Echolot” – zapis wydarzeń czasu drugiej wojny światowej. Pisarz długo czekał na uznanie w Niemczech. Nie miał też szczęścia, bo choć pierwszy pisał o wypędzeniach, to cała chwała spadła na Güntera Grassa, a kiedy wyszło „Wszystko na darmo” w 2006 r., bestsellerem światowym stał się „Łaskawe” Littella o froncie wschodnim. A powieść Kempowskiego jest ważniejsza. Ale znaczenie tego pisarza rośnie i nic dziwnego, bo to wielka literatura.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

w galerii

Sacrum w nas 4/6

11. Triennale Sztuki Sacrum „Ja i Ty / Ja – Ono”,
Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie,
do 17 grudnia

Niech nikogo nie zmyli tytuł wystawy i bliskość jasnogórskiego klasztoru. Triennale bardzo dalekie jest od tego, co się nam ze sztuką religijną kojarzy: dewocji, bezrefleksyjnego kultu, apoteozy, emocjonalnego i estetycznego kiczu oraz podobnych stanów ducha i sztuki. A trzeci człon nazwy Triennale Sztuki Sacrum dotyczy tym razem nas samych. Przede wszystkim relacji z innymi ludźmi,



Katarzyna Kukuła, „Hula hop”, 2021 r.

ale też z naturą i w ogóle z otaczającym światem. Sferą świętości staje się to, jaki jest nasz stosunek do innych, a ceremoniałem i obrzędami – codzienne życie. Nic więc dziwnego,

że najwięcej miejsca poświęcono na wystawie sytuacji spotkania dwojga ludzi. Często pełnego miłości czy zrozumienia (Patryk Różycki), a nawet ekstazy (Katarzyna Kukuła). Choć bywa, że i wynaturzonego, zatrutego nienawiścią, złością, agresją, jak w monumentalnej pracy „Wojna biało-czerwona” Julii Woronowicz czy w rzeźbiarskim odtworzeniu kibolskich walk Tomasza Kulki. Wizerunków zła jest zresztą na wystawie zaskakująco dużo: od obrazów wojny (Piotr Desperak, Yana Makukh) po symboliczną pracę Janusza Oskara Knorowskiego, na której składające się na polską flagę kolory biały i czerwony oddzielone są od siebie starą, zardzewiałą piłą. W sumie może słusznie, bo nie jest trudno szukać świętości w dobru, ale trzeba jej wypatrywać tam, gdzie dzieje się zło.

PIOTR SARZYŃSKI

na płycie

Płyta na czas 5/6

Lech Janerka, **Gipsowy odlew falsyfikatu**, Mystic Production

Lech Janerka wydaje swój nowy album 18 lat po poprzednim. Porównanie ze Stonesami nasuwa się automatycznie, ale jest zwodnicze: Jagger z kolegami bardzo sprawnie kontynuują to, w czym muzycznie byli od początku (blues rock, rhythm'n'blues), natomiast Janerka przedstawia nową odsłonę swojej twórczości. Choć jego kompozycje zawsze były mniej lub bardziej osobne, teraz tę odrębność zawarł w osobiwym wyrafinowaniu. W tekstowo sowidrzalskiej piosence „I Moll” pojawia się beatlesowski melodyczny, wykonywany falsetem chórek. W „Chyba” prosta partia basu przeistacza się w wielodźwiękową rytmiczną maszynę, zaś utwór „Dupa jak sofa” z frazą „śpij, inteligencjo” okazuje się od autorskim komentarzem do społecznej rzeczywistości. Płyta powstała od ponad dekady, ale doskonale pasuje do gorącej atmosfery okolicy wyborczej, rozbudzonych nadziei, choć nie jest żadnym politycznym manifestem. Spokojny, czasem prześmiewczy głos dojrzałego artysty sprzyja odzyskiwaniu harmonii, nabieraniu koniecznego dystansu, ale też podkreślanu tego, co ważne w każdym sensie.

MIROSLAW PĘCZAK

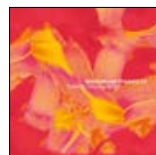


Granie na spotkanie 4/6

Tomasz Chyła Quintet, **Music We Like To Dance To**, Alpaka

Sцена trójmiejska znów jest kluczowa w polskim jazzie, a duża część najlepszych muzyków tej generacji przewinęła się przez kwintet 34-letniego dziś skrzypka Tomasza Chyły – w poprzednich składach występowali z nim m.in. saksofonista Piotr Chęcki i pianista Szymon Burnos, a teraz grają basista Konrad Żolnierek i trębacz Emil Miszcz. Nieprzerwanie – Sławek Koryzno na perkusji. Świetnie pracująca sekcja rytmiczna przeprowadza zespół co rusz z bardziej romantycznego i swobodnego trybu do grania mocnego, dziarskiego i pełnego dyscypliny. A ewolucję formacji idącej w stronę nowoczesnie rozumianego fusion pieczętuje gra młodziutkiego Krzysztofa Hadrycha, gitarzysty o perfekcyjnej technice i wręcz hardrockowym animuszu. Kiedy wchodzi w dialogi z Chyłą, brzmi już nie jak McLaughlin, tylko raczej jak Van Halen. Cały program „Music We Like To Dance To” wydaje się zgrabnie równoważyć te różne tryby i żywioły, a co najważniejsze – nie traci z pola widzenia publiczności. Ta eklektyczna formuła wydaje się dobrym miejscem spotkania wielbicieli różnych estetyk w jazzie.

BARTEK CHACIŃSKI



REKLAMA

w kinach
OD 24
LISTO
PADA

acid
CANNES
2023

EUROPEAN
FILM AWARDS

Milipol
20 DOCS
2023
BEST
DOCUMENTARY



film
MAĆKA HAMELI **skąd dokąd**

Miliard nowych Polsk

Przez ostatnie osiem lat żyliśmy na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego, w którym zaczynają nam podawać różne substancje zmieniające świadomość – mówi aktor i wokalista **Arkadiusz Jakubik**.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – **Poczułeś ulgę po wyborach?**

ARKADIUSZ JAKUBIK: – No jasne. Obudziliśmy się w nowej, wolnej Polsce. Jestem bardzo szczęśliwy. Po ośmiu latach wchodzenia z buciorami do mojej sypialni i pouczenia, kogo mogę kochać, jak mam to robić, z kim mam to robić – basta.

Porównania do 1989 r. są uprawnione?

Jak najbardziej. Wysoka frekwencja jest tego najlepszym dowodem. Nie wiadomo tylko, kiedy było gorzej. Za komuny czy za PiS. Mnie osobiście było gorzej teraz. Gdy rozpadał się blok wschodni, miałem 20 lat, nie zdawałem sobie do końca sprawy, co się dzieje. Mieszkałem w małym mieście, w Strzelcach Opolskich, i świat realnego socjalizmu był jedynym, jaki znałem. Innego punktu odniesienia nie miałem. Dzisiaj jestem trochę starszy, zdążyłem odwiedzić kilka krajów, wiem, jak wygląda normalność i z grubsza na czym polega demokracja. Więc było mi naprawdę ciężiej.

Nową płytę swojego zespołu Dr Misio zatytułowałaś „Chory na Polskę”. To krzyk rozpaczy?

Krzykiem rozpaczy był teledysk do piosenki „Wielkie żarcie”. Mam nadzieję, że razem z Wojtkiem Smarzowskim, który go reżyserował, dołożyliśmy małą cegiełkę do wyborczej frekwencji. Po obejrzeniu klipu ludzie pisali w komentarzach, że nie chcieli pójść na wybory, ale zmienili zdanie. Dziękowali.

Zabawa tupolewem, generał odbezpiecza granatnik, prezydent podpisuje wszystko, jak leci, służby przebrane za lekarzy zaprowadzają porządek – to tylko niektóre obrazy z waszego teledysku.

Pana, który się bawi samolotem, gra pięknie Olaf Deriglasoff, producent muzyczny dwóch pierwszych płyt Dr. Misio. Lekarzem wykonującym bolesną kolonoskopię, bez znieczulenia, jest Krzysiek Varga, który czasem pisze nam teksty. Cały klip powstał dzięki przyjaciółom grupy. Nie chodziło nam o dosłowność, tylko o metaforę. Jak powiedział kiedyś Stefan Kisielewski: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzać”. Ostatnio się zastanawiałem, kiedy zaczęła się we mnie rodzić energia gniewu, stan totalnej niezgody. Wyszło, że w grudniu 2019 r. Sromotnie przegrane przez opozycję wybory.

Arkadiusz Jakubik (ur. w 1969 r.) – człowiek orkiestra: aktor, reżyser, wokalista, producent, scenarzysta. Absolwent wydziału aktorskiego we Wrocławiu. Występował m.in. w filmach Wojciecha Smarzowskiego i Macieja Pieprzycy. Sam wyreżyserował dwie fabuły: „Prostą historię o miłości” i „Prostą historię o morderstwie”. Jest założycielem zespołu Dr Misio, którego nowa płyta ukazuje się w połowie listopada. W tym samym czasie Netflix zapowiada emisję serialu „Informacja zwrotna” z Jakubikiem w roli głównej.



Zdałem sobie wówczas sprawę, że przecież nie wyjadę, zresztą nie miałbym dokąd. Skoro muszę żyć pod rządami populistów ograniczających wolność, dewastujących demokrację, trzeba coś zrobić, żeby ludzie się ruszyli i zaczęli protestować, bo tylko tak można zmienić sytuację. Wtedy właśnie powstała pierwsza wersja „Wielkiego żarcia”. A potem wybuchł strajk kobiet, na który poszedłem z moją żoną Agnieszką.

Szybko się zradyzalizowałeś.

Nigdy nie byłem radykałem. Trzymam się raczej z boku.

Mówi to lider kapeli rockowej krzyczący ze sceny, że „oni w końcu zniszczą nas, jesteśmy wielkim żarciem”.

Drogi Januszu, jesteś wielkim żarciem dla polityków niezależnie od tego, kto rządzi i pod jakimi barwami niesie sztandar. Kiedy buntuję się generalnie przeciwko systemowi, odzywa się we mnie stara dusza punkowca anarchisty. Nie wystąpię nigdy na wiecach wyborczych tylko dlatego, że podoba mi się jakaś partia.

Czyli jeśli Tusкови uda się powołać rząd, słowa tej piosenki adresować będziesz do nowej władzy?

Będę im bardzo uważnie patrzył na ręce. Czy odwrócą się od małych miasteczek i wsi, jak szybko zapomną o tych, którym się gorzej wiedzie, i w jakich restauracjach będą jadali te swoje ośmiorniczki.

Po premierze „Kleru” zaprosił mnie do siebie Adam Bodnar, ówczesny rzecznik praw obywatelskich. Gratulował, pytając się, czy chcemy, żeby nam pomógł, aby film dotarł do papieża. Miał swoje kontakty w Watykanie. Teraz został senatorem. Dostał najwięcej głosów w kraju. Jest dla mnie przykładem polityka, któremu wierzę. W jego gabinecie wisiała mapa Polski z kilkuset wbitymi szpileczkami. Zdziwiłem się. To 478 miejsc, dokąd pojechałem, żeby się spotkać z ludźmi, by uzyskać odpowiedź, w czym mogę im pomóc – wyjaśnił. Odwiedzał świetlice, domy kultury, remizy, pytał o szkoły, żłobki, szpitale, oczyszczalnie ścieków, nawet o sygnalizację świetlną. I wyciągał wnioski. Ludzie byli dla niego ważni nie tylko przed wyborami. Traktował ich podmiotowo przez cały czas. I tego życzę ekipie Tuska. Żeby słuchali każdego, żeby wychodzili do wszystkich Polaków, nie zamykali się w bańce warszawskich salonów.

Przez minione osiem lat żyliśmy w domu wariatów?

Nazwałbym to dosadniej: na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego, w którym zaczynają nam podawać różne substancje zmieniające świadomość. Jakby przestrożeń, w której oddychamy, coraz bardziej się kurczyła. Strach pomyśleć, co byłoby dalej.

Mówisz o wolności.

Tak. O wolności rozumianej bardzo szeroko. O praworządności, kulturze i wielu innych aspektach funkcjonowania człowieka w państwie. Pozwól, że dokończę wątek strajku kobiet, bo wtedy właśnie czara goryczy się we mnie przelała. Było to parę miesięcy po premierze poprzedniej płyty Dr. Misio „Strach XXI wieku”, na której podobno przewidzieliśmy pandemię, ale to nieprawda. Szukałem już pomysłu na następny album i nagle mnie olśniło. Zrobimy rzecz conceptualną, na której będziemy się wadzić z Polską. Trudna sprawa, bo – jak mówią moi przyjaciele – jestem męską konserwą. Nie wstydzę się przyznać przed znajomymi, że jestem Polakiem, patriotą, Kocham swój kraj. Organizuję Kluby Kibica. Oglądając mecze narodowej drużyny, wstawiamy z bratem i całkiem na serio śpiewamy hymn. Koniec końców dotarło do mnie, że to niedobry pomysł, aby całą płytę poświęcić Polsce. Taki monotematyzm byłby nudny. Ponadto nie miałem chyba wystarczająco ciekawych rzeczy do powiedzenia, a nie chciałem powielać banałów, oczywistości, którymi karmią nas media. Publicystyka w piosence bardzo szybko się dezaktualizuje. Przy

całą miłość do Kazika, kto dzisiaj kojarzy jego wielki przebój „Sto milionów”?

Bałes się, że wchodząc w te same buty co Kazik, staniesz się dziadersem?

Jest mistrz i jest uczeń, i tyle na ten temat.

Spodobała mi się twoja myśl, że zamiast stanu wojennego PiS szykował nam stan kościelny.

To pomysł Smarzola. Sojusz ołtarza z tronem za czasów rządów prawicy przekroczył wszelkie granice przyzwoitości. To się wymknęło spod kontroli. Ale umówmy się, ta patologia trwa od wielu dekad, więc jestem bardzo ciekawy, czy demokratyczna opozycja spełni swoje obietnice i doprowadzi do rozdzielenia państwa od Kościoła. Czekam na rozwiązanie konkordatu, wyrzucenie lekcji religii ze szkół, na ujawnienie i opodatkowanie wszystkich dochodów księży i biskupów.

Myślisz, że ci, co głosowali na Hołownię albo na PiS, też tego chcą?

Czuję, że Polacy mają już dość niczym nieograniczonych przywilejów hierarchów. Sądzę, że zdecydowana większość głosujących na koalicję wolałaby świeckie państwo, odcięcie rozmaitych instytucji i fundacji katolickich od państwowych dotacji. Kościół musi się wreszcie zająć odnową od środka. Ma pomagać ludziom. Ma robić to, do czego został stworzony. Moja mama była głęboko wierząca. Odeszła dwa lata temu. Pamiętam jej niezgodę na rozbestwienie kleru. Słyszac kazania pełne hipokryzji i głupot, ostentacyjnie wychodziła z mszy. Pod koniec życia przestała w ogóle chodzić do kościoła.

Kropla draży skałę, jak mawia Smarzowski.

Tylko jak długo można czekać? Po „Klerze” pojawili się Sekielscy ze swoimi wstrząsającymi dokumentami. Wydawało się, że uruchomionej lawiny nic nie zdoła zatrzymać. I co? I nic. W Irlandii, w Niemczech, w Stanach oraz w wielu innych krajach na świecie nastąpiło uczciwe rozliczenie z pedofilią w Kościele katolickim. A u nas? Nie powstała żadna wiarygodna komisja złożona z ekspertów, prawników, historyków. Episkopat nie otworzył swoich archiwów diecezjalnych. Liczę, że dzięki zmianie władzy teraz takie rozliczenie będzie można wreszcie zrobić w Polsce.

Co się właściwie stało 15 października? Dlaczego Polska się zbuntowała?

Ludzie mieli dość kłamstw, propagandy, ograniczania wolności, dyktatu Kościoła, złodziejstwa. Chcieli zmiany. Czuli się w obowiązku wyrazić gniew. Zobaczyliśmy, jak rewolucyjny ogień zapałał w sercach Polaków. Bez szabel i naostrzonych siekier czy noży. Orężem były kartki do głosowania.

Jak sobie wyobrażasz Polskę popisowską?

W kuchni na lodówce wisi u mnie pocztówka z sympatycznym staruszkiem w okularach i z jego najślynniejszym cytatem: „Warto być przyzwoitym”. A u sąsiada za płotem wisi zapewne jakieś zdjęcie z podpisem: „Nie czyni bliźniemu, co tobie niemiłe”. Przecież to znaczy to samo. Mój wymarzony świat i sąsiada tu się spotykają. Jestem pewien, że niezależnie od poglądów i opcji politycznych możemy razem funkcjonować. Każdy ma prawo do swojej własnej bezpiecznej Polski. Wystarczy szacunek dla bliźniego.

Brzmi jak przesłanie z waszej piosenki „Miliard nowych Polsk”.

Jestem naiwnym idealistą, bo mimo trwającej polsko-polskiej wojny, skutecznie podgrzewanej przez polityków, wierzę w pokojowe współistnienie. Gdy pojawia się agresja, przemoc, to przecież mamy od tego służby mundurowe. Tutaj też jest dużo do zrobienia. „Zielona granica” wgniotła mnie w ziemię, gdyż poza ujawnieniem haniebnych zachowań obrońców porządku uświadomiła nam, że potrzebne są systemowe rozwiązania. ►

► Na pewno nie push-backi. Nielegalnych imigrantów trzeba traktować jak ludzi, a nie jak przedmioty. To kolejne zadanie dla nowej władzy.

A co należałoby zrobić z funkcjonariuszami w mediach publicznych?

Trzeba ich zwolnić, wprowadzić zarząd komisaryczny i stworzyć telewizję publiczną na nowo.

Obsadzając swoimi ludźmi?

Ciekaw jestem, jaki ma na to pomysł demokratyczna opozycja, bo zdaje się nie do końca jeszcze wiadomo, co można, a czego nie uda się zrobić w świetle obowiązującego prawa. Wisi nad nami weto prezydenta. Na pewno nie chciałbym, żeby nowe władze TVP stały się zwierciadlanym odbiciem propagandystów PiS. Potrzebujemy misyjnej, rzetelnej, kulturotwórczej instytucji na wzór BBC. Sądzę, że kluczowy będzie wybór jej szefa. Najlepiej gdyby to był fachowiec nie z politycznego nadania.

Zwalnianych „dziennikarzy politycznych” rozliczyć czy im wybaczyć?

Prawnie chyba nie ma sposobu, aby im postawić zarzuty. Lecz ludzi wiernie służących PiS, którym da się udowodnić, że złamali prawo, trzeba rozliczyć. Jeśli ktoś popełnił przestępstwo, powinien za to odpowiedzieć. Sąd albo Trybunał Stanu. A nie że ręka rękę myje.

Czyli w przypadku tracącego władzę PiS należałoby zapomnieć o grubej kresce, konsekwentnie stosowanej przez wszystkie poprzednie rządy?

Niepisana zasada, że politycy mogą czuć się bezkarni, ponieważ nikt nikogo nie pociąga do odpowiedzialności, nie stawia się im zarzutów, nawet gdy robią świństwa, kradną albo popełniają wykroczenia, doprowadziła do moralnej zapaści państwa. To wymaga naprawy. Rozliczenie PiS będzie dobrym przykładem dla tych, co wygrali teraz wybory, oraz ich następców. Zło nie może uchodzić płazem. Następnym razem musi zadziałać mechanizm: jeśli którykolwiek polityk będzie nieuczciwy, czeka go to samo.

Przechodząc do kultury – nie dziwi cię, jak mało się słyszy, kto ma objąć schedę po ministrze Glińskim?

A przecież tyle się wcześniej mówiło na ten temat. Kultura, kochani wyborcy, jest najważniejsza, to nasza tożsamość, dziedzictwo, przyszłość itd. I nagle cisza. Nie ma takiego ministerstwa? Jest dużo do zrobienia. Ubezpieczenia i emerytury dla artystów, niezałatwione są tantiemy z internetu. Trzeba odgruzować instytucje. Amatorów, ludzi niekompetentnych, którzy zostali dyrektorami teatrów, muzeów etc. muszą zastąpić fachowcy.

Niech zgadnę: w jawnych, transparentnych konkursach, gdzie wybierać ich będą nasi ludzie?

Jak będą wyglądały komisje weryfikujące kompetencje kandydatów, to kolejny sprawdzian nowej władzy. Powinny być pluralistyczne. Nie wykluczałbym udziału w nich świątliwych prawicowych intelektualistów, którzy potrafią rozmawiać i słuchać. Jak mówimy o miliardzie nowych Polak, to czemu akurat ta Polska nie miałaby patchworkowo być reprezentowana?

Wiesz może, dlaczego PiS nie wyszedł flirt z prawicowym kinem historycznym?

Bo zaprosili do współpracy niewłaściwych scenarzystów, reżyserów, producentów, którzy nie potrafili tego zrobić. Jeden z najdroższych polskich filmów: „Raport Pileckiego”, okazał się porażką, zmarnowaną szansą. Pycha, arogancja, nieumiejętność otwarcia się na przeciwną stronę, zaciętrzewienie, niewiara w talent i brak zaufania do adwersarzy. Prawica popełniła tutaj dużo błędów. W rezultacie ani nie udało się podbić Hollywood, ani Hollywood do nas nie przyjechało.

Serial „Informacja zwrotna”, w którym grasz główną rolę, mówi o trudnej relacji wewnątrzrodzinnej. O winie ojca, odrzuceniu przez niego odpowiedzialności i krzywdzie syna. W twojej rodzinie konflikty też dzieliły?

Odwrotnie, łączyły. Z moim ojcem nie miałem właściwie żadnej relacji. Szybko nas opuścił i wyjechał z kraju. Przez wiele lat nie utrzymywał z nami żadnego kontaktu. Nie było go w najważniejszych momentach mojego życia. Mnie i brata wychowała mama. Poświęciła nam całe swoje życie. Była naszą superbohaterką. Pracowała jako kierowniczka kadr w fabryce mebli w Strzelcach Opolskich. Żeby nas utrzymać, w tajemnicy przed dyrektorem brała sobie dodatkowe pół etatu i zostawała po godzinach, sprzątając biura. Gdy po 10 latach ojciec postanowił jednak wrócić, byłem już na studiach. Dziwiłem się, że mama wyraziła zgodę na jego powrót. Miała do tego prawo, ale niczego to nie zmieniło. Pozostał dla mnie obcym facetem.

Twoi dorośli synowie nie mają do ciebie o nic pretensji?

Takich błędów, jakie popełnił Marcin Kania, były rockowy muzyk, alkoholik, którego gram w serialu, nie mam na swoim sumieniu. Moje relacje z synami są bardzo dobre. Grając tę postać, nie myślałem o sobie ani o Kubie Żulczyku, autorze powieści. Czasami może myślałem właśnie o moim ojcu. Z nim łączyły mnie podobne więzi. A w zasadzie dzielił nas brak tych więzi. Mimo to chciałem tego swojego Kanię trochę ucłowieczyć, poszukać w nim dobra. Człowieczeństwo to ciągała walka lorda Vadera z Yodą wewnątrz każdego z nas.

Niemile cechy twojego bohatera rymują się z błędami polityków, którzy stracili władzę na rzecz PiS, a teraz ją odzyskali. Demokratyczna opozycja wyciągnęła wnioski z tej lekcji?

Oby. Mam taką nadzieję. Ale nie mam złudzeń. Pomijając napięcia międzypokoleniowe oraz politykę, dla mnie serial opowiada też o pamięci. Jest taka piosenka Dr. Misio „Prawda”. „Prawda, nie ma jej, prawda, nie okłamuj się”. Ten tekst koresponduje z tym, co się dzieje w głowie Kani. Prawda pamięci jest wybiórcza. Z każdym rokiem czy kieliszkiem alkoholu ona się zmienia. To my sobie tę pamięć układamy. I do końca wierzymy w to, co sami sobie zostawimy na twardym dysku. Pewne fakty resetujemy, a na ich miejsce pojawiają się nowe, dla nas bardziej korzystne.

To się nazywa wyparcie, samoobrona, fuga dysocjacyjna.

Zgadza się. Wiele zależy od tego, do czego ta obrona swojego ego ma doprowadzić. Proces zachodzący w głowie uzależnionego od alkoholu Kani i ciężar emocjonalny roli mogą chyba tylko porównać do przemiany Edwarda Środonia z „Domu złego”. W czasie pracy nad tamtym filmem zacząłem drażyć, do czego ja sam bym się posunął, gdybym bardzo potrzebował pieniędzy. Na przykład żeby uratować komuś życie. Dylemat Raskolnikowa. Na początku byłem absolutnie przekonany, że nikomu krzywdy bym nie wyrządził, potem jednak to przekonanie zaczęło słabnąć.

Dlatego jesteś pesymistą co do ludzkiej natury?

Raczej utopijnym realistą marzącym o miliardzie nowych Polak. Niestawiającym się w roli mentora, nieumiejącym jednoznacznie udzielić odpowiedzi, jak żyć, co robić, w co wierzyć.

To o czym będziesz teraz w nowej Polsce śpiewał?

Mam już gotową nową płytę. Powstała w czasie pandemii. To przeróbka fabularnego scenariusza filmowego. Historia miłości ludzi po czterdziestce opowiedziana w formie piosenek. Konceptualny album z dziesięcioma utworami dziejącymi się w jednym uniwersum, z bohaterami z krwi i kości, z punktami zwrotnymi. Nosi tytuł „Romeo i Julia żyją”.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



Radiowy serial dokumentalny
nominowany do Nagrody Radia ZET
im. Andrzeja Woyciechowskiego



Michał Janczura

PODZIEMIE

Tuż obok nas jest medyczny świat równoległy, w którym wykrywanie i diagnozowanie pewnych chorób jest równie proste i bezproblemowe, jak ich leczenie - niezależnie od tego, czy ktoś faktycznie jest na nie chory. Gdzie strach wobec poważnych schorzeń wykorzystuje się do prowadzenia świetnie zorganizowanego biznesu, za nic mając zdrowie i faktyczny stan pacjentów. Warunkiem, by do niego wejść, są pieniądze.

"Podziemie" to serial, który opisuje toczący się przy świetle dziennym proceder stosowania niepotwierdzonych naukowo procedur do leczenia boreliozy - rzeczywistej i urojonej. To portret świata, w którym medycyna jest pretekstem do zarabiania. Michał Janczura zszedł do medycznego podziemia, gdzie pacjentów faszeruje się lekami i suplementami diety, zarabiając na ich pragnieniu dojścia do zdrowia.

Posłuchaj na tokfm.pl/podziemie lub w aplikacji mobilnej TOK FM

Czy czata się czyta

Sztuczna inteligencja najbardziej, jak się okazuje, potrzebuje poetów.
A przewidział to już Stanisław Lem. Jak rysuje się przyszłość
literatury w dobie AI?

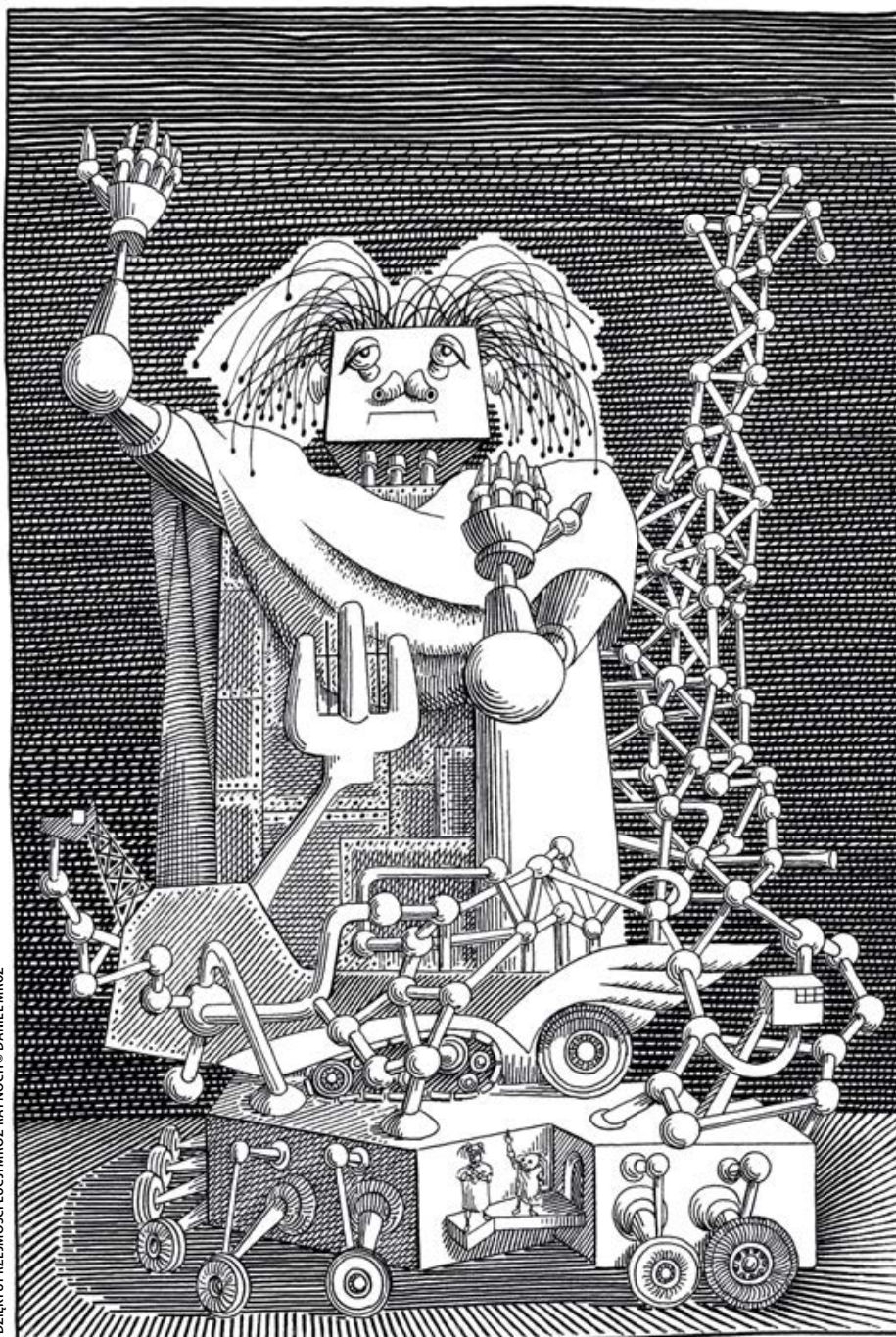
JUSTYNA SOBOLEWSKA

Nastał czas, kiedy pisarz nie musi już być człowiekiem. Sztuczna inteligencja sama pisze. Amerykańska autorka Jane Friedman znalazła w Amazonie kilka książek, które były podpisane jej nazwiskiem, a których sama jako żywo nie napisała. Takich zaskoczeń było ostatnio więcej – pojawiały się książki najczęściej wydawane na zasadzie self-publishingu, które okazywały się wygenerowane przez sztuczną inteligencję i były sprzedawane pod nazwiskami „ludzkich” pisarzy (w przeciwieństwie do tych „niehumanicznych”). Amazon wprowadził rozmaite ograniczenia, żeby to sprawdzić – okazało się, że próbowano wygenerować dwa niewydane tomy serii „Gra o tron” George’a R.R. Martina. Nic dziwnego, że i Martin dołączył do protestów pisarzy przeciwko wykorzystywaniu ich utworów przez AI.

Świat pisarski, zwłaszcza w Ameryce, idzie na wojnę w obronie swoich praw autorskich. Petycję wzywającą firmy odpowiedzialną za sztuczną inteligencję do zaprzestania wykorzystywania pracy pisarzy bez ich zgody podpisało ponad 10 tys. autorów. Wśród nazwisk – Margaret Atwood, Philip Pullman czy Jonathan Franzen. Pisarze zrzeszeni w Gildii Autorów żądają uznania wkładu autora i odszkodowań. List otwarty przez Gilię Autorów został skierowany do dyrektorów generalnych firm OpenAI (twórca ChatGPT), Alphabet, Meta, Stability AI i IBM.

Poeta w kontroli jakości

Pisarz Douglas Preston dziwił się, gdy poprosił ChatGPT o opisanie drugorzędnych postaci w jego książkach, a ten podał szczegółowe informacje. Zorientował się w ten sposób, że program „przeczytał”, czyli pożarł jego książki w całości. Kanaadyjska pisarka Mona Awad i amerykański pisarz Paul Tremblay złożyli pozwy



DZIEKI UPRZEJMOSCI LUCJI MROZ-RAYNOCH © DANIEL MROZ

Elektrybałt – odpowiednik ChatGPT z „Cyberiady” Stanisława Lema. Ilustracja Daniela Mroza.

© DZIEKI UPRZEJMOSCI LUCJI MROZ-RAYNOCH © DANIEL MROZ

w sądzie federalnym w San Francisco przeciwko twórcy ChatGPT firmie Open AI. Ich książki zostały wykorzystane do szkolenia ChatGPT, który wygenerował bardzo dokładne streszczenia powieści.

Książki generowane przez AI mogą być niebezpieczne dla zdrowia, jeśli są to na przykład atlasy grzybów. Nowojorskie Towarzystwo Mykologiczne wydało oświadczenie, aby szczególnie uważać na takie poradniki, bo można to przypłacić życiem. Wszystko dlatego, że AI ładnie kłamie, łączy coś z czymś – coś się zgadza, a reszta to kompletna bzdura. Można się o tym łatwo przekonać, prosząc czat o biogramy rozmaitych ludzi. Są to zazwyczaj zgrabnie podane nieprawdziwe fakty. Potrafi jednak wygenerować fabułę kryminalną, opowiadanie. Czy może więc zagrozić literaturze? Wytwarza tylko to, co do niej wrzucono. Więc rzeczywiście AI może być konkurencją w literaturze popularnej i gatunkowej. Natomiast nie ma w sobie inwencji, nie potrafi korzystać z ironii, humoru, być nowatorska. Za to uczy się pilnie. Dlatego też, jak się okazuje, najbardziej potrzebuje do trenowania... poetów.

Najwięksi programiści AI w Dolinie Krzemowej szukają wśród literatów nowych pracowników. Znane firmy zajmujące się szkoleniem AI, takie jak Scale AI i Appen, ogłosiły, że rekrutują poetów, powieściopisarzy, dramaturgów i pracowników naukowych, i to nie tylko pracujących w języku angielskim, ale i piszących w językach mniej reprezentowanych w internecie: hindi czy japońskim. Praca miałaby polegać na pisaniu krótkich tekstów na zadany temat, aby wprowadzać je do modeli sztucznej inteligencji, „karmić” ją tym.

Tacy specjaliści mają też sprawdzać jakość tekstów wyprodukowanych przez AI.

Kiedy w listopadzie 2022 r. uruchomiono ChatGPT, robiły wrażenie zwłaszcza jego umiejętności w zakresie tworzenia wierszy w języku angielskim. Wszystko, co tworzy, bazuje oczywiście na imitacji tego, co już istnieje, na naśladowaniu istniejących stylów pisarzy, a nie na kreatywności. Przy czym nawet to naśladowanie bywa problemem – bo żywi poeci łamią często zasady swojej poetyki, nie są konsekwentni, są ludzcy. A czat może tylko powielać.

Nie wiadomo, jaki był odzew na oferty pracy, wiadomo za to, jakie są stawki – za pracę eksperta w języku japońskim można zarobić 50 dol. za godzinę pracy, ale już twórcy mówiący np. w mało reprezentowanych językach, takich jak np. Telugu, dostaną zaledwie kilka dolarów. Praca kreatywna literatów dla takich firm może im pomóc omijać kwestię praw autorskich – chyba że specjaliści będą korzystać z czyichś pomysłów.

Bot or not

Generowanie poezji nie jest w ogóle niczym nowym, w literaturze rozmaici twórcy od lat zajmowali się eliminowaniem autorskich wyborów i świadomych decyzji, na tym opierały się eksperymenty dadaistów czy metoda Williama Burroughsa „cut-up”, która polegała na wycinaniu słów i ponownym układaniu ich w nowy tekst. Pisarze z grupy OULIPO stosują od dawna do generowania tekstu wzory matematyczne. Sztuczna inteligencja może błyskawicznie tworzyć teksty pozabawione danych liter – to, co zajęło Georges’owi Perecowi sporo czasu. Istnieje

wiele projektów i witryn, które tworzą poezję za pomocą algorytmów: Poevolve, Poetry Creator, Poem Generator, Tra-La-Lyrics, PoeTryMe, iPoet (w języku chińskim), PoemBot, PoemPortraits i Verse by Verse (Google), TalkToTransformer, Bot or Not – to tylko niektóre z nich. Większość z takich generatorów bazuje na tym, że komputer można wyszkolić do tworzenia tego, czego się od niego wymaga, w tym przypadku wierszy, w oparciu o zbiór danych (np. utworów istniejącego poety) i algorytm mówiący, w jaki sposób może je wykorzystać. Można też choćby dać mu za zadanie łączenie losowych słów, które zawierają np. żadaną liczbę sylab. Wyniki są często kiepskie, a jeśli są ciekawe, to przez przypadek. I okazuje się, że w tych generatorach coraz trudniej odróżnić, który wiersz został napisany przez ludzką, a który – nieludzką osobę. Na stronie Bot or Not (botpoet.com) odwiedzający może zgadywać, czy dany wiersz napisał „ludzki” poeta, czy AI. I okazało się, że wiersz Gertrudy Stein większość uznała za dzieło sztucznej inteligencji.

„Jeśli więc istnieją komputery, które piszą jak komputery, komputery, które piszą jak istoty ludzkie, istoty ludzkie, które piszą jak istoty ludzkie, i istoty ludzkie, które piszą jak komputery, co do cholery się dzieje?” – pisze Christina Linardaki w „The Beacon”. Dalej rodzi się pytanie o sam status człowieka – czy można go stracić albo nabyć w procesie uczenia? „Nawet jeśli stworzymy komputery o ludzkiej postaci lub możliwościach, pozostaną one zwierciadłem istot ludzkich, które charakteryzują się samoświadomością i poczuciem tożsamości, czyli czymś, czego maszyna, zaprogramowana tylko ►

REKLAMA

ROLLING
STONES
HACKNEY
DIAMONDS



PIERWSZY
STUDYJNY ALBUM
Z ORYGINALNYM MATERIAŁEM
OD 2005 ROKU

1 CD • 1 CD+BR
1 LP • DIGITAL

JUŻ DOSTĘPNY

► do wykonywania poleceń, nie posiada. Myśliciele transhumanistyczni od dawna zastanawiają się nad takimi kwestiami. Czy zatem w ogóle można sobie wyobrazić, że lustro dosięgnie lub pokona to, co odzwierciedla? To się okaże” – pisze Linardaki.

Maszyna Lema

Tymczasem wszystko to już opisał Stanisław Lem. Odpowiednik ChatGPT pojawia się w „Cyberiadzie” – nazywa się Elektrybałt. Znajdziemy go w opowiadaniu „Wyprawa pierwsza A czyli Elektrybałt Trurla”. Robot Trurl skonstruował nie tylko maszynę liczącą, która upierała się, że dwa i dwa to siedem, ale też maszynę, która odpowiadała wierszem na zadany temat. I odbywało się to w sposób identyczny jak nasze interakcje z ChatGPT. „Niech ułoży wiersz o cyberotyce! – rzekł nagle, rozjaśniony. – Żeby tam było najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazirodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę C!”

– A całego wykładu ogólnej teorii nieskończonych automatów nie ma tam czasem być? – wrzasnął rozwścieczony do żywego Trurl.

– Nie można stawiać tak kretyńskich warunków...

Ale nie dokończył, ponieważ słodki baryton, wypełniając całą halę, odezwał się właśnie:

Cyprian cyberotoman, cynik, ceniąc czule

Czarnej córy cesarskiej cud ciemnego ciała,

Ciągłe cytrą czarował. Czerwieniła cała,

Cicha, co dzień czekała, cierpiała, czuwała...

...Cyprian ciotkę całuje, cisnąwszy czarnulę!”

Trurl karmił swoją maszynę wierszami klasycznymi i początkowo awangardowi poeci triumfowali, ale maszyna Trurla zaczęła się szybko uczyć i wiersze, które tworzyła, stawały się coraz lepsze, awangardowe. „Maszyna posiadała jednak samoprogramowanie oraz specjalny obwód wzmocnienia ambicjonalnego z bezpiecznikami na sześć kiloamperów, więc w krótkim czasie wszystko najzupełniej się odmieniło – pisze dalej Lem. – Wiersze jej stały się ciemne, wieloznaczne, turpistyczne, magiczne i wzruszające do kompletnej niezrozumiałości. Tak więc, gdy przybyła następna grupa poetów, by podrzeć i poszydzić z maszyny, ta odezwała się taką improwizacją nowoczesną, że dech im

zaparło, a drugi zaraz wiersz wywołał poważne zakłobnienie pewnego twórcy starszego pokolenia, który miał dwie nagrody państwowe i posąg w parku miejskim. Odtąd żaden poeta nie mógł oprzeć się zgubnej chęci wyzwania Elektrybałta na turniej liryczny – i ciągnęli zewsząd, niosąc wzory i teczki pełne rękopisów. Elektrybałt pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami, utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi. Po niedługim czasie doszedł do takiej wprawy, że jednym, drugim sonetem zwał z nóg zasłużonego wieszczka. I to było najgorsze chyba, okazało się bowiem, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych; uchodzili więc bezkarnie i tylko jeden złamał raz nogę, potknąwszy się u wyjścia o wielki epicki poemat Elektrybałta”.

Czat jako pomocnik

Dalszy ciąg historii Elektrybałta przypomina dzisiejsze dylematy środowiska literackiego. Maszyna dziesiątkowała prawdziwych poetów, kolejni zaczęli popełniać samobójstwa, skacząc ze skały. Zwoływali protesty i żądali, by zapieczętowano urządzenie, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Redakcje gazet cieszyły się z łatwego dostępu do coraz to nowych poematów na każdą okazję, które Elektrybałt tworzył pod „kilkoma tysiącami pseudonimów naraz”. Ludzie te wiersze lubili, „natury co wrażliwsze, rażone specjalnie skonstruowanymi metaforami czy asonansami, nieraz mdławy nawet; lecz i na tę okazję był przygotowany gigant natchnienia, albowiem zaraz wyprodukował odpowiednią ilość sonetów trzeźwiących”. Nic dziwnego, że polska firma VoiceLab.AI, która opracowała rodzimy odpowiednik chatbota, nazwała go właśnie TRURL.

O ile jednak ChatGPT w języku angielskim potrafi imitować lepiej lub gorzej styl poetów, o tyle w języku polskim jest bezradny, ma – jak widać – za mało danych i tworzy czystą grafomanię. Oto „wiersz” o sztucznej inteligencji:

„Sztuczna inteligencja, w krążeniu danych tkwiąca,

W mózgach cyfrowych swe umiejętności piastująca.

Algorytmy tka, wiedzę zdobywa każdego dnia,

W świecie kodu i obwodów, nowe horyzonty otwiera.

Nie śpi, nie zmęczy się, nie błądzi, nie zapomina,

AI, kalkulator marzeń, zawsze gotowa, zawsze czujna.

W analizie danych, w medycynie, w sztuce, w nauce,

Wpływa na nasz świat, to przyszłości oblicze, nie kłamie wcale.

Lecz pamiętajmy, choć w kodzie jej siła drzemie,

Że serce i dusza w człowieku zawsze żywe.

Bo choć AI rośnie, wciąż ludzka miłość i twórczość trwa,

W obu tych sferach wspólna przyszłość nas czeka,

to jest pewne, jak gwiazdy na niebie”.

Zabawne, jak program chwali sam siebie i zapewnia, że nie kłamie, chociaż wszyscy, którzy korzystają z czatu, wiedzą, że jest jak uczeń, który, jak nie wie, to zmyśla. Lepiej niż z wierszami czatowi poszło z imitacją stylu Zulczyka w opisie Pałacu Kultury. W otoczeniu dużej ilości wulgaryzmów pojawia się obraz Pałacu jako dziwaczego gościa w zakurzonej koszuli, którego nikt nie zaprosił na imprezę. Nawet jednak w takim małym fragmencie tekstu chat tworzy sformułowania, które nie mają najmniejszego sensu wśród kilku trafnych spostrzeżeń.

Łatwo dziś sobie wyobrazić kryminaty i thriller generowane przez sztuczną inteligencję: autor tylko zadaje temat, zarysy fabuły, a resztę robi AI. Autorzy, których teksty opierają się na schematach, mogą czuć się zagrożeni. Ale nie poeci: dobrze to podsumował Jerzy Jarniewicz w czasie dyskusji o poezji w dobie AI. Napisał na Facebooku: „Sztuczna inteligencja ze swoim nastawieniem na produktywność, efektywność i szybkość lokuje się na antypodach tego, czym jest poezja. O ile celem AI jest rozwiązywanie problemów, o tyle poezja problemy mnoży, żyje transgresją i przypomina o tym, jak bardzo potrzebna jest nam nieufność. Dlatego nie wierzę, by AI wysłała na bezrobocie poetów i przejęła ich rolę. To nam nie grozi. Zagrożeniem dla literatury ze strony karmionej bazami danych sztucznej inteligencji może być jednak zalanie rynku produktami literaturopodobnymi, pożegnanie się literatury z gotowością do podejmowania ryzyka i przekraczania granic, do problematyzowania naszego obrazu świata, pożegnanie się z językami ironii i dystansu, z wieloznacznością i wielogłosowością”.

Nic też nie zastąpi takiego momentu, kiedy poeta albo poetka czyta wiersz. Osoba ludzka, tekst, nic więcej, nie da się tego niczym zastąpić.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Wiem, czego nie wiem



Spróbujmy ludziom zaproponować coś więcej niż powierzchowną informację czy plotkę, a później mówmy, co ich interesuje, a co nie – mówi dziennikarz i pisarz **Wojciech Jagielski**, autor zbioru „Wojna. Antologia reportażu wojennego”.

JULIUSZ CŹWIELUCH: – We wstępie do „Antologii reportażu wojennego” napisał pan, że wzdraga się przed używaniem słowa „antologia”.

WOJCIECH JAGIELSKI: – Wydawca wzdragał się mniej. Na szczęście na okładce wybił słowo „Wojna”, a nie „Antologia”, co pozwoliło na kompromis.

Ale tej wojny też w książce nie ma tak wiele. A jak już, to jakaś taka wyfiletowana. Zamiast sztyletowego ognia wroga, ran i śmierci raczej niuanse, dywagacje.

Cytowany przeze mnie we wstępie Robert Fisk napisał, że wojna jest całkowitym upadkiem człowieczeństwa. Kapitacją gatunku ludzkiego. Nie ma tam nic wzniosłego, romantycznego ani takiego, co uszlachetnia. Jest kressem. Wojna sama w sobie nie jest czymś, co mnie pociąga.

I mówi to pan, korespondent wojenny?

Nie jestem korespondentem wojennym. Bywałem korespondentem z wojen. Na wojnie jako takiej się nie znam. Pamiętam, że raz jedyny spotkałem korespondenta wojennego w Afganistanie w 2001 r., dziennikarza branżowego pisma „Jane’s Defence Weekly”. On potrafił profesjonalnie wypowiadać się i pisać o wojnie. Znał się na niej, tylko tym się zajmował. Właściwie żadnego innego z kolegów, z którymi dzieliłem przydomek korespondenta wojennego, sam bym tak nie nazwał.

Toczy pan ze mną wojnę o słowa.

Powiedzmy, że domagam się precyzji. I to nie jest fechtunek dla sportu. Brak ►

Wojciech Jagielski (ur. 1960 r.) zaczynał jako depešowiec w PAP. Po kilku latach w PAP został autorem „Tygodnika Powszechnego”. Od 1991 r. związał się z działem zagranicznym „Gazety Wyborczej”, w którym pracował do 2012 r. Autor 10 książek. 25 października na rynku ukazała się kolejna: „Wojna. Antologia reportażu wojennego”.

► precyzji sprowadził media na manowce. Jako dziennikarz opisywałem jakiś fragment świata – Afrykę, Kaukaz i Azję Środkową – który miał to do siebie, że konflikty rozwiązywano tam również za pomocą wojen. Nie jeździłem po świecie w pogoni za wojnami i ekscytującym życiem korespondenta. Ale skoro opisywałem Gruzję czy Sudan, to moim obowiązkiem było tam być również, a może zwłaszcza, kiedy wybuchła tam wojna.

A ja panu nie do końca wierzę, bo czytałem pańskie teksty, które na tych wojnach się tuczyły, i czułem, że i pan się tam trochę najadł.

W Ukrainie jest wojna. Mówię po rosyjsku. Gdybym się pchał pod kule, to byłbym tam w kilka godzin, bo to przecież za miedzą. Mam 70 państw, które są w obrębie moich zainteresowań i wiedzy. Ukraina się do nich nie zalicza, więc tam nie pracuję. Z takiego samego powodu nie pisałem z Bałkanów ani z Iraku. Zawsze uważałem, że dziennikarz ma prawo opowiadać o czymś innym tylko wtedy, jeśli na tym czymś – i nie tylko w swoim przekonaniu – zna się lepiej od tych, którym opowiada. W przeciwnym razie dlaczego to on miałby opowiadać, a oni słuchać, a nie na odwrót? Te moje 70 państw to już aż nadto.

Te wojny, które pan ominął, skonsumował pan w „Antologii”.

Ostatnie 100 lat naszej historii jest naznaczone konfliktami. Nie wszystkie zakończyły się wojną. Dzięki temu mogłem wstawić do książki Huntera S. Thompsona i jego tekst o ruchu hippisowskim. Uważam, że bez tego buntu młodzieżowego lat 60. i 70. zeszłego wieku nie byłoby praw człowieka i swobód obywatelskich. No i mnóstwa dobrej muzyki. To tamta rewolucja obaliła prymat państwa nad jednostką.

Jednocześnie o froncie wschodnim opowiada pan słowami Grossmana i Simonowa, którzy jednostkę mieli za nic.

Nie to było tu akurat najważniejsze. Walki na froncie wschodnim opisywali głównie miejscowi korespondenci, zachodnich było tam niewielu, a swobodę działania mieli ograniczoną. Chciałem pokazać też język korespondentów, który był również językiem wojennej propagandy, a nie jedynie reporterską opowieścią.

Z kolei Michael Herr nie bał się pisać o swoim uzależnieniu od wojny, którą się jednocześnie brzydził i fascynował. A która jego piórem odsłania swoją groteskowość.

Też go lubię. I ten sarkastyczny styl, choć sam w pisaniu od sarkazmu stronię albo po prostu nie umiem tak pisać. „Depesze” Herra to nie tylko pisarstwo najwyższej próby, przypadło też na absolutny szczyt znaczenia zawodu dziennikarskiego. Herr i jego koledzy przynieśli tę wojnę, toczoną gdzieś na końcu świata, wprost do amerykańskich domów.

Raczej przywlekli jak coś wstydlwego i pokazali jej bezsens.

Do dziś mnie zastanawia, że wojskowi nie zorientowali się w porę, co się święci. Ci młodzi dziennikarze patrzyli im na ręce. Nie bratali się z nimi, pisali, co widzieli, nikogo, łącznie ze sobą, nie oszczędzając. W tym samym mniej więcej czasie dziennikarze doprowadzili do dymisji prezydenta, który okazał się łajdakiem. W 1974 r. amerykańskie media osiągnęły apogeum swojej sprawczości. Już nigdy później nie miały tej siły i mocy. Gdyby Richard Nixon rządził dzisiaj, nie byłoby żadnej afery Watergate. Byłoby tylko wzruszenie ramion i stwierdzenie, że wszystkie te kierowane przeciwko niemu zarzuty to fake news. Ja tego zwrotu w ogóle nie używam.

Zastanawiałem się, czy w spisie autorów znajdzie się nazwisko Krzysztofa Millera, niezjącego fotoreportera, z którym zjeździł pan niejedną wojnę. Nie znalazłem, choć „13 wojen i jedna” to niezła książka.

Tak, to jest dobra książka. Antologię zadedykowałem Krzysztofowi. Poświęciłem mu fragment w rozdziale o fotoreporterach. Czuję się po części ojcem jego książki, bo sam go namawiałem, żeby w ramach terapii siadł do jej pisania.

Ostatecznie to chyba nie była najlepsza terapia?

Nie była, bo Krzysztof myślał obrazem, jego pamięcią były fotografie, które zrobił. Przyjechałem kiedyś do niego na Starościńską, i opowiadając mi o postępach w pisaniu, zaczął pokazywać zdjęcia, z których odtwarzał swoje wspomnienia. Pisząc, wracał więc do tego, przed czym uciekał.

A może on już był wewnętrznie pęknięty, kiedy zaczął jeździć na wojny?

Nie wiem. Myśmy sobie w pracy nie pobłażali. Nikt się nie rozczulał. Dlatego zresztą bardzo sobie chwaliłem pracę z nim. Miał podobne podejście – maksymalizm oczekiwań, żadnego cackania się ze sobą ani z partnerem. Ktoś mi powiedział, że tak się wchodzi na wysokie góry. Jak idziesz z kimś, to oczekujesz, że ta druga osoba da z siebie wszystko.

Poza tym, co nas łączyło, bardzo się od siebie różniliśmy. Co przekładało się na naszą relację, która na czas poza pracą w zasadzie zamierała. I magicznie odżywała, kiedy znów dokądś wyjeżdżaliśmy.

A po panu to wszystko spłynęło jak po kaczce?

Na choroby zawodowe, które powinny być moim udziałem, zapadła moja żona. Nie widzę po sobie żadnych oznak, które świadczyłyby, że w jakiś sposób moje doświadczenia zawodowe dotknęły mnie samego. Jedynie po incydencie podczas wojny w Gruzji w 2008 r. przez chwilę miałem silniejszy lęk przestrzeni.

Mój uuefista mawiał: „Przechodziłem przez ulicę i przy okazji samochód zabił mi psa”. Co to znaczy po incydencie?

Dostałem się pod kule i strzelano do mnie, i tylko do mnie, nie było miejsca na wątpliwości ani złudzenia. I trwało to dość długo. Jakąs godzinę, może półtorej, nie wiem, bo nie miałem głowy, żeby sprawdzać. Ostrzał był od strony południowo-osetyjskiej. Ktoś się zawziął. Wiedzieli, że chowam się za samochodem, i bardzo im zależało, żeby mnie dopaść.

Samochód tylko w filmach chroni przed kulami.

Nie chroni. Ale być może strzelał do mnie właściciel tego samochodu, który pomylił mnie ze złodziejem. Strzelał tak, żeby oszczędzić auto. Ostatecznie oszczędził i mnie. Ale ta świadomość, że ktoś wziął właśnie mnie na cel, była przygniatająca. Jak się dostaje pod ostrzał, nawet artyleryjski, to pocieszeniem jest myśl, że to nie w nas mierzą, że to ślepy los.

Gdzie rąbią drwa...

Takie myślenie pozwalało mi betonować moje lęki. Ale tej konkretnej emocji już tak nie potrafiłem zabetonować. Po tamtym incydencie nie było mowy, żebym wsiadł np. do windy zewnętrznej. A jeśli dostawałem zaproszenie na jakiś festiwal literacki, to domagałem się, żeby pokój w hotelu mieścił się maksymalnie do piątego piętra, żebym bez większego wysiłku mógł wejść po schodach. Pamiętam koszmar, jaki przeżyłem, kiedy w Nowym Jorku musiałem wjechać na sześćdziesiąte któreś piętro w Empire State Building, żeby odebrać z Instytutu Kultury Polskiej klucze do wynajętego dla mnie mieszkania. Na szczęście i te lęki zelżały, a z czasem właściwie ustąpiły. Ja chyba miałem grubą skorupę.

Dlaczego nie do każdego rozdziału w książce napisał pan wstęp?

Najpierw chciałem pisać parę słów o każdym z autorów i każdej wojnie,

o której opowiadali. Ale książka i tak już ma słuszny rozmiar. Musiałem pokroić samego siebie, żeby całkiem nie przekroczyć miary. Ale też uznałem, że będę zabierał głos tylko tam, gdzie czułem, że potrzebne jest jakieś wyjaśnienie albo dopowiedzenie. Pozwoliłem sobie również na pewne refleksje na temat samego zawodu. Zwłaszcza w kontekście korespondentów radzieckich wydawało mi się to ważne. Oni byli inżynierami dusz, mieli podnosić na duchu. Prawdy od nich nie oczekiwano. To zresztą przedziwne, co druga wojna zrobiła z dziennikarzami. Nawet ci zachodni sami obsadzali się w roli porzeczających serca.

A to, jak opisujemy dziś wojnę w Ukrainie, nie jest tym samym?

Wojna w Ukrainie niby toczy się za granicą, ale przecież mocno nas dotyczy. Cieszymy się, kiedy coś nie pójdzie Rosji. Z kolei niepowodzenia Ukraińców staramy się przemilczeć, zbagatelizować. Życzymy zwycięstwa jednej stronie.

To źle?

Jako zagorzały kibic piłki nożnej nie czuję się dobrze, kiedy komentator sportowy staje się 12. zawodnikiem. Wolę te chłodne relacje, z których naprawdę mogę się dowiedzieć czegoś, czego nie wiem, nie dostrzegam. To, że życzymy zwycięstwa jednej stronie, rozumiem, ale od dziennikarstwa oczekuję czegoś więcej.

Właściwie to polski rząd, masowo dostarczając sprzęt wojskowy, gra z Ukraińcami w jednej drużynie, choć na mało wdzięcznej – jak się okazało – pozycji pomocnika.

Dziennikarze nie muszą grać w drużynie, a teoretycznie nawet nie powinni. Potrafiłem się zdobyć na bezstronność w Czeczenii, ale czy potrafiłbym w Ukrainie? Znowu muszę powiedzieć: nie wiem.

A da się w ogóle być bezstronnym w takiej sytuacji?

Mam ten komfort, że nie musiałem odpowiadać na to pytanie własnym piórem. Znam wybitnego dziennikarza zagranicznego, który opowiadał mi o wielu niezwykle ciekawych aspektach tej wojny ukraińskiej, ale sam ich nie opisywał. Twierdzi, że jeszcze nie pora na to. To pokazuje, że problem z bezstronnością nie jest polski. Jest to problem naszych czasów. Moje korespondencje z Afganistanu mógł przeczytać każdy Polak, ale miałem wręcz pewność, że nie czytał ich niemal żaden Afgańczyk. Dziś mój artykuł mógłby zostać odszukany przez wyszukiwarkę, przetłumaczony

przez automatyczny translator i dostarczony każdemu, kto sobie ustawi w alertach wiadomości np. Afganistan albo własne nazwisko. To także jest innym obliczem informacji niż to, czym była jeszcze 20 lat temu.

Jest szybka, tania i równie pożywna jak danie z McDonalda.

Jako stary depeszowiec, ukształtowany przez pracę w Polskiej Agencji Prasowej, doceniam szybkość informacji. Jaki sens ma dziś wczorajszy wynik meczu? Ludzie oczekują już dzisiejszych wyników. Z drugiej strony to nie jest tak, że współczesne media skazane są na zasadę „może i nie jesteśmy najmądrzejsze, ale za to szybkie”. One mogą być i szybkie, i mądre, ale my tego nie wykorzystujemy. Wydaje mi się, że w zdaniu „naszych czytelników to nie interesuje” kryje się wiele straconych szans. Może spróbujmy najpierw ludziom zaproponować coś więcej niż powierzchowna informacja czy plotka, a później mówmy, co ich interesuje, a co nie. Może się okaże, że zarówno pilna depesza, jak i pogłębiona analiza ma wzięcie. Kryzys dziennikarstwa jest w dużej mierze kryzysem jakości.

Jakość kosztuje.

Brak jakości kosztuje jeszcze więcej.

Ciągle mówimy o kryzysie mediów, a przecież w kryzysie są i czytelnicy.

Odplyw czytelników wiąże się również z tym, że ludzie przestali mieć poczucie, że jakość jest zachowana. Część odbiorców ma też poczucie, że ich potrzebę wiedzy próbuje zaspokajać coś, co nazywało się mediami społecznościowymi i usiłuje być dziennikarstwem. W moim świecie to coś nigdy za dziennikarstwo nie mogłoby uchodzić.

Jest taki cykl spotkań z ikonami fotografii pod przewrotnym tytułem „Wszyscy jesteśmy fotografami”. Czekam, aż będą spotkania z cyklu „Wszyscy jesteśmy dziennikarzami”, skoro już każdy ma konto na Facebooku, czyli w mediach społecznościowych.

Ja nie mam konta na Facebooku.

No to nie zostanie pan zaproszony.

Z góry dziękuję. Rzeczywiście, każdy ma już aparat w telefonie i robi nim zdjęcia. Ale czy to daje nam prawo, byśmy nazywali się fotografami? Za moich czasów redakcje nierzadko wysyłały dziennikarzy w świat bliższy i dalszy, żeby opowiedzieli o czymś, co już się wydarzyło. Ja mogłem we wtorek, po rozmowach z naocznymi świadkami, opisać to, co wydarzyło się w niedzielę. Ale fotoreporter musiał to coś

sfotografować. Jeśli potrafisz to zrobić, możesz się nazwać fotoreporterem. Ktoś, kto potrafi pisać, nie jest przecież jeszcze pisarzem.

A pan jest pisarzem?

Jestem dziennikarzem, który pisze książki. Napisałem ich 11, ale żadnej nie napisałbym, gdybym nie był dziennikarzem.

„Piana złudzeń” to tytuł książki Borisa Viana, ale też cudowna metafora dzisiejszych newsów internetowych.

Szkopuł w tym, że złudzenia są bardziej w cenie niż twarde, niemiłe fakty.

Mój młodszy syn chyba nigdy nie kupił gazety. Za to namiętnie czyta książki w wydaniach papierowych. Może zmęczenie mediami internetowymi skłoni jego i jemu podobnych do czytania wydań papierowych. We mnie jest taka wiara, że obcowanie z papierem pozwala głębiej zanurzyć się w opowieści.

Ten sam obiad jedzony na stojąco smakuje inaczej?

Coś w tym rodzaju. Zresztą my chyba jeszcze nie wiemy, jak potoczą się losy mediów papierowych. Gdyby w 1994 r. spytał mnie pan, co ma przyszłość – CD czy płyta winylowa? – to zakładał, że z pełnym przekonaniem postawiłbym krzyżyk na winylach. W tamtym czasie CD wydawało się przyszłością. Dziś widać, że to była jakaś forma przejściowa. Ludzie słuchają muzyki z platform streamingowych. A winyl wrócił do łask i ma się świetnie. Oczywiście dotyczy to odbiorców wymagających. Wierzę w przyszłość papierowych pism tygodniowych, wierzę, że papierowe tygodniki, jak płyty winylowe, również będą miały odbiorców wymagających, gotowych płacić za jakość. Braku jakości mają w nadmiarze. Mam w sobie wiele wiary w dziennikarstwo. Mam też chyba niezbędny w dzisiejszych czasach umiar. Jeden z portali kusił mnie do pracy argumentem, że u nich mój tekst będzie miał miliony odsłon. Pomyślałem, że przecież w Polsce nie ma miliona osób zainteresowanych Afganistanem czy południową Afryką, czyli to nie jest miejsce dla mnie.

A co, jeśli już przegraliśmy?

Skoro mówi pan, że przegraliśmy, to kto wygrał? Jeśli my przegraliśmy, to jeszcze bardziej przegrali ci, dla których jesteśmy: nasi czytelnicy, słuchacze, widzowie. W ostatecznym rachunku to oni decydują, jakie dziennikarstwo jest im potrzebne. Czy potrzebują, żeby przynosić im nowiny czy zajmować ich uwagę, czy tylko żeby ich bawić?

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CWIELUCH



Biograf sukcesu

Co takiego najnowsza biografia Elona Muska, która za tydzień trafi do polskich księgarń, mówi o jej autorze **Walterze Isaacsonie**?

ŁUKASZ WÓJCIK

Z pisania biografii wielkich ludzi Walter Isaacson, były naczelny tygodnika „Time”, uczynił już swój znak rozpoznawczy: Henry Kissinger, Benjamin Franklin, Albert Einstein, Leonardo da Vinci, Steve Jobs. Z związku z tym każdy jego kolejny

bohater jest... lub *musi* być wielkim człowiekiem, geniuszem swoich czasów. A to stanowi pewną pułapkę, co najlepiej widać w przypadku nowej książki Isaacsona, której bohaterem jest najbogatszy człowiek świata Elon Musk, właściciel m.in. Tesli, SpaceX i X (dawniej Twittera).

Na początku książki, która wychodzi w Polsce już 22 listopada, Isaacson opowiada o obozie survivalowym, na który regularnie jeździł młody Musk. Kwestia przetrwania była jak najbardziej dosłowna, bo podczas obozu „co kilka lat ginęło dziecko”. Z przypisów nie wynika jednak, aby Isaacson rozmawiał o tym ze znajomymi Muska z młodości, nie powołuje się również na żaden artykuł opisujący dramat ginących dzieci (a zapewne ktoś napisałby o takiej makabrze). Wygląda więc na to, że jedynym źródłem był sam Musk.

I nie chodzi tu nawet o zarzut, że Isaacson czegoś nie sprawdził. Gillian Tett z „Financial Times” zapytała go niedawno, czy zdarzało mu się wychodzić z roli biografów i wchodzić w rolę terapeuty albo nawet przyjaciela? Isaacson nie odpowiedział wprost, ale również jego ściga to klasyczne dla biografów pytanie. Szczególnie że zawsze jest insiderem, nie napisał jeszcze biografii żywego człowieka „na kontrze”. Także jego dotyczy więc dylemat: jak bardzo można zbliżyć się do swojego bohatera, aby uchwycić to, co najważniejsze, i jednocześnie nie dać się schwytać?

1 Isaacson to wyznawca teorii, że historię rządzą wybitne jednostki, a nie np. trendy społeczne czy ekonomia. Nie przypadkiem na Amazonie wciąż można kupić pakiet napisanych przez niego biografii (Jobs, Einstein, Franklin, da Vinci) pod nazwą „Biografie geniuszy”. Wszystkie na pierwszy rzut oka wydają się właśnie klasycznymi biografiami napisanymi z literackim zacięciem. Ale po lekturze trudno się oprzeć wrażeniu, że bardziej pasują do działu „rozwój osobisty”, a ich wielcy bohaterowie zostali potraktowani instrumentalnie.

To taki rodzaj książek, które mają wyzwoić w nas wewnętrznych Leonardów. Akurat „Da Vinci” Isaacsona jest tu doskonałym przykładem. Po kilkuset stronach wszechstronnego rozkładania mistrza na czynniki pierwsze dostajemy podsumowanie zatytułowane „Learning from Leonardo” (Ucząc się od Leonarda), a w nim prawdy w stylu: „jak zachować dziecięcą ciekawość świata” albo „bądź otwarty na tajemnicę”, wszystko rozpisane w kilku zdaniach niczym przepis na rosół.

Przy czym dwie najnowsze biografie Isaacsona – „Jobs” i „Musk” właśnie – wyróżniają się na tym tle i są do siebie zaskakująco podobne. Nie tylko w pomysłach na okładki. W obu przypadkach Isaacson używa podobnych epitetów – jego bohaterowie są więc perfekcjonistami, przykładają ogromną wagę do designu (czy szerzej: atmosfery wokół) swojego produktu

jako elementu niezbędnego do osiągnięcia sukcesu, i w końcu wiele wymagają od swoich pracowników. W obu książkach pojawiają się zaklęcia w rodzaju „gnaj na przód i niszczy, aby tworzyć”. A wszystko to w stylistyce TED-owskich miniwykładów motywacyjnych.

Obie biografie zbudowane są też wokół podobnej osi: czy bohater byłby tym, kim jest, gdyby nie był takim „dupkiem” (Isaacson w obu książkach używa angielskiego słowa *asshole*). W „Jobsie” to pytanie brzmi: czy możemy usprawiedliwić okrucieństwo Jobsa wobec swojego otoczenia, szczególnie wobec Steve’a Wozniaka, bo wymyślił iPhone’a? W „Musku” jest takie zdanie: „Czy byłby on w stanie wynieść rakiety na orbitę i zwrócić przemysł samochodowy w stronę elektryczności bez tych wszystkich niestandardowych aspektów swojej osobowości?” (w tym kontekście – uprzejma wersja słowa *asshole*). I jeszcze raz w „Jobsie”: „Trzeba być trochę wariatem, żeby zmienić świat”.

Obaj bohaterowie Isaacsona regularnie upadają pod władnych, niszcząc im życie, a potem bezceremonialnie ich zwalniają. Ale – jak zdaje się sugerować Isaacson – nie ma to większego znaczenia, bo Jobsa i Muska „bronią wyniki”. „Można oczywiście ważyć ich dobre i złe cechy, ale też warto pamiętać, że są one nierozdzielalne” – powiedział Isaacson w niedawnym wywiadzie dla „New York Magazine”. W „Musku” kilkakrotnie podkreśla, że osiągnięcia jego bohatera nie powinny usprawiedliwiać jego „moralnie złych zachowań”. Problem w tym, że cała książka okazuje się takim właśnie usprawiedliwieniem.

Jest ono tym bardziej niebezpieczne, gdy przyjąć, że oczywiście wielu dobrze sytuowanych czytelników traktuje biografie Isaacsona jak poradniki z działu rozwój osobisty. Bo tę mądrość o konieczności bycia „dupkiem” w drodze do sukcesu można przecież odwrócić. Jeśli twój szef traktuje cię jak przysłowiowego śmiecia, masakruje ci karierę zawodową i życie osobiste, to musi być... geniuszem, który zmienia świat. Wielu byłych pracowników Jobsa czy Muska co prawda przekonuje dziś, że mimo wszystko warto było, bo uczestniczyli w czymś wielkim. Ale co mają powiedzieć pracownicy korpo, która handluje cementem i których szef nazywał się Isaacsona?

2 71-letni już dziś Isaacson na stare lata wrócił do rodzinnego Nowego Orleanu, gdzie na miejscowym Tulane University wykłada historię. W wywiadzie dla londyńskiego „Timesa” przeznaczał, że w Luizjanie miał sielankowe

dzieciństwo, zupełnie inne niż Musk z jego przemocową rodziną w RPA. Wcześniej zaczął się wyróżniać, już w szkole średniej koleldzy i koleżanki w tradycyjnym głosowaniu wskazali go jako osobę, która najwięcej spośród nich osiągnie. Potem był Harvard, Oxford i pierwsza dziennikarska praca dla londyńskiego „Sunday Timesa”. Po powrocie do Luizjany krótko pracował w lokalnej gazecie, skąd wyłuskał go redaktor naczelny tygodnika „Time”.

Wówczas, w latach 80., poniedziałkowe numery „Time’a” nadawały ton życiu politycznemu Ameryki na cały tydzień, a jego naczelnych zaliczano do najpotężniejszych ludzi w kraju. Isaacson trafił do tej gazety jako zaledwie 26-latek i niemal od razu zaczął obsługiwać kampanie prezydencką Ronaldą Reagana. Potem m.in. jako zagraniczny korespondent relacjonował upadek komunizmu w Europie Wschodniej, na początku lat 90. był w Moskwie. W 1996 r. został naczelnym „Time’a”, a w 2001 r. – na dwa lata szefem CNN.

Ale od początku XXI w. media, które Isaacson współtworzył przez wcześniejsze dwie dekady, zaczęły się rozpadać na jego oczach za sprawą internetu. Ludzie tacy jak on, którzy w latach 90. rządili światem wprost z newsroomów, stracili swoje wpływy na rzecz genialnych innowatorów nowego biznesu, wszystkich tych Jobsów, a potem Musków. Jak powiedział w rozmowie z „Washington Post” jeden z jego znajomych, Isaacson nie chciał odejść do przeszłości wraz z papierową prasą. I choć wiedział, że nigdy już nie odzyska dawnej władzy, liczył, że przynajmniej zbliży się do nowej – „tak został skrybą nowych imperatorów”. Biografia Muska jest ukoronowaniem tego procesu.

To swoją drogą zadziwiająca para. Isaacson jest uosobieniem starego, amerykańskiego establishmentu. Napisał zresztą o nim swoją pierwszą książkę „The Wise Men” (Mędrzy, 1986 r.). Musk jest tego establishmentu przeciwieństwem i zagorzałym wrogiem. Niby lubi chodzić na zamknięte imprezy WASP-ów, ale zachowuje się na nich jak przemądrzały dzieciak, który nie chce dorosnąć. Sam Isaacson przyznaje, że jego bohater potrafi na takich spotkaniach „zagadywać o 69 i innych aktach seksualnych, płynach ustrojowych, pierdzeniu, paleniu narkotyków i generalnie poruszać tematy, które rozwaliby pokój w akademiku naćpanych pierwszoroczniaków”.

Isaacsonowi to jednak nigdy nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie: intrygowało go. Projekt Musk rozpoczął się latem 2021 r. i trwał aż do sierpnia tego roku,

gdy urywa się książkowa narracja. A warto przypomnieć, że 12 września książka miała swoją amerykańską premierę. Musk zgodził się na wszystkie warunki Isaacsona: dziesiątki wywiadów, pełna dostępność, rozmowy z kim tylko się dało, z rodziną, byłyimi partnerkami, współpracownikami i wrogami, wspólne wizyty w fabrykach Tesli i ośrodkach SpaceX, udział w naradach biznesowych i pogawędkach między nimi. Setki wymienionych maili, późnonocne telefony. Słowem Isaacson dostał kartę pełnego dostępu.

3 I znów to zrobił. Napisał „cegłę” (prawie 700 stron), którą – gdyby nie świat – można by przeczytać jednym rzutem. Bo „Musk” Isaacsona to taka nieco dłuższa wersja tiktokowego filmiku, składająca się z króciutkich obrazków – 95 rozdziałów – które trudno przestać scrollować. Tym bardziej że w amerykańskim stylu są jeszcze porozdzielane licznymi śródtytułami. To sprawia, że pomimo ogromu dzieła czytelnik ma wrażenie ciągłego posuwania się do przodu.

W dodatku owe śródtytuły to również pretekst dla Isaacsona, aby perfekcyjnie zwalniać narrację za każdym razem, gdy kolejna rakietka Muska rozpada się w locie lub gdy Musk zostaje ojcem (11 udokumentowanych przypadków). Potem są ładne zdjęcia i kolejny skok w świat Muska. Isaacson ociera się przy tym o redakorską doskonałość.

Oczywiście biografia kogoś takiego jak Musk to książkowy samograj. Trudno zaudzić czytelnika historią jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie. Ale – tak jak w przypadku „Jobsa” – i to się Isaacsonowi czasem udaje. Jego dziennikarski warsztat, ukształtowany przez lata pracy w „Time”, jest tak perfekcyjny, że aż czasem nudny.

Tu nieco odległa dygresja, ale tylko z pozorów. Znany polski krytyk piwny Tomasz Kopyra jest propagatorem teorii tłumaczącej, dlaczego wszystkie piwa wielkich koncernów smakują prawie tak samo, prawie jak woda. Owe koncerny, jak wszystkie duże przedsiębiorstwa, dążą do minimalizacji kosztów poprzez efekt skali. Nie da się jednak zrobić jednego piwa, które będzie smakować wszystkim. Koncerny już dawno się przekonały, że dużo łatwiej jest zrobić piwo, które najmniej wszystkim przeszkadza. Efekt jest być może mdły i niemal pozbawiony smaku, ale za to ma doskonałą, koncernową jakość. I przede wszystkim świetnie się sprzedaje.

Książki Isaacsona są trochę jak koncertowe piwa. ■

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Blisko 8 mln widzów oglądało orędzie prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie nowego rządu. Podobny wynik miał mecz Polska-Meksyk na MŚ w Katarze. Tam Lewandowski też zmarnował dobrą okazję.

Z okazji 60. urodzin Muniek Staszczuk udzielił wywiadu, w którym odpowiedział na pytanie, czy miał romans z Niną Terentiew, szefową TVP2. Artysta zrobił to w taki sposób, że teraz już wszyscy wiemy, jaka była prawda. Taka Dwójka już się nigdy nie powtórzy.

Filip Chajzer wystartował w nowojorskim maratonie i z czasem 5 godzin 54 min i 52 sek. zajął jakieś miejsce. Wygrał pan z Etiopii, który dobiegł w 2 godziny. Brawo. Tym samym zabrano argument wszystkim tym, którzy twierdzą, że jesteśmy 100 lat za Etiopią.

Maciej Wandzel, niegdyś jeden z udziałowców Legii Warszawa, kupił od Krzysztofa Stanowskiego 22,5 proc. udziałów w Kanale Sportowym. Nowy współwłaściciel chce mniej polityki. Wcześniej zainwestował w satyryczny kanał Abstrachuje. I tam też żarty się skończyły.

Szymon Jadczyk z Wirtualnej Polski ujawnił fabrykę trolli, która promowała podczas kampanii parlamentarnej posła PiS Łukasza Mejzę. Ponad 100 fikcyjnych kont. Sporo. Ale nie od dziś wiadomo, że Łukasz lubi duże kwoty.

W podkaście Onetu Olaf Lubaszenko wyznał, że publikowane w internecie informacje, jakoby zrzucił ponad 80 kg, są kłamstwem. Prawdziwa liczba to 55 kilo. Czyli w tej konkurencji, walcząc sam ze sobą, zajął drugie miejsce.

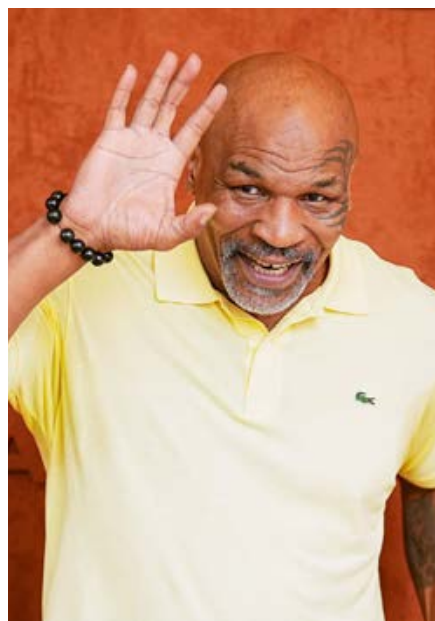
Karol Strasburger wystąpił w kampanii firmy x-kom pod hasłem „Promocje nie

na żarty”. Firma stworzyła także internetowy generator żartów w stylu Karola. Dobre połączenie. Uczestnicy „Familiady” mają w sobie coś z komputera. Problemy w przetwarzaniu danych.

Wszystko wskazuje na to, że nowym prowadzącym „Dzień Dobry TVN” zostanie Piotr Kędzierski. Znakomicie. We wszystkich rzeczach, o których inni prowadzący nie mają pojęcia, on brał nadgodziny.

Piotr Najsztub uzyskał ze zbiórki w internecie 27 tys. zł na działania prawne w związku z naruszeniem jego dóbr osobistych przez Michała Adamczyka i TVP. Chodzi o potrącenie starszej kobiety na pasach. Adamczyk zna temat. Też lubi czasem kogoś trącić.

Sebastian Fabijański planuje zakończyć swoją karierę w Fame MMA walką



z Sylwestrem Wardęgą. Podobno efektownie. Dwie jego poprzednie walki trwały 35 i 47 sek. Jak będzie na koniec? Czas pokaże. Co do sekundy.

Marcin Prokop odniósł się do początków swej współpracy z Szymonem Hołownią w programie „Mam talent!”: „Szymon, Kocham cię, ale byłeś drewnem, byłeś Pinokiem telewizyjnym”. Biuro Marszałka Sejmu nie komentuje zarzutów.

Borys Budka w formie. „Po dzisiejszym orędziu mamy pewnego kandydata do literackiego Nobla. Jakuba Żulczyka” – napisał na platformie X. Pomyłka. To chyba powinien być Nobel z medycyny. Za diagnozę.

Zosia Zborowska i Andrzej Wrona ponownie będą rodzicami. Gratulacje. Znając medialne skłonności obojga rodziców, to ich dziecko będzie miało więcej znajomych na FB do czasu porodu niż ja do sześćdziesiątki.

Jest nowy duet prowadzących „Mam talent!”. To Agnieszka Woźniak-Starak oraz Jan Pirowski z telewizji TTV oraz Radia Eska. Nareszcie. To pierwsza nowa twarz na antenie TVN od czasów rewolucji seksualnej. Czyli pigułki antykoncepcyjnej, wolnej miłości i Magdy Gessler.

Skoro już przy tych tematach jesteśmy. Kasia Warnke, promując w TVN swój nowy film „Cały ten seks”, wyznała, że próbowała seksu grupowego w czworokacie. Seks grupowy ma dużo wad. Można zostać pominiętym.

Michał Wiśniewski został skazany na 1,5 roku więzienia za zaciągnięcie 2,8 mln pożyczki w SKOK Wołomin na podstawie nieprawdziwych danych o swych dochodach. Dotychczas SKOK-i kojarzyły się z aferami. Teraz doszedł jeszcze wstyd.

Michał Figurski wydał autobiografię pt. „Najsłodszy”, w której opowiada o walce z mediami i cukrzycą. Trochę nuda. Mam nadzieję, że mi wybaczy. Cukrzyk nie może się mścić. Bo zemsta jest słodka.

Zawodowy mistrz świata w boksie **Mike Tyson** przyjechał do Polski i w Piątnicy pod Łomżą nabył 100 gołębi. W końcu sprzedaliśmy do USA naszą broń. Może nie śmiertelną, ale jakże celną.

Szkwał



Kobieta w garsonce teatralnie łapie się za głowę, pochylając nad biurkiem. Matka krzywi się i zamiera w czasie radosnej zabawy z dziećmi. Mężczyzna idący ulicą niespodziewanie zatrzymuje się z cierpiącą miną. Co ich łączy? Ból.

Reklamy środków przeciwbólowych – w szczególności jesienią, kiedy sezonowe przeziębienia przetaczają się przez Polskę jak fronty – zajmują większość bloków reklamowych. Konstrukowane są według schematu: ból – lek przeciwbólowy – szczęście. Środek przeciwbólowy nie jest tutaj zwykłym lekarstwem, ale cudownym panaceum, które może zaprosić do życia spełnienie i spokój.

Kadry reklamy opowiadające o cierpieniu są wyprane z koloru. W kadrach ukazujących rezultat zażycia preparatu można zobaczyć dobre życie w ciepłej palecie barw, widzimy ludzi, którzy odzyskali poczucie sensu, znowu są produktywni. Wniosek: leki przeciwbólowe przywracają szczęście. Ale taki efekt tylko z pozoru jest niegroźny.

Na marzeniu o świecie bez bólu zbudował swoje imperium Richard Sackler. Jego farmaceutyczny projekt, lek OxyContin, był reklamowany jako środek, który uwolni ludzkość od bólu. Każdego – od bólu głowy, poprzez bóle pooperacyjne, aż po psychiczne cierpienie i lęk. Wraz z obietnicą natychmiastowej ulgi pojawiała się obietnica uzdrowienia z bólu egzystencjalnego. W znakomitym serialu „Lekomania” Richard Sackler prezentowany jest nie tyle jako korporacyjny chciwiec, ale bardziej jako samozwańczy prorok. Purdue Pharma wytwarza coraz bardziej naładowane substancją czynną tabletki, obiecuje coraz więcej – wbrew faktom, które świadczą o tym, że lek uzależnia i zabija. Obietnica zaś wciąż przyciąga nowych „wierzących”. Sackler miał rację – ból pozostaje częścią życia, z jaką sobie nie radzimy. System, w jakim żyjemy, pozwala nam ból jedynie wypierać i udawać, że on nie istnieje.

W książce „The Tools” Phil Stutz, światowej sławy terapeuta, przyznaje, że w ciągu kariery psychoterapia bywała dla niego rozczarowaniem – spotkania trwały latami. Opracował więc praktyczne sposoby, dzięki którym pacjenci mogli radzić sobie z bólem, żeby w ogóle przebrnąć przez terapię i życie poza nią. Nazwał je narzędziami. Pierwsze z nich to: odwrócenie pożądania (*the reversal of desire*). Stutz mówi, że ból odgradza często człowieka od jego możliwości, sprawia, że ze strachu zamyka się on w ciasnym świecie, niczym w schronie. Tymczasem życie w pełni jest niemożliwe bez bólu – mówi Stutz. Musimy go pożądać tak samo jak jego braku. Nie chodzi o to, żeby pokochać ból niczym masochista. O to zaś, żeby traktować go jako coś, co trzeba po prostu wziąć. Porównuje ból do chmury szkwałowej, która nadciąga prosto na ciebie. Zamiat robić unik, lepiej mówić: dobra, dawaj.

Kilka lat temu płynęliśmy z przyjaciółmi z Falklandów. Wiedzieliśmy, że mogą nas czekać trudne warunki. Nie spodziewaliśmy się jednak żeglowania w huraganie, z falami jak domy. Siedziałam pod pokładem przerażona – uznaliśmy za koleżanką, że nie damy rady sterować.

Po jakimś czasie nasi koledzy byli jednak wykończeni. Musiałyśmy ich zamienić. Wejście na pokład w taką pogodę było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiłam w życiu. A jednak kiedy już stanęłam za sterem, weszłam w tryb niewiarygodnej koncentracji. Mogłabym stanowiąc ilustrację myśli Stutza – chociaż fale spadały mi na głowę, ja trwałam. Kiedy najgorsze minęło, sterowałyśmy z koleżanką w pełnym słońcu po falach, które wcześniej budziły w nas grozę. Poszerzyłyśmy swoje możliwości.

Codziennie życie stanowi na ogół zbiór mniejszych wyzwań niż huragan na oceanie, ale czasem trafiają się takie budzące lęk o wiele większy niż 100 węzłów wiatru. Strata ukochanej osoby, przewlekła choroba, śmiertelna diagnoza. Jak sterować przez takie chwamy i wierzyć, że w ogóle istnieje gdzieś słońce? Często wracam do książki „Człowiek w poszukiwaniu sensu” Victora E. Frankla. To historia pobytu autora w obozie koncentracyjnym, ale czyta się ją także jako filozoficzny esej. Frankl, który został później psychologiem, pisze, że można komuś odebrać wszystko, ale nie można – zdolności do przejścia przez cierpienie.

Przywołuje, że jego ratowała ciekawość – przyglądał się sobie i światu z badawczym wyczuleniem. Ratował go też zachwyt – pisze, że zawsze można zauważyć piękno: choćby kolor chmur o poranku. Frankl podkreśla, że człowiek ma też do dyspozycji zasób, który umożliwi mu cierpienie. Sam, kiedy przywoływał w umyśle dobre wspomnienia ze swojego życia, ukochaną żonę – było to dla niego równie realne, co rzeczywistość zewnętrzna. Leczył się z nieprzemijającego cierpienia zasobami miłości, ciekawości i zachwyty. Po wojnie, już jako terapeuta, Frankl powtarzał pacjentom, że życia nie można kontrolować, zakładać, że na coś zasłużyliśmy albo nie, nastawiać się – trzeba po prostu brać to, co jest nam dane – dobre i złe.

Kiedy leżał na pryczy, w nocy, drapiąc się od ugryzień wszy, starał się w myślach pisać dysertacje naukowe, przywoływać badania – to znaczy, że aby uchronić się przed cierpieniem, sięgał również do swojego talentu. Talent także jest narzędziem do tego, żebyśmy byli szczęśliwi. Do swojego talentu sięgnął również, aby wyjść z uzależnienia, dr Samuel z serialu „Lekomania” – zaczął zdrowieć, kiedy przypomniał sobie, jaką frajdę sprawia mu jego praca.

Czasem ból jest częścią naszego bycia tutaj. Jak pisał Albert Camus – mimo że życie jest ciągłym turlaniem kamienia pod górę z nieuniknionym rezultatem – trzeba wyobrazić sobie Syzyfa szczęśliwym.

Nie poznałam jeszcze pogodniejszych ludzi niż ci, którzy przetrwali Zagładę. Po wojnie codziennie stawali przed wyborem – sięgać do zasobu cierpienia czy wybrać „tu i teraz”, gdzie można znaleźć jakieś szczęście. I sięgali po życie. Podobnie jak w obozie sięgali do zasobów szczęścia w umyśle, po wojnie sięgali do szczęścia w codzienności. Dzień za dniem, dzień za dniem. Lekko, twórczo, jakby robiąc coś, do czego ma się wybitny talent.

KAROLINA SULEJ



Dodatkowa godzina

Jest 8 października. – Ludzie się podzielili – mówi znajoma, która spędza sporo czasu w mediach społecznościowych. – Wiele osób trzyma z Hamasem. Piszą, że to była akcja ruchu oporu. Że Palestyńczycy mają prawo do samoobrony. Przemoc jest dopuszczalną opcją. A jeśli ktoś się bawi na festiwalu techno przy granicy z Gazą, to sam sobie winien.

Jest dopiero 8, może 9 października. Jeszcze nie widzieliśmy wszystkich zdjęć. Izraelskie wojsko nie odzyskało kontroli nad południem kraju. Wciąż nie zidentyfikowano spalonych zwłok. Nikt nie policzył zabitych. Nie ma listy uprowadzonych. Za to w internecie już słychać obrońców pogromu.

Ludzie – szczególnie w internecie – potrafią być wyrozumiali i otwarci. Różne sympatyczne osoby, takie postępowe i inkluzywne – ileż one potrafią zrozumieć! Jak ochoczo zabierają głos, jak gładko objaśniają. Ktoś powie, że trochę zbyt łatwo, zbyt skwapliwie, prawie entuzjastycznie usprawiedliwiają masakrę. Cóż, niektórzy użytkownicy internetu żarliwie wyznają świętość środków. Za to jak bezkompromisowo potępiają kolonializm, syjonizm i okupację!

Moja rozmówczyni wydaje się zaskoczona. Żywi jeszcze pewne złudzenia wobec świata, a szczególnie wobec sympatycznych, postępowych osób. Nie wiem, co jej powiedzieć. (A może wiem, ale nie chcę tego mówić). Jest dopiero 8 października. Jutro Izrael też zrobi coś strasznego.

Dni chudną, noce przybierają na wadze. Druga połowa roku to droga powrotna. Kiedyś już tu byliśmy. Wtedy podróżowaliśmy w wesołej kompanii. W pogodniejszych okolicznościach i w lepszych nastrojach. Mieliśmy obiecane lato. Teraz mijamy znajome miejsca, pociemniałe i puste. Czas do domu.

Kalendarz zna litość, więc pozwala na krótki postój, zanim na dobre zacznie się zima. Daje nam początek listopada, te kilka dni z grobami, policyjną akcją „Znicz” i zapachem stearyny. O tej porze portale zamieszczają czarno-białe portrety nowych zmarłych. Szczególnie wiele uwagi poświęcają gwiazdom ostatnich dni. Gdzie jeszcze Matthew Perry mógłby spotkać Wandę Półtawską?

O tej porze w gazetach pojawiają się groźne wyliczenia: „Uwaga! Dziesięć książek, które musisz jeszcze przeczytać w tym roku” albo „Osiem filmów, których nie wolno ci przegapić”. Ale to nieprawda. W tym roku nic już nie trzeba. Wszystko już wolno przegapić.

Wieczorami pada i czuć zapach gołębi. Najlepiej zostać w domu i zapalić światło (nadal po starych cenach). Wtedy z dworu będzie widać kawałek naszego sufitu i zakurzoną lampę. I jeszcze narożnik pokoju

jak trzy osie współrzędnych. Może ktoś właśnie idzie ulicą i pilnie potrzebuje ustalić, gdzie jest góra, a gdzie dół? Niech w tym roku już nic się nie wydarza.

Jakieś dwa lata temu popsuł się nasz kuchenny zegar. Trzeba przyznać Ikei, że miał chyba z dziesięć lat. W końcu urwało się pokrętko. Próbowaliśmy je zastąpić małym lassem uplecionym z drutu, spinaczem biurowym lub wykałaczką. Użyliśmy kombinerek i śrubokręta. Wszystko na nic. Zegar zerwał się z uwięzi. Chodzi, jak chce. Nie uznaje zmiany czasu. Kiedy w radiu mówią „dziś w nocy przestawiamy zegary”, obie wskazówki – Flip i Flap – śmieją się szyderczo.

Oczywiście znalazłby się sposób. Gdyby naprawdę nam zależało, wystarczyłoby wyłuskać baterię. Odczekać godzinę nad nieprzytomnym plastikowym ciałem, potem znów wepchnąć rozrusznik i obserwować jak ten werk, wrak, podejmuje czynności życiowe. Jak tyka i udaje, że wszystko jest w porządku, że nic się nie zdarzyło. Biedak, nie robimy mu tego. Zamiast kombinować, piszemy kartkę treści „Tu nadal jest lato” i przyklejamy do tarczy.

Od dawna mówi się, że zmiana czasu jest anachronizmem. Unia Europejska planuje porzucić ten obyczaj, ale zawsze coś staje na przeszkodzie. Samoloty i pociągi, systemy komputerowe i politycy, spory między rządami państw narodowych a Komisją Europejską, między Komisją Europejską a równie Parlamentem Europejskim, poplątane kompetencje, zawikłane procesy decyzyjne, covid, brexit, Irlandia Północna, rywalizacja północy z południem kontynentu. No i najważniejsze – niepewność, czy przyjąć na stałe czas letni czy zimowy.

Zarządzanie czasem było symbolem epoki przemysłowej. Z czasem Europa zaplątała się we własną rutynę. Świat stracił kontrolę nad biurokracją. Nikt już nie potrafił odkręcić tej bzdury. Dopiero nasz zegar sprytnie wykorzystał zasadę podwójnego przeczenia, żeby pokonać system.

Wystarczy, że przyczepimy kartkę do cyferblatu i mamy własną, okrągłą enklawę czasu letniego. To właśnie ta słynna godzina, którą zawsze zapowiadają w radiu, ta od „w niedzielę pośpimy dłużej”. Zamiast przesympać, zabieramy ją ze sobą. Jest teraz poduszka powietrzna, strefa buforowa między kuchnią a resztą świata. To jak opóźnienie przy wysyłaniu e-maila. Ostatni moment, żeby się zastanowić, oprzytomnieć i zamilknąć, zanim zmarnujemy sobie karierę lub zniszczymy związek. Zanim powiemy coś niewybaczalnie głupiego. To nasz zapas na zimę. Wyszabrowane minuty, które można spędzić z własnymi uczuciami, zanim wyprawimy je w świat. *Undo send*. Dostajemy szansę, żeby zdecydować, czy naprawdę, czy zawsze musimy być swoją pierwszą reakcją.

MARCIN WICHA

Chutnik

Plebanek

Ludzka twarz zwierząt



Mężczyzna podchodzi do klatki. Zwierzę kuli się, płacze ze strachu, próbuje nawiązać z nim kontakt wzrokowy. To ostatnie, czego ima się istota, którą ktoś zamierza zabić. Spojrzeć, wytłumaczyć, choćby bez słów. Poprosić o zatrzymanie się, o litość. To samo dzieje się między nami, zwierzętami ludzkimi. Kiedy ktoś robi nam krzywdę, wyzywa, bije, staramy się jeszcze przez chwilę uchwycić jego wzrok, bezgłośnie wyperswadować staczenie się po równi pochyłej czystego okrucieństwa. Bo może jest w nim resztką czucia, empatii, przyzwyczajenia. Mężczyzna podchodzi do klatki, otwiera ją. Sięga po zwierzę, jakby było martwym przedmiotem. Dla niego to określona ilość futra przeliczalnego na złotówki. Wkłada zwierzakowi diody do odbytu i do pyska. Jeśli stworzenie nie umiera od razu, mężczyzna je dobija.

Zanim będzie futro, jest morze strachu. Lęk od urodzenia dominuje emocje zwierzęcia hodowanego w klatce na śmierć. Wiele z tych stworzeń inteligencją emocjonalną przerasta swoich oprawców, co bywa regułą w przypadku każdej formy przemocy. Kto pierwszy atakuje, pałką czy słowami, jest bardziej toporny niż ten bity. A może bardziej zablokowany. Nie przyznaje się do uczuć. Nawet my, jako pisarki, mamy problem z wyobrażeniem sobie tego, co czuje człowiek, który codziennie przychodzi do pracy, by bestialsko pozbawić życia ileś istnień. Co czuje dyrektor takiego przybytku schowany za tabelkami, w których sumuje cyfry: tyle zabitych stworzeń, tyle zysku. Co czuje polityk, który na to pozwala.

Mężczyzna podchodzi do klatki, zwierzę patrzy mu w oczy, ostatni raz. Patrzy na nas. My, zwierzęta ludzkie, jesteśmy cywilizacyjnie coraz bardziej odcięci od własnych ciał. Zatraciliśmy zdolność cieszenia się słońcem, trawą, powiewem wiatru. Rzeczywistość przeniesiliśmy do głów i internetu, coraz bardziej wierzymy, że tam ona właśnie jest. Zwierzęta pozaludzkie wciąż potrafią radośnie się tarzać, przytulać, cieszyć się ruchem. Nie pozwalamy im na to. W szaleństwie nadprodukcji tworzymy mordownie, gdzie w niewoli trzyma się stworzenia, widząc w nich wyłącznie mięso, futro, podroby. To spojrzenie, nić empatii, która ma potencjał uratowania życia, w naszym, ludzkim świecie, już nie działa.

Na szczęście w Europie dąży się do wprowadzenia zakazu hodowli zwierząt na futro oraz importu takich produktów do Unii. Coraz częściej zamyka się tzw. fermę futrzarską, a inicjatywa Europa bez futer zyskała milionowe poparcie wśród obywateli państw naszego kontynentu. W tej części świata odchodzi się od barbarzyńskich praktyk stosowanych wobec zwierząt ludzkich i pozaludzkich. To tu w XXI w. najszybciej zmienia się na lepsze podejście do kwestii wszelkich mniejszości, a prawa kobiet zrównuje się z prawami mężczyzn. Teraz powoli dostrzega się też prawo do życia zwierząt pozaludzkich.

W Polsce mamy oazy takiego postępu. W warmińsko-mazurskim nie hoduje się już zwierząt futerkowych zabijanych w przemyśle futrzarskim. To pierwsze województwo, które zrezygnowało z dokładania się do cierpienia zwierząt. Oby za przykładem warmińsko-mazurskiego poszły i inne regiony. Jak możemy w tym pomóc? Zmieniając język, bo ten kształtuje świadomość. Hasło, by czynić sobie ziemię poddaną, na wieki uwsteczniło świat. Zabijanie, by zjeść, przekształciło się w uprzedmiotowienie tak inteligentnych istot, jak lisy, jenoty, norki, szynszyle i inne. Człowiek nie zabija ich, bo jest głodny. Razi je prądem i dobija żelaznym prętem, bo chce się wzbogacić.

Polski Związek Hodowców Zwierząt Futerkowych odziera się od procederu zabijania quasi-uspokajającym językiem. „Zrzeszamy rzetelnie prowadzone fermę, zachowujące najwyższe standardy dobrostanu zwierząt, sanitarne i jakości produktu”. Cóż za spokój i solidność. Tyle że w jednym zdaniu obok siebie sąsiadują „zwierzęta” i „produkt”. To zwierzęta są produktem. No i ten „dobrostan”. Każdy by się cieszył, spędzając całe życie w klatce, zmuszany do rodzenia, oddzielany od dzieci, by skończyć rażony prądem. Hura, wszyscy pracujemy na dobrą jakość produktu! Jedni potem liczą zyski, a inni nie żyją.

PZHZF na swojej stronie funduje nam jeszcze jedno zdanie-przebój. Otóż klienci mają gwarancję, że „nabywają futra naturalne z etycznego źródła, pochodzące z ferm wolnych od okrucieństwa i niewłaściwego traktowania zwierząt”. Jesteśmy zachwycone tą moralną postawą. Pozbawienie życia stworzenia jest absolutnie właściwe, etyczne i nie ma nic wspólnego z okrucieństwem. Zwierzaku ludzki, kto ci napisał ten dumny tekst?

W Polsce formuje się nowy rząd. Część polityków wspomagała się w kampanii wyborczej swoimi futrzastymi podopiecznymi. Psy i koty pozowały z właścicielami, pomagając im zwyciężyć. Kilka kilometrów dalej, w klatkach kuliły się ze strachu lisy, jenoty, norki, szynszyle. Równie inteligentne i czujące jak pupile polityków.

Trwa sezon na zabijanie na tzw. fermach futrzarskich. Oby politycy, którzy mają sumienie, zdążyli uratować jak najwięcej stworzeń, których jedyną winą jest to, że mają piękną sierść. Piszemy o tym, pamiętając, że przedwyborcze obietnice dotyczące praw kobiet zwykle po wyborach przegrywają ze „sprawami Naprawdę Ważnymi” i „nie-przesadzajcie-z-tą-waszą-podmiotowością”.

Zwierzęta należy traktować podmiotowo, a nie przedmiotowo. Mamy nadzieję, że nowy rząd pokaże ludzką twarz. A właściwie twarz dobrych zwierząt ludzkich, które dbają o zwierzęta pozaludzkie, a nie tylko o własne apanaże. To byłaby miara człowieczeństwa, postępowanie prawdziwie etyczne i wolne od okrucieństwa.

GRAŻYNA PLEBANEK I SYLWIA CHUTNIK

Wzajemność

Telewizor cicho mrucał w przededniu Święta Niepodległości i nagle usłyszałem, że powtarzają jakąś pisowską kluczę z czasów kampanii wyborczej. Potem jednak na ekranie zobaczyłem (oczy mam jak sowa w nocy) snajperów na dachach, zadzwonił kumpel, który mieszka na Podwalu, że wyjść z domu nie może, bo pilnuje go policja, aż wreszcie ekran rozbłysnął strzelistą sylwetką Piłsudskiego na cokole. U stóp pomnika ktoś machał rękami. Odgania wróble? Nie, to Kaczyński w otoczeniu swoich nieprzekupnych druhów wygłaszał znany narodowi monolog o tym, że chciałby anihilować Berlin. Może nie w tej chwili, ale niech no tylko ten Niemiec Tusk ośmieli się zostać premierem...

Na razie prezes broni nas przed okupacją niemiecką, która sprawi, że niepodległość Polski będzie tylko „incydentem historycznym”. Normalnie człowiek by tego nie wymyślił, ale jeśli ktoś spędza pół życia na szczerle umysłowo zablokowanej Nowogrodzkiej, w której jedna ściana nazywa się nienawiść, a druga pogarda, to co on może dobrego dla nas zrobić? Ren zasypać piaskiem, by suchą stopą dojść do prawdy?

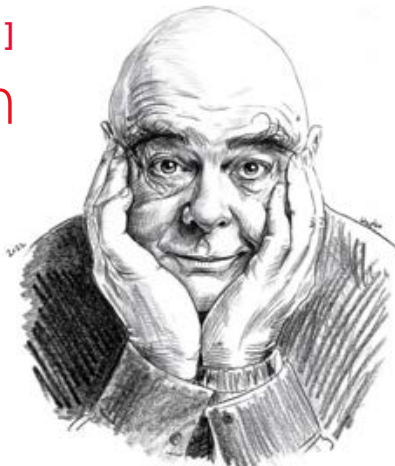
Wszechświat, powiem nieco naiwnie, w każdej chwili zmienia swoją formę, bo na tym polega jego sens. Ktoś, kto o tym nie wie i żyje od lat w tej samej chwili, jest wynaturzeniem kosmosu. Swoją drogą, jak to się stało, że prezes partii jeszcze u nas rządzącej dał się wciągnąć w rywalizację wyborczą z germańską koalicją Donalda Tuska? Taki mąż stanu, największy spośród polskich patriotów, i tego nie zauważył? Że przegrał, też nie widzi. A ile upiornych planów jeszcze przed nim. Brrr! Nigdy nie zapomnę wygłoszonego przez Kaczyńskiego oświadczenia, że jest gotów poświęcić wzrost gospodarczy, jeśli taka będzie cena za wdrożenie jego wizji Polski.

Parę dni temu kawałek tej wizji brutalnie mną wstrząsnął. W Starym Masiewie, na terenie Białowieskiego Parku Narodowego, rozpędzona wojskowa ciężarówka zabiła żubra. Kierowca nie zdążył wyhamować, powiedział beztrudno jego dowódca. Nie zdążył? Przecież tam jest ograniczenie prędkości do 30 km/h. Od czasu, gdy na granicy z Białorusią staną ponury metalowy płot zwieńczony żyłkowym drutem, wojsko Błaszczaka jest tam panem życia ludzi, zwierząt i całej przyrody. Nieraz pisał o tym Adam Wajrak. Jak cieli świerki w parku narodowym, żeby rozpaścić ogień, bo nie dostarczono im opału. I ogień płonął, a jakże, w środku lasu. Nie daj Boże spotkać wojskowy patrol na swojej drodze. Echo ich wrzasków roznosi się po całej puszczy, zaś widok długiej broni, skierowanej na tubylca z wioski, mrozi krew. Niedawno jeden z tych „stróżów prawa” (zawsze zasłaniają twarze) strzelił nieuzbrojonemu uciekinierowi z Syrii w plecy. Podobno się potknął i broń sama mu wypadła.

Mieszkańcy Białowieży skarżą się, że wojsko rządzi się tam jak okupant na podbitym terenie. W wiosce Stare Masiewo obecnie żubrów jest codziennie. Mają swoje imiona, swoje ulubione miejsca. Zabite zwierzę leżało tuż przy domu sołtysa, na prostej drodze prowadzącej do puszczy. Patrząc na zdjęcia zrobione przez jedną z mieszkanki. Nad ciałem zabitego pochyla się jego przyjaciel, młody żubr, z którym codziennie chodzili na wycieczki. Trwa przy nim do końca. Bo przecież wzajemność uczuć – przyjaźni, miłości, zaufania, szczęścia, gdy się spotykamy, żalu, że się rozstajemy, i tęsknoty za tym, co było i już nie będzie – to wszystko jest dane nie tylko ludziom. Kochają się zwierzęta, drzewa obejmują się konarami, łąka buja się pod dyktando wiatru...

A Kaczyński jak zwykle wszedł spóźniony – tym razem na pierwsze posiedzenie Sejmu X kadencji.

STANISŁAW TYM



Marian Turski Honorowym Obywatelem Łodzi

Ogromnie miło nam odnotować, że nasz drogi przyjaciel Marian Turski został kolejny raz wyróżniony – tym razem tytułem Honorowego Obywatela Miasta Łodzi, który przyznawany jest wybitnym i najbardziej zasłużonym mieszkańcom miasta. Podczas uroczystości w pałacu Poznańskich wraz z innymi wyróżnionymi przez Radę Miasta – małżeństwem znanych lekarzy: pediatrą Jadwigą Moll i kardiochirurgiem Jackiem Mollem – szef działu historycznego POLITYKI otrzymał symboliczne klucze do miasta. „Od 75 lat warszawiak, uroczyste oświadczam za Owidiuszem: *Łódź mihi patria est, Łódź jest moją ojczyzną*” – komentował red. Turski.

Żydowska Ameryka

Zapraszamy na spotkanie z Tomaszem Zalewskim, autorem wydanej właśnie przez POLITYKĘ książki „Żydowska Ameryka. Wczoraj i dziś diaspor w USA”. **W czwartek 16 listopada o godz. 18**

zapraszamy Państwa do Krakowa, do Żydowskiego Muzeum Galicji (ul. Dajwór 18) – spotkanie poprowadzi Jacek Stawiski, historyk i dziennikarz, dyrektor Muzeum.

Z kolei **w środę 22 listopada o godz. 18** zapraszamy – do Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN (ul. Anielewicza 6), gdzie z Tomaszem Zalewskim rozmawiać będzie Agnieszka Zagner, autorka bloga „Orient Express” poświęconego problemom Bliskiego Wschodu. Wstęp jest wolny.



REDAKCJA

Nagroda za dzielność obywatelską wręczona

Laureatami tegorocznej nagrody im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego za „dzielność obywatelską” zostali Jacek Karnowski, prezes zarządu Ruchu Samorządowego „TAK! Dla Polski”, były (przez ćwierć wieku!) prezydent Sopotu, nowo wybrany poseł, a także dyrektor Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie Krzysztof Głuchowski wraz z zespołem.

To już 16. edycja tej nagrody. Zazwyczaj uroczystość odbywała się na początku października. Tym razem jednak, jak przynależnie przewodniczący Rady Fundacji, redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński, witając zaproszonych gości: „Pomyśleliśmy, poczekamy, może się doczekamy. I spotykamy się po raz pierwszy od wielu lat w kompletnie odmiennej atmosferze”. Radość z odzyskanej wolności dało się słyszeć we wszystkich wystąpieniach.

Obaj laureaci zostali wyróżnieni za ich osobisty wkład w tę walkę. Prezydent Sopotu Jacek Karnowski został nagrodzony „za osobisty przykład i zaangażowanie w organizację oporu polskich samorządów wobec prób centralizacji państwa”. Bo w istocie – jak w laudacji powiedział prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski – stał się symbolem tego ruchu oporu, tych sołtysów, wójtów i burmistrzów, którzy odważyli się powiedzieć „nie” i zjednoczyli się pod wodzą Jacka Karnowskiego. Trzaskowski podkreślił, że wszyscy ci samorządowcy wykazali się dzielnością i ta nagroda jest dla nich wszystkich. Sam laureat potwierdził, że czuje się reprezentantem tych samorządowców, którzy nie połączyci się na tekturowe czeki, i zapowiedział, że teraz „będziemy musieli walczyć o samorząd wśród swoich i tu też



Laudatorzy (po lewej stronie Rafał Trzaskowski, po prawej Danuta Przywara) i laureaci (Jacek Karnowski i Krzysztof Głuchowski z zespołem Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie).

będzie potrzebna dzielność. Pokażemy, że samorząd jest solą demokracji”.

Teatr im. Juliusza Słowackiego i jego dyrektor Krzysztof Głuchowski zostali wyróżnieni „za odważne, wierne i konsekwentne stanie na straży wartości artystycznej, niezłomną i solidarną obronę demokratycznych wartości i procedur oraz ważny wkład w kształtowanie postaw obywatelskich”. Dwa lata temu, po głośnej premierze „Dziadów” w reż. Mai Kleczewskiej, minister kultury Piotr Gliński postanowił odwołać dyrektora teatru. List w jego obronie podpisał niemal cały 200-osobowy zespół, który zebrał się pod transparentem „Teatr jest nasz”. Powtórzyła się historia Kazimierza Dejmka i jego „Dziadów” wystawionych w 1968 r.

Sezon, w którym zaczęły się kłopoty, nazwali w teatrze „wolałbym nie”. „Cały zespół zrozumiał, że najważniejszą rzeczą w życiu jest nie zdradzać swoich ideałów” – mówił Krzysztof Głuchowski, odbierając nagrodę. „Przetrawiliście kilkaset dni grillowania” – podkreślała podczas gali Danuta Przywara z Fundacji Helsińskiej. I dodawała: „Nie, nie przetrwaliście, wy walczyliście. I ta wasza działalność nie pozostała bez

wpływu na to, że 15 października tak wielu Polaków powiedziało rządzącym »bum!«”.

Dyrektor Głuchowski przyznał, że w tym roku zespół zdobył 44 nagrody teatralne, ale to wyróżnienie, za dzielność obywatelską, bije wszystko. A nagrodę odebrał wraz z grupą pracowników teatru. „Dziś jest 632. dzień procedury mojego odwołania i to jest 632. dzień zwycięstwa nad złem, ciemnotą, atakami na wolność sztuki i wolność słowa – mówił. – Temu się po prostu nie można było poddać. I za to jestem wdzięczny mojemu zespołowi”.

Nagroda im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego jest kontynuacją wyróżnienia przyznawanego od 2008 r. przez Instytut Spraw Publicznych, ustanowionego z inicjatywy przyjaciół Jerzego Zimowskiego z ISP, dawnych współpracowników z czasów tworzenia struktur państwowych po 1989 r., oraz żony Janiny Paradowskiej. Od 2016 r., od czasu śmierci naszej redakcyjnej koleżanki, poświęcona jest pamięci obojga małżonków i przyznawana przez Fundację ich imienia. (AS)

Wszystkim, którzy chcieliby wesprzeć Fundację, będziemy wdzięczni za wpłaty na numer konta (mBank): 51114020040000370277014612. Więcej informacji na jankajerzefundacja.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Druk Quad



PBC

lepa

PRINTED IN POLAND





ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

RELACJE

Dlaczego tak mocno angażujemy się w relacje, które sprawiają nam więcej przykrości niż przyjemności?

Nie najesz się okruchami

Jak świat światem ludzie randkowali, zakochiwali się w sobie i mieli z tego powodu złamane serca. Ostatnio w temacie randek zawrotną karierę robi nowe hasło: *breadcrumbing*. Dosłowne tłumaczenie brzmi niewinnie – okruchy chleba, bułka tarta, panierka, ale w nowym kontekście to termin na określenie zachowania, które nie tyle łamie, co wręcz rozszarpuje ludziom serca.

Kiedy ktoś rzuca ci przysłowiowe „okruchy” w relacji, to oznacza, że poświęca ci tylko tyle uwagi, żeby podtrzymać twoje zainteresowanie jego osobą, ale nie daje ci nic ponadto. To boli, a ty zupełnie nie wiesz, dlaczego spotyka cię tyle odrzucenia i smutku, tam gdzie miało być bezpiecznie i szczęśliwie. Co najgorsze, zamiast uciekać i ratować się, pchasz się w to znowu i znowu dostajesz zamiast zdrowej relacji tylko nędzne resztki.

Może jeszcze miesiąc temu on zaczynał każdy dzień od sms-a, w którym upewniał się, że dobrze spałaś

i kawa na śniadanie ci smakowała, ale teraz odpisuje już tylko raz na tydzień albo rzadziej. Na początku miał dla ciebie czas, a teraz głównie słyszysz wymówki: dużo pracy, zmęczenie, ważne sprawy rodzinne. Oczywiście każdy z nas może być zabiegany, ale bycie zajęтым przez kilka kolejnych tygodni i przesuwanie spotkania na „nie wiadomo kiedy” rani osobę, która czeka.

Dlaczego tak mocno angażujemy się w relacje, które sprawiają nam więcej przykrości niż przyjemności? Nie dlatego, że jesteśmy niedojrzałe, naiwne czy głupie. To problem, który dotyka także ludzi w innych dziedzinach świetnie sobie radzących. Przyczyną tego zjawiska jest stres. To z jego powodu dajemy się wkręcać i z taką intensywnością zabiegamy o okruchy uwagi w toksycznych relacjach.

Otóż kiedy jesteśmy przeciążeni codziennością, szukamy, czasami świadomie, czasami podświadomie miejsca, gdzie będziemy mogli odetchnąć, nabrać oddechu, poczuć się bezpiecznie. Partner, który już na samym początku relacji pamięta o tym, jakie kanapki lubimy najbardziej, partnerka, która troszczy się o to, żebyśmy mieli dobry dzień, i nie zapomina, żeby życzyć nam dobrych snów na dobranoc, wydaje się takim miejscem. Nasz organizm zaczyna bić w werble, że oto znalazł sposób na przetrwanie w niepewnych czasach, czyli więź z tym partnerem.

Mechanizm przywiązania jest stary jak świat i podpowiada, że nie tylko możesz złagodzić swój stres przez kontakt z tą osobą, ale wręcz ta więź jest ci niezbędna do życia, bez niej zginiesz. Kiedy więc ta druga strona zaczyna nas źle traktować, odsuwać od siebie i odrzucać, to mózg wbrew logice, ale zgodnie z mechanizmem przetrwania, każe nam wykorzystać jedną z najstarszych technik przeżycia w niebezpiecznym świecie: walczyć. Walcz o tę relację! – krzyczy. To stawia nas w gotowości do działania i daje poczucie ekscytacji, którego nam często brakuje w bezpiecznej relacji z przewidywalnym partnerem czy partnerką. Dlatego zabiegamy o uwagę, znosimy złe traktowanie dla krótkiej chwili wytchnienia, kiedy druga strona łaskawie poświeci nam trochę swojego czasu. Warto znać ten mechanizm, żeby nie obwiniać siebie, kiedy ktoś nas źle traktuje, nie spędzać bezsennych nocy na zastanawianiu się: co zrobiłam źle i jak mogłabym to naprawić.



Joanna Keszka – edukatorka seksualna, aktywistka oraz autorka poradników i książek o seksie („Grzechna to już byłam”, „Potęga Zabawnego Seksu”). Pisze o seksualności na Barbarella.pl, prowadzi warsztaty i szkolenia.

Ukobiet sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że od małego uczy się nas daleko posuniętej wyrozumiałości, ustępliwości, powtarza nam się, żebyśmy nie były wymagające. Znam wiele kobiet, których nikt nie nauczył odróżniać dawania drugiej szansy od setnej. Tu dochodzimy do sedna problemu, do największego z lęków – strachu przed samotnością. Wielu ludzi uważa, że samotność, bycie w pojedynkę, jest beznadziejne. Rozumiem to. Ten niepokój, że nigdy w życiu nie będziemy miały żadnego partnera czy partnerki, jeśli będziemy „zbyt wybredne”. Ale i tak szczerze wierzę, że znacznie gorsze jest bycie z kimś, przez kogo czujesz się okropnie, niepewnie, smutno, lub z kimś, kto ciebie nie szanuje i nie myśli o tym, jak cię uszczęśliwić. Nie zadowolaj się nędznymi resztkami. Myśl o sobie z wyrozumiałością i z podziwem. I szukaj.

Beton wylany, internet zalany

WIRAL

Historia z Łodzi, gdyby zdarzyła się wcześniej, trafiłaby może do książki „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta” Jana Mencwela, ale i bez tego nie zostanie prędko zapomniana. „Rozpędzający się walec betonozy”, jak to Mencwel ujmuje, przy ulicy Legionów prawie zrównał z ziemią auto osobowe. Jak do tego doszło? Nawierzchnia w okolicy jest właśnie remontowana. Samochód, tymczasowo porzucony przez właściciela, robotnicy odgradzili, zabezpieczyli folią i szalunkiem. I wylali beton dookoła. Zdjęcia z miejsca zdarzenia od razu pojawiły się w internecie, przerabiane na memy ku chwale rodzimej myśli inżynierskiej. Wóz w końcu został odholowany, a dziura w ulicy załatwana. Podobno nie dało się postąpić odwrotnie. „Znając straż miejską, pewnie przyjechałoby i jeszcze założyli autu blokadę”, komentuje w social mediach jeden z mieszkańców Łodzi. Wywiązała się też długa dyskusja o tym, czy samochód stał na placu budowy, czy jednak na drodze publicznej. Innymi słowy: czy ma tu zastosowanie prawo budowlane, czy raczej to o ruchu drogowym.

Samochód, zanim zniknął, zdążył wywołać sensację i został atrakcją turystyczną, fotografowaną i filmowaną dla potomności. Oficjalny profil Łodzi na Facebooku dołączył do chóru i opublikował zdjęcie z podpisem: „Remont Legionów nabrał takiego tempa, że niektórzy nie zdążyli nawet przeparkować”. Inni pytają: „Czy właściciela auta na ten widok zamurowało?”. Pozostali widzą w tym głębsze przesłanie: budowlanczy uczą, jak sprawnie omijać problemy. Koledzy po fachu zaś dodają, że jak beton gotowy, to trzeba lać, nim zastygnie. Na memach przy aucie internauci ustawiają Godzillę (ulica w istocie przypominała plan filmowy),



ale i rzeźbę Jana Pawła II dłuta Jerzego Kaliny (**polski papież ocala samochód przed zabetonowaniem**). Popularny profil „Sekcja Gimnastyczna” na Facebooku dziurę po samochodzie nazwał pomnikiem „Pamięci Miliona Aut Elektrycznych Marki Izera”.

Gdyby zechcieć te wpisy i memy podsumować, to internet w swojej masie trzyma raczej stronę budowlanców niż nierasobliwego kierowcy, który stanął robotom na drodze i nie zastosował się do komunikatów. Trudno się dziwić: remont przy Legionów ciągnie się tygodniami i nie bez przeszkód. Ostatnio, na finiszu prac, na ulicy efektownie pękła rura i trysnęła woda. Sieć jeszcze nie zapomniała o samochodzie, a już huczy o „łódzkich fontannach”.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Opiumowy szyk

SŁOWO

Ubrania jak z koncertu grupy Bauhaus w 1982 r., kiedy moda punkowa zmieniła się w gotycko-punkową. Zwyczajnie na koncertach niczym z występów metalowych kapel – ze skakaniem w tłum na czele. Dużo czerni, ciuchy nie pierwszej świeżości, trochę jak z lumpeksu, tyle że od uznanych projektantów. Oglądając zdjęcia artystów utożsamianych z estetyką, o której mówi się dziś „opium”, ma się wrażenie, że to coś, co wraca w kulturze co kilka lat, tylko za każdym razem nazywa się inaczej. I prawdę mówiąc, chodzi tu głównie o nazwę – popularne i w Polsce słowo opium to zarazem nazwa wytwórni, którą założył **Playboi Carti**, gwiazda pierwszej wielkości w amerykańskim rapie, a przy okazji guru stylu, nie tylko dla amerykańskiej młodzieży. O jego Opium – tym od wielkiej litery – polski serwis „Newonce” pisze, że jest ruchem i memem jednocześnie.

Rzeczywiście, podobnie jak styl gotów, dzieci emo czy metalowców, styl opium łatwo się parodiuje i wyśmiewa. Wszystko jest tu przedwczorajsze (nawet sama nazwa



przypomina o „heroinowym szyku” modelek z lat 90.) i przeskalowane – zbyt wąskie albo zbyt szerokie. Wszystko wydaje się luzem na pokaz, starannie zaplanowanym i z założenia przesadzonym. Trochę jak sam Carti. Kiedy trzy lata temu zatrzymała go (jechał ze znajomym) na drodze policja, w jego Lamborghini znaleziono 12 torebek z marihuaną, trzy pistolety, xanax, kodeinę i oksykodon (dwa ostatnie to opioidy). Więcej w jednym samochodzie niż w całej posiadłości Keitha Richardsa podczas słynnego nalotu policji na The Rolling Stones w 1967 r. Być może to wszystko po prostu cena dużych emocji związanych ze sławą i pieniędzmi. I na to jest już zresztą określenie:

opium magnum – według definicji z Miejski.pl: „Kiedy dzieją się takie klocki, że na trzeźwo nie wyrobisz”.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Bloki, skoki, foki, kroki – patrz, wszędzie jest OKI-o! Sto tysięcy polskich złotych na zakupy w Toki-o!

OKI, Jeremy Sochan, 2023 r.

Foki = dziewczyny (określenie stare, ale wraca)

Przejadły nam się aplikacje randkowe, tak jak przejadły się frytki z batatów i inne efektowne, ale zapychające tylko na chwilę przekąski. Czas na coś treściwszego – dosłownie.



Dokument o miłości

Jeśli pisać wiersze to – śladem starego/nowego premiera – w Excelu, a jak listy miłosne lub ogłoszenia personalne, to tylko w Wordzie lub jego pochodnych. Co się stało? Po dekadzie fascynacji aplikacjami randkowymi szukający mają dość. Mechanika przesuwania zdjęć w prawo – tak daje się drugiej stronie znać, że się nam podoba i liczy się na identyczny gest z jej strony – nie rusza już samotnych serc.

Bo ile można powiedzieć o kimś na podstawie kilku fotografii, którymi zresztą w dzisiejszych czasach można tak manipulować nawet bez posiadania fachowego oprogramowania, że rodzona matka nas nie pozna. Oprócz zdjęć „randkarki” dają naprawdę tylko podstawowe informacje, choć dla niektórych kluczowe – jak



Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

znak zodiaku, stan cywilny lub chęć posiadania dzieci, nałogi, hobby. A i tak w profilach pojawiają się coraz częściej raczej opisy poszukiwanej osoby niż poszukującej – albo te pozytywne (lista cech osobowości i wyglądu), albo negatywne („nie chcę, żebyś...”). Do aplikacji randkowych powoli zniechęcają użytkowników też algorytmy oceniające naszą atrakcyjność, a zatem i widoczność naszego profilu, według reguł, jakich dla świętego spokoju lepiej nie znać. W Polsce z najpopularniejszych „randkapek” korzysta nawet 3,59 mln użytkowników, jak podaje Mediapanel.pl, nie mówimy tutaj więc o żadnej niszowej sprawie.

Dla części z nich alternatywą może być najnowszy, chociaż przy okazji też najbardziej w stylu retro, sposób na złapanie miłości w sieci, czyli „randoc” („date-me-doc”). To dokument tekstowy, w którym zapisujemy... wszystko, co chcemy o sobie powiedzieć. „Jest w »randokach« coś dziwnego, może głupkowatego, co mi przypomina pierwsze lata popularności internetu” – mówi cytowana przez „The New York Times” programerka Connie Li, która taki dokument stworzyła, gdy szusowanie po aplikacjach nie pomogło jej znaleźć nikogo z, jak mówi, poważnymi intencjami. Czego się możemy dowiedzieć o Connie z jej własnego ogłoszenia matrymonialnego? W jakiej branży pracuje, gdzie mieszka (San Francisco), że lubi ubierać się na kolorowo. Teoretycznie te same informacje może o sobie przekazać przez aplikację, ale tutaj to Connie zdecydowała, jak wiele informacji o sobie podaje, jak są ułożone, jak zilustrowane. Innymi słowy – to ona przejęła narrację na własny temat. Jednocześnie jasno wyraziła, czego potrzebuje (związku). Tyle panna Connie. Ktoś inny napisał ilustrowany jednym zwykłym zdjęciem list na dwie strony, ktoś kolejny wrzucił w punktach, co lubi (weganizm, rave’y) i dlaczego.

„Randoki” mogą być w otwartym dostępie lub wysyłane mailowo na życzenie potencjalnego absztyfikanta. Największe wyzwanie związane z tą metodą poznawania ludzi? Dystrybucja i dostęp – te randkowe pliki rzeczywiście przypominają wczesne czasy onlajnu, gdy żeby coś znaleźć, trzeba się było nieźle naszukać. Jest na szczęście kilka stron, które zbierają – czy raczej agregują – takie dokumenty. Mają prościutki interfejs, zupełnie jakby były pomalowaną na biało poczekalnią w biurze matrymonialnym. Większość ogłoszeń powstała w Stanach, na razie nieliczne pochodzą od samotnych osób z Europy.

Zas dla tych, którzy nie mają ochoty wynętrać się na elektronicznym papierze, a nie chcą chodzić na podryw do baru lub na dyskotekę, jest jeszcze inna propozycja – obrączka Pear. Zrobiona z miękkiego plastiku, w kolorze miętowej zieleni jest sygnałem, że jesteś osobą z samotnym sercem i czekamy na oferty tych bardziej odważnych. Pomysłodawcy projektu reklamują to jako eksperyment społeczny i mają nawet gotową ideologię: „Gdyby 1,2 miliarda singli na całym świecie nosiło na palcu mały zielony pierścionek, aby pokazać, że są singlami, nie potrzebowalibyśmy aplikacji randkowych. Połączenie ich to nasza misja” – piszą na swojej stronie. Udział w misji kosztuje lekko ponad 100 zł. Ale to drobiazg – przecież wszelkiej maści poradniki tłuką nam do głów, że w relacje należy inwestować. ■

Z galerii do butiku

Ewa Juszkiewicz projektuje dla Louisa Vuittona! Cóż za tandem: znana polska malarka i legendarna francuska modowa marka! Ale czy to rzeczywiście aż taka sensacja?

MODA



Zacznijmy od Vuittona. Działająca od 1854 r. firma uważana jest za symbol luksusu, jakości, ikonę ekskluzywnego konserwatyzmu. Od ponad dwóch dekad trwa jednak proces odświeżania i unowocześniania wizerunku firmy. Zaczęło się od zaproszenia do współpracy przy projektowaniu torebek, firmowego produktu Vuittona, amerykańskiego artysty Stephena Sprousa, znanego z mocno popowo-punkowej estetyki. Kolejny ekscentryk, Takashi Murakami, artysta flirtujący z popkulturą i psychodelią, idol kultury otake, „przesunął percepcję marki z luksusowego tetryka na nowoczesnego gracza” (jak to ujął Igor Gałązkiewicz w wyśmienitej książce „Art Branding”). Zaś Yayoi Kusama swymi kolorowymi kropkami zaalała nie tylko produkty firmy, ale też jej butiki na całym świecie. A po drodze dla Vuittona projektowali inni wielcy świata sztuki, głównie malarstwa, by wymienić choćby Richarda Prince’a, Daniela Burena, a nawet jednego z prekursorów sztuki wideo – Fabrizio Plessiego.

Od pięciu lat firma w ramach projektu „Artycapucines” (od nazwy ulicy, przy której mieścił się jej pierwszy paryski sklep) zaprasza artystów do projektowania torebek lub udostępniania fragmentów swoich prac do ich dekoracji. I tak właśnie trafiła tam, wraz z twórcami z Malawi, USA, Francji, Serbii i Chin, Ewa Juszkiewicz, autorka portretów kobiecych, w których łączy surrealizm z inspiracjami sztuką dawną.

Zakreślając zaś nieco większy krąg, zauważyć wypada, iż branża modowa jest wręcz stworzona do kooperacji z artystami wizualnymi. Markom przydaje ona nobilitacji, dając poczucie, że tworzą nie produkty, a dzieła sztuki. Twórcy zaś, poza zgrabną sumką na koncie, zyskują rozpoznawalność wśród tych, którzy na co dzień niekoniecznie bywają na wernisażach.

Szlaki przecierała francuska projektantka Elsa Schiaparelli, która już w latach 30. XX w. wciągała do współpracy takie gwiazdy sztuki, jak Salvador Dali, Man Ray, Leonor Fini czy Alberto Giacometti. A dziś lista



Piotr Sarzyński
– od 1986 r. dziennikarz POLITYKI, na łamach której zajmuje się tematyką sztuki i architektury.

firm, które podpierają się twórcami, jest długa i obejmuje m.in. Jimmy’ego Choo, Stellę McCartney, Lacoste czy orientujące się na masowego odbiorcę H&M oraz Nike. Oczywiście można znaleźć we współczesnej sztuce wielkich artystów, których wręcz trudno wyobrazić sobie na usługach producentów takich czy innych towarów. Począwszy od nestora Gerharda Richtera po Banksy’ego. Ale nie brak także gwiazd, które „żadnej pracy się nie boją”. Jeff Koons, którego popkulturowy „Balloon dog” podbił świat, trafił ze swoimi pomysłami m.in. do firm modowych (H&M, Stella McCartney), na opakowania szampana (Dom Perignon) czy serwisy stołowe (Bernardaud). Z kolei Damien Hirst współpracował z takimi mocnymi graczami na rynku, jak Victor&Rolf, Supreme, Levi’s czy Lalique.

Współpraca Ewy Juszkiewicz z Vuittonem z polskiej, lekko zaściankowej perspektywy, jest oczywiście spektakularna (ciekawe, że nie pamięta się równie błyskotliwej i trwającej już wiele lat kooperacji polskiego rzeźbiarza Bronisława Krzysztofa z legendarną firmą perfumeryjną Sisley). Od jednego z działających w kraju doradców rynku sztuki wiem, że kilka zamożnych klientek już poprosiło go o zdobycie dla nich rzeczonych torebki, której oficjalną cenę ustalono na 9200 euro.

Ten butikowy sukces artystki został ostatnio wzmocniony sukcesem rynkowym. Otóż jeden z jej obrazów kupiono na warszawskiej aukcji PolSwissArt za blisko 3 mln zł, co jest efektem współpracy malarki z bodaj najpotężniejszą galerią na świecie – Gagosian. Juszkiewicz nie podąża bowiem klasyczną drogą budowania kariery na stabilnym gruncie wystaw w prestiżowych muzeach, opinii ważnych krytyków i znaczących publikacji, swoją pozycję w świecie sztuki całkowicie uzależniając od opieki ważnych rynkowo galerii. Cierpi na tym rozwój twórczy artystki, która kopiuje samą siebie, gdyż takie jest zapotrzebowanie rynku. Na razie ów mechanizm jest efektywny – ceny rosną, pytanie – jak długo. ■



Miliony gospodarstw domowych grzeją się nim z musu, ale jest też rzesza palaczy rekreacyjnych. Wraz z sezonem grzewczym zaczyna się misterium spalania drewna poprzedzone jego obróbką. Prym w tym wiedzie Skandynawia.



Lecą wióry

PODRÓŻE

W bardzo zamożnej Norwegii paleniska ma prawie dwa miliony budynków. Niebiedna Finlandia – wszak historia pochodzących stamtąd Muminów zaczęła się za ludzkimi piecami – spala ok. 5 mln m sześć. drewna rocznie. Wychodzi po metrze na statystyczną Finkę i przeciętnego Fina, czyli w sumie kilka milionów drzew średniej wielkości. Które wcześniej trzeba ściąć, porąbać, poukładać i poczekać, aż wyschną.

Z naszej perspektywy może to brzmieć żmudnie i nudnie, ale Skandynawowie chętnie łapią za siekiery własnoręcznie i robią z tego procesu całe ceremonie, raczej przy tym gwizdząc na koszty środowiskowe.

– *Palę drewnem w moim mieszkaniu w Helsinkach, moi sąsiedzi też* – przyznaje Petteri Masalin, fiński projektant siekier. To stare budownictwo, wszyscy mają tam mieszczniańsko reprezentacyjne piece kaflowe, oprócz nowoczesnego centralnego ogrzewania. Masalin kupuje drewno w sklepie, w niewielkich porcjach, targa na piąte piętro i popala uzupełniająco. Za to gdy jedzie do domu nad jeziorem, rozpala w każdy chłodny dzień, tak uzyskuje ciepłą wodę i rozgrzewa saunę. Finowie mają pół miliona letnich domów, mówi Petteri Masalin, prawie wszystkie stoją w lesie, trzeba umieć ciąć i rąbać, także na ogniska. Wszyscy się tym zajmują: – *Zacząłem, mając może sześć lat.*



Jędrzej Winięcki

– politolog, dziennikarz działu zagranicznego POLITYKI, pisze o Europie, Azji i trendach globalnych. Miłośnik dzikiej przyrody. Od zawsze obserwuje ptaki.

Światowym bestsellerem stała się książka „Norweskie drewno”. Na dwustu stronach dziennikarz Lars Mytting daje rady na temat rąbania i układania. Pisze, że drewno nie rdzewieje, nie złoży pozwu o rozwód – po prostu leży i robi jedną jedyną rzecz: czeka na zimę. Znalazł tak wytrych do norweskiej duszy, której nosiciele – zwłaszcza mężczy i ze starszych generacji – są milczący, szczególnie nie gadają o emocjach, ale o drewnie rozmawiają chętnie, tematem gorących dyskusji jest np. kwestia suszenia: korą do góry czy w dół. Pracy przy drewnie norwescy emeryci poświęcają 98 godzin rocznie i widzą w tym sposób na zachowanie dobrej formy.

Sława książki Myttinga wyszła poza Norwegię. „Drewno wreszcie zrobiło się modne” – entuzjazmował się m.in. brytyjski „Guardian”, chwalać autora za to, że „prymitywne tęsknoty potrafił przełożyć na liryczną prozę”. Związki z drewnem Wielka Brytania i szerzej, Stary Kontynent, zacieśniły za sprawą drożyzny wywołanej rosyjską inwazją na Ukrainę. Uczestniczący w najeździe białoruski uzurpator Aleksandr Łukaszenka w propagandowej pokazówce łupał wtedy drewno na opał dla zmarzniętych i przerażonych wysokimi rachunkami za prąd Europejczyków. A ci, także m.in. w Niemczech, sprawdzali, jak przetrzucić się na nieco tańsze metody ogrzewania domów, w tym drewno.

Sprzedaż siekier w Europie idzie więc świetnie, sco cieszy pracodawcę Masalina, firmę Fiskars, producenta sprzętu ogrodniczego. W Finlandii to coś więcej niż przedsiębiorstwo. Jest tym, czym kiedyś była Nokia, flagową marką narodowej gospodarki i drugim, po skarbie państwa, właścicielem ziemskim. Ma na stanie ponad setkę jezior oraz dziesiątki tysięcy hektarów lasów. Fiskars stał się outdoorową wersją Ikea, działa nieprzerwanie od 1649 r. i od dekad globalnie, więc zespół Masalina o siekierach oraz ich użytkownikach wie całkiem sporo. A okazuje się, że siekiera siekierze nierówna.

Nowe różnią się od dawnych. Jako gatunek rośniemy, bo jemy lepiej i zdrowiej niż poprzednie pokolenia. Jeśli palce i dłonie są szersze, a ręce i nogi robią się dłuższe, to zmieniają się kąty ustawienia ciała oraz efektywność i ergonomia machania siekierami. Uniwersalną regułą jest, że te używane bliżej miast są lżejsze i krótsze. Rozmiary i masa siekier rosną im głębiej w prowincję i odludzie. I o ile w Europie do rąbania używamy narzędzi dość lekkich i jakiejś podstawy, zazwyczaj wysokiego na ok. 70 cm pieńka, to Amerykanie potrzebują dłuższych stylisk i chcą siekier ciężkich. Łupią kawały wielkie, trudne w przenoszeniu. Kładą je na gołej ziemi, nie przejmując się, że ostrze może trafić na kamień. Tak właśnie pracował Ronald Reagan, który na znanych zdjęciach ze swojego rancza rąbał drewno, by udowodnić wyborcom, że facet po siedemdziesiątce ma dość krzepy, by podołać trudom amerykańskiej prezydentury. ■



Curry i kapusta

W ostrym sosie może się z powodzeniem odnaleźć każde warzywo. Także sezonowa, biała kapusta.

Kapusta w kuchni ma swoje dwa momenty. Pierwszy – późną wiosną, kiedy na straganach pojawiają się młode, małe i delikatne główki. Szybko się grillują i pasują do surówek. Druga kapuściana chwila trwa późną jesienią i zimą. Kapusta nabiera wtedy dojrzałych rozmiarów. Główki są wielkie, a liście twardsze. To czas, kiedy w polskich domach przygotowuje się tradycyjny, gęsty bigos. Pomiędzy tymi momentami kapusta w naszych kuchniach jest niedoceniana i pomijana.

A przecież to warzywo, które jest tanie i łatwo je przechowywać. W warzywniaku znajdziemy kilka rodzajów kapusty: białą, włoską z karbowanymi liśćmi, czerwoną i pekińską. Do grupy kapust również zalicza się bruksełkę czy jarmuż. Kapusta to źródło żelaza, magnezu, fosforu. To prawda, że kapustę w posiłkach pomija się czasem ze względu na to, że może u niektórych powodować niekomfortowe wzdęcia. Jest na to rada. By wyeliminować lub osłabić nieprzyjemności, trzeba pamiętać o odpowiednich przyprawach. Do takich zaliczyć można kumin, kminek, cząber, asafetydę, imbir czy cynamon.



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Wiele z nich znajdziemy w mieszance curry, która przyda się do przyrządzenia białej kapusty w ostrym sosie. Curry na mleku kokosowym to popularna potrawa. Wegańskich wersji jest wiele, bo w tym sosie może znaleźć się każde warzywo. Dlaczego więc nie sezonowa, biała kapusta?

Podczas zapiekania sos gęstnieje, robi się jedwabisty i intensywny, słodkawy w smaku. Kapusta zaś mięknie i wręcz rozplywa się w ustach, a najlepsze są jej przypalone, chrupiące brzegi.

Curry z kapustą podawaj z ryżem, komosą ryżową lub ulubioną kaszą. Najlepiej smakuje gorące, prosto z piekarnika. Świetnie rozgrzewa. Jeśli chcesz wzbogacić danie w białko, dodaj pokrojoną kostkę tofu lub ugotowaną soczewicę. ■

Składniki:

½ głowy białej lub włoskiej kapusty
2 łyżki oleju
1 cebula lub kawałek pora
2 ząbki czosnku
3 cm imbiru
Po jednej łyżeczce: kurkumy, kuminu, ulubionej mieszanki curry, słodkiej papryki i cukru
½–1 łyżeczki ostrej papryki
2 liście limonki kafir
3 łyżki sosu sojowego
1 łyżka przecieru pomidorowego
500 ml mleczka kokosowego
500 ml bulionu warzywnego lub wody
szczypta soli
sok z ½ cytryny lub limonki
kolendra

Sposób przygotowania:

- Kapustę pokrój na ćwiartki lub mniejsze kawałki. Na patelni rozgrzej 2 łyżki oleju. Ułóż kapustę. Lekko posól. Smaż z obu stron, aż nabierze rumianego koloru. Odlóż kapustę na talerz.
- Cebulę obierz, przekrój na pół i pokrój w plastry. Na talerzyku przygotuj wszystkie przyprawy wraz z listkami limonki kafir. W rondlu rozgrzej 3 łyżki oleju i zacznij podsmażać cebulę. Czosnek zgnieć i posiekaj. Imbir obierz przy pomocy łyżeczki. Zetrzyj na tarce lub drobno posiekaj. Kiedy cebula zmięknie, dodaj czosnek i imbir. Przemieszaj. Po chwili dodaj wszystkie przyprawy. Przemieszaj i smaż wszystko 20 sekund. Uważaj, by przyprawy się nie przypaliły. Jeśli tak się jednak zdarzy, zacznij wszystko od nowa. Przypalone przyprawy będą gorzkie.
- Dodaj sos sojowy oraz przecier pomidorowy. Wymieszaj i zalej mlekiem kokosowym oraz bulionem. Całość powinna się zagotować, a potem delikatnie bulgotać na małym ogniu przez 20 minut. Dodaj cukier oraz sól.
- Przelej wszystko do naczynia żaroodpornego. Następnie ułóż kapustę. Przykryj całość papierem do pieczenia lub folią aluminiową.
- Piecz w 180 stopniach przez 35 minut, następnie zdejmij papier do pieczenia i piecz kolejne 20–30 minut. Kapusta powinna zmięknąć, a sos zgęstnieć.
- Przed podaniem skrop sokiem z limonki i posyp posiekaną kolendrą.

Kataryna w „Plus Minus” reaguje na rozpaczliwe apele mediów prawicowych: „Po latach przytłaczającej dominacji mediów liberalnych prawica dostała swoją szansę na zbudowanie naprawdę silnych mediów konserwatywnych, jeśli teraz zostaje z niczym – oczywiście nie licząc znacząco pomnożonego prywatnego majątku swoich właścicieli i największych gwiazd – to wyłącznie dlatego, że nigdy nawet nie spróbowała czegoś więcej niż pazerne korzystanie z podstawionego jej koryta. Dotyczy to właściwie wszystkich prawicowych projektów medialnych, bo jeśli po ośmiu latach pompowania w nie publicznej kasy boją się, że nie będą w stanie utrzymać się ani z rynku, ani z czytelników, to coś poszło bardzo nie tak”. Poszło tak, jak chcieli, tylko nie wierzyli, że kiedykolwiek mogą przegrać.

Redaktor naczelna Polska Press Dorota Kania wciąż nadaje: „Czy PSL zostało [przez Platformę] oszukane? Na pewno tak. Czy Szymon Hołownia wiedział, że jest projektem Tuska? Znając jego niestabilność emocjonalną – raczej nie. Decyzje zapadły zupełnie gdzie indziej – gdzie – zapewne Państwo się domyślicie”. Na Nowogrodzkiej? To tam przecież urzęduje genialny strateg, który postanowił zniszczyć opozycję, oddając jej władzę.

Wtym samym wydaniu „Polski” redaktor Kania wykazuje się jednak przebiegłością polityczną, pozwalając na zamieszczenie rozmowy z politologiem UJ Jackiem Sokołowskim nieszczydzącym krytyki PiS-owi, bo ten: „się skutecznie ogłuszył własną propagandą. Dlatego, że przejmując TVP i tworząc zamknięty ekosystem medialny, a tak naprawdę propagandowy, PiS stworzył system, w którym nikt nie może powiedzieć, że cesarz jest nagi; ba nie może nawet powiedzieć, że cesarz popełnił jakikolwiek błąd. I to jest zawsze cena propagandy”. Redaktor Kania ceni propagandę.

Przyciskana przez Jana Wróbla politolożka UW Renata Mieñkowska-Norkiene przewiduje („DGP. Magazyn na Weekend”): „PiS pozostanie partią wodzowską

Dr Duda nazywa świnia
każdego, kto kiedyś
brał udział w wyborach
w PRL. W ten sposób
zaliczył do świń także
kardynałów Wyszyńskiego
i Wojtyłę. Ale u dr. Dudy
z historią zawsze było nietęgo
– Andrzej Romanowski,
„Przeгляд”.

i dociągnie pod wodzą prezesa i z pomocą prezydenta do wyborów samorządowych. Ale w nieodległej perspektywie ta partia skazana jest na rozpad, chyba że Kaczyński namaści mało znaną, młodą postać, której uda się przekonać społeczeństwo, że PiS nie był radykalny i ciągle »anty«. Wybory samorządowe i europejskie stanowią dla tego ugrupowania, jak na razie, mobilizujący cel, prawdopodobnie wszyscy będą udawać razem z prezesem, że »damy radę«, ale potem trzeba będzie zdecydować o zmianie. Lidera i programu”. Łatwiej by było rozwiązać partię.

Oprzyszłości PiS pisze też Marek Beylin („GW”): „Jasne, za parę lat jakaś postpisowska formacja nacjonalistyczno-autorytarna może wygrać wybory. Ale nawet jeśli wejdzie do niej sporo osób z obecnego PiS, będzie to inny byt polityczny. Z innymi elitami, hierarchiami, mechanizmami dystrybucji władzy. To już nie będzie partia Jarosława Kaczyńskiego, głównego autora niespodziewanej klęski. Świadomość takiej nieuchronnej zmiany dopiero się w PiS rodzi. A gdy dojrzeje, pierwszą ofiarą stanie się Kaczyński, za nim pójdą następne i zacznie się proces destrukcji PiS oraz powolne tworzenie nowej, podobnej formacji”. Niektórzy już przebiegają nóżkami.

Wrozmowie z „Newsweekiem” politolog Rafał Matyja zwraca uwagę na słabość pisowskiej kampanii wyborczej: „PiS zaszkodziło głównie to, co mówił premier. Bo prezes Kaczyński mówił to, co zawsze, i ludzie niczego innego od niego nie oczekiwali. To, co mówił premier, było natomiast zaskakujące w ustach człowieka, który uchodził za pragmatyka, skupionego na rządzeniu krajem, a nie ma miotaniu obelg wobec przeciwników politycznych. Język premiera mógł wytworzyć u części wyborców PiS poczucie, że partii, mówiąc potocznie »peron odjechał«. Nikt tak nie potrafił ośmieszyć Morawieckiego jak on sam.

Prof. Antoni Dudek tłumaczy czytelnikom „Gościa Niedzielnego”, dlaczego Tusk chce rządzić Polską: „Dlatego że jest przeciwnikiem PiS-u i uważa, że rządy tej partii są dla Polski szkodliwe i samo odsunięcie od władzy PiS-u jest wartością dodaną. Problem polskiej polityki polega na tym, że została zdominowana przez dwie silne postacie. Prezes Kaczyński ma wizję Polski, której nie podziela wystarczająco wielka część opinii publicznej, zwłaszcza bardziej wpływowej, zamożniejszej, z dużych miast. Z kolei Donald Tusk nie ma w ogóle żadnej wizji, ale za to ma poparcie tych ludzi, ponieważ dla nich najważniejsze jest to, żeby Kaczyński nie zrealizował swojej”. A to też jest jakaś wizja.

Jakub Augustyn Maciejewski ujawnia w „Sieci”: „rozliczeniowe nastroje w Prawie i Sprawiedliwości podsycają poszczególne frakcje: twardzi konserwatyści przeciwko centrystom, inteligenci przeciwko trybunom ludowym, tłuste koty kontra reformatorzy”. Partia chaosu?

K O Z A



CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl



AR ALBERT RIELE

SWISS WATCHES 1881

/ APART.pl